

Kronika miasta Łodzi

kwartalnik ● 3(79)2017

zaczynając od architektury

Kronika miasta Łodzi

kwartalnik • 3(79)2017

Łódź 2017



Wydawca:
Urząd Miasta Łodzi
Biuro Promocji, Komunikacji Społecznej i Turystyki

Redakcja:
Gustaw Romanowski — redaktor naczelny

W zredagowaniu numeru uczestniczyli:

Koncepcja i koordynacja:
Błażej Filanowski

Współpraca redakcyjna:
Małgorzata Golicka-Jabłońska

Projekt typografii i okładki:
Andrzej Chętko

Korekta:
Adriana Grzelak-Krzymianowska

Zdjęcia:
Autorzy, Archiwum UMŁ, materiały prasowe

Skład i druk: Drukarnia PPU Muligraf s.c.
ul. Bielicka 76C, 85-135, Bydgoszcz

Łódź, 2017

Redakcja:
Kronika Miasta Łodzi, ul. Piotrkowska 113, prawa oficyna
90-430 Łódź, tel. (42) 638-44-39
e-mail: kronika@uml.lodz.pl

ISSN 1231-5354

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca.
W tekstach przeznaczonych do druku zastrzegamy sobie prawo do zmian i skrótów.

Kronika jest pismem bezpłatnym i nie jest przeznaczona do sprzedaży.
Układ typograficzny KMŁ od 2003 roku stanowi własność Andrzeja Chętki
chronioną prawem autorskim.

Spis treści

<i>Gustaw Romanowski, Zaczynając od architektury</i>	5
pierwsze kolumny	7
<i>Błażej Filanowski, Obejrzyć miasto raz jeszcze</i>	9
<i>Krzysztof Stefański, Nestlerowie – dzieje łódzkiej rodziny</i>	18
<i>Krzysztof Stefański, Rzecz o Henryku Hirszenbergu</i>	33
<i>Piotr Gawłowski, Edmund Roman Orlik</i>	47
<i>Błażej Ciarkowski, Architekt Jerzy Kurmanowicz</i>	58
<i>Kamil Kowalski, Łódź – miasto niedokończone</i>	68
kultura	79
<i>Gustaw Romanowski, Złote Pióro dla Błażeja Filanowskiego</i>	81
<i>Paweł M. Sobczak, Festiwal Łódź Czterech Kultur</i>	83
<i>Gustaw Romanowski, Antoni Starczewski</i>	91
<i>Błażej Filanowski, Ostatnia wystawa w Atlasie Sztuki</i>	98
historia	109
<i>Gustaw Romanowski, Heimanowie-Jareccy</i>	111
<i>Przemysław Waingertner, Na marginesie Wspomnień marszałka Mannerheima</i>	122
<i>Paweł K. Rutkiewicz, Łódzkie problemy w latach 1933–1939</i>	128
<i>Mirosław Kopa, Do końca wierni przysiędze</i>	141
<i>Tomasz Czarnecki, Łódzianin Aleksander Bardini</i>	154
<i>Jan Skąpski, Łódzkie doświadczenia Janusza Gajosa</i>	162
<i>Tomasz Czarnecki, Dzieje łódzkiej opozycji studenckiej w latach 1968–1989</i>	177
wspomnienia	187
<i>Andrzej de Lazari, Arcybiskup Szymon Romańczuk (1936–2017)</i>	189
<i>Gustaw Romanowski, Grzegorz Lech Królikiewicz (1939–2017)</i>	192

<i>Mirosław Zbigniew Wojalski, Hanna Ewa Stańska (1935–2017)</i>	196
kroniki rodzinne	201
<i>Bożena Pellowska-Chudobińska, Alfons Pellowski – człowiek wielu pasji</i>	202
recenzje	215
<i>Paweł Spodenkiewicz, Chłopak ze Wschodniej, który uratował Anglię</i>	217
<i>Konrad A. Czernielewski, Władysław Strzemiński.</i>	
<i>Nieznane fakty z życia znanego artysty</i>	222
<i>Przemysław Waingertner, Mroczne oblicze Łodzi pierwszej połowy XX stulecia</i>	227
osiedla, domy, ulice	231
<i>Dariusz Kędzierski, Ulica z bałuckim rodowodem</i>	233
<i>Andrzej Jankowski, Park im. Szarych Szeregów</i>	243
z łódzkiego raptularza	251
<i>Opracowała Małgorzata Golicka-Jabłońska</i>	

Zaczynając od architektury

Od kilku miesięcy możemy podziwiać odrestaurowany dom łódzkiego budowniczego Otto Gehliga, projektanta między innymi Pałacu Heinzla, w którym dziś mieści się łódzki magistrat. Przez wiele lat, pomimo wpisu do rejestru zabytków, apeli środowisk naukowych i organizacji pozarządowych, dom trwał w stanie częściowego rozkładu, nie zdradzając swojej wartości nieświadomym przechodniom. Uratowanie tego wspaniałego zabytku cieszy tym bardziej, że ma swoją genezę we wzroście świadomości potencjału łódzkiej architektury. Fakt, że Łódź jest cennym kompleksem miejskim, który należy chronić i rewitalizować, przebijał się powoli, wbrew wielu przeciwnościom, dzięki uporowi jednostek wierzących, że jego wartość w przyszłości zostanie doceniona.

Mimo wielu zmian prawdopodobnie i dziś nie zdajemy sobie w pełni sprawy z architektonicznego potencjału naszego miasta. Pomagają go odkrywać liczne publikacje, wydarzenia popularyzatorskie oraz badania naukowe, których rosnącą liczbę obserwujemy i odnotowujemy na łamach „Kroniki Miasta Łodzi”. Widzimy, jak dokonuje się waloryzacja zwartej śródmiejskiej zabudowy w systemie kamienic czynszowych. Coraz większą uwagę przykuwa elegancki, ale funkcjonalny przedwojenny łódzki modernizm. Ocenie zaczyna być poddawana także powojenna architektura, która dzięki dystansowi czasowemu oraz zaangażowaniu młodych – patrzących na nią przez pryzmat historii – badaczy, może być dziś dyskutowana *sine ira et studio*. Proces ten szerzej opisuje problemowy artykuł Błażeja Filanowskiego.

Na łamach niniejszego numeru skupiliśmy się jednak nie na kanonicznych dla miasta postaciach, projektach i zdarzeniach, ale na tych mniej rozpoznanych. W artykułach Krzysztofa Stefańskiego omówiona została historia Nestlerów, wpływowej i bardzo zasłużonej rodziny łódzkich budowniczych, oraz działalność Henryka Hirszenberga, architekta, który wpłynął na kształt przedwojennego modernizmu w naszym mieście. Przypominamy też dwie postacie powojennej architektury. Tekst Piotra Gawłowskiego przybliża postać Edmunda Orlika – bohatera kampanii wrześniowej i twórcy wysoko ocenianego przez krytyków „starego” gmachu Biblioteki Uniwersytetu Łódz-

kiego. Błażej Ciarkowski przypomina zaś parę odznaczających się skromnością, lecz wartych uwagi architektów: Jerzego i Helenę Kurmanowiczów, projektantów m.in. domu towarowego DOMUS. *Pierwsze kolumny* zamyka tekst Kamila Kowalskiego o planistach i ich marzeniu o konsekwentnym udoskonalaniu miasta.

Gustaw Romanowski

pierwsze kolumny

Obejrzyć miasto raz jeszcze

Poznawanie potencjału łódzkiej historycznej architektury

Błażej Filanowski

str. 9

Nestlerowie – dzieje łódzkiej rodziny

Zasłużeni budowniczkowie Łodzi

Krzysztof Stefański

str. 18

Rzecz o Henryku Hirszenbergu

„Niespokojny i poszukujący duch”

Krzysztof Stefański

str. 33

Edmund Roman Orlik

Wzbogacił Łódź o piękne obiekty

Piotr Gawłowski

str. 47

Architekt Jerzy Kurmanowicz

Projektant odpowiedzialny

Błażej Ciarkowski

str. 58

Łódź – miasto niedokończone

Ile estetyki, ile funkcjonalizmu?

Kamil Kowalski

str. 68

Obejrzyć miasto raz jeszcze

Poznawanie potencjału łódzkiej historycznej architektury

W materialnym krajobrazie polskich miast odcisnięte są ślady zawilej i pełnej tragicznych zwrotów historii: zniszczeń i odbudowy, wywłaszczeń i przejęć, zaniedbań, śladów niedokończonych projektów odkładanych do szuflady w kryzysowych latach. Dlatego patrząc na ich współczesny wygląd, trzeba wykazać się wyrozumiałością, której jednak nie powinno się mylić z biernością lub akceptacją dla istniejących w miejskiej przestrzeni negatywnych zjawisk. Nasze miasta potrzebują krytycznego spojrzenia i zmian – zarówno w dziedzinie ochrony tego, co wartościowe, jak i w organizacji obszarów na nowo zagospodarowywanych. Tych dwóch zagadnień nie powinno się rozdzielać. Miasta są niczym twory geologiczne. Starsze warstwy stanowią cenne zasoby, z których mieszkańcy czerpią energię, czując łączność z budowniczymi z przeszłości. W naturalny sposób każdego roku musimy dokładać swoją „warstwę”, ale róbmy to tak, aby nie marnotrawić, a korzystać w najlepszy sposób z tego, co już miasto stworzyło.

Wydobyć się z chaosu

Lata 90. XX wieku wzbudziły nadzieję na nowe otwarcie w dziedzinie architektury. Mieszkańcy zmęczeni inwazyjną, zunifikowaną, tandetnie wykonaną masową architekturą PRL oczekiwali zmiany wizerunku polskich miast. W rzeczywistości nie uniknęliśmy jednak wielu błędów. Szereg problemów z ustaleniem własności i chaos w zagospodarowaniu doprowadził do powstania całych obszarów pustostanów. Polskie miasta i miasteczka obrosły niekontrolowaną ilością pstrokatych reklam wszelkiego typu i rozmiaru, co skutecznie niwelowało estetyczne walory architektury. Nieprzemysłany rozrost przedmieść ukazał postępujący kryzys w planowaniu przestrzennym. Słowo „apartament” zaczęło ulegać dewaluacji, stosowane do architektury niewiele lepszej niż bloki z wielkiej płyty. Powszechne stało się zapotrzebowanie na odseparowanie się – zwykle w najprostszy sposób: poprzez otoczenie całego osiedla pierwszym lepszym płotem po obrysie działki.

Uciążliwości te można przemilczeć lub się do nich przyzwyczaić. Perspektywę zmienia jednak bezpośrednie starcie z chaosem. Zakup nieruchomości stał się dla wielu osób racjonalnym – wobec nie najlepszych warunków najmu – rozwiązaniem potrzeby posiadania własnego miejsca. Decyzja ta dla wielu z nas była lub będzie największym w życiu wydatkiem, przeważnie obciążonym ryzykiem spłaty rozłożonego na lata kredytu. W rzeczywistości niejasnych standardów planowania i rozwoju polskich miast wybór nowego miejsca do zamieszkania wiąże się z ryzykiem, że okolica, którą wybraliśmy, w ciągu kilku lat przeobrazi się w sposób radykalny i nieprzewidywany.

Problemy te musiały wywołać reakcję. Od ponad dekady widać rosnące zainteresowanie tematyką planowania, projektowania i budo-



wania miast, a także architekturą. Trwa dyskusja nad jej jakością, innowacyjnością i estetyczną wartością. Odbywa się ona nie tylko wśród samych architektów, osób z ruchów miejskich i specjalistów. Trudno ocenić powszechność tego zjawiska – z pewnością nie jest to zainteresowanie masowe, ale wykraczające poza wąskie grono „zawodowców”. Świadczy o tym choćby wyraźny wzrost liczby publikacji na temat architektury: zarówno artykułów w opiniotwórczej prasie, jak i książek problemowych oraz biograficznych, wymagających starannych badań. Rzuca się w oczy frekwencja na spotkaniach o architekturze, takich jak cykliczny festiwal Warszawa w Budowie, organizowany przez Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie. W księgarniach zwraca uwagę coraz większy wybór literatury na temat architektury międzywojennej – pokazującej jej rozwój i znaczenie w procesie modernizacji młodej i zróżnicowanej Rzeczypospolitej. Fenomenem ostatnich lat jest jednak popularyzacja kwestii ratowania wybitnej architektury powojennej. W 2012 roku na problem zwrócił uwagę archeolog i antropolog Filip Springer, publikując zbiór reportaży pod zmiennym tytułem *Żle urodzone*. Książka przyczyniła się do docenienia wartościowej architektury powstałej w PRL. Potrzeba jej ochrony znajduje dziś wydzźwięk także w deklaracjach deweloperów i konserwatorskich decyzjach.

Prestiż i ciężar

Przywilej kształtowania przestrzeni – w której rozgrywa się zarówno teatr codzienności, jak i wydarzenia wyjątkowe dla wielu pokoleń użytkowników – sprawia, że zawód architekta od zawsze był zajęciem prestiżowym, ale i obciążonym ogromną odpowiedzialnością. Zrealizowanie swojej indywidualnej wizji w tym zawodzie jest trudne ze względu na wpływające na ostateczny kształt dzieła politykę, prawo, zasoby, kulturę, wykonawców, a przede wszystkim zleceniodawców. Wybitni architekci od czasów starożytnych dzięki swym dokonaniom zapisywali się w historii, jednak to epoka odrodzenia podniosła artystów do rangi „świeckich świętych”, bohaterów, którzy zaczęli budzić powszechne zainteresowanie. Jednym z opisywanych w ten sposób architektów był pionier włoskiego renesansu Filippo Brunelleschi. Informacje o jego dokonaniach artystycznych, ale też pochodzeniu, wyglądzie, relacjach z innymi ważnymi osobowościami ówczesnej kultury i polityki znalazły się w dziele wybitnego historyka Giorgio Vassariego *Żywoty najślawniejszych malarzy, rzeźbiarzy i architektów*, wydanym po raz pierwszy w 1550 roku. Można się dziś tylko zastanawiać, jaką wartość dla Łodzi miałyby podobna biografia lub wspomnienia z epoki Hilarego Majewskiego, architekta miasta aktywnego w latach 1872–1892, którego podpis widnieje pod dokumentacją ponad 500 budynków. Ilu z nich był autorem, a do ilu wprowadzał

poprawki lub akceptował projekty – pełnych informacji nie mamy. Na pewno był osobą, która wpłynęła w ogromnym stopniu na kształt Łodzi i która znała całą elitę miasta swoich czasów. To on był odpowiedzialny za budowę hotelu Grand, Pałacu Izraela Poznańskiego (w który swój wkład włożyli także Juliusz Jung, Dawid Rosenthal, Adolf Zeligson) czy rezydencji Herbstów. Współtworzył awans przeciętnego miasteczka do rangi jednego z ważniejszych miejskich ośrodków w całym Imperium Rosyjskim, nadając mu charakterystyczny, modny wówczas historyzujący kostium. W tym ukształtowanym krajobrazie działali kolejni, młodszy łódzcy architekci, jak Otto Ghelning czy eksperymentujący z nowym secesyjnym stylem Gustaw Landau-Gutenteger.

Ów eklektyczny kostium, znany i kojarzący się z Łodzią m.in. ze względu na film Andrzeja Wajdy *Ziemia obiecana*, był przez wiele lat niedoceniany, uważany za wstydliwą atrapę aspirującej do podniesienia swojego statusu burżuazji. PRL deprecjonował historyzujący styl, zdając sobie sprawę, że to materialny dowód na sukces wielokulturowego miasta i jego społeczności, odwołujący się chętnie do wspólnych elementów europejskiej tożsamości. Miasto socjalistyczne miało być zbudowane jeszcze raz, lepiej, bez zbytku i ciasnoty. Dlatego kamienice uznawano za relikty przeszłości, mający ustąpić nowej, bardziej współczesnej formie. Choć jeszcze dziś można usłyszeć opinie, że warto pozbyć się „zbędnego balastu”, wydaje się, że w tej materii wiele się zmieniło. Ukoronowaniem procesu zmiany myślenia o Łodzi jest fakt, że wielokulturowy krajobraz tego przemysłowego miasta trafił na prestiżową listę Pomników Historii. Rozporządzenie o nadaniu tego tytułu prezydent Bronisław Komorowski wręczył 17 lutego 2015 roku na ręce prezydent Łodzi Hanny Zdanowskiej. Obszar objęty rozporządzeniem obejmuje m.in. Pałac Poznańskiego, ulicę Piotrkowską i cmentarze: Stary (przy ulicy Ogrodowej) i Żydowski (przy ulicy Brackiej), jako miejsca o szczególnej wartości dla kultury.

Poza obszarem objętym prestiżowym wyróżnieniem znajduje się wiele ważnych historycznych obiektów, wyjątkowych lub przeciętnych pod względem architektonicznym. Ten relatywnie duży obszar zabudowany został w oparciu o powszechny i prosty pomysł polegający na organizacji przestrzeni miasta za pomocą kamienic czynszowych. W zrozumieniu ich roli w kształtowaniu miasta pomagają takie publikacje, jak *Typologia łódzkiej kamienicy*. Autorzy książki – Michał Domińczak i Artur Zaguła, pracownicy naukowcy Instytutu Architektury i Urbanistyki Politechniki Łódzkiej – wskazują, że siłą kamienic jest to, że są różnorodne ze względu na rozwiązania przestrzenne, styl i dekoracje, ale wszystkie wpisują się w kanon pozwalający organizować miasto w ramach przejrzystego systemu. To pomaga w budowaniu wspólnoty i pozwala „intuicyjnie” tworzyć miejską przestrzeń. System

ten funkcjonuje do dziś bez problemów w setkach miast na całym świecie, dzięki temu, że może być z powodzeniem uzupełniany przez „współczesne kamienice”. Do poszukiwań Współczesnej Łódzkiej Kamienicy zachęceni są dziś młodzi architekci z całej Polski, poprzez organizowany przez Architekta Miasta Łodzi konkurs.

Przestrzeń naszego miasta wyróżnia także bogata i oryginalna architektura przemysłowa. Na początku bieżącego roku ukazał się numer „Kroniki Miasta Łodzi” (1 [77] 2017) poświęcony zjawisku adaptacji zabytkowych pofabrycznych obiektów do nowych funkcji. Opisana jest w nim waloryzacja architektury przemysłowej (do której przyczynił się m.in. konserwator Antoni Szram). Fabryki z czerwonej cegły stały się kolejnym symbolem Łodzi. Ta konsekwencja, a jednocześnie oryginalność historycznej architektury sprawia, że miasto zyskuje wyrazisty charakter. Na skutek zaniedbań, braku środków i już dawno niewspółmiernej do rzeczywistości reputacji „szarego miasta” często sami jego mieszkańcy nie dostrzegają tego potencjału. Na szczęście dzięki kolejnym przywracanom do życia obiektom jego świadomość staje się coraz większa.

Druga po Gdyni

By przekonać się, że kamienica nie musi istnieć wyłącznie w historycznym kostiumie, wystarczy uważnie rozejrzeć się po łódzkich ulicach i dostrzec eleganckie modernistyczne budynki wpasowane między eklektyczne fasady.





Do niedawna niewielu ludzi (poza specjalistami) zdawało sobie sprawę, że po Gdyni, modernistycznej „perle” odrodzonej Polski, Łódź była drugim najważniejszym ośrodkiem, w którym architektoniczny modernizm tak dobrze się zadomowił. Wybitną postacią tego nurtu był Wiesław Lisowski (1884–1954), który zaprojektował w Łodzi ponad 80 obiektów, w tym budynki mieszkalne, szpitale, kościoły, siedziby instytucji, budynek YMCA i sztandarową swoją realizację: Dom-Pomnik im. Marszałka

Józefa Piłsudskiego (obecnie Łódzki Dom Kultury). Osiągnięcia architekta opisane zostały m.in. przez Justynę Brodzką w monografii z serii *Architektura Miasta Łodzi* czy Joannę Olenderek w publikacji *Łódzki modernizm i inne nurty przedwojennego budownictwa*. Postać Lisowskiego przypominała też zlokalizowana w pobliżu YMCA klubokawiarnia Owoce i Warzywa – w formie wykładów i obchodów jego urodzin.

Drugim wpływowym przedstawicielem łódzkiego modernizmu był Józef Kaban-Korski (1886–1969). Urodził się w Krakowie, studiował w tamtejszej Wyższej Szkole Przemysłowej i Akademii Sztuk Pięknych, a do Łodzi przeniósł się ok. 1919 roku i tu przyszło mu rozpocząć prawdziwą karierę. Korski jest autorem m.in. Pałacu Biskupiego, gmachu łódzkiej centrali telefonicznej PAST (al. Kościuszki 12), Sądu Okręgowego czy Kościoła Matki Boskiej Zwycięskiej. Jego najważniejszy i największy obiekt – Teatr Wielki, zaprojektowany wraz z Witoldem Korskim i Romanem Szymborskim – zrealizowany został już po wojnie, w 1967 roku. Łódzki modernizm, który wykształcił się przed wojną, powstawał w związku z istniejącą zabudową i w jej kontekście. Architekci uzupełniali ją, a nie zastępowali nowym systemem, jak próbowali to uczynić ich następcy.

Łódź na przecięciu kilku wizji

Plany przebudowy ukształtowanego wraz z szybkim wzrostem układu Łodzi pojawiły się już po pierwszej wojnie światowej. Dziś unikalny i fascynujący, wówczas jednak uciążliwy w praktyce charakter miasta, w którym fabryki przeplatały się z budynkami mieszkalnymi, miał zostać zmieniony poprzez

organizację stref mieszkalnych i przemysłowych. Międzywojenne władze stanęły też przed szeregiem wyzwań związanych z zaniedbaniami carskiej administracji: koniecznością uregulowania sieci ulic, skanalizowania miasta, budowy licznych pilnie potrzebnych budynków użyteczności publicznej, w tym tak ważnych, jak szkoły czy szpitale. Plany te realizowano tylko częściowo ze względów ekonomicznych lub trudności wynikających ze złożonego układu własności gruntów. Już wówczas rozważano budowę nowego dworca Łódź Fabryczna i reprezentacyjnej dzielnicy wokół niego, a także prestiżowego gmachu teatralnego. Powstające Nowe Centrum było wizualizowane 90 lat temu, co pokazuje, jak bardzo dyskusja o architektonicznej przeszłości łączy się z teraźniejszością.

Niemal każda dekada i związany z nią moment historyczny XX wieku modyfikowały pomysł na przeobrażenie miasta. Okres drugiej wojny światowej w tej materii nie oznaczał dla Łodzi stagnacji. Wręcz odwrotnie. Przy pomocy drastycznych środków totalitarnego państwa planowano „uporządkować Łódź”. Proces ten obrazuje książka Tomasza Bolanowskiego *Architektura okupowanej Łodzi. Niemieckie plany przebudowy miasta*. Już w styczniu 1940 roku okupant prawie czterokrotnie powiększył administracyjne granice miasta, a w 1941 roku Berlin zapalił zielone światło do kompleksowej przebudowy. Niemcy odcisnęli w Łodzi ponury ślad w postaci



zniszczonej społeczności i infrastruktury Starego Miasta, gdzie zorganizowali Litzmannstadt Ghetto. Zostały po nich jednak także zwracające uwagę swoją odmiennością w porównaniu do przedwojennej łódzkiej architektury zespoły poniemieckich budynków na Helenowie, Stokach i na „Berlinku”, czyli osiedlu zlokalizowanym przy ulicach: Kalinowej, Morwowej, Osinowej i Ziołowej.

Po wojnie powstały pomysły na Łódź socrealistyczną, a potem wizje nowego pokolenia modernistów. Pomimo motywacji, jaka za nimi stała, czyli chęci uczynienia z Łodzi metropolii, dziś szokuje w nich chęć zerwania z przeszłością i totalnej przebudowy miasta z zachowaniem nielicznych tylko artefaktów dawnego jej kształtu. Żadnej z tych wizji nie zrealizowano, ale liczba pomysłów i planów na Łódź fascynuje. Można je obejrzeć w formie katalogu dzięki publikacji Błażeja Ciarkowskiego pt. *Łódź, która nie powstała*. Od przedwojennych projektów, poprzez monumentalne modernistyczne budynki użyteczności publicznej w PRL, aż do wizji ostatniej dekady, w których to w Łodzi mieli projektować najdrożsi architekci świata: Frank O. Gehry i Daniel Libeskind – taki przegląd rozpala wyobraźnię i – chciałoby się powiedzieć – o to chodzi.

Z których wizji możemy jeszcze skorzystać, a które pozostaną ciekawostkami? Co cieszy nas w architekturze i projektowaniu, które uznajemy za udane lub wybitne? Co nowa architektura może zaczerpnąć z lokalnej tradycji? Zastanawiając się zarówno nad centrum miasta, jak i nad blokowiskami z wielkiej płyty, warto znać stojące za ich powstaniem historie, pomysły i konteksty, po to aby weryfikować je w mądry sposób. Tak, aby nie popełniać błędów, a korzystać z dobrych praktyk poprzedników. Dlatego cieszy zwrot w kierunku poznawania i doceniania łódzkiej architektury. Pozwala on na lepsze zrozumienie potencjału, którym dysponujemy. Bez takiej głębszej i osadzonej w perspektywie czasowej refleksji trudno jest tworzyć współczesne miasto.

Błażej Filanowski

Bibliografia:

1. Bolanowski Tomasz, *Architektura okupowanej Łodzi. Niemieckie plany przebudowy miasta*, Księży Młyn Dom Wydawniczy, Łódź 2013.
2. Brodzka Justyna, *Architekci miasta Łodzi – Wiesław Lisowski*, Księży Młyn Dom Wydawniczy, Łódź 2008.
3. Ciarkowski Błażej, *Bolesław Kardaszewski. Architektura i Polityka*, Universitas, Kraków 2016.

4. Ciarkowski Błażej, *Łódź, która nie powstała*, Księży Młyn Dom Wydawniczy, Łódź 2016.
5. Domińczak Michał, Zaguła Artur, *Typologia Łódzkiej Kamienicy*, Biuro Architekta Miasta, Łódź 2016.
6. Kędzierski Dariusz, *Ulice Łodzi*, Księży Młyn Dom Wydawniczy, Łódź 2010.
7. Olenderek Joanna, *Łódzki modernizm i inne nurty przedwojennego budownictwa. Tom 1, Obiekty użyteczności publicznej*, Księży Młyn Dom Wydawniczy, Łódź 2011.
8. Olenderek Joanna, *Łódzki modernizm i inne nurty przedwojennego budownictwa. Tom 2, Osiedla i obiekty mieszkalne*, Księży Młyn Dom Wydawniczy, Łódź 2012.
9. Piotr Gryglewski, Agnieszka Ucińska, Robert Wróbel, *Łódzkie budynki 1945–1970*, Księży Młyn Dom Wydawniczy, Łódź 2016.
10. Stefański Krzysztof, *Atlas architektury dawnej Łodzi do 1939 roku*, Archidiecezjalne Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 2008.
11. Stefański Krzysztof, *Gmachy użyteczności publicznej dawnej Łodzi*, TONZ, Łódź 2000.
12. Stefański Krzysztof, *Ludzie, którzy zbudowali Łódź. Leksykon architektów i budowniczych miasta (do 1939 roku)*, Księży Młyn Dom Wydawniczy, Łódź 2009.

Nestlerowie – dzieje łódzkiej rodziny

Zasłużeni budowniczowie Łodzi

Szybkie tempo rozwoju Łodzi na przełomie XIX i XX wieku możliwe było dzięki szczęśliwemu splotowi wielu elementów. Z pewnością najważniejszym z nich był pomyślny rozwój gospodarczy. To pociągało za sobą duży przyrost ludności i gorączkowy ruch budowlany – powstawały budowle fabryczne, domy, świątynie, budynki użyteczności publicznej. Choć mówiąc o łódzkiej architekturze tego czasu, myślimy głównie o architektach, to pamiętać również trzeba o licznej grupie budowniczych, którzy brali na siebie zadanie wznoszenia różnego typu gmachów. O większości spośród nich niewiele wiemy, są jednak też tacy, których nazwiska powtarzają się często przy okazji realizacji licznych prestiżowych dla miasta obiektów. To z reguły właściciele dużych przedsiębiorstw, dysponujący potencjałem pozwalającym na podejmowanie większych przedsięwzięć. Wśród nich do najbardziej znaczących należeli Nestlerowie. Dzieje rodziny Nestlerów to historia Łodzi w okresie najbardziej dynamicznego rozwoju miasta – od połowy XIX wieku do końca lat międzywojennych. To historia wrastania w Łódź i jej budowania – w sensie jak najbardziej dosłownym – ale także tragicznego końca pewnej epoki, gdy dwa dwudziestowieczne totalitaryzmy, nazistowski i komunistyczny, zniszczyły to, co żmudnie tworzone przez ponad 100 lat.

Przybysz z Dolnego Śląska

Łódź XIX wieku była miejscem, gdzie przybywali ludzie z różnych stron, najczęściej osadnicy z ziem niemieckich i austriackich: z Dolnego Śląska, Saksonii, Czech. Warto podkreślić, że były to czasy, gdy to do Polski przyjeżdżano z Zachodu, by znaleźć tu pracę, możliwość zarobku i zbudowania sobie nowego życia. Do ludzi szukających w Łodzi swojego miejsca należał Robert Nestler. Rodzinne gniazdo Nestlerów (do początku XIX wieku piszących się Nessler) to Rachenau, obecnie Rychnów, leżący w polskich granicach

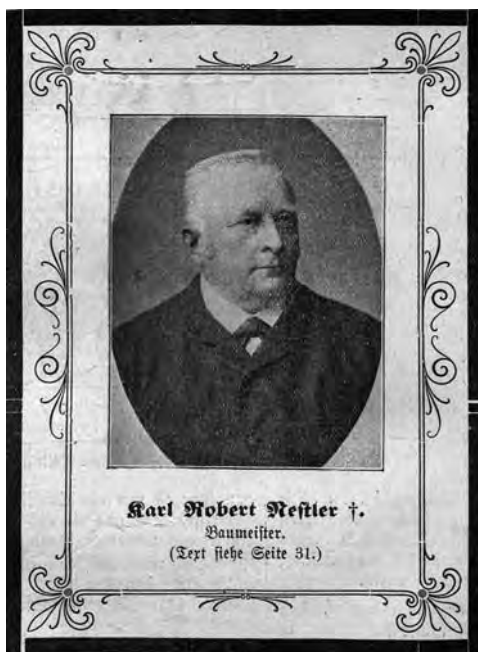
na Dolnym Śląsku, pomiędzy Zgorzelcem a Lubaniem¹. Miejscowość została współcześnie wchłonięta przez sąsiednie Sławnikowice². Rodzina legitymowała się szlacheckim pochodzeniem i własnym herbem, jednak zarówno dziadek, jak i ojciec Roberta, Karol August Nessler, trudnili się murarstwem (według dawnej nomenklatury: mularstwem)³.

W Rachenau urodził się w 1817 roku Karol Robert Nestler – pierwszego imienia z reguły nie używał. Fachu uczył się zapewne u boku ojca, był jednak „niespokojnym duchem” i w poszukiwaniu swojej szansy wyjechał za ocean, do Stanów Zjednoczonych. Tam

nie znalazł chyba szczęścia, po kilku latach bowiem powrócił do ojczyzny i rozpoczął pracę jako majster budowlany, kontynuując rodzinne tradycje. Wiadomo, że w latach 40. XIX wieku mieszkał i pracował w Görlitz, tam się ożenił, miał dzieci. Jednak po kilkunastu latach ponownie ruszył w drogę – tym razem do Łodzi. Przybył tu w 1859 roku jako dojrzały, 42-letni człowiek z dużym zawodowym doświadczeniem⁴. Otrzymał w użytkowanie posesję nr 1337 przy ul. Przejazd, na rogu Widzewskiej (obecnie ulica J. Tuwima 20 i H. Sienkiewicza 36). W Księgach Ludności Stałej został zapisany jako „właściciel domu, architekt”⁵. Nestler przyjechał tutaj z drugą żoną i córkami, a w Łodzi osiadł również jego znacznie młodszy krewny, przypuszczalnie brat stryjeczny, Wilhelm (ur. 1832 r.), określany jako technik lub architekt. Umiejętności i doświadczenie obu Nestlerów sprawiły, że władze miasta powierzyły im realizację prestiżowej inwestycji, jaką była budowa pierwszego murowanego kościoła katolickiego w mieście, który pierwotnie miał za patrona otrzymać św. Jakuba, a ostatecznie nadano mu wezwanie Podwyższenia Świętego Krzyża.

Wzniesli kościół Podwyższenia Świętego Krzyża

Inwestycja według projektu warszawskiego architekta Franciszka Tournelle'a ruszyła latem 1860 roku. Karol Nestler prowadził prace murarskie, a jego krewniak sprawował nadzór techniczny. Niestety, realizacja nie przebiegała



pomyślnie z powodu braku funduszy. Już w 1861 roku dał się w Łodzi odczuć kryzys określany mianem „głodu bawełnianego”, wywołany wojną secesyjną w Stanach Zjednoczonych. Budowę kościoła przerwano w październiku 1862 roku i w następnym roku już jej nie podjęto. Łącznie w ciągu trzech lat Robert Nestler pracował przy kościele zaledwie 240 dni, wykonując prace wartości 7623 rubli, za co otrzymał honorarium wysokości 1838 rubli, a jego kuzyn 240 rubli. Pierwsza poważna inwestycja podjęta przez Nestlerów nie okazała się udanym przedsięwzięciem.

Budowa kościoła została wstrzymana na wiele lat, na efekty kryzysu bawełnianego nałożył się bowiem wybuch powstania styczniowego. Łódzki ksiądz proboszcz Wojciech Jakubowski za wspieranie powstańców został przez Rosjan aresztowany i zesłany na Sybir. W tej sytuacji na kontynuację prac przez wiele lat nie było szans. Robert Nestler zaangażował się w działalność społeczną, stojąc w latach 1864–1868 na czele łódzkiego cechu murarzy⁶.

Prace przy kościele wznowiono dopiero na początku następnej dekady i trwały one do początku lat 80. Ponownie powierzono je Robertowi Nestlerowi, choć nadzór na budowę sprawował już wówczas łódzki architekt miejski Hilary Majewski. W 1880 roku ukończono kościelną wieżę, umieszczając w kuli, u podstawy wieńczącego krzyża, dokument pamiątkowy, w którym wymieniono Karola Nestlera jako prowadzącego „roboty mularskie”⁷. Pełne ukończenie świątyni i jej konsekracja nastąpiły w 1888 roku. Nowy kościół, wzniesiony w stylu neoromańskim, stanął w centrum miasta u zbiegu obecnych ulic J. Tuwima i H. Sienkiewicza i należy do najciekawszych akcentów architektonicznych Łodzi.

Rodzinne wrastanie w Łódź

W tym czasie istotnie zmieniła się sytuacja rodzinna Roberta Nestlera. Jak wyżej wspomniano, Nestler przybył do Łodzi z drugą żoną – urodzoną w 1825 roku w Görlitz Augustą z domu Günzel – i trzema córkami. Najstarsza z nich, Julianna Maria, pochodziła z pierwszego małżeństwa, z Julianną z domu Gock. Dwie kolejne: Anna Maria i Anna Helena, to już córki Augusty. Wszystkie urodziły się w Görlitz. Najmłodsza z nich, Anna Helena, urodzona w 1849 roku, poślubiła w 1869 roku Ludwika Anstadta, syna Karola Gottloba, twórcy największego w Łodzi browaru. Już w Łodzi w 1863 roku urodziła się kolejna córka Nestlerów, Anna Augusta.

Augusta Nestler zmarła w 1868 roku. Robert, odczekawszy stosowny czas, poślubił w 1870 roku Emilię Kuck, urodzoną w 1850 roku – a więc młodszą o 33 lata! W 1871 roku przyszedł na świat syn, któremu nadano imiona, jakie nosił ojciec: Karol Robert, trzy lata później kolejny syn:

Karol Gustaw. Tak więc po czterech córkach z dwóch pierwszych małżeństw Nestler doczekał się następców. A w 1880 roku urodziła się kolejna córka: Lidia Jadwiga⁸.

W ciągu lat 80. Nestler począł skupować obszary położone w zachodniej części miasta, na terenie wytyczanej w tym okresie tzw. Dzielnicy Wiązowej, wzdłuż ulicy Podleśnej (obecna M. Skłodowskiej-Curie) i poprowadzonej poprzecznie do niej ul. Łąkowej. Pierwotnie należąca do niego posesja nr 1337 nie stwarzała bowiem warunków do rozszerzenia działalności gospodarczej. Na nowo nabytym gruncie w 1892 roku wytyczono działkę przy ul. Łąkowej 13, oznaczoną numerem hipotecznym 813x. Posesja ta ciągnęła się od ul. Łąkowej w kierunku zachodnim aż do lasu miejskiego, a w późniejszym czasie do wytyczanej tam linii kolejowej Łódź-Kaliskiej. Na działce tej, w niedużej odległości od Łąkowej, Nestler wystawił swój nowy dom.

Budynek ten stoi do dzisiaj i niekiedy określany jest jako willa. Jest to parterowy dom nakryty wysokim dwuspadowym dachem, wzbogacony frontowym piętrowym ryzalitem. Obiekt wyróżnia się bogatą neorenesansową dekoracją, a w szczycie ryzalitu, pośród akantowej dekoracji, umieszczono monogram: RN. Rozbudowany został na początku XX wieku o część południową. W głębi długiej posesji znalazło się miejsce na gromadzenie materiałów budowlanych. Wjazd do tylnej części posesji prowadził od strony ul. Karolewskiej. Do Nestlera należały także tereny po wschodniej stronie ul. Łąkowej, ciągnące się wzdłuż ul. Podleśnej.



Pozostając przy kwestiach rodzinnych, przypomnieć trzeba jeszcze krewnego Roberta, Wilhelma Nestlera, który w 1866 roku, po śmierci w 1863 roku pierwszej żony, Marii z Sadowskich, ożenił się z Rozalią z domu Anders i miał z nią dwójkę dzieci. W latach 1873–1878 pełnił zaszczytną funkcję starszego cechu murarzy⁹.

„Ekumeniczny” budowniczy

Lata 80. XIX wieku były okresem przełomowym w dziejach łódzkiej architektury. Miasto szybko zmieniało się z osady fabrycznej w duży przemysłowy ośrodek. Był to znakomity okres dla firm budowlanych, a najważniejszą z nich było w tym czasie przedsiębiorstwo Roberta Nestlera. Wyspecjalizował się on w budowie prestiżowych obiektów sakralnych mających w krajobrazie miasta szczególne znaczenie. To, że powierzano je Nestlerowi, świadczy o uznaniu, jakim się cieszył. Na początku lat 80. XIX wieku, po ukończeniu kościoła katolickiego, buduje trzy nowe świątynie różnych wyznań. Jest więc budowniczym iście „ekumenicznym”, znakomicie wpisującym się w stosunki panujące w wielonarodowościowym i wielowyznaniowym mieście. W latach 1880–1884 jego przedsiębiorstwo wznosi kościół ewangelicki św. Jana Ewangelisty (obecny kościół ojców jezuitów przy ul. H. Sienkiewicza 60) i prawosławną cerkiew św. Aleksandra Newskiego, a obok tego mniejszy dom modlitwy baptystów przy ul. Nawrot, ukończony w 1882 roku.



Pierwsza z tych budowli była prawdziwym wyzwaniem. Jej projekt wykonał przybyły z Berlina architekt Louis Schreiber, stosując formy neoromańskie, wzorowane na modnych w tym czasie w stolicy Niemiec roz-

wiązaniach. A popularnością cieszyło się tam stosowanie ceglanych, nietynkowanych elewacji, co zainicjował mistrz berlińskiej architektury Karl Friedrich Schinkel. Tego rodzaju stylistykę, zwaną z niemiecka „Rohbau”, wprowadzono w łódzkim kościele. Nietynkowane elewacje wymagały zastosowania lepszej gatunkowo cegły licówki oraz bardzo precyzyjnego wykonania. Tutaj niczego nie dało się ukryć pod warstwą tynku, jak w innych budowlach. Styl „Rohbau” został również zastosowany w domu modlitwy baptystów, zaprojektowanym przez przybyłego z Warszawy architekta Edwarda Creuzburga.

Z kolei cerkiew prawosławna stawiała innego rodzaju wyzwania. Wprowadzone przez projektanta Hilarego Majewskiego rozwiązania nawiązywały do form architektury bizantyjskiej – z zastosowaniem dekoracyjnych kopuł. Wschodnie motywy były z pewnością nowością dla łódzkiego budowniczego, a konstrukcja kopuł wymagała wiedzy i doświadczenia¹⁰.

Obie budowle stały się ozdobą ówczesnej Łodzi i poświadczyły rolę Roberta Nestlera. Trzeba dodać, że pojawił się w tym czasie w Łodzi poważny konkurent – przybyły tu z Wrocławia na zaproszenie fabrykanta Juliusza Heinzla budowniczy, majster murarski i ciesielski, Otto Gehlig. Mając wsparcie swojego zamożnego promotora, którego córkę wkrótce poślubił, dynamicznie rozwinął działalność, zajmując się także projektowaniem, choć nie miał odpowiedniego wykształcenia i uprawnień. Innym budowniczym, który zaznaczył swoją obecność w tym czasie, był Jan (Johann) Steck, któremu powierzono prace przy nowej synagodze, powstałej w latach 1881–1887 na rogu ul. Zielonej i Spacerowej¹¹.

Duży ruch budowlany, rosnąca konkurencja, a także świadomość zaawansowanego wieku skłoniły Roberta Nestlera do istotnej decyzji. W 1889 roku wszedł on w spółkę ze znacznie młodszym budowniczym Henrykiem Ferrenbachem, który przybył do Łodzi dwa lata wcześniej. Przypomnijmy, że Nestler dobiegał w tym czasie osiemdziesiątki, a Ferrenbach był od niego ponad 30 lat młodszy. Od tego czasu na łódzkim rynku pojawia się firma „Nestler i Ferrenbach”, której siedziba mieściła się przy ul. Podleśnej 17, na posesji wykrojonej z obszernej posiadłości Nestlera¹². Niezależnie od tego Nestler prowadził odrębną działalność gospodarczą związaną ze stolarnią oraz handlem materiałami budowlanymi i drewnem. Stolarnia i magazyny mieściły się na posesji nr 813, położonej naprzeciw domu przy ul. Łąkowej 13, pomiędzy ulicami Łąkową, Podleśną i Łuży (obecna 28 Pułku Strzelców Kaniowskich).

Firma w rękach synów

Na przełomie XIX i XX wieku Robert Nestler ojciec wycofał się z aktywnej działalności, a jego miejsce zajął Robert Nestler syn (pierwszego imienia,

podobnie jak ojciec, nie używał), który w 1896 roku zdał egzamin na mistrza murarskiego i stał się pełnoprawnym wspólnikiem Ferrenbacha¹³. Wkrótce, w 1899 roku, ożenił się z Martą z Zieglerów (ur. 1878), córką szanowanego łódzkiego kupca Rudolfa Zieglera. Tego rodzaju związki między przedstawicielami znanych łódzkich rodzin były częste. W 1904 roku z kolei egzamin na mistrza ciesielskiego zdał młodszy z braci, Gustaw Nestler, włączając się aktywnie w działalność przedsiębiorstwa.

Firma „Nestler i Ferrenbach” działała z powodzeniem, ciesząc się podobnym prestiżem, jak wcześniej przedsiębiorstwo Roberta Nestlera ojca. Do najciekawszych realizacji z końca XIX wieku, jakich się podjęła, należała budowa w Łodzi kolejnej cerkwi – garnizonowej, pod wezwaniem św. Aleksego, powstałej w latach 1894–1896 według planów budowniczego miejskiego Franciszka Chełmińskiego. Architektura budowli znacznie różniła się od form wcześniejszej cerkwi św. Aleksandra Newskiego. Chełmiński zastosował w niej motywy modnego wówczas w Rosji stylu „ruskiego”, z zastosowaniem ceglanych, nietynkowanych elewacji i bogatego detalu. Fasadę wieńczyły cebulaste hełmy. Obecnie jest to kościół garnizonowy przy ul. św. Jerzego, pozbawiony wszakże po pierwszej wojnie światowej charakterystycznego elementu, jaki tworzyły hełmy w partii frontowej.

Szkoły, szpitale, kościoły

Okresem intensywnej działalności jest początek XX wieku. W 1901 roku firma „Nestler i Ferrenbach” otrzymuje prestiżowe zlecenie na budowę gmachu Łódzkiej Szkoły Przemysłowo-Rzemieślniczej, nowej siedziby zasłużonej szkoły technicznej, która mieściła się wcześniej w ciasnym budynku przy Nowym Rynku (obecnie plac Wolności). Duży gmach o uproszczonych formach neorenesansowych, z elewacjami z jasnożółtej cegły stanął przy obecnej ul. Żeromskiego na skraju parku miejskiego (obecny park Poniatowskiego) i należał do najbardziej reprezentacyjnych budowli miasta. Następnym dużym przedsięwzięciem firmy „Nestler i Ferrenbach” był realizacja szpitala dziecięcego Anny Marii fundacji Matyldy i Edwarda Herbstów, wzniesionym w latach 1902–1905 według projektu Pawła Riebensaahma. Był to największy i najnowocześniejszy wówczas szpital dziecięcy na ziemiach polskich. Zastosowano w nim system niskich piętrowych pawilonów o ceglanych elewacjach, z użyciem uproszczonych form neogotyckich.

Nadal kontynuowane były tradycje budowania obiektów sakralnych. W 1902 roku „Nestler i Ferrenbach” rozpoczynają budowę kościoła katolickiego pw. św. Wojciecha w Chojnach Starych (obecnie w granicach Łodzi). Dużej skali neogotycka świątynia o ceglanych elewacjach została zaprojektowana przez jednego z najsłynniejszych polskich architektów, Józefa



Dziekońskiego z Warszawy. Jej realizacja przeciągnęła się w czasie i kończono ją dopiero w latach międzywojennych. Nieco później, w latach 1904–1905 firma buduje następną katolicką świątynię – niewielki neoromański, także ceglany, kościół św. Anny na Zarzewie, fundacji Matyldy i Edwarda Herbstów¹⁴.

Firma podejmowała także drobniejsze zlecenia. W 1903 roku przebudowywała pomieszczenia Grand Hotelu na kawiarnię Bristol według planów znanego łódzkiego architekta Gustawa Landau-Gutentegera¹⁵. W tym samym roku Nestler i Ferrenbach zaprezentowali swoje prace na Wystawie Artystów Łódzkich – na oddziale architektonicznym. Jak informowała prasa, przedstawili tam „malowane szkice”¹⁶. W listopadzie 1901 roku Nestler – prawdopodobnie chodziło tu o Roberta seniora – wszedł w skład Komitetu Budowy nowego kościoła ewangelicko-augsburskiego w Łodzi (późniejszy kościół pw. św. Mateusza).

Wkrótce przyszedł trudny okres. Już pod koniec 1904 roku dał o sobie znać zastój wywołany wojną rosyjsko-japońską. W 1905 roku wybuchają w Łodzi niepokoje społeczne i polityczne określane jako Rewolucja 1905 roku. Stają fabryki, większość zamożnych przedsiębiorców wyjeżdża. Ruch budowlany zamiera niemal całkowicie na blisko trzy lata. Na to nałożyła się śmierć Roberta Nestlera ojca, który umiera 15 stycznia 1905 roku w wieku 88 lat. W pośmiertnym wspomnieniu podkreślono, że w ciągu swojej długiej działalności wzbogacił Łódź wieloma wspaniałymi budowlami¹⁷. Robert



Nestler pochowany został na Starym Cmentarzu Ewangelicko-Augsburskim przy ul. Ogrodowej, a miejsce jego pochówku ozdobił okazały nagrobek o interesującej formie. Masywna bryła z różowego piaskowca i granitu ma kształt wywodzący się z antycznej aedikuli, poddany wszakże modernistycznej interpretacji. Umieszczony w centrum napis głosi: „Ruhestätte der Familie Robert Nestler”¹⁸.

W życiu dramatyczne wydarzenia przeplatają się często z radosnymi. Tak było w dziejach Nestlerów. Jeszcze w tym samym roku, w którym zmarł Robert Nestler ojciec, w listopadzie 1905 roku odbył się ślub jego młodszego syna, Gustawa, z ... młodszą z sióstr

Zieglerówien, Olgą Elizą (ur. 1881). Dodać przy tym warto, że ich bratem był Oskar Ziegler, który nieco później wybudował dla siebie willę na posesji na rogu obecnych ulic S. Żeromskiego i M. Skłodowskiej-Curie, będącej wcześniej własnością Roberta Nestlera ojca.

Mimo trudnej sytuacji w łódzkim budownictwie firma „Nestler i Ferrenbach” realizuje kolejne zlecenie, budując w latach 1904–1907 szpital ewangelicki Diakonisi przy ul. Północnej. I ten obiekt prezentuje chętnie podejmowane przez nich ceglane formy o charakterze neogotyckim. Zastój w łódzkim budownictwie został przełamany na przełomie 1907/1908 i miasto weszło w nową fazę pomyślnego rozwoju. Chcąc nadrobić powstałe zaległości, budowano dużo, wzbogacając Łódź o liczne gmachy użyteczności publicznej, których wcześniej brakowało. Rozpoczął się także kolejny okres intensywnej działalności firmy „Nestler i Ferrenbach”. Łączyło się to z następnym ważnym momentem – Henryk Ferrenbach podjął decyzję o zakończeniu działalności zawodowej i przypuszczalnie wyjechał z Łodzi. Jedynym właścicielem przedsiębiorstwa został Robert Nestler syn, który wypłacił Ferrenbachowi 20 tys. rubli jako wartość jego udziałów. Choć firma zachowała nazwę „Nestler i Ferrenbach”, stała się rodzinnym przedsięwzięciem Nestlerów.

Do najważniejszych przedsięwzięć firmy w tym okresie należała budowa Niemieckiego Gimnazjum Reformowanego (Gimnazjum Realnego Męskiego). Efektem wydarzeń Rewolucji 1905 roku był carski Manifest październikowy, który przyznawał obywatelom cesarstwa rosyjskiego większe prawa obywatelskie. Pozwalało to m.in. na tworzenie przez Polaków szkół z językiem ojczystym. Skorzystali na tym także łódzcy Niemcy, którzy utworzyli Gimnazjum Męskie z niemieckim językiem wykładowym. Projekt wykonał berliński architekt Otto Herrnring, a budowę powierzono firmie „Nestler i Ferrenbach”. Wzniesiony w latach 1909–1910 przy ul. Nowo-Spacerowej (obecnie al. T. Kościuszki) gmach należał do najbardziej efektownych w mieście i miał istotne znaczenie dla łódzkiej architektury ze względu na wprowadzenie żelbetowych stropów. Tym samym przedsiębiorstwo „Nestler i Ferrenbach”, wcześniej kojarzone z gmachami o ceglanej formie, znalazło się w gronie pionierów techniki żelbetowej na łódzkim gruncie. Inna ciekawa realizacja z ostatnich lat przed pierwszą wojną światową to budowa w latach 1912–1913 ochronki dla dzieci pracowników zakładów Scheiblerowskich przy obecnej ul. Targowej 65 według projektu wrocławskiego architekta Hansa Schlichta, fundacji Anny Scheibler. Narożny budynek otrzymał ciekawą formę, z ceglаныmi elewacjami, i w latach międzywojennych mieścił dyrekcję zakładów „Scheibler i Grohman”. Krótko później firma wzniosła obok szkołę fundacji Anny Scheibler, przypuszczalnie również projektu Schlichta, obecnie w użytkowaniu łódzkiej Filmówki. O autorytecie, jakim cieszyli się tym czasie bracia Nestlerowie, świadczy fakt, że gdy w 1910 roku doszło do katastrofy budowlanej przy realizacji pałacu Roberta Steinerta (później Roberta Schweikerta) przy ul. Piotrkowskiej, zostali oni wezwani jako rzeczoznawcy w toczonym śledztwie – Robert jako mistrz murarski, Gustaw jako mistrz ciesielski.

Rozwój i rodzinna koniunktura

Wraz z upływem lat rodzina Nestlerów powiększała się. Robertowi urodził się w 1903 roku syn Jan Robert, a w 1908 córka Małgorzata. W tymże samym roku przychodzi na świat syn Gustawa – Karol Heinz (Henryk). Później, przypuszczalnie już po pierwszej wojnie światowej, urodziła się córka, Urszula. Stary dom Nestlerów, w którym mieszkała wdowa Emilia Nestler, zrobił się za ciasny. Dobra koniunktura i płynące stąd zyski pozwoliły na budowę nowego domu – willi, która stanęła obok, przy północnej granicy działki, przylegając jedną ze ścian do sąsiedniej zabudowy. Koszt budowy wyniósł 50 tys. rubli.

Piętrowy obiekt prezentuje formy łączące rozwiązania wczesnomodernistyczne i późnosecesyjne. Odznacza się urozmaiconą, rozcłonkowaną bryłą z wysokimi dachami. W elewacji południowej ryzalit wejściowy dekorowany jest fryzem z motywami roślinnymi w duchu secesji

oraz umieszczonymi na tarczach herbowych symbolami sztuki murarskiej. Od zachodu była niegdyś weranda, obecnie zabudowana, wychodząca na ogród. Willa otrzymała wnętrza o bogatym wystroju, z obszernym hallem ze schodami na piętro. Na parterze zachowały się salony o zróżnicowanym wystroju: od wschodu pokój stołowy o formach neoklasycznych z marmurowym kominkiem, od zachodu sypialnia ze sztukateriami o motywach secesyjnych. W pomieszczeniach gospodarczych znajdują się wbudowane kredensy i szafy, a w łazience zachowała się glazura ze stylizowanymi w duchu secesji motywami ptaków. W domu tym Nestlerowie spędzili kolejne kilkadziesiąt lat.

Nestlerowie w niepodległej Polsce

„Złoty okres” łódzkiego budownictwa zakończył się w sierpniu 1914 roku, wraz z wybuchem pierwszej wojny światowej. Rozpoczęły się trudne dla miasta lata. Stanęły fabryki, zamarł niemal całkowicie ruch budowlany. Wojna dotknęła rodzinę Nestlerów także osobiście. Adnotacja w kartotece ludności Łodzi informuje, że w marcu 1918 roku powrócił z rosyjskiej niewoli Robert¹⁹ – może to świadczyć, że wcielony do niemieckiej armii trafił do rosyjskiej niewoli albo że był przez Rosjan internowany i wywieziony w głąb kraju.

Zakończenie wojny i odzyskanie przez Polskę niepodległości w 1918 roku nie poprawiło od razu sytuacji. Dawne firmy budowlane z trudem

odbudowywały swoją pozycję. W 1919 roku, w nowych warunkach politycznych i gospodarczych niepodległej Polski, firma „Nestler i Ferrenbach” została ponownie zarejestrowana i odnotowana w pierwszym powojennym łódzkim kalendarzu z 1920 roku pod adresem: ul. Karolewska 41, a jako właściciele wymienieni został bracia Gustaw i Robert Nestlerowie. W 1928 roku, po wprowadzeniu nowych przepisów dotyczących działalności gospodarczej, wydano karty rzemieślnicze Robertowi, jako mistrzowi murarskiemu (nr 177), i Gustawowi, jako mistrzowi ciesielskiemu (nr 176),



Porucznik Karol Heinz (Henryk) Nestler w trakcie służby wojskowej, ok. 1928, fot. archiwalna ze zbiorów rodziny

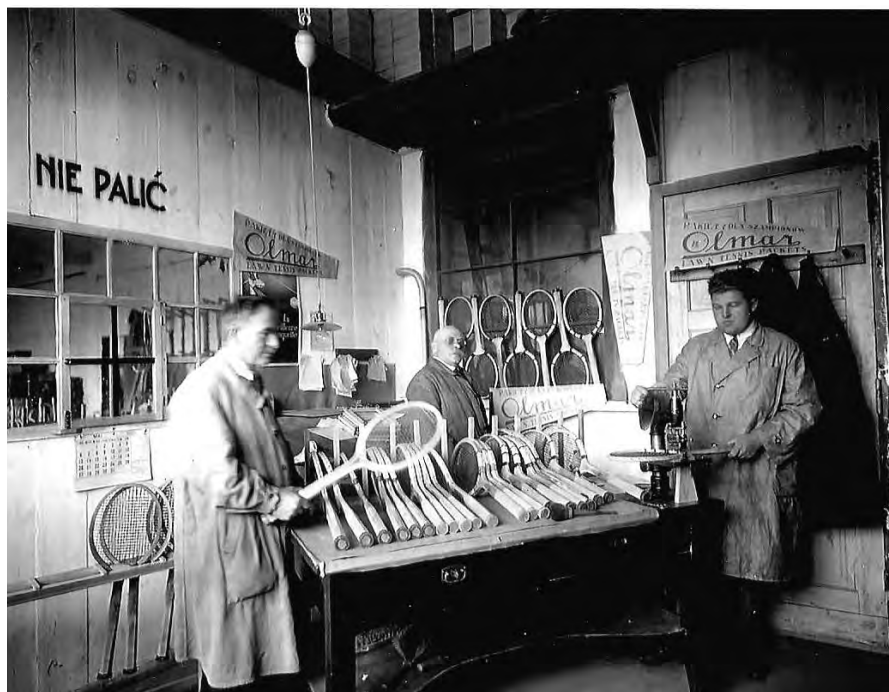
oraz zarejestrowano „Przedsiębiorstwo Budowlane »Nestler i Ferrenbach«, właściciel Robert Nestler”. Gustaw został prokurentem firmy, mającym prawo występować i podpisywać dokumenty w jej imieniu.

Na początku lat 20. ruch budowlany w mieście powoli odżywał. Jednym z największych przedsięwzięć podjętych przez władze Łodzi była realizacja nowych szkół. Rozpoczęto wznoszenie kilku dużych gmachów, projektowanych w większości przez architekta miejskiego Wiesława Lisowskiego. Prace wykończeniowe przy szkole przy ul. Konstantynowskiej 27 (obecnie Szkolne Schronisko Młodzieżowe przy ul. Legionów 27) prowadziło w 1923 roku przedsiębiorstwo „Nestler i Ferrenbach”. Sytuacja na rynku budowlanym poprawiała się systematycznie w drugiej połowie dekady. Robert Nestler wszedł wówczas w skład zarządu powstałego w 1920 roku Stowarzyszenia Zawodowego Przemysłowców Budowlanych. Znalazł się wśród członków delegacji, która odwiedziła łódzkiego wojewodę Władysława Jaszczółta, przedstawiając mu swoje postulaty w kwestii normalizacji ruchu budowlanego, wprowadzenia stałych cen, co przyczynić się miało do rozwoju miasta²⁰.

Ta pomyślna sytuacja uległa gwałtownemu załamaniu wskutek światowego kryzysu 1929 roku, który zdecydowanie negatywnie odbił się na polskiej gospodarce i spowodował zahamowanie ruchu budowlanego. W tym trudnym okresie firma otrzymała jednak interesujące zlecenie dotyczące przebudowy pałacyku Anny i Jakuba Hertzów (córka i zięć Izraela Poznańskiego), znajdującego się w centrum miasta, przy al. Tadeusza Kościuszki 4. W 1930 roku pałac kupiła łódzka Izba Przemysłowo-Handlowa i postanowiła dokonać jego modernizacji według planów warszawskiego architekta Mariana Lalewicza. Zadanie powierzono firmie „Nestler i Ferrenbach”. Prace obejmowały przebudowę fasady oraz istotne przekształcenie wnętrza. Obiekt ten mieści obecnie rektorat Uniwersytetu Medycznego.

Willi wielorodzinna

W tym samym czasie bracia Nestlerowie podejmują innego rodzaju przedsięwzięcie – rozbudowę swojej willi. Plan wykonał w 1929 roku architekt miejski Łodzi Wiesław Lisowski. Od strony południowo-zachodniej dostawiono nowe dwupiętrowe skrzydło mieszczące klatkę schodową, kuchnię i pomieszczenia gospodarcze. Dzięki temu w willi powstały dwa całkowicie odrębne obszerne mieszkania. A rodzina w tym czasie rozrosła się. Wykaz z 1930 roku zawarty w aktach towarzystwa Kredytowego wymienia: zajmującego pięć pokoi Roberta, zajmującego sześć pokoi Gustawa – zamieszkałych w willi, ich matkę Emilię, zajmującą trzy pokoje, zapewne w starym domu (która wkrótce, w 1930 roku, zmarła) oraz dzieci Roberta: Jana (Hansa) Roberta, zajmują-



cego cztery pokoje (być może na drugim piętrze willi) i córkę Małgorzatę z mężem Eugeniuszem Kühnelem, zajmujących cztery pokoje (przypuszczalnie w starym domu)²¹.

Dokumenty informują, że w głębi posesji Nestlerów znalazły się również korty tenisowe. W tym też czasie syn Gustawa, Heinz (Henryk), uruchomił wytwórnię rakiet tenisowych OLMAR. Nie dziwi to, gdy weźmiemy pod uwagę, że Gustaw Nestler był wszak mistrzem ciesielskim, więc jego syn miał od najmłodszych lat do czynienia z drewnem – a rakiety kleiło się wówczas z tego materiału. Rakiety OLMAR cieszyły się w latach 30. dużą popularnością. Świadczą o tym reklamy w przedwojennych pismach sportowych, informujące, że grają nimi najlepsi polscy tenisisci.

Ruch budowlany w Łodzi odżył po dłuższej przerwie w połowie lat 30. XX wieku. W centrum miasta wyrastają dziesiątki kamienic o modernistycznym charakterze. Firma Nestlerów realizuje w latach 1935–1936 kamienicę przy ul. Piotrkowskiej 224/226, należącą do małżonków Monitz, według projektu architektów Pawła Lewego i Henryka Lewinsona. Jest to duży obiekt, założony na dwóch działkach, o trzech piętrach, tynkowany, o modernistycznej, prostej formie. W 1934 roku przedsiębiorstwo prowadzi prace przy przebudowie dawnego pałacu Izraela Poznańskiego, mieszczącego w tym czasie Urząd Wojewódzki, co łączy się z likwidacją oranżerii.

Tragiczny koniec

Firma działała prężnie, choć z natury rzeczy, z powodu wieku, bracia Nestlerowie powoli wycofywali się z aktywnej działalności, a ich miejsce zajmowało kolejne pokolenie. W 1937 roku współnikiem w firmie zostaje Jan (Hans) Nestler, syn Roberta, i w nazwie przedsiębiorstwa pojawia się dopisek „i S-ka”. Mieszkał on wówczas już we własnym domu na Julianowie, przy ul. Akacjowej.

Życie Nestlerów było wypełnione pracą; było to życie dostatnie, upływające w rodzinnym gronie. Wszystko to przerwała druga wojna światowa i niemiecka okupacja. Zniszczona została budowana przez ponad sto lat wielokulturowa społeczność Łodzi, której częścią tworzyła luterkańska, o niemieckich korzeniach, rodzina Nestlerów, wrosnięta w tę społeczność od dziesięcioleci. W czasie wojny zginął syn Roberta, Jan (Hans), zmarła też jego córka, Małgorzata.

Przyszedł rok 1945. W styczniu wkroczyła do Łodzi Armia Czerwona. Większość ludności pochodzenia niemieckiego przezornie opuściła miasto. Nestlerowie pozostali, czując się związani z miastem i społecznością polską. Skończyło się to jednak tragicznie. W bliżej nieznanych okolicznościach bracia Nestlerowie zostali zamordowani przez rosyjskich żołnierzy – Gustaw 25 stycznia, Robert dzień później²². Świat Nestlerów się zawalił. Pozostała rodzina uciekła z Łodzi, ale nie chciała opuścić Polski. Osiedli zrazu w Górze, mieście na północnym skraju Dolnego Śląska, na pograniczu z Wielkopolską, a następnie przenieśli się do Wrocławia. Tam zmarł w 1986 roku syn Gustawa, Karol Heinz (Henryk) Nestler, i niewiele później jego żona, Marianna z domu Rechcińska, oboje urodzeni w Łodzi.

Obecnie ich potomkowie żyją w Polsce, Niemczech i Luksemburgu. W Łodzi pozostały wzniesione przez Nestlerów budowle, które codziennie mijamy, pozostała piękna willa przy ul. Łąkowej 13, mieszcząca dziś przedszkole. Warto przywrócić także pamięć o ich znaczącym wkładzie w budowę przemysłowego miasta, które przez sto lat było ich jedyną ojczyzną.

Krzysztof Stefański
– historyk sztuki, prof. dr hab.,
Katedra Historii Sztuki UŁ

Przypisy:

- ¹ W dotychczasowych publikacjach jako miejsce urodzenia Roberta Nestlera podawano Rachenau koło Löbau; źródłem tej informacji jest wspomnienie pośmiertne zamieszczone w „Handels- und Industrieblatt Neue Lodzer Zeitung. Illustrierte Sonntags-Beilage” 1905, nr 4, s. 31. Był to błąd wynikający z przekręcenia nazwy miejscowości, którą podano jako Labau, chodziło zaś o Rachenau koło Lauban (obecny Lubań).
- ² *Ortsnamenverzeichnis der Ortschaften jenseits von Oder und Neisse*, Leer 1988, s. 131.
- ³ Według danych w posiadaniu rodziny, udostępnionych przez Panią Magdalenę Dziewiszek, prawnuczkę Karola Gustawa Nestlera, której niniejszym składam serdeczne podziękowania za przekazane informacje i fotografie.
- ⁴ *Zu unseren Bildern. Karl Robert Nestler* [wspomnienie pośmiertne] „Handels- und Industrieblatt Neue Lodzer Zeitung. Illustrierte Sonntags-Beilage” 1905, nr 4, s. 31.
- ⁵ Archiwum Państwowe w Łodzi [dalej: APŁ], Akta miasta Łodzi, Księgi Ludności Stałej, sygn. 9913, k. 491–492.
- ⁶ Eugeniusz Dębowski, *Cech murarzy w Łodzi (1841–1936)*, Łódź 1937, s. 21.
- ⁷ Zob. K. Stefański, *Architektura sakralna Łodzi w okresie przemysłowego rozwoju miasta 1821–1914*, Łódź 1995, s. 160–161 (Aneks nr 4).
- ⁸ APŁ, Akta stanu cywilnego Parafii Ewangelicko-Augsburskiej św. Trójcy w Łodzi.
- ⁹ E. Dębowski, dz. cyt., s. 11, 21 nn.
- ¹⁰ K. Stefański, *Architektura sakralna...*, dz. cyt., s. 55–61, 106–112, 120–122.
- ¹¹ K. Stefański, *Ludzie, którzy zbudowali Łódź. Leksykon architektów i budowniczych miasta (do 1939 r.)*, Łódź 2009, s. 59–62, 161–162.
- ¹² Jacek Strzałkowski, *Architekci i budowniczowie w Łodzi do 1944 r.*, Łódź 1997, s. 105–106.
- ¹³ E. Dębowski, dz. cyt., s. 90.
- ¹⁴ Kościół w Zarzewie, „Rozwój” 1905, nr 273, s. 2.
- ¹⁵ Kronika, „Rozwój” 1903, nr 100, s. 2.
- ¹⁶ W.Cz. [Wiktor Czajewski], Wystawa artystów łódzkich. Oddział architektoniczny, „Rozwój” 1903, nr 106, s. 5.
- ¹⁷ *Zu unseren Bildern*, dz. cyt.
- ¹⁸ K. Stefański, *Stary Cmentarz Ewangelicko-Augsburski w Łodzi*, Łódź 1992, s. 46.
- ¹⁹ APŁ, Akta miasta Łodzi, Karta meldunkowa nr 280.
- ²⁰ (b), Przed sezonem budowlanym w Łodzi. Delegacja przedsiębiorców w Urzędzie Wojewódzkim, „Kurier Łódzki” 1928, nr 22, s. 5.
- ²¹ APŁ, Towarzystwo Kredytowe, sygn. 3241.
- ²² Według informacji Pani Magdaleny Dziewiszek.

Rzecz o Henryku Hirszenbergu

„Niespokojny i poszukujący duch”

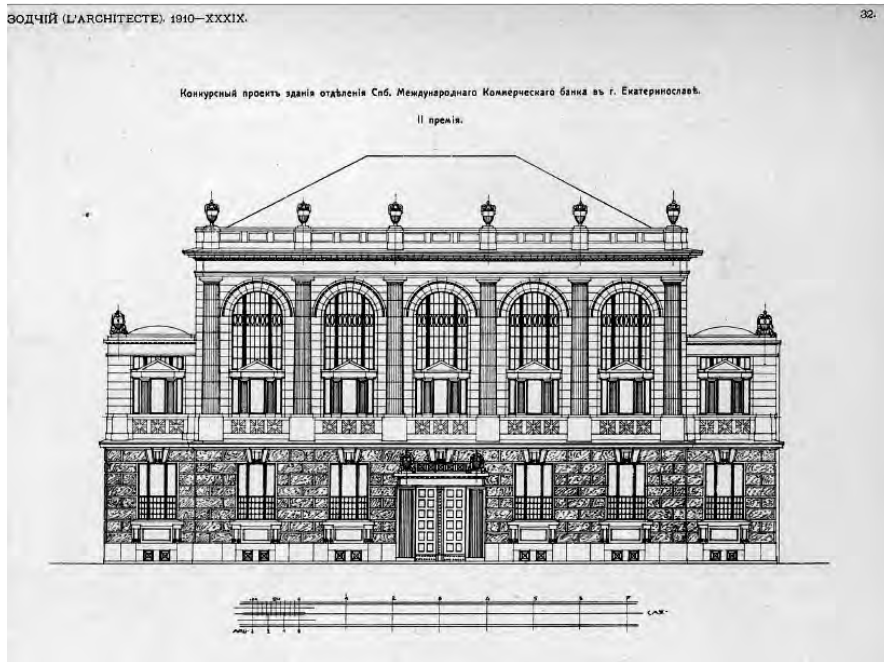
pierwsze kolony

W trakcie badania dziejów dawnej łódzkiej architektury znajdujemy wzmianki o licznych twórcach, których nazwiska pojawiają się sporadycznie w różnych źródłach, lecz o których brak pewnych wiadomości. Do niedawna należał do nich Henryk Hirszenberg, podawany niekiedy jako Herszenberg – o którym wiadomo, że był spokrewniony ze znanym łódzkim malarzem Samuelem Hirszenbergiem. Dopiero podjęte od 2015 roku badania, związane z realizowanym przez Muzeum Miasta Łodzi we współpracy z warszawskim Żydowskim Instytutem Historycznym programem poświęconym braciom Hirszenbergom, pozwoliły na zebranie wielu materiałów i odtworzenie niezwykle ciekawej drogi życiowej jednego z nich – utalentowanego architekta i jego twórczego dorobku.



Zdolni bracia

Rodzina Hirszenbergów wydała trzech artystów – dwóch malarzy: Samuela i Leona oraz architekta, Henryka. W tym artykule interesuje nas Henryk – architekt¹, ale także rysownik i ilustrator, o którym udało się zdobyć liczne nowe informacje, głównie dzięki materiałom przekazanych przez mieszkającą



w Izraelu córkę, Ofrę Bruno-Hirszenberg. Ciągłe jednak pozostaje wiele znaków zapytania dotyczących tak jego biografii, jak i osiągnięć architektonicznych.

Izrael Hersz Hirszenberg, używający później imienia Henryk, urodził się w Łodzi 7 czerwca 1885 roku jako syn Dawida i Sary z Awnerów. Był znacznie młodszym bratem Samuela i Leona, późniejszych malarzy. To właśnie Samuel miał jako pierwszy zwrócić uwagę na talent młodszego brata wykazującego zdolności rysunkowe. W Henryku zwyciężyła jednak pasja architektoniczna. Decydującą w tym względzie rolę odegrała praktyka w biurze znanego łódzkiego architekta Dawida Landego², rozpoczęta w pierwszych latach XX wieku. Ugruntowaniu umiejętności w tej dziedzinie służyć miały studia, ale na temat ich przebiegu brak jednoznacznych informacji. Wiadomo, że przez trzy lata studiował w Monachium – nie były to więc zapewne pełne studia architektoniczne. Przypuszczalnie w tym samym okresie uczył się też przez pewien czas w Paryżu³. Wiadomo również, że w 1906 roku – zapewne w trakcie studiów – odbył służbę wojskową.

Talent potwierdzony nagrodami

W tym samym roku, w wieku zaledwie 21 lat, Hirszenberg zdobył, wraz z Markiem Feinem, pierwszą nagrodę w konkursie na projekt siedziby gimnazjum żeńskiego w Lipawie na Łotwie. Plan opublikowany został w prestiżowym

petersburskim czasopiśmie architektonicznym „Zodczij”4. Prezentuje on racjonalną architekturę o wyraźnie modernistycznym rysie, z zastosowaniem ceglanych elewacji. Kilka lat później ta sama spółka autorska odniosła kolejne sukcesy. W 1910 roku Hirszenberg i Fein wygrali konkurs na projekt domu Towarzystwa Wzajemnego Kredytu we Włocławku, otrzymując pokaźną na owe czasy nagrodę w wysokości 500 rubli5. Zwycięska praca nie jest znana, zachowała się tylko jego charakterystyka zawarta w sprawozdaniu konkursowego jury. W tymże 1910 roku spółka otrzymała II nagrodę w konkursie na siedzibę oddziału Sankt-Petersburskiego Międzynarodowego Banku Handlowego w Jekaterynosławiu. I tym razem projekt opublikowany został w czasopiśmie „Zodczij”6. Prezentuje on poważne, surowe formy w duchu neoklasycyzmu, szczególnie chętnie stosowanego w tym czasie w siedzibach banków i innych instytucji finansowych. Młody architekt stał się tym samym specjalistą od prac konkursowych, wykazując się przy tym talentem i biegłością, na co wskazują zdobywane nagrody. Nie szły jednak za tym realizacje, a to dla architekta jest zawsze najważniejsze.

Pomiędzy rokiem 1906 a 1910 Hirszenberg przypuszczalnie kontynuował lub uzupełniał swoje studia. Po powrocie do Łodzi ponownie zatrudnił się w biurze Dawida Landego. W latach 1911–1913 kierował pracami przy realizacji wykonanych przez Landego projektów: kamienic przy ul. Piotrkowskiej 56 i obecnej al. Tadeusza Kościuszki 69, obydwu należących



do rodziny Schweikertów, oraz przebudowy Grand Hotelu. Na szczególną uwagę zasługuje praca Henryka Hirszenberga (znów wspólnie z Markiem Feinem) przy przebudowie Grand Hotelu, jednego z najbardziej prestiżowych gmachów miasta, który został w tym czasie znacznie powiększony i unowocześniony oraz uzyskał nową szatę architektoniczną z elementami późnej secesji.

W 1913 roku Henryk Hirszenberg ponownie wyjechał na krótko do Monachium, a stamtąd do Sankt Petersburga, gdzie rozpoczął studia w Cesarskiej Akademii Sztuk Pięknych. Miały być one zapewne uzupełnieniem studiów monachijskich i dać mu uprawnienia do samodzielnego projektowania i prowadzenia prac budowlanych. W tym czasie architekt odniósł kolejny sukces, zdobywając w 1914 roku III nagrodę w konkursie na projekt pałacu Würglera w Kijowie⁷. Wkrótce jednak artysta, który był prawdziwie „niespokojnym duchem”, przerwał studia i znalazł się w Moskwie, gdzie współpracował ze znanymi rosyjskimi architektami – Fiodorem Szechtelem i Aleksiejem Szczusiewem. Tam zastał go wybuch pierwszej wojny światowej, a następnie rewolucja bolszewicka. W tym czasie Hirszenberg ulegał wpływom rosyjskich konstruktywistów. W tym duchu miał pracować przy budowie budynków kin i willi. Otrzymywał również za swoje projekty liczne nagrody – brak wszakże na ten temat bliższych informacji.

Powrót do Łodzi

Rzeczywistość rosyjska po rewolucji bolszewickiej nie odpowiadała najwyraźniej Hirszenbergowi, bowiem w 1921 roku, być może razem z malarzem Karolem Hillerem, przekroczył nielegalnie granicę polsko-sowiecką i powrócił do Łodzi. Wkrótce, w 1922 roku, przystąpił do stworzonej przez poetę Witolda Wandurskiego i Karola Hillera grupy artystycznej Srebrny Wóz, określanej najczęściej jako efemeryczna⁸. Rok później na międzynarodowej wystawie „młodej sztuki” Henryk Hirszenberg niespodziewanie zaprezentował swoje rysunki „architektury utylitarnej”⁹. Karol Hiller pisał o nich, „iż bogate w treść literacką, mają charakter starych ilustracji i z techniki przypominają sztychy angielskie XVII w., niektóre zaś nasuwają pewne podobieństwo do prac ilustratorów dzieł fantastyczno-romantycznych epoki E. T. A. Hoffmana”¹⁰. Dał więc w tym czasie niespodziewanie Hirszenberg dowód swojego talentu jako rysownik i grafik.

Szybko jednak powrócił do projektowania architektonicznego. W połowie lat dwudziestych wziął udział w serii konkursów. Ponownie, jak przed rokiem 1914, będą stanowiły one ważne pole jego aktywności. W 1925 roku brał udział w konkursach: na gmach Kasy Chorych w Łodzi na Chojnach, zdobywając II nagrodę¹¹, na siedzibę szkoły na Brusie, u zbiegu ulic Krze-



pierwsze kolumny

mienieckiej i Konstąntynowskiej (wspólnie z Adolfem Fischerem, III nagroda) oraz na siedzibę seminarium nauczycielskiego przy ulicy Wysokiej (również wspólnie z Adolfem Fischerem, III nagroda)¹². Żaden z tych projektów nie doczekał się jednak realizacji.

Łódzkie realizacje

Architekt wziął w tym czasie udział w jeszcze jednym konkursie: na gmach szkolny w Rudzie Pabianickiej, który tym razem zakończył się realizacją. Zorganizowały go wiosną 1925 roku władze Rudy Pabianickiej, wówczas odrębnego miasta (obecnie to część Łodzi). Rozstrzygnięcie konkursu nastąpiło w czerwcu – zwyciężył Henryk Hirszenberg. Problemy finansowe sprawiły, że pierwotne plany architekta musiały ulec znacznemu zredukowaniu. Zamiast gmachu złożonego z dwóch skrzydeł, mieszczącego 14 oddziałów (szkoła powszechna i gimnazjum), zdecydowano się na wzniesienie obiektu tylko o jednym skrzydle. Budowę szkoły ukończono we wrześniu 1928 roku¹³. Jednak wyposażanie obiektu trwało jeszcze blisko rok i dopiero we wrześniu 1929 roku dzieci rozpoczęły w nim naukę. Obiekt ten mieści obecnie Gimnazjum i Liceum Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Jest to piętrowy budynek o wydłużonej, masywnej bryle nakrytej trójspadowym dachem, urozmaiconej od północy i od południa ry-

zalitami. Obiekt nawiązuje do charakterystycznych dla architektury polskiej lat 20. XX wieku form stylu dworkowego – było to zgodne z warunkami konkursu, gdzie napisano: „Styl [budynku] dowolny – pożądanym byłby styl polski – Zygmunowski”¹⁴. Motywy dworkowe zastosowano tutaj w wydaniu bardzo oszczędnym, unikając nakładania eklektycznego detalu, co podnosi walory architektoniczne gmachu.

Z połowy lat 20. pochodzi inne dzieło architekta, na którym – co wyjątkowe – umieścił swoją sygnaturę. To nagrobek rodziny Maksymiliana Kona (Cohna), znanego lekarza zmarłego w 1924 roku, znajdujący się na cmentarzu żydowskim przy ulicy Brackiej w Łodzi. Powstał on zapewne w 1925 lub 1926 roku. Kamienny pomnik o niewielkiej skali otrzymał niezwykle kształt. Na prostopadłościenną poziomą płytę umieszczono formę przypominającą stylizowany, zgeometryzowany pąk kwiatu lotosu. Z tyłu znajduje się pionowa tablica z inskrypcją, zwieńczona podobnym zgeometryzowanym motywem rozchylającego się kwiatu. W rozwiązaniach tych widać pokrewieństwo z motywami popularnej w tym czasie polskiej sztuki dekoracyjnej. Jest to bez wątpienia jedno z ciekawszych dzieł na łódzkim cmentarzu żydowskim z okresu międzywojennego.

W 1927 roku Henryk Hirszenberg spróbował swoich sił na arenie ogólnopolskiej, biorąc udział w prestiżowym konkursie na projekt gmachu Ministerstwa Robót Publicznych i Banku Gospodarstwa Krajowego, który miał stanąć w centrum Warszawy przy Alejach Jerozolimskich.

Jego praca, utrzymana w poważnej, surowej tonacji „półmodernistycznej”, została wyróżniona zakupem (projekt przy współpracy Stanisława Cygiera i Michała Baldyngiera)¹⁵.



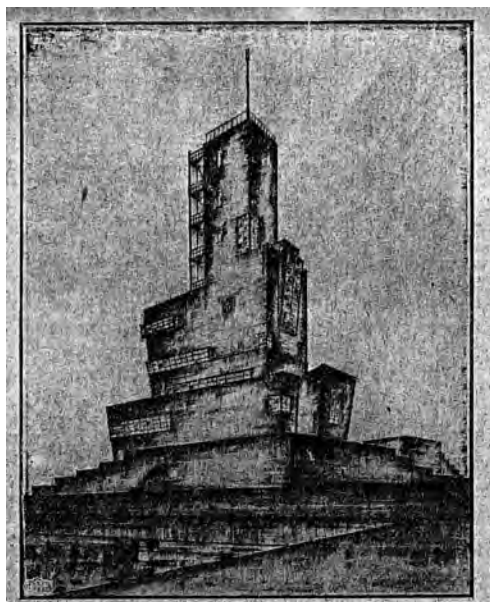
Kasa Chorych – piękny gmach

Wkrótce powstaje najbardziej chyba znaczące dzieło Henryka Hirszenberga na terenie Łodzi. W latach 1929–1931 według jego planów wzniesiono budynek Kasy Chorych przy ulicy Łagiewnickiej, obiekt o ekspresyjnej bryle na planie litery U, z elementami dekoracyjnymi w stylu polskiej sztuki dekoracyjnej. Jest to z pewnością jedna z najbardziej interesujących budowli miasta lat

międzywojennych. Dodać należy, że do niedawna autorstwo tego gmachu pozostawało zagadką. Dopiero zachowany w zbiorach Ofry Bruno-Hirszenberg rysunek z podpisem architekta i informacją o zdobyciu przez niego I nagrody w konkursie wyjaśnił kwestię atrybucji tego bardzo ważnego dzieła łódzkiej architektury.

Obydwie powyższe realizacje – o różnej funkcji i charakterze – wskazują na znamiennej ewolucję w architektonicznej twórczości artysty.

Uwidaczniają wyraźne wpływy nurtu polskiej sztuki dekoracyjnej, określanej również jako polska odmiana art déco, która święciła triumfy po sukcesie polskiego pawilonu na paryskiej Powszechnej Wystawie Przemysłu i Sztuki Dekoracyjnej w 1925 roku. Charakterystyczne motywy dekoracyjne zastosowane tam przez polskich artystów – ostre dynamiczne formy z motywami trójkątnymi – pojawiają się zarówno w nagrobku rodziny Maksymiliana Kona, jak i w budynku Kasy Chorych. Dowodzi to, że Hirszenberg uważnie śledził najnowsze tendencje w sztuce polskiej i chętnie wprowadzał je w swoich pracach.



pierwsze kolony

Projekty w Łodzi i Palestynie

Koniec lat 20. należał z pewnością do najlepszych okresów w twórczości Henryka Hirszenberga. Sukcesy w konkursach i kilka realizacji sprawiły, że zaczął być dostrzegany jako artysta zasługujący na uwagę. Wyrazem tego był poświęcony mu artykuł, który ukazał się w 1929 roku na łamach łódzkiego czasopisma żydowskiego „Lustrirter Pojlischer Manczester”, zawierający wiele interesujących informacji o architekcie (z których część już wykorzystano we wcześniejszej partii niniejszego tekstu), jego fotografię i reprodukcje kilku projektów¹⁶. Zasługują one na bliższe zainteresowanie, gdyż ukazują różne oblicza architekta. Wśród nich zwraca przede wszystkim uwagę Ogród Alberta – projekt założenia ogrodowo-pomnikowego przeznaczonego do realizacji w Tel Awiwie, wykonany na zamówienie Oskara Kona, łódzkiego finansisty



i fabrykanta, głównego akcjonariusza Widzewskiej Manufaktury i jednego z najbogatszych ludzi międzywojennej Łodzi. Założenie to miało upamiętnić jego syna Alberta, który zmarł 1 lutego 1929 roku w wyniku postrzelenia na ulicy przez robotnika¹⁷. Ogród Alberta był niezbyt obszernym założeniem na planie wydłużonego pięcioboku położonym nad Morzem Śródziemnym. Wejście od strony ulicy prowadziło przez centralnie zakomponowany obiekt o zarysie gwiazdy Dawida i orientalnej formie.

Projekt ten wskazuje na bliskie kontakty Henryka Hirszenberga z Oskarem Konem. Potwierdza je dokument z 1928 roku informujący, że architekt zatrudniony był w tym czasie w Widzewskiej Manufakturze i należał do współzałożycieli klubu sportowego Wi-Ma przy tych zakładach. Posada w Widzewskiej Manufakturze zapewniała z pewnością Hirszenbergowi odpowiednie środki do życia. Plany dla Palestyny i artykuł w piśmie w języku jidysz wskazują na żywe w tym czasie związki architekta ze środowiskiem syjonistycznym – być może skupionym wokół Oskara Kona – które dążyło do odtworzenia państwa żydowskiego na terytorium Palestyny, będącej w tym czasie dominium brytyjskim.

Inna ciekawa praca, która znalazła się we wspomnianym tekście, to „abstrakcyjny” projekt muzeum oceanograficznego – budowla

w formie wieży, o dynamicznych kształtach bliskich nurtowi ekspresjonistycznemu, budząca skojarzenia z dziełami Ericha Mendelsohna, takimi jak wieża Einsteina w Poczdamie czy biurowiec zakładów Wachsmanna w Gliwicach. I ten obiekt pomyślany był zapewne z myślą o terytorium Palestyny.

Trzeci projekt, który zilustrował artykuł o Henryku Hirszenbergu, to widok perspektywiczny budynku mieszkalnego przy obecnej alei Adama Mickiewicza 11 (wcześniej ul. św. Anny 12, a następnie bpa Bandurskiego 12), na rogu ulicy Wólczańskiej, co mogło wskazywać, że był on także projektantem stojącej tam modernistycznej kamienicy. Badania archiwalne nie potwierdziły jednak tej atrybucji – pierwotny plan Hirszenberga z 1927 roku został bowiem później zastąpiony projektem wykonanym przez Henryka Lewinsona¹⁸. Choć kamienicę przy alei Mickiewicza 11 wybudowano ostatecznie według projektu Lewinsona, nie można tu pominąć wkładu Hirszenberga, biorąc pod uwagę, że nowy architekt musiał dostosować się do wykonanych już wcześniej fundamentów.

Omawiany artykuł, będący ważnym źródłem wiedzy o Henryku Hirszenbergu, kończy się następującymi słowami: „Aktualnie Hirszenberg jest u szczytu formy i miejmy nadzieję, że dokona jeszcze wiele na rzecz rozwoju nowoczesnej architektury”¹⁹.

Dużą aktywność twórcy na przełomie lat 20. i 30. potwierdza jego działalność w Łódzkim Stowarzyszeniu Architektów. Niestety,



początek lat 30. nie przyniósł zbyt wielu nowych dzieł, na co miał z pewnością wpływ zastój budowlany spowodowany kryzysem ekonomicznym 1929 roku. Jedyną znaną realizacją Hirszenberga z tego okresu jest przebudowa domu braci Ignatowiczów przy ulicy Piotrkowskiej 97, przy skrzyżowaniu z obecną ulicą Andrzeja Struga. Narożną dwupiętrową kamienicę całkowicie przekształcono, nadając jej modernistyczną formę o dużych przeszkleniach na parterze i poziomych ciągach okien na dwóch piętrach²⁰. Prostokątnościenna bryła budynku o płaskich dachach wyróżnia go spośród sąsiedniej zabudowy z końca XIX wieku.

Projekt stadionu Widzewa

Ostatnia znana praca Henryka Hirszenberga z terenu Łodzi to projekt stadionu Klubu Sportowego Widzewska Manufaktura (Wi-Ma), którego był współzałożycielem. Nie jest on datowany, ale powstał zapewne w 1936 lub 1937 roku, tuż przed wyjazdem architekta z Łodzi. Do czasu wybuchu drugiej wojny światowej plany te nie zostały zrealizowane.

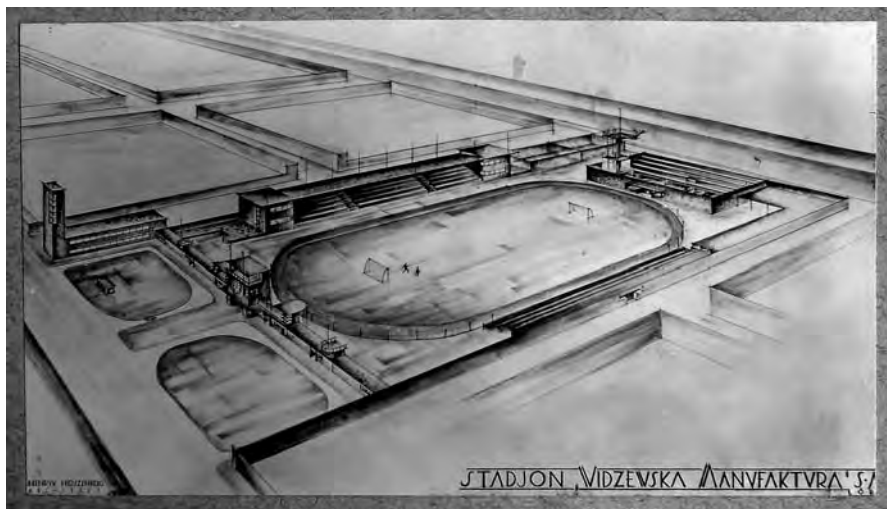
Działalność dla klubu Widzewska Manufaktura jest ostatnim śladem aktywności architekta w rodzinnym mieście. W 1937 roku Henryk Hirszenberg wyjechał do Palestyny, idąc dawnym śladem swojego starszego brata Samuela, co było efektem wspomnianych powyżej związków ze środowiskiem syjonistycznym. Paradoksalnie wyjazd nastąpił w momencie przewyciężenia kryzysu ekonomicznego w Polsce i rodzącego się boomu budowlanego. Hirszenberga zabrakło w Łodzi w momencie, gdy miał duże szanse na nowe realizacje. Z drugiej strony – gdyby pozostał w Polsce, mógłby po wybuchu drugiej wojny światowej podzielić los milionów ofiar Holokaustu.

Zwolennik nowoczesnych form

W Palestynie, a od 1948 roku Izraelu, Henryk Hirszenberg mieszkał w Tel Awiwie. Pozostawał aktywny jako architekt, a także teoretyk. Pozostawał polskim obywatelem i podtrzymywał żywe związki ze środowiskiem polskim. Wyrazem tego są zachowane w maszynopisie opracowania dotyczące urbanistyki miast i wsi, napisane w języku polskim, zapewne z myślą o odbudowie kraju po wojnie²¹. Widać w nich wpływ idei socjalistycznych oraz angielskich miast-ogrodów, ale przede wszystkim koncepcji Le Corbusiera. W opracowaniu dotyczącym urbanizacji wsi Hirszenberg postuluje wprowadzenie kilku rodzajów zasiedlenia kraju, wyróżniając: 1. fermy radialne, 2. wsie kooperatywne (jednostki kolektywne), 3. jednostki agrarne (wsie kolektywne), 4. jednostki industrialne. W konkluzji architekt stwierdza: „PAŃSTWO POLSKIE może się stać przykładem dla innych krajów przez wprowadzenie nowej agrarnej polityki konstruktywnej. Dlatego potrzebna jest niezłomna wola JEJ RZĄDU

I OBYWATELI do pracy bez żadnych domieszek politycznych, resztę dokonają umysły i chętne ręce do pracy”.

Tekst powyższy datowany jest na maj 1942 roku, w tym samym czasie powstało zapewne i pierwsze opracowanie. Był to okres, gdy na Bliskim Wschodzie pojawiła się armia generała Andersa; być może Hirszenberg myślał poważnie o powrocie do Polski. Został jednak w Palestynie i od 1948 roku włączył się aktywnie w budowę nowego państwa żydowskiego – Izraela.



pierwsze kolumny

Twórczy niespokojny duch

Pozostawił po sobie wiele szkiców i projektów. W zbiorach dokumentów architekta zachowanych przez córkę znajdujemy projekty banku PKO oraz licznych domów mieszkalnych w Tel Awiwie o modernistycznym wyrazie (w części zrealizowanych), a także informację o planach centralnej synagogi w Jerozolimie z 1950 roku. W latach 1949–1955 Hirszenberg pracował w Wydziale Budownictwa izraelskiego Ministerstwa Pracy, wykonując plany domów dla imigrantów, a także szkół i budynków użyteczności publicznej. Inną dziedziną jego działalności była ilustracja książkowa, co było powrotem do wcześniejszych zainteresowań rysunkiem i grafiką.

Swoim upodobaniem do tworzenia dużych urbanistycznych założeń Henryk Hirszenberg dał wyraz projektem Miasta Uniwersyteckiego (University City) z 1954 roku, przeznaczonego dla Brugii w Belgii. Tworzy ono duży zespół, na który składają się siedziby pięciu wydziałów, konserwatorium, Akademia Sztuki, gmach teatru i opery, kino i klub studencki.

Przedstawiony powyżej szkicowo dorobek twórczy Henryka Hirszenberga i jego droga życiowa ukazują go jako postać nieszablonową, wymykającą się jednoznacznym ocenom. Był z pewnością artystą wszechstronnie utalentowanym, o czym świadczą jego rysunki i grafiki, ale przede wszystkim architektem o wielkich możliwościach, za czym przemawiają liczne sukcesy w konkursach, zarówno przed 1914 rokiem, jak i w latach międzywojennych. Podstawą jego warsztatu były nie tylko studia w Monachium i Sankt Petersburgu (a być może i w Paryżu), ale także praktyka u boku znakomitego architekta łódzkiego Dawida Landego. Za sukcesami w konkursach nie zawsze, niestety, szły realizacje.

Kończąc zarys drogi twórczej Henryka Hirszenberga, kilka słów poświęcić warto jego życiu prywatnemu. W młodym wieku, krótko przed 1910 rokiem, ożenił się z Olgą Rothe, starszą od siebie o 13 lat artystką rodem z Saksonii, absolwentką drezdeńskiej Akademii Sztuk Pięknych, poznaną zapewne podczas studiów w Niemczech. Prawdopodobnie, by wziąć z nią ślub, przeszedł na luteranizm. W 1910 roku urodziła się im córka Beatrycze (Beatrysa) i rodzina osiadła na stałe w Łodzi. Przypomnieć należy, że w 1913 roku Henryk Hirszenberg wyjechał z Łodzi do Monachium, a następnie do Rosji, pozostawiając żonę i córkę, by powrócić dopiero w 1921 roku. Czy zamieszkali ponownie razem, nie wiadomo, domyślać się jednak można, że nie, w 1928 roku bowiem się rozwiedli²². Wkrótce Hirszenberg wystąpił z Kościoła luterńskiego i w 1930 roku powrócił do judaizmu. Niedługo później ożenił się z Belą Olszer, córką znanego łódzkiego przedsiębiorcy budowlanego Izraela Olszera²³, z którą miał córkę Ofrę (ur. 1932), i razem z nimi wyjechał do Palestyny.

Oceniając dorobek Henryka Hirszenberga na podstawie znanych projektów i realizacji, dostrzegamy w nim architekta twórczego i szukającego konsekwentnie nowej formy, ceniącego przy tym rozwiązania funkcjonalne i pragmatyczne. Na pełną ocenę jego twórczości jest z pewnością za wcześnie. Wciąż jego życiorys zawiera wiele luk, a dorobek daleki jest od pełnego rozpoznania. To, co obecnie o nim wiemy, w pełni potwierdza wszakże słowa, które napisano w 1929 roku: „znany jest w polskim świecie architektonicznym, jako niespokojny i poszukujący duch, który wkłada w formy architektury niesamowicie głębokie idee i poczucie piękna”²⁴.

Krzysztof Stefański

*– prof. dr hab., historyk sztuki,
Katedra Historii Sztuki UŁ*

Przypisy:

- 1 Krótkie biogramy poświęcone artyście pojawiły się [w:] Jacek Strzałkowski, Architekci i budowniczowie w Łodzi do 1944 r., Łódź 1997, s. 67 oraz Krzysztof Stefański, Ludzie, którzy zbudowali Łódź. Leksykon architektów i budowniczych miasta (do 1939 roku), Łódź 2009, s. 72–73.
- 2 K. Stefański, dz. cyt., s. 99–102; Judyta Badowska, *Dawid Lande - architekt łódzki* [w:] *Sztuka w Łodzi 2*. Materiały sesji naukowej zorganizowanej przez Łódzki Oddział Stowarzyszenia Historyków Sztuki w dniach 8–9 października 2001 roku, red. M. Wróblewska-Markiewicz, Łódź 2003, s. 97–102.
- 3 Według informacji córki architekta, Ofry Bruno-Hirszenberg z Tel Awiwu.
- 4 „Zodczij” 1906, nr 32, s. 335, tab. 37.
- 5 *Dom Towarzystwa Wzajemnego Kredytu*, „Architekt” 1910, z. 4, s. 70; por. Maria Rudowska, *Warszawskie konkursy architektoniczne w latach 1864–1898*, Polska Akademia Nauk. Komitet Architektury i Urbanistyki. Studia i materiały do teorii i historii architektury i urbanistyki, t. X, Warszawa 1972, s. 66–67.
- 6 „Zodczij” 1910, nr 29, s. 302–304, tabl. 32.
- 7 „Zodczij” 1914, nr 35, s. 397–399, tabl. 39; *Kronika. Odnaczenie Łódzian*, „Nowa Gazeta Łódzka” 1914, nr 129, s. 3.
- 8 Janina Ładnowska, *Plastyka łódzka w latach 1918–1928* [w:] *Sztuka łódzka*, Materiały sesji naukowej Oddziału Łódzkiego Stowarzyszenia Historyków Sztuki, Warszawa–Łódź 1977, s. 109; Jerzy Malinowski, *Grupa „Jung Idysz” i żydowskie środowisko „Nowej Sztuki” w Polsce 1918–1923*, Warszawa 1987, s. 51.
- 9 *Lodzer Internationale Ausstellung junger Kunst*, „Freie Presse” 1923, nr 176, s. 4; J. G., *Internationale Ausstellung „Junge Kunst” in „Casino”*, Tamże, nr 182, s. 3; nr 183, s. 3, nr 184, s. 3–4; *Wystawa młodej sztuki w Łodzi w witrażowej salce „Casina”*, „Głos Polski” 1923, nr 344, s. 6; *Łódzka międzynarodowa Wystawa młodej sztuki*, „Kurier Łódzki”, 1923, nr 343; Miecz. K. [Mieczysław Kołtoński], *Międzynarodowa wystawa malarstwa w Łodzi*, „Republika” 1923, nr 339, s. 9; por. Jerzy Malinowski, dz. cyt., s. 60.
- 10 Karol Hiller, *Sylwetki malarzy łódzkich*, „Republika” 1923, nr 8 - wg J. Ładnowska, dz. cyt., s. 109.
- 11 Z. W. [Zygmunt Wóycicki], *Konkursy architektoniczne*, „Architektura i Budownictwo” 1925, nr 1, s. 48; por. Wojciech Walczak, *Łódzkie konkursy architektoniczne w latach 1918–1939* [w:] *Sztuka łódzka*, dz. cyt., s. 103.
- 12 Archiwum Państwowe w Łodzi, Akta m. Łodzi 1794–1915, sygn. 20493.
- 13 Archiwum Państwowe w Łodzi, Akta m. Ruda Pabianicka, sygn. 284–287.
- 14 Archiwum Państwowe w Łodzi, Akta m. Ruda Pabianicka, sygn. 284 [bez paginacji stron].
- 15 Edgar Norwerth, *Konkurs na budowę gmachu Ministerstwa Robót Publicznych i Banku Gospodarstwa Krajowego*, „Architektura i Budownictwo” 1927, nr 10, s. 321–322.
- 16 *Architekt Henryk Hirszenberg*, „Lustrirer Pojliszer Manczester” Łódź, lipiec 1929 r., s. 22 (tłum. Anna Szyba). Jest to pismo wychodzące w języku jidysz pisany alfabetem hebrajskim.
- 17 Zabójcą był Edward Ciesiński, który również, w wyniku odniesionych w trakcie wymiany strzałów z Albertem Konem ran, zmarł. Była to zemsta za zwolnienie z fabryki, ale nieoficjalne wersje mówią, że Ciesiński mścił się za uwiedzenie narzeczonej – zob. B. Lesman, dz. cyt., s. 286–320.
- 18 Urząd Miasta Łodzi, archiwum zakładowe Łódź-Śródmieście, akta posesji al. A. Mickiewicza 11.
- 19 *Architekt Henryk Hirszenberg*, dz. cyt., s. 23.

²⁰ Szkic projektowy - perspektywa - znajdujący się w posiadaniu Ofry Bruno-Hirszenberg, ukazuje budynek o trzech piętrach. W budynku mieści się obecnie popularna restauracja Piotrkowska Klub 97.

²¹ W posiadaniu córki architekta, Ofry Bruno-Hirszenberg z Tel Awiwu.

²² Archiwum Państwowe w Łodzi, Księgi Ludności Stałej, sygn. 25Sw, k. 258. Olga Hirszenberg-Rothe co najmniej od 1927 r., a zapewne już wcześniej, prowadziła przy ul. Piotrkowskiej 121 pracownię plastyczną malowania na tkaninie, a w Księdze adresowej miasta Łodzi... Rocznik 1937–1939 widnieje jako właścicielka sklepu z obrazami pod tymże adresem. Za pomoc w uzyskaniu tych informacji dziękuję dr Irminie Gadowskiej z Katedry Historii Sztuki UŁ.

²³ K. Stefański, *Ludzie, którzy zbudowali Łódź...*, dz. cyt., s. 139.

²⁴ *Architekt Henryk Hirszenberg*, dz. cyt., s. 22.

Edmund Roman Orlik

Wzbogacił Łódź o piękne obiekty

Architekt nie powinien mieć się za artystę – tę rangę musi dostać od innych [...] Nie powinniśmy myśleć, że tworzymy dzieła sztuki – ale mamy prawo marzyć, żeby tak oceniano nasz wysiłek¹.

Prof. Tadeusz Zieliński

W historii narodowej rzadko chyba bywa, by w społecznym postrzeganiu architekci stawali się liderami rozwoju swojego kraju. Tak zdarzyło się w Polsce w okresie odbudowy i pierwszych kilkunastu latach po drugiej wojnie światowej. Społeczeństwo z uwagą śledziło ich dokonania, a każda znacząca realizacja architektoniczna czy urbanistyczna była przedmiotem społecznych ocen i dyskusji, które w takiej formie niestety już nigdy później się nie powtórzyły. Pierwszorzędne zadanie szybkiej odbudowy zniszczeń wojennych jako celu strategicznego nowej władzy oraz szczególnie polityczno-propagan-



dowa rola, jaką wyznaczono architekturze w budowaniu realnego socjalizmu w Polsce, postawiła ówczesnych architektów w roli swoistych protagonistów odbudowy i rozwoju kraju. Cała polska знаła takie nazwiska, jak Hryniewicz, Leykam, Pniewski, Gutt, a ich twórczość projektową postrzegano przede wszystkim jako służbę narodowi. Charakterystyczne przy tym, że polityczne poglądy i stosunek do nowej władzy i ustroju miał tu drugorzędne znaczenie. Liczył się talent, zaangażowanie i determinacja w realizacji



stawianych celów. Środowisko architektów polskich tamtych lat, bardzo boleśnie doświadczone przez wojnę, tworzyli jeszcze starzy, kształceni przed pierwszą wojną światową mistrzowie oraz ich uczniowie wzrastający w okresie międzywojnia, wychowywani w duchu „silnej zmechanizowanej woli” i patriotyzmu tamtego okresu. Mający często za sobą żołnierską przeszłość i wspianą heroiczną kartę podczas minionej wojny. W Łodzi postacią taką bez wątpienia był inżynier architekt Edmund Roman Orlik, twórca takich znanych obiektów łódzkich, jak m.in. gmach Biblioteki Uniwersyteckiej czy budynek Studium Języka Polskiego dla Obcokrajowców Uniwersytetu Łódzkiego.

Wybitny dowódca i architekt

Współcześnie postać tego wybitnego architekta i bohaterskiego żołnierza funkcjonuje upamiętniona przez twórców gry komputerowej *World of Tanks* z racji dokonań wojennych Edmunda Orlika, wówczas plutonowego podchorążego, podczas kampanii wrześniowej 1939 roku, oraz w świadomości i wdzięcznej pamięci środowiska strażaków w Opolu².

Tę postać, niestety prawie zupełnie nieznaną w Łodzi, a tak zasłużoną dla naszego miasta, najlepiej charakteryzuje fragment nekrologu prasowego, który ukazał się po śmierci Edmunda Orlika: „[...] żołnierz września, odznaczony Krzyżem Virtuti Militari V klasy i dwukrotnie Krzyżem Wa-

lecznych, autor wielu projektów architektoniczno-urbanistycznych gmachów użyteczności publicznej w Łodzi, Wrocławiu i Opolu, w tym budowniczego teatru im. J. Kochanowskiego w Opolu, odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi Oraz Odznaką Zasłużonemu Opolszczyźnie, były Inspektor Komendy Wojewódzkiej Straży Pożarnych, współtwórca nowoczesnej bazy kwaterunkowo-wypoczynkowej straży pożarnych województwa opolskiego³.

W Łodzi Edmund Orlik zamieszkał w 1945 roku, po opuszczeniu z rodziną zrujnowanej Warszawy⁴. W 1965 roku, po przebytych zawale serca, przeniósł się na Śląsk Opolski. Jako architekt projektant działał w Łodzi od 1949 roku. W ciągu zaledwie 16 lat pracy zawodowej wznosił na terenie naszego miasta oraz w Sieradzu i Wieluniu liczne znaczące i uznane obiekty użyteczności publicznej. Obecnie, po ponad pół wieku, nie wszystkie z tych obiektów posiadają udokumentowane formalnie autorstwo tego zdolnego architekta. O takie udokumentowanie wówczas raczej nie dbano. Wznoszone w okresie odwilży popaździernikowej 1956 roku, zaczynają być współcześnie powoli dostrzegane, na równi z innymi dziełami architektury polskiej tamtego okresu, już nie jako swoista „socmodernistyczna” spuścizna PRL, lecz autentyczna wartość powstała w niełatwych warunkach i technologicznych ograniczeniach, nieznanymi twórcom architektury tamtych czasów spoza obszaru „żelaznej kurtyny”.

Edmund Roman Orlik urodził się 26 stycznia 1918 roku w Rogoźnie Wielkopolskim w rodzinie inteligenckiej. Jego ojciec, Jan, zginął

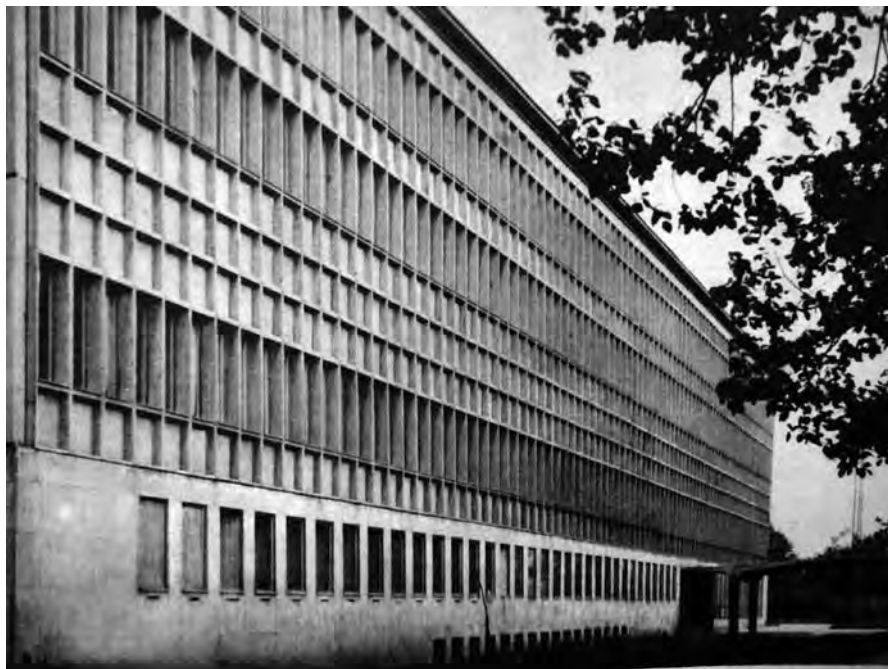


śmiercią lotnika w 1917 roku podczas działań wojennych, jeszcze przed narodzinami syna. W 1936 roku, po zdaniu egzaminu maturalnego, znalazł się w szkole Podchorążych Broni Pancernych w Modlinie, a następnie służył w I Batalionie Pancernym w Poznaniu. Po zakończeniu rocznej służby wojskowej podjął studia na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej. Musiał je jednak przerwać w 1938 roku z powodu konieczności podjęcia pracy zarobkowej w Urzędzie Telegrafu w Połajewie, a następnie ćwiczeń wojskowych w okresie poprzedzającym wybuch wojny.

Najskuteczniejszy polski pancerniak

Brał bohaterski udział w wojnie obronnej we wrześniu 1939 roku, walcząc od pierwszego dnia na granicy niemieckiej w rejonie Rawicza, a następnie w obronie Warszawy w 71 Dywizjonie Pancernym, przydzielonym do Wielkopolskiej Brygady Kawalerii, działającej w składzie Armii „Poznań”.

Jako plutonowy podchorąży i dowódca półplutonu tankietek TKS 20, lekkich czołgów polskiej produkcji, dokonał nie lada wyczynu, którym wpisał się w historię drugiej wojny światowej jako najskuteczniejszy polski pancerniak. W bojowym starciu w Puszczy Kampinowskiej obok wsi Pociecha celnym ogniem małego 20 mm działka swojej tankietki unieruchomił (w tym jeden zapalił) trzy o dwie klasy cięższe czołgi niemieckie należące do 11 Pułku





pierwsze kolumny

Pancernego, 1 Dywizji Lekkiej⁵. Dzień później brał udział w boju pod Sierakowem, gdzie według różnych relacji uszkodził lub zniszczył dalsze siedem niemieckich czołgów. Ogółem Edmundowi Orlikowi przypisuje się w walkach wrześniowych uszkodzenie lub zniszczenie 13 hitlerowskich czołgów.

W okresie okupacji udało mu się uniknąć niewoli. Poszukiwany przez Niemców przenosił się kolejno w poznańskie, krakowskie, lwowskie, pracując w różnych przedsiębiorstwach budowlanych, by utrzymać niedawno poślubioną żonę i małą córkę. Przed wybuchem powstania warszawskiego mieszkał pod Warszawą⁶. Działal w konspiracji, był również żołnierzem AK.

Związek z Łodzią rozpoczął w 1945 roku, kiedy przeniósł się tutaj wraz z żoną Marią Golańską. Kalendarium działalności Edmunda Orlika w Łodzi to kolejno: w latach 1946–1951 studia w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Łodzi, a jednocześnie w latach 1947–1949 praca w charakterze kierownika budowy w Przedsiębiorstwie Robót Budowlanych, następnie kierownika Oddziału Inwestycji w Głównym Instytucie Włókiennictwa w Łodzi. Pomimo ukończenia z celującymi wynikami studiów na Wydziale Plastyki Przestrzennej (którym do 1950 roku kierował nieformalnie Władysław Strzemiński) w łódzkiej PWSSP, dyplomu nie otrzymał. Wraz z usunięciem Strzemińskiego wydział ten bowiem został zlikwidowany, a powołany tymcza-

sowo Wydział Architektury nie otrzymał prawa przeprowadzania egzaminów dyplomowych. Pomimo braku dyplomu Orlik do 1952 roku był asystentem na tym wydziale.

Nie posiadając dyplomu architekta, od 1949 roku Edmund Orlik pracował nieprzerwanie w Miastoprojekcie Łódź, kolejno jako projektant, starszy projektant, a następnie główny projektant i kierownik zespołu architektonicznego. W 1955 roku zorganizował na polecenie Komitetu ds. Urbanistyki i Architektury (KUA) Wojewódzką Pracownię Urbanistyczną. Przez kilka kadencji był członkiem Wojewódzkiej Komisji Urbanistyki i Architektury. W 1958 roku został powołany na Dyrektora Zarządu Inwestycji Szkół Wyższych w Łodzi⁷. Nominacja ta zbiegła się w czasie z realizacją najbardziej rozpoznawalnych projektów Orlika w naszym mieście: Biblioteki Uniwersyteckiej, Studium Języka Polskiego dla Obcokrajowców oraz Wydziału Biologii Uniwersytetu Łódzkiego.



Twórca uniwersyteckich budynków

Był to niezwykle twórczy i efektywny okres w życiu tego architekta. Sytuacja społeczno-polityczna w Polsce po 1956 roku oraz względna liberalizacja życia po okresie stalinizmu i socrealizmu wyzwalała falę twórczego entuzjazmu i otwarcia na najbardziej postępowe i nowoczesne tendencje w architekturze i sztuce Europy Zachodniej i USA. O ile jednak istniało przynajmniej oficjalnie względne polityczne przyzwolenie na twórcze poszukiwania i realizacje,



pierwsze kolumny

o tyle baza techniczno-materiałowa pozostawała daleko w tyle w stosunku do ambicji i zamierzeń architektów i urbanistów. W tym czasie powstają w Polsce obiekty architektoniczne na światowym poziomie, np. warszawska „Ściana Wschodnia”, wcześniej Stadion Dziesięciolecia, dalej warszawski Supersam, katowicki Spodek, nowoczesne centra miast wojewódzkich czy śmiałe, nowoczesne obiekty przemysłowe. Polscy architekci zdobywali w tym okresie laury na międzynarodowych konkursach architektonicznych. Jednak Łódź ze swoją robotniczo-fabryczną specyfiką lokowała się nieco na uboczu tych zjawisk. Dodatkowo fakt, że była miastem w małym stopniu zniszczonym w czasie wojny, sprzyjał kierowaniu głównych środków budżetowych przede wszystkim na rozbudowę i modernizowanie stolicy. W tym kontekście Łódź zostawała w tyle, a rozwijało się tu głównie budownictwo osiedli mieszkaniowych. W tym czasie więc poza obiektami użyteczności publicznej Edmund Orlik tworzył również plany urbanistyczne dla większych miast oraz realizował oryginalne obiekty mieszkaniowe. Jednym z nich, o udokumentowanym autorstwie Orlika, jest popularny „Łamaniec” na Nowym Rokiciu, niekwestionowana wizytówka tego osiedla.

Tempo pracy i życia oraz doświadczenia wojenne i powojenne odcisnęły piętno na zdrowiu Edmunda Orlika. W 1965 roku, w wieku 47 lat, przeszedł ciężki zawał serca i zakończył pracę w łódzkim Miastopro-

jeckie. Zbiegło się to z kolejnym zwrotem w historii polskiej architektury, końcem liberalizacji „okresu popaździernikowego”, likwidacją Komitetu ds. Urbanistyki i Architektury i początkiem biurokratyzacji procesów inwestycyjnych. W ich efekcie następowało stopniowe wdrażanie trwającej przez kolejne 20 lat monokultury wielkiej płyty i skrajnego technologizmu, ze wszystkimi negatywnymi tego konsekwencjami.

W tym samym roku po podleczeniu choroby serca Edmund Orlik postanowił przenieść się do Wrocławia. Na tę decyzję wpłynęło najprawdopodobniej biurokratyczne wytykanie mu braku oficjalnego dyplomu architekta pomimo znakomitych realizacji wzbogacających w sposób trwały miejską tkankę Łodzi. Na tym kończy się owocny i bardzo pracowity łódzki etap życia tego wybitnego architekta.

Rok później Orlik skończył studia magisterskie na Wydziale Architektury Politechniki Wrocławskiej, gdzie też następnie podjął, trwającą do 1968 roku, pracę jako Główny Specjalista Architektoniczny. Dyplom magisterski, bardzo wysoko oceniony, wykonał pod kierunkiem prof. Władysława Czernego, wybitnego urbanisty i architekta, twórcy m.in. planu odbudowy Gdańska. Rozpoczął też realizację pracy doktorskiej, której już nie ukończył.

Podobnie jak w Łodzi, także na Dolnym Śląsku pełnił równoległe inne funkcje. W latach 1966–1967 był głównym specjalistą w Miastoprojekcie Wrocław, a 1970 roku został pełnomocnikiem Urzędu Wojewódzkiego do spraw budowy teatru, następnie piastował stanowisko zastępcy dyrektora w Dyrekcji Budowy Teatru Ziemi Opolskiej. W 1972 roku powierzono mu stanowisko dyrektora w Dyrekcji Budowy Teatru, które zajmował do 1976 roku⁸.

Ostatni, dwuletni rozdział aktywności zawodowej Edmunda Orlika związany był ze Strażą Pożarną w Opolu, gdzie architekta wspomina się jako „przyjaciela strażaków”, a pamięć o nim trwa do dziś⁹. Od 1977 do 1979, kiedy to przeszedł na emeryturę, był zatrudniony jako pracownik cywilny, inspektor wojewódzki w Komendzie Straży Pożarnej w Opolu. Był



też współtwórcą nowoczesnej bazy kwaterekowo-wypoczynkowej straży pożarnej województwa opolskiego¹⁰.

Mgr. inż. architekt Edmund Orlik zmarł nagle 8 kwietnia 1982 roku w Opolu. Spoczywa na starym cmentarzu Rzymsko Katolickim przy ul. Ogrodowej w Łodzi.

Wspomniane łódzkie trzy realizacje Edmunda Orlika stanowią przykład zaszczepiania na terenie naszego miasta najbardziej wówczas postępowych idei powojennej architektury modernistycznej. Pierwszy, gmach Biblioteki Uniwersyteckiej zlokalizowany przy zbiegu ulic Narutowicza i Matejki, już w trakcie realizacji, z racji swojej technologii i nowatorskiej, prefabrykowanej konstrukcji, budził zainteresowanie specjalistów w całym kraju. Obszerny artykuł autorstwa samego Edmunda Orlika w miesięczniku „Architektura” (nr 9 z 1961 roku) otwierał cykl publikacji monograficznych prezentujących najwybitniejsze aktualne osiągnięcia architektury polskiej tamtych lat. Przedstawiciel redakcji tego czasopisma, zwiedzając tę realizację, zapisał: „Jak najszybciej należy opublikować i upowszechnić cenne doświadczenia tej budowy. Pierwotnie projekt uniwersyteckiej biblioteki powstał w Miastoprojekcie Łódź pod kierunkiem arch. Eugeniusza Budlewskiego i Edmunda Orlika¹¹. Jego pierwsza wersja z 1952 roku, utrzymana w stylistyce socrealistycznej, nie została na szczęście przyjęta do realizacji i dopiero kolejną, nowoczesną koncepcję budynku o prefabrykowanym układzie szkieletowo płytowym z 1955 roku skierowano do realizacji. Głównym autorem architektury tego obiektu jest Edmund Orlik, który był również autorem projektów wnętrz i elementów wyposażenia biblioteki i czytelní, wypożyczalni oraz hallu i kawiarni. Ponadto wnętrza tego pięknego gmachu ozdobiły prace czołowych łódzkich artystów plastyków: Stanisława Fijałkowskiego, Lecha Kunki, Antoniego Starczewskiego, Stanisława



Szadkowskiego. Gmach ten, ukończony w 1960 roku, utrzymany jest w zdecydowanej konstruktywistycznej stylistyce przywołującej skojarzenia z nieco wcześniejszymi słynnymi warszawskimi »żyletkowcami« autorstwa Marka Leykama. W powszechnej opinii gmach Biblioteki Uniwersyteckiej jest najbardziej dopracowaną powojenną realizacją w Łodzi”.

Drugim wspomnianym już wcześniej obiektem autorstwa Edmunda Orlika jest kompleks budynków Studium Języka Polskiego dla Obcokrajowców przy ul. Kopcińskiego 16/18; zrealizowany w latach 1962–1963, znany był przez pewien czas jako Wieża Babel. Obecnie mieści się tu Centrum Szkoleniowo-Konferencyjne Uniwersytetu Łódzkiego. Jak informował w opisie projektu sam autor: „Cały obiekt ze względu na wiążące nas umowy międzynarodowe został zrealizowany w tempie przyspieszonym. Realizacja trwała 13 miesięcy, z tego 3 miesiące zimy stulecia. [...] Projekt wykonany został w Miastoprojekcie Łódź w trybie ekspresowym przez E.R. Orlika, który sprawował przez cały czas budowy bezpośredni nadzór nad realizacją”¹². Tych „ekspresowych” terminów dotrzymano. Poza walorami użytkowymi i plastycznymi (obiekt ten reprezentuje czystą modernistyczną stylistykę lat 60., określaną współcześnie na zachodzie jako „Mid-Century Modern”, czyli „Modernizm Środka Wieku”.

Trzecim interesującym obiektem Edmunda Orlika jest zlokalizowany w centrum łódzkiego Nowego Rokicia przy ul. Cieszkowskiego budynek mieszkalny z usługowo-handlowym parterem, popularnie wśród mieszkańców osiedla nazywany „Łamańcem”. Zaprojektowany w 1958 roku, już w chwili oddania do użytku w 1961 otrzymał takie miano z racji swojej zygzakowo ukształtowanej elewacji. Ten stumetrowej długości pięciopiętrowy budynek o 113 mieszkaniach i kubaturze 23 844 m² stanowi w istocie funkcjonalno-plastyczne serce tego wzorowego osiedla. Poza wspomnianą falującą fasadą niezwykle oryginalnym akcentem obiektu zaprojektowanego przez Orlika jest pełen inwencji plastycznej usługowo-handlowy parter z oryginalną, wysuniętą przed elewację witrynką wystawową, obecnie zamienioną na kwietnik. Budynek ten utrzymany jest w podobnej stylistyce jak wspomniany powyżej.

Edmund Orlik zasługuje na szczególne miejsce w historii naszego miasta. Był wybitnym architektem, który pozostawił w Łodzi ważne pomniki swojego artystycznego talentu, a w każdym okresie swego życia potrafił imponować dzielnością i odwagą uczciwego polskiego patrioty.

Piotr Gawłowski
– architekt, Instytut Architektury i Urbanistyki PŁ

Przypisy:

- ¹ Zieliński T., *Z rozmów z przyjaciółmi*, Komunikat SARP, 1979 nr 4/5, s. 7.
- ² O Orliku, Polacy dowiedzieli się szerzej dzięki grze komputerowej *World of Tanks*, upamiętniającej najlepszych pancerniaków świata drugiej wojny światowej. Jeden z medali w tej grze nosi miano „Medalu Orlika” i jest przyznawany za szczególnie „wyczyn bojowy” – zniszczenie lekkim czołgiem trzech lub więcej pojazdów wroga, przewyższających co najmniej o dwa poziomy wyżej pojazd gracza.
- ³ „Trybuna Opolska”, 1982, nr 10–12.
- ⁴ <http://www.zgzelp.pl/kalendarium/357-orlik-edmund-roman.html>.
- ⁵ Tamże. W zniszczonym niemieckim czołgu Pancer PZkpfw IVB został ciężko ranny, w wyniku czego zmarł, dowódca plutonu – książę raciborski, 23 letni Viktor IV Albrecht von Ritibor, niemiecki arystokrata i wojskowy.
- ⁶ Tamże.
- ⁷ Tamże.
- ⁸ Tamże.
- ⁹ W Turowie k. Opola, w Ośrodku-Wypoczynkowym Zarządu Głównego Związku Ochotniczych Straży Pożarnych Rzeczypospolitej Polskiej staraniem przyjaciela Edmunda Orlika, płk. poż. w st. spocz. Zdzisława Filingiera został wzniesiony ku czci Jego pamięci kamienny obelisk.
- ¹⁰ <http://WWW.inmemoriam.architektsarp.pl/pokaz/Edmund-roman-orlik,4684>.
- ¹¹ Arch. Eugeniusz Budlewski (1912–2004) – był m.in. wykładowcą historii architektury polskiej na PWSSP w Łodzi w czasie, gdy studiował tam Edmund Orlik. W latach 1963–1971 pełnił funkcję Głównego Architekta m. Łodzi.
- ¹² „Architektura” 1965, nr 3, s. 97.

Fot. z archiwum autora

Architekt Jerzy Kurmanowicz

Projektant odpowiedzialny

Jerzy i Helena Kurmanowiczowie poznają się na studiach w Krakowie. On pochodzi ze Lwowa, a powojenna rzeczywistość rzuciła go wraz z wieloma mieszkańcami Kresów pod Wawel. Ona urodziła się w Zawierciu. Studia rozpoczynają na początku lat 50, w czasie gdy Wydział Architektury funkcjonuje jeszcze w ramach Akademii Górniczej, a w programie nauczania obowiązuje doktryna realizmu socjalistycznego. Zgodnie z nią kładzie się duży nacisk na studiowanie form klasycznych, a wszelkie przejawy nowatorstwa są potępiane. Zmiany następują jednak szybciej, niż ktokolwiek się spodziewa. Już w 1954 roku Wydziały Politechniczne AGH zostają przekształcone w Politechnikę Krakowską. Dwa lata później znika na dobre zienawidzony „soc”.

Krakowskie dyplomy

Jerzy i Helena spotykają się na uczelni. Studia w opowiadaniach Heleny Kurmanowicz jawią się jako wielka przygoda. Młodzi ludzie są pełni energii i zapału do pracy. Cieszą się, że wojna wreszcie dobiegła końca. Nie myślą zbyt wiele o polityce – chcą żyć, uczyć się, bawić. „Nadeszło wyzwolenie i młody człowiek marzył tylko o tym, żeby studiować” – wtóruje im o kilka lat starszy Witold Cęckiewicz. A uczyć się jest od kogo. W Krakowie wyklada plejada wybitnych architektów dwudziestolecia międzywojennego pochodzących z Krakowa i Lwowa. Na wykłady profesorów Adama Mściwujewskiego czy Wiktora Zina ściągają tłumy z różnych roczników architektury, Akademii Sztuk Pięknych czy wręcz spoza uczelni.

Jerzy i Helena pobierają się jeszcze na studiach. Mieszkają w pokoju w domu studenckim. Warunki są dalekie od wymarzonych, ale nie narzekają. W 1957 roku Helena przygotowuje się do obrony projektu dyplomowego. Promotorem jest Witold Cęckiewicz, zaledwie 36-letni „najmłodszy profesor w Polsce”. Koreferat przygotowuje Witold Korski. Koncepcja przed-

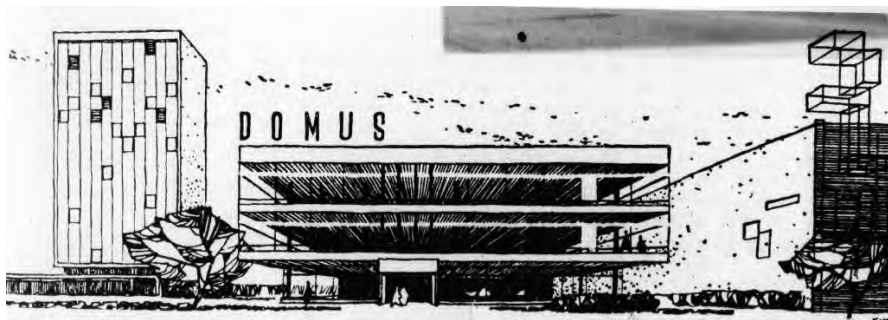
stawia halę sportową o nowoczesnej linowej konstrukcji, którą zależnie od potrzeb można było przekształcać w boiska do różnych gier zespołowych lub pływalnię. Projekt dyplomowy Jerzego Kurmanowicza jest niezwykle ambitny i utrzymany w duchu nowoczesnym. Przedstawia koncepcję rozwoju urbanistycznego Krakowa. Promotor zachęca przyszłego architekta do projektowania z rozmachem, zgodnie z duchem epoki.

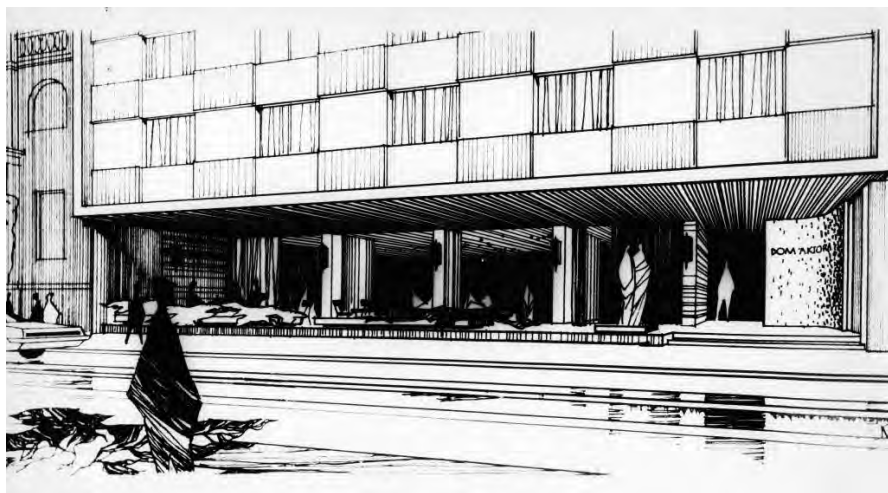
Łódź przyciąga mieszkańcami

W Łodzi, do której Jerzy Kurmanowicz wyjeżdża wraz z żoną tuż po obronie dyplomu, przychodzi mu się mierzyć z zadaniami o znacznie mniejszym stopniu skomplikowania niż temat projektu dyplomowego. Z początku Kurmanowiczowie wcale nie są skłonni, by opuszczać Kraków, do którego zdążyli się przywiązać. W Łodzi brakuje architektów i urbanistów i miasto ma dla nich niezwykle silny argument – oferuje nowym pracownikom mieszkania. Chwila zastanowienia i oboje podejmują decyzję o przeprowadzce. Zostają zatrudnieni w pracowni urbanistycznej mieszczącej się przy ulicy Piotrkowskiej, pod numerem 17.

W 1960 roku władze Łodzi zatwierdzają plan budowy osiedla tanich domków jednorodzinnych na Rogach, nieopodal trasy prowadzącej do Strykowa. Pierwsze z nich powstają przy ulicy Łupkowej według projektu Jerzego Kurmanowicza. Roboty budowlane idą powoli. Brakuje materiałów i funduszy. Dodatkowo realizacja prowadzona jest w sposób budzący wiele zastrzeżeń. Pierwszy z brzegu przykład: mieszkańcy żyzymają się, że pomiędzy ukończonymi budynkami wykonano już jezdnie i chodniki, ale... zapomniano o uzbrojeniu terenu w sieć wodociągowo-kanalizacyjną. Pomimo tego już w 1962 roku prasa donosi o dalszych planach budowy domów wolnostojących, bliźniaków i szeregowki dla około pięciu tysięcy osób w okolicy ulic Kryształowej, Książka, Łupkowej. Osiedle to jednak nie powstaje, a Kurmanowicz zwraca się ku architekturze o zdecydowanie bardziej wielkomiejskim charakterze.

Gdy w latach 70. nieopodal przecięcia trasy W-Z z ulicą Piotrkowską oraz projektowanego przez Aleksandra Zwierkę „Manhattanu”





powstaje Dom Towarowy Central, łodzianie są rozczarowani. Spodziewali się nowoczesnej architektury na miarę nowej wizytówki miasta. Tymczasem otrzymali masywne, przypominające bunkier ściany budynku autorstwa Macieja Gintowta i Macieja Krasickiego. Nie ma lśniącego aluminium ani szklanych ścian. Zamiast tego są szare prefabrykowane płyty z charakterystycznymi kamykami na powierzchni i wąskie pasy okien pod sufitem. Są też drugie w Łodzi (po Uniwersalu) schody ruchome, przyjazne dla użytkowników, ale trudno, aby stały się architektoniczną ikoną. Na łamach lokalnej prasy dziennikarze bronią budynku i przekonują, że Central podąża za najnowszymi trendami w projektowaniu tego typu obiektów na świecie.

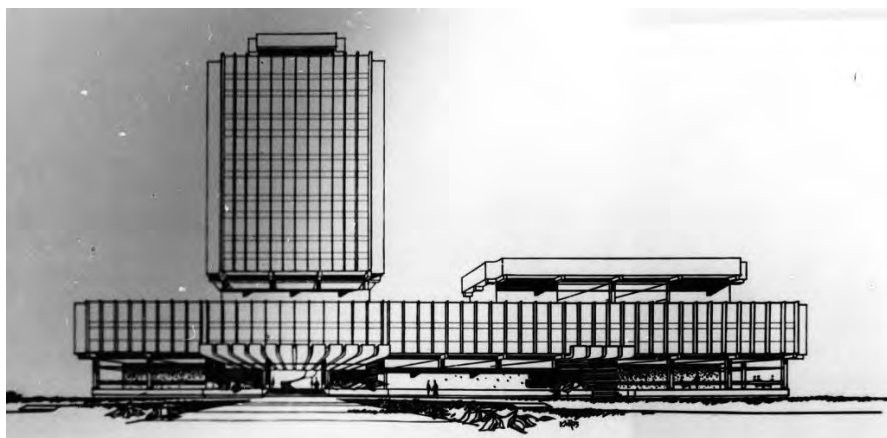
Wzorowy Domus

Przeciwieństwem Centralu jest stojący nieopodal przy ulicy Piotrkowskiej dom towarowy Domus, który w 1963 roku projektują Kurmanowiczowie. Prosty wolno stojący pawilon zwraca uwagę wystudiowanymi proporcjami. Ponad nieco cofniętym parterem unosi się szklano-stalowy prostopadłościan o wysokości dwóch kondygnacji. Minimalistyczna, transparentna bryła jest lekka, niemalże przezroczysta. Zupełnie jakby do Łodzi zawitał na chwilę Mies van der Rohe ze swoją dewizą mówiącą, że w architekturze „mniej znaczy więcej”. Wnętrza opracowuje Helena Kurmanowicz, nadając im ascetyczny, ale szlachetny charakter całości. Estetykę bryły i wnętrza doceniają fachowcy, projekt otrzymuje nagrodę Ministra Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych. Użytkownicy narzekają jednak na sprawy, za które nie mogą odpowiadać projektanci, a które dotyczą udręki socjalistycznej gospodarki, czyli zaopatrzenia.

Dywagacje nad społeczną rolą architekta są zawsze trudne. Moderniści uważali, że ma on być stwórcą, demiurgiem, prorokiem. Nie bez kozery Le Corbusier publikuje zdjęcie, na którym wskazuje na makietę Cite Radieuse, a jego dłoń układa się w dobrze znanym geście Boga Ojca ze sklepienia Kaplicy Sykstyńskiej. Oto on, „równy bogom” architekt stwarzający nowe światy i kształtujący nowego człowieka. Mimo iż od lat 70. postmoderniści propagują diametralnie inne podejście, czego najlepszym dowodem są słowa Charlesa Moore’a, twierdzącego, że projektuje tak, jak oczekuje tego klient, pierwiastek „nieomyślności” nadal pozostał w głowach architektów. „Prawem twórcy jest wątpić” – twierdził Bolesław Kardaszewski, ale w jego słowach pobrzmiewała fałszywa skromność. Kurmanowicz nie aspiruje, jak Kardaszewski, do miana arbitra wypowiadającego się na każdy temat. Chce po prostu dobrze wykonywać swoją robotę. Janusz Wyżnikiewicz, członek prezydium łódzkiego oddziału SARP, z uznaniem pisze o dokonaniach Kurmanowicza, że „niezależnie od podjętego tematu projektowego, wynikiem pracy twórczej autora jest obiekt opracowany do najmniejszego szczegółu, do detalu i wnętrza i to opracowany znakomicie [...] co świadczy o pełnej odpowiedzialności za każdy element obiektu”.

Architektura tła

Budynki Kurmanowicza są idealnymi przykładami tak zwanej „architektury tła”. Nie rzucają się w oczy, nie dominują nad otoczeniem, lecz stanowią jego dopełnienie. Widać w nich chłodną precyzję projektanta perfekcjonisty. Zauważa to nawet prasa codzienna, która informując o budowie Laboratorium Przemysłu Odzieżowego, pisze, że „ładny gmach będzie niewidoczny”. To jednak wyjątek, bo gazety rzadko opisują realizacje Kurmanowicza, a on sam nie udziela wywiadów jak Zwierko czy Kardaszewski. A przecież zlokalizowany





przy Piotrkowskiej wysoki biurowiec zarządu spółdzielni mieszkaniowej czy Instytut Medycyny Pracy nie są gorsze od obiektów, które stają się bohaterami artykułów w „Odgłosach” czy „Dzienniku Łódzkim”. W 1969 roku przy ulicy Narutowicza, naprzeciw Teatru Wielkiego, Kurmanowicz projektuje Dom Aktora. Przeznaczona pod inwestycję działka ma typową dla łódzkiego śródmieścia szerokość i jest wciśnięta pomiędzy monumentalny dom Pod Atlasami i XIX-wieczną czynszową kamienicę. Wobec takich ograniczeń architekt zmuszony jest „iść w górę”. Projektuje siedmiopiętrową prostą bryłę zawieszoną ponad otwartym przyziemiem. Z czasem zostanie ono zabudowane szklaną witryną, za którą znajdzie się restauracja. Prestiżowa lokalizacja wymaga niestandardowych rozwiązań, bo naprzeciwko dzieła Józefa i Witolda Korskich – autorów paradnej teatralnej budowli – nie może stać przecież zwykły, prosty blok. Kurmanowicz starannie opracowuje projekt fasady, którą widzi jako przestrzenną szachownicę ujętą prostą ramą. Dzięki temu będzie oddziaływać na widza zarówno jako kompozycja graficzna, jak i relief o interesującej grze światła i cienia podczas słonecznych dni. Gdy w 1980 roku

budowa jest ukończona, nie ukrywa zadowolenia z dobrze wykonanej roboty. Tymczasem prasa zdaje się jej nie zauważać.

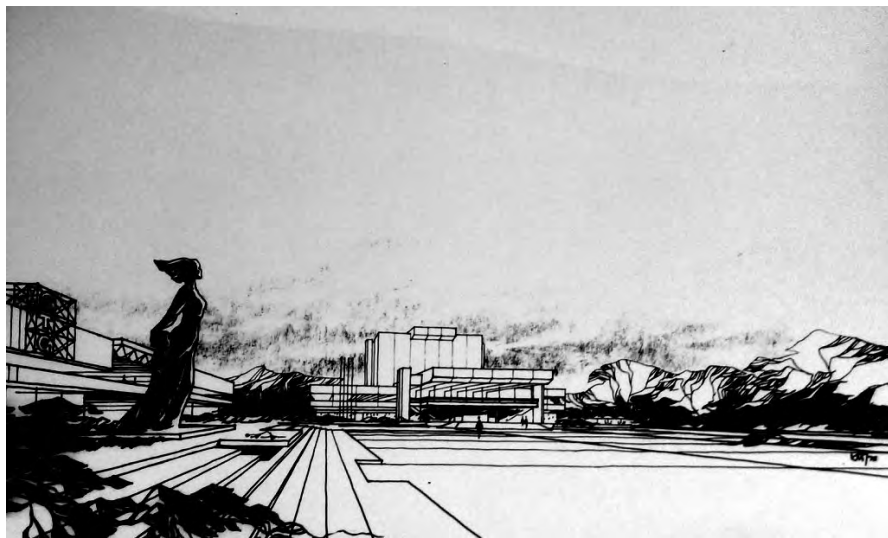
Próchnik – projekt niezwykle

Zainteresowanie mediów przychodzi wraz z projektem budynku Zakładów Odzieżowych im. dr A. Próchnika. Tym razem nowej realizacji nie da się jednak nie zauważyć. Koniec z architekturą tła, koniec ze skromnymi budynkami dla koneserów. Próchnik ma być dominantą, wizytówką nowoczesnej Łodzi, obiektem na najwyższym poziomie. Już sama lokalizacja, na niewielkim wzniesieniu, nieopodal trasy szybkiego ruchu, sugeruje, że ma powstać tam coś wyjątkowego. Masywna bryła fabryki będzie doskonale widoczna, a zieleń pobliskich ogródków działkowych stanie się przedpolem podkreślającym walory nowoczesnej architektury gmachu.

Samo rozwiązanie zakładające zlokalizowanie dużej produkcji w wieżowcu jest nietypowe. W tym samym czasie na łódzkiej Dąbrowie powstają ogromne hale przeznaczone na potrzeby włókiennictwa i dziewiarstwa, a rozmieszczenie maszyn na jednym poziomie wydaje się znacznie bardziej logiczne. Zakłady Odzieżowe im. Próchnika dysponują jednak stosunkowo niewielką działką i „pójście w górę” staje się niejako koniecznością. Kurmanowicz traktuje te trudności jak wyzwanie. Skoro musi wymyślić nową typologię rozwiązań przestrzennych, to stara się wywiązać z powierzonego mu zadania, najlepiej jak potrafi. Spiętrza kolejne etapy produkcji, odtwarzając typowy układ hali produkcyjnej w układzie pionowym. Całość działa bez zarzutu. Tyle jeśli chodzi o eksperymenty z funkcją budynku. W kwestii formy budynku Kurmanowicz sięga bowiem do sprawdzonych wzorców. Wysoką, ośmiopiętrową część produkcyjną równoważy rozłożysty, dwukondygnacyjny pawilon administracyjny. W ten sposób projektuje się wieżowce od lat 50., kiedy to powstał Lever House w Chicago, i łódzki architekt nie widzi powodu, by cokolwiek na siłę zmieniać. Bryły mają delikatnie cofniętą część cokołową, dzięki czemu wydają się lekkie, a wieżowiec dosłownie zdaje się unosić ponad niższą partią budynku. Elewacje pokrywa prefabrykatami o ciemnej, grafitowej barwie i chropowatej powierzchni, które będą efektownie kontrastować z gęstym rytmem pionowych stalowych żyłek. Z czasem ich lśniąca linie zmatowieją, a użytkownicy częściej będą narzekać na przemarzające ściany niż zachwycać się wyrafinowaną grą form. Jednak na razie Próchnik lśni nowością i wzbudza uzasadniony zachwyt. Efekt pracy Kurmanowicza doceniają zarówno fachowcy, honorując realizację nagrodą I stopnia Ministra Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych, jak i mieszkańcy miasta, którzy w plebiscycie Expressu Ilustrowanego głosują za nadaniem mu miana „Mister Łodzi”.

Niezrealizowana wizja

Śródmiejska Dzielnica Mieszkaniowa, której zachodnią część realizuje od 1973 roku Aleksander Zwierko, ma nadać Łodzi metropolitalny, wielkomiejski charakter. Wieżowce w centrum stanowią wyraz lokalnych ambicji. W 1979 roku Kurmanowicz kreśli wizję rozszerzenia łódzkiego City wzdłuż ul. Głównej w kierunku wschodnim. Równolegle do szlaku W-Z biegną długie, wysokie bloki mieszkalne, podobne do tych powstających na Manhattanie. Obok nich widać centrum handlowo-usługowe oraz niewysokie wielofunkcyjne pawilony i punkty małej gastronomii przylegające do ciągów pieszych. Od szerokiej, wielopasmowej trasy wschód–zachód oddzielają je pasma bujnej zieleni. Całość przypomina rotterdamski Lijnbaan, gdzie architekt Jaap Bakema postanowił nieco „zmiękczyć” monumentalną skalę betonowych bloków właśnie poprzez dodanie pieszych pasaży otoczonych sklepikami i knajpkami. Mówił wówczas o „ludzkiej twarzy modernizmu”. Jednak wschodnia część ŚDM nigdy nie zostanie wybudowana. Może to i lepiej, bo z czasem koncepcja wielkich szaf mieszkalnych okazała się kompletnie chybiona. Nie pomogło nawet otoczenie ich jak najbardziej przytulnymi kawiarniami i kameralnymi skwerami.



Klimat znany z twórczości holenderskich brutalistów pojawia się jeszcze kilkakrotnie. Widać je w imponujących rozmachem koncepcjach Wydziału Mechanicznego Politechniki Łódzkiej, zabudowań Uniwersytetu, niezwyklej rozbudowy Urzędu Miasta Łodzi. Brutalistyczne gmachy mają rozmach charakterystyczny dla epoki, w której nieludzka skala stała się niemalże synonimem postępu i nowoczesności. Jednocześnie prezentu-

ją ogromną kulturę projektową autora, jego zmysł kompozycyjny i precyzję w opracowywaniu detalu. Wszystkie pozostaną niezrealizowanymi pomysłami kreatywnego twórcy. W ostatecznym rozrachunku mają tyle samo wspólnego z rzeczywistością co narysowany przez Kurmanowicza na jednej z perspektyw koncepcyjnych latający spodek nad łódzkim Śródmieściem.

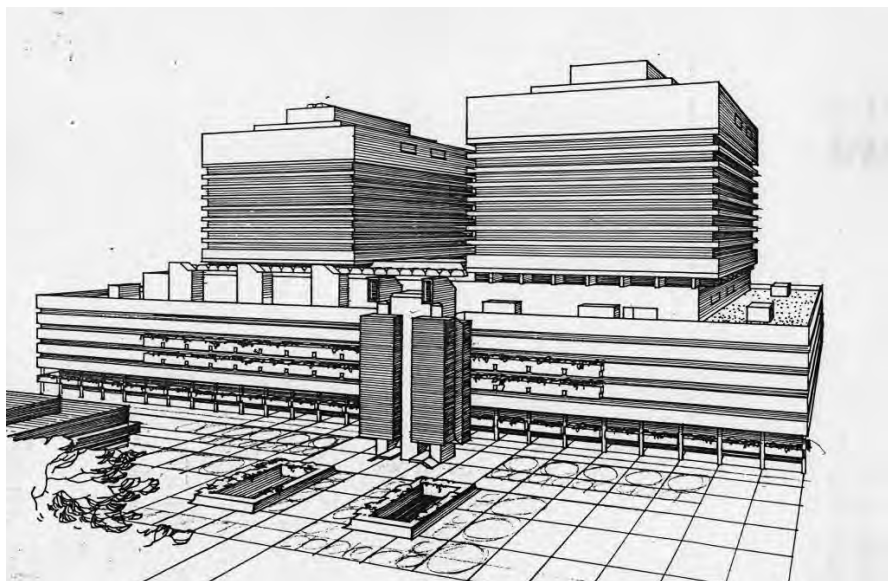
Wiedeńska szansa

W 1967 roku Jerzy Kurmanowicz otrzymuje list od stryja, który od lat mieszka w Wiedniu. Zaprasza go do siebie, oferuje dach nad głową oraz pomoc w znalezieniu pracy. To szansa dla polskiego architekta. Na miejscu rozpoczyna pracę w biurze projektowym T. Kammela. Pierwszy projekt to konkursowa koncepcja szkoły pedagogicznej w Baden. Wprawdzie nie jest to jego autorskie dzieło, pełni bowiem rolę współpracownika, ale stanowi zapowiedź nowych wyzwań stających przed Kurmanowiczem.

Kilka lat wcześniej japoński projektant Kezon Tange ogłasza, że oto zakończył się czas modernizmu i nastała era strukturalizmu. Architekci na całym świecie fascynują się nowymi możliwościami technicznymi, filozofią wzrostu i rozwojem. Budynki mają być otwartą strukturą, która może maleć lub rosnąć zależnie od oczekiwań i potrzeb użytkowników – snują na poły futurystyczne wizje. Kurmanowicz rozumie nowe trendy. Jako projektant w Kammel Architekten tworzy koncepcję modularnego ośrodka rehabilitacyjnego. Podstawowy moduł ma plan sześcioboku foremego, w którym, zależnie od przyjętego rozwiązania, może mieścić się sypialnia, łazienka z salonem kąpielowym lub otwarty, porośnięty bujną zielenią taras. Połączone ze sobą, tworzą schemat przypominający swym kształtem plaster miodu. W porównaniu do montrealskiego Habitatu 67 czy japońskich hoteli kapsułowych widać bardziej „ludzkie” podejście architekta do projektowanego przedmiotu. Kurmanowicz nie proponuje budynku-maszyny. Architektura ma służyć człowiekowi.

Utopia Wodnego Rynku

Gdy architekt opuszcza Wiedeń i wraca do Polski, nie przypuszcza zapewne, że za kilkanaście lat powróci nad Dunaj, by zrealizować dzieło swego życia. Tymczasem jest w Łodzi i projektuje zabudowę na dawnym Wodnym Rynku noszącym w PRL miano placu Zwycięstwa. Ogromny plac został przecięty dwupasmową trasą W-Z i do dziś stanowi przestrzeń, na której zagospodarowanie brakuje środków i pomysłu. Pierwsze powojenne plany jej aranżacji powstały w 1965 roku, gdy władze miasta postanowiły wznieść tam Dom Związków Zawodowych i z pomocą SARP-u zorganizowały konkurs. Zwycięska praca zespołu Jerzego Jakubczaka, mimo iż realizowała wytyczne



zakładające aranżację placu jako miejsca spotkań i manifestacji oraz nadanie budynkowi Związków pomnikowego charakteru, trafiła na półki. Dziesięć lat później dawny Wodny Rynek nadal straszy pustą przestrzenią. Zadanie jej wypełnienia powierzone zostaje Kurmanowiczowi, który najpierw uważnie analizuje prace poprzedników. Uważa, że skoro zabudowa placu ma być lokalną dominantą i niejako „bramą” prowadzącą do Śródmieścia, to powinien on mieć odpowiednią formę i skalę. Projektuje wieżowiec o wysokości 100 metrów mieszczący hotel oraz biura. Nieopodal niego znajduje się hala wielofunkcyjna przeznaczona na organizację imprez handlowych i okolicznościowych oraz czterokondygnacyjny Dom Związków Zawodowych. Prasa tryumfalnie obwieszcza, że prace budowlane ruszą w kolejnym, 1977 roku, a na początku lat 80. całość inwestycji będzie ukończona.

Ale okazuje się to utopią. Przez kolejne cztery dekady miasto nie doczekało się jednak stumetrowego drapacza chmur, a nierówna, podziurawiona asfaltowa powierzchnia placu Zwycięstwa pełni rolę parkingu.

Wiedeń i największe dzieło życia

W 1984 roku Kurmanowicz zostaje zaproszony, aby współtworzyć projekt największego szpitala klinicznego ówczesnej Europy – wiedeńskiego AKH. Poszczególne partie całego kompleksu powstają w różnych pracowniach. On ma być kierownikiem projektu, który je wszystkie scali, i zadba o spójność całej koncepcji. Nie waha się ani chwili i przeprowadza do Wiednia. Wątpliwości nie ma też żona. „To najważniejsza realizacja męża” – mówi. I tylko

podczas krótkich urlopów jeździ do Wiednia, ponieważ Kurmanowicz rzadko odwiedza Łódź. Zadanie, które mu powierzono, jest ogromne i pochłania mnóstwo czasu. Autor jednego z turystycznych przewodników po Wiedniu online rzucił złośliwym żartem, że gdyby Franz Kafka był architektem, to stworzyłby moloch podobny do AKH. Gdyby usłyszał to Kurmanowicz, z pewnością by się zachnął. Być może byłoby mu nawet przykro, bo przecież zawsze chciał projektować architekturę, która dzięki swej jakości dobrze służy ludziom. To nie jego wina, że w latach 70. i 80. w całej Europie postanowiono budować szpitale o wielkości odpowiadającej małemu miasteczku. Rotterdam, Berlin czy nawet Centrum Zdrowia Matki Polki w Łodzi przytłaczają swoją skalą, strasząc ogromem. Z nich wszystkich wiedeński AKH jest jednak największy. Jerzy Kurmanowicz jednak nie ujrzy już ukończonej budowli. 18 lutego 1989 roku umiera nagle w Wiedniu.

Błażej Ciarkowski
– dr inż. arch., historyk sztuki
Instytut Architektury i Urbanistyki PŁ

Artykuł niniejszy jest fragmentem książki powstającej w ramach projektu *Budowniczości „drugiej Polski”*. Łódzcy architekci w czasach PRL-u, realizowanego w ramach stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Bibliografia:

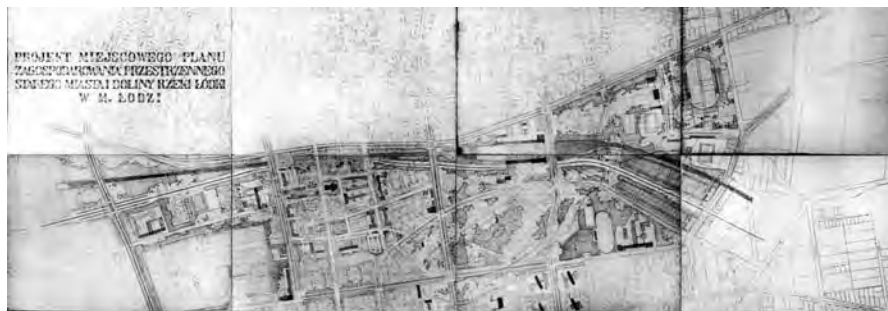
1. *Architektura, jakiej brakuje*, „Kurier Polski” 1979, nr 45, s. 1.
2. *Archiwum domowe* Heleny Kurmanowicz
3. Ciarkowski B., *Łódź, która nie powstała*, Księży Młyn Dom Wydawniczy, Łódź 2016.
4. *Jerzy Kurmanowicz. Status twórcy*, Teczka 133, archiwum ZG SARP.
5. *Jerzy Kurmanowicz – nekrolog*, „Dziennik Łódzki” 1989, nr 50, s. 4.
6. *Plac Zwycięstwa w Łodzi*, „Architektura” 1976, nr 5.
7. *Przyszły „Próchnik”*, „Dziennik Łódzki” 1973, nr 264, s. 3.
8. Szafer T.P., *Nowa architektura polska. Diariusz lat 1971–1975*, Arkady, Warszawa 1979.
9. Szafer T.P., *Nowa architektura polska. Diariusz lat 1976–1980*, Arkady, Warszawa 1981.
10. *Wystawa bez sklepu, czyli łódzki „Domus”*, „Dziennik Łódzki” 1966, nr 72, s. 3.

Fot. z archiwum autora

Łódź – miasto niedokończone

Ile estetyki, ile funkcjonalizmu?

Bogactwa naturalne, położenie geograficzne, rewolucja przemysłowa oraz sprzyjające warunki ekonomiczne to czynniki, które zaważyły na kierunku i tempie rozwoju wielu europejskich miast. Podobnie było z Łodzią. Z danych, które podaje Generał Kossecki w 1826 roku w liście do ministra skarbu Druckiego Lubeckiego, wynika, że spośród grona miast włókienniczych Łódź była osadą stosunkowo mało produktywną w zakresie eksportu sukna¹. W jaki więc sposób z miasteczka, które w 1800 roku niemalże utraciło prawa miejskie² miasto stało się kolebką polskiego przemysłu? Otóż dzięki działaniom Rajmunda Rembelińskiego w 1821 roku przystąpiono do pierwszych regulacji przygotowujących miejsce pod osadę rękodzielniczą³. W przeciągu zaledwie siedemdziesięciu lat z osady rolniczej Łódź stała się wielkim ośrodkiem przemysłowym, chętnie określanym mianem „polskiego Manchesteru”⁴. Gwałtowny rozwój małych przedsiębiorstw rzemieślniczych, a później przemysłu włókienniczego był w dużej mierze możliwy dzięki aktywności rządu Królestwa Kongresowego, który stworzył sprzyjające warunki społeczne, ekonomiczne i gospodarcze określone w Planie Krajowym⁵. Plany zagospodarowania nowych osad włókienniczych⁶ (również tych prywatnych) dają świadectwo temu, jak kluczowe znaczenie dla właściwego rozwoju gospo-



darczego Królestwa miała ówczesnie namiastka planowania przestrzennego. W wyniku tamtych decyzji planistycznych mnóstwo zabudowy przemysłowej wrosło w krajobraz i na zawsze zmieniło oblicze małej osady. Zespoły fabryczne obok kamienic stały się pierwszoplanowym czynnikiem miastotwórczym, a immanentną cechą każdego z nich było to, że tworzyły lokalne „minimiasta”, nierzadko stanowiąc przy tym zamknięte enklawy.

Próba zapanowania nad destrukcją

Ten żywiołowy rozwój spowolnił wybuch pierwszej wojny światowej. Pomimo niezaprzeczalnie destrukcyjnej i grabieżczej działalności okupanta energicznie i sprawnie działająca niemiecka administracja przyczyniła się do sporządzenia planu zabudowy miasta pod kierunkiem niemieckiego architekta i urbanisty Christophera Rancka. Był to pierwszy tego typu plan zapowiadający potrzebę restrukturyzacji przestrzennej zdegradowanej i chaotycznie zabudowanej Łodzi i pierwsza próba zapanowania nad destrukcyjną działalnością zakładów przemysłowych⁷. W sporządzonym planie uderzającym elementem są liczne przestrzenie placowe tworzące punkty węzłowe, połączone osiami kompozycyjnymi. Plan Rancka zakładał m.in. stworzenie osi wschód–zachód w śladzie ówczesnej ulicy Głównej (obecnie Mickiewicza), przebiecie nowej osi wschód–zachód w śladzie obecnej ulicy Małachowskiego. Pomimo inkorporacji terenów w 1915 roku rozwój przestrzenny wciąż skierowany był na wschód od ulicy Piotrkowskiej⁸. Plan zakładał także przebiecie ulicy Targowej, aż do skrzyżowania ulic Źródłowej, Brzezińskiej (obecnej Wojska Polskiego), Marysińskiej. Założenie urbanistyczne Rancka przewidywało stworzenie systemu zieleni miejskiej, której zadaniem było poprawienie warunków bytowych i sanitarnych.



Jednym z czynników decydujących o realizacji tego planu był pomysł utworzenia sztucznego zbiornika na rzece Jasień w miejscu ujścia do rzeki Ner. Autor planu uważał, że dla przyszłości zieleni miejskiej konieczne będzie opracowanie prawa miejscowego o ochronie terenów zielonych. Próbuąc rozwiązać problematykę zieleni miejskiej, zaproponował system alei i ścieżek, które spajały większe organizmy zieleni⁹.

Z punktu widzenia kształtowania i porządkowania struktury przestrzennej plan Rancka był pierwszym projektem, który tak wysoko postawił kwestie estetyki, kompozycji i jakości życia w mieście. Na uznanie zasługuje zmiana myślenia o terenach dolin rzecznych. Od tej pory miały stać się ważnym obszarem poprawiającym jakość życia w mieście. Pogłębiający się kryzys sanitarny oraz intensyfikacja zabudowy przyczyniły się do poszukiwania wartościowych elementów poprawiających jakość życia w systemie organizmów zielonych. Plan Rancka stał się punktem zwrotnym w myśleniu o łódzkiej strukturze miejskiej, był także ważnym dokumentem, będącym preludium dla późniejszych prób rozwiązania problemów związanych z działalnością przemysłową miasta.

Zachować czy burzyć pierzeje ulic

Okres międzywojenny to próba uzupełniania pierzei ulic zabudową czynszową. Obok wciąż funkcjonujących fabryk powstawały budynki użyteczności publicznej. Krokiem milowym w rozwoju miasta był przyjęty plan budowy infrastruktury komunalnej, sporządzony przez angielskiego inżyniera Williama Lindleya. Inwestycja ta niosła za sobą potrzebę stworzenia ogólnego planu kształtowania przestrzeni miasta. Prace nad nim początkowo powierzono Władysławowi Michalskiemu. Plan ten stał się punktem zapalnym w dyskusji o przyszłości Łodzi. Sprzeciw łódzkich przemysłowców był przyczyną konfliktów w środowisku samorządowym. Christopher Ranck poproszony o wyrażenie swojej opinii na temat projektu Michalskiego w dużej mierze podważał zasadnicze pomysły magistratu. Ranck jako pierwszy krytycznie wypowiedział się na temat poszerzania ulic poprzez wyburzanie całego ciągu pierzei. Działanie to w warunkach łódzkich nie miało najmniejszego pokrycia w istniejącej strukturze miejskiej¹⁰. Stwarzało o wiele większe zagrożenie, degradujące strukturę Łodzi, a także przyczyniało się do generowania niepotrzebnych kosztów. Projekt poszerzenia ulicy Targowej sporządzony w 1923 roku był z pewnością jednym z przejawów błędnych decyzji łódzkich samorządowców. Historia pokazała, że niemiecki urbanista miał rację, mówiąc o nieskuteczności destrukcyjnych działań wymierzonych w ciągi łódzkich pierzei. Zrealizowane projekty poszerzenia ulic pół wieku później odbiły się negatywnie na strukturze miejskiej, co przyczyniło się do utraty przez Łódź unikalnego

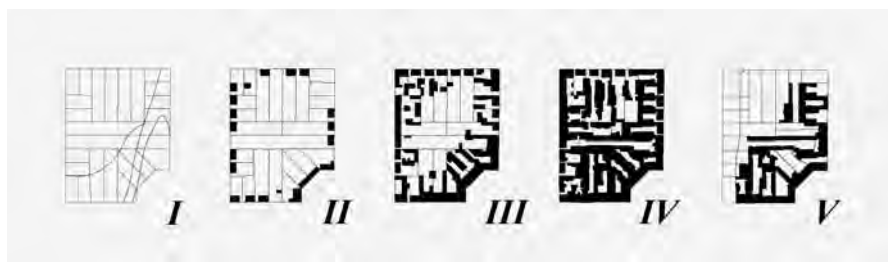
kodu genetycznego miasta. Ostatecznie jednak *Ogólny plan zabudowania miasta Łodzi* został uchwalony w 1935 roku, lecz w znacznie okrojonej formie w stosunku do planu poprzedniego.

Socrealistyczna „miejskość” Bałut

Okres drugiej wojny światowej przyniósł pod tym względem mniej skutków negatywnych niż późniejsze tendencje dezurbanizacyjne z okresu powojennego. Powojenne władze z jednej strony honorowały robotniczy charakter Łodzi, z drugiej jednak fenomen kapitalistycznego miasta był przyczyną wielu zaniechań. Kluczowym obszarem nowej socrealistycznej Łodzi miały stać się Bałuty. W kwestiach urbanistycznych pomimo niedokończonych realizacji założenie dzielnicy Bałut stanowi obecnie logiczny oraz czytelny układ kompozycyjny. Zdecydowanie pozytywnym aspektem stało się więc kształtowanie zabudowy odnoszącej się do urbanistyki z okresu XIX wieku. Pierzeje tworzące nowe ulice, skala zabudowy, która decyduje o śródmiejskim charakterze tego obszaru, a także umiejscowienie lokali usługowych w parterze spowodowały, że możemy mówić o wykształconej „miejskości”. Jest dziś paradoksem, że w odniesieniu do późniejszych praktyk urbanistycznych projekty urbanistyczne powstałe w okresie najbardziej brzemiennego w skutkach reżimu stalinowskiego cechowała pewna zauważalna humanizacja przestrzeni miejskich. Natomiast katastrofalne w skutkach decyzje planistyczne z przełomu lat 60. i 70. wpłynęły negatywnie na ostateczny, tj. dzisiejszy obraz najbardziej wartościowej części Łodzi¹¹.

Miasto wciąż niedopowiedziane

W połowie XX wieku Adam Ginsbert określił Łódź, jako miasto *In statu nascendi*, co w dosłownym tłumaczeniu oznacza miasto nie w pełni ukształtowane. Jego diagnoza oparta była o stan istniejący, który wykazywał wyraźne braki zarówno w infrastrukturze technicznej, infrastrukturze komunikacyjnej, jak i w strukturze przestrzennej. Adam Ginsbert pisał: „Plan urbanistyczny Łodzi z 1827 r., mimo wielu niezaprzeczalnych zalet, cechuje jednak pewna istotna wada, wynikająca z rozczłonkowania miasta na trzy odrębne organizmy. Brak





między poszczególnymi osadami odpowiednich powiązań komunikacyjnych stanowi o niedostatecznym skoordynowaniu całości układu miejskiego Łodzi, co w dalszej przyszłości odbijać się będzie ujemnie na jej ogólnym rozwoju”¹². Zdiagnozowane w latach 50. XX wieku wyżej opisane problemy w dużym stopniu pozostały nierozwiązane do dziś. Wykształcone w toku rozwojowym bariery przestrzenne nadal świadczą o dezintegracji struktury przestrzennej. Sieć urbanistyczna charakteryzuje się brakiem w pełni wykształconych ciągów komunikacyjnych, które łączyłyby istotne fragmenty miasta¹³.

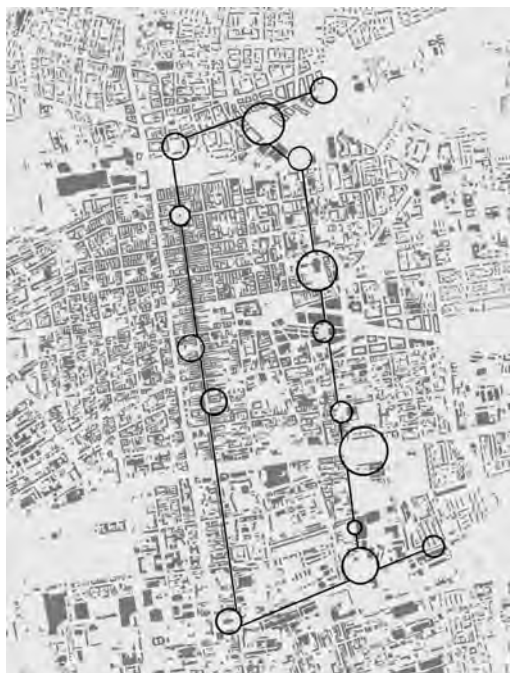
Słabo rozwinięta infrastruktura techniczna jest jednym z głównych powodów, dla których mieszkańcy wolą mieszkać na osiedlach z dostępem do ogólnomiejskiej sieci ciepłowniczej. Niedostatki w sieci komunikacji zbiorowej mają pośredni wpływ na atrakcyjność tego typu transportu. Eroza substancji miasta, a w szczególności postępująca destrukcja kamienic oraz obiektów przemysłowych wpływa bezpośrednio na utratę cech potocznie uznawanych za miejskie. Nieukończony proces budowy miasta jest szczególnie widoczny w pierzejach łódzkich ulic, które w wyniku decyzji z przełomu lat 60. i 70. utraciły swoje *genius loci* oraz miejski charakter (mowa tu o ul. Zachodniej, ul. Narutowicza, al. Piłsudskiego, ul. Kilińskiego).

Warto zaznaczyć, że jednym z wyznaczników „miejskości”¹⁴ może być m.in. wyraźny podział pomiędzy przestrzenią publiczną a przestrzenią prywatną. W wypadku tych ulic granice pomiędzy przestrzenią publiczną a przestrzenią prywatną są „płynne”. W innym aspekcie „miejskość” określana jest dzięki istnieniu wieloznacznej przestrzeni posiadającej takie elementarne składniki miasta, jak ulica, plac, budynek, pierzeja, które wpływają na ostateczną kompozycję formy urbanistycznej. W przypadku Łodzi do dziś

widoczne jest rozwarstwienie struktury przestrzennej pomiędzy najstarsze organizmy miejskie. Okazuje się, że na przestrzeni lat to, co miało stanowić główne bodźce rozwoju – kolej żelazna, dolina Jasieni oraz dolina Łódki, stało się obszarami niezdefiniowanymi, pozbawionymi cech miejskich¹⁵. Układ substancji miasta, postępująca degradacja oraz nierozwiązany problem barier przestrzennych są uzasadnieniem tezy zawartej w tytule.

Jak „dokończyć” miasto

W badaniach nad stopniem „ukończenia miasta” pomocne mogą okazać się zagadnienia z zakresu geografii miast. Jedną z najważniejszych metod badawczych jest analiza przemian formy urbanistycznej. Analiza przekształceń miasta na przestrzeni lat pozwala zrozumieć głębokie i nierozzerwalne związki pomiędzy przeszłością a teraźniejszością. Przemiany morfologiczne formy urbanistycznej w Łodzi z podziałem na poszczególne procesy trafnie opisuje teoria M.R.G. Conzena (Michael Robert Gunther Conzen). Mówi ona o pięciu poszczególnych procesach przekształcania formy urbanistycznej, a mianowicie: procesie wypełniania, procesie uzupełniania, procesie przekształcania, fazie recesywnej oraz erozji substancji miejskiej. Pierwszy z nich polega na stopniowym wypełnianiu pierwotnych układów morfologicznych, zmiany dotyczą intensywności zabudowy. Drugi proces, uzupełniania, polega na tworzeniu nowych jednostek morfologicznych obok tych istniejących. Natomiast trzeci proces, przekształcania, niesie ze sobą częstokroć kompleksową przebudowę istniejących struktur przestrzennych. Proces ten jest działaniem mającym na celu stworzenie nowych, w większym stopniu wydolnych, funkcjonalnych i estetycznych form. Transformacja ta ma więc w dużej mierze wymiar jakościowy¹⁶. Dwa ostatnie procesy są ściśle powiązane z erozją substancji miasta, proces ten jest szczególnie znamieny w kontekście łódzkiej tkanki. Metoda Conzena jest prawdopodobnie





najbardziej odpowiednim narzędziem pozwalającym opisać proces tworzenia się miasta. Na grunt polski metoda ta została przeniesiona przez prof. Marka Kotera i nazywana jest urbomorfologią. Ten wprowadzony do literatury badawczej termin określa naukę o budowie struktury miejskiej, jej pochodzeniu oraz o wpływie wstępnego rozplanowania na ostateczny kształt struktury¹⁷. Pomimo tego, że teoria przemian formy urbanistycznej odnosi się zazwyczaj do działki miejskiej, to w przypadku syntetycznej analizy dokonanej na znacznie większym obszarze miasta mogą wyodrębnić się np. elementy, rejony, które w swojej formie nigdy nie posiadały cech miejskich, i takim obszarem jest właśnie m.in. dolina rzeki Jasień i dolina rzeki Łódki.

Expo International szansą

Wydawać by się mogło, że transformacja ustrojowa przyniesie nowe perspektywy w kształtowaniu miasta, niestety, jego przemysłowa część została pozostawiona samej sobie. Nawarstwienie problemów przestrzennych, społecznych i ekonomicznych powoduje, że dokończenie miasta może okazać się procesem niezwykle trudnym, a przede wszystkim długofalowym. Choć z pewnością jest procesem potrzebnym i koniecznym, warunkującym prawidłowe funkcjonowanie Strefy Wielkomiejskiej. Z drugiej jednak strony są środki, dzięki którym dokończenie miasta byłoby możliwe w stosunkowo krótkim odstępie czasu. Wystawy Światowe od niemalże 160 lat przyczyniają

się do rozwoju miast i stają się głównym motorem napędowym tego procesu. Być może to właśnie Expo International jest szansą na dokończenie lub uzyskanie (przynajmniej do pewnego stopnia) miasta dojrzałego w formie. Niezbędne w tym względzie byłoby wskazanie optymalnego miejsca.

Czy Nowe Centrum Łodzi jest właśnie takim obszarem? Na to pytanie nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Ale z pewnością liczba obecnie niezagospodarowanych hektarów terenu w ścisłym centrum jest znakomitą zaletą tego miasta.

Należy przy tym jednak pamiętać, że kluczem do uzyskania spójnej formy urbanistycznej jest nie tylko integracja historycznych organizmów miejskich, ale również uzupełnienie „brakujących” elementów w strukturze przestrzennej miasta, czyli właściwe przeznaczenie m.in. terenów pofabrycznych, terenów doliny rzeki Łódki czy doliny rzeki Jasień.

W tym przypadku zarówno wzmocnienie znaczenia bogactw naturalnych doliny, jak i dziedzictwa przemysłowego będzie stanowić o zachowaniu swobodnego charakteru tej części Łodzi.



pierwsze kolony

Wciąż nieodkryty potencjał

Jednym z podstawowych czynników mających wpływ na dokończenie miasta jest świadome kształtowanie jego kompozycji.

Nowe przebiecia drogowe mogą z powodzeniem stać się środkiem do osiągnięcia pewnych celów służących jej kształtowaniu. Formowanie osi, dominant czy zamknięć perspektywicznych wpływa pozytywnie na odbiór przestrzeni miejskiej przez mieszkańców. W ten sposób miasto może podkreślać, wyodrębniać, wyeksponować najbardziej wartościowe obiekty architektoniczne.

Niestety, wadą prostopadłej siatki ulic jest stosunkowo małe prawdopodobieństwo występowania obiektów architektonicznych stanowiących zamknięcia perspektywiczne. Człowiek posiada naturalną skłonność do generalizowania kształtów i porządkowania widzianych elementów.

Orientacja przestrzenna jest „podstawową umiejętnością człowieka (choć w różnym stopniu uświadamiana i posiadana) umożliwiającą życie i działanie w czasoprzestrzeni”¹⁸. Kształtowanie osi kompozycyjnych, dominant, zamknięć ma bezpośredni wpływ na czytelność formy urbanistycznej i niewątpliwie jest miarą jej jakości. Dzięki nowym wglądom i zamknięciom perspektywicznym kształtowanie tożsamości przestrzennej mogłoby wpłynąć pozytywnie na świadomość mieszkańców Łodzi, ale także podnieść jej walory krajobrazowe i architektoniczne.

Nieodkryty potencjał Łodzi może powodować wypieki na policzkach architektów i urbanistów. Możliwości rozwoju, odkrycia i wreszcie dokończenia miasta jest wiele – trzeba jednak pamiętać, że miasto to nie tylko działania twarde. Są też „miękkie” aspekty tworzenia miasta dojrzałego. Miasto to przede wszystkim społeczność. Budowa wspólnoty obywatelskiej, praca u podstaw, edukacja społeczeństwa to zagadnienia, które w sposób miękki mogą przyczynić się do wzrostu świadomości łódzian, jak również świadomości u potencjalnych inwestorów. Być może nadszedł czas, by odrzucić powszechny argument o konieczności kształtowania miasta funkcjonalnego, a w zamian otworzyć profesjonalną dyskusję na temat szeroko pojętego piękna miasta, które w dużej mierze zostało chyba kiedyś zapomniane.

Kamil Kowalski,

– architekt i urbanista, pracownik Biura Architekta Miasta

Bibliografia:

1. Bocheński A., *Wędrówki po dziejach przemysłu polskiego, tom 1*, Krajowa Agencja Wydawnicza, Warszawa 1987.
2. Ginsbert A., *Łódź, Studium Monograficzne*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1962.
3. Kantarek A.A., *Orientacja w przestrzeni miasta*, Kraków 2013.
4. Koter M., *Fizjonomia, morfologia i morfogeneza miasta. Przegląd rozwoju oraz próba uściślenia pojęć*, „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Łódzkiego. Nauki Matematyczno-Przyrodnicze”, II, 55, Łódź 1974.
5. *Księga pamiątkowa dziesięciolecia Samorządu Miasta Łodzi: 1919–1929*, Łódź 1930.

6. Leyberg (Ostrowski) W., *Poszerzenia i przebicia ulic (II)*, „Architektura i Budownictwo”, 1935, nr 12.
7. Olenderek J., *Proces kształtowania przestrzeni w Łodzi II Rzeczypospolitej a awans administracyjny miasta. W poszukiwaniu przesłanek rozwoju Łodzi III Rzeczypospolitej*, Łódź 2004.
8. Ostrowski W., *Świetna karta z dziejów planowania w Polsce 1815–1830*, Nakładem Towarzystwa Urbanistów Polskich, Warszawa 1949.
9. Pietkiewicz Z., *Przewodnik po wystawie rzemieślniczo-przemysłowej w Łodzi: 1912*, Druk J. Szczesniewskiego, Łódź 1912.
10. Pireveli M., *Od morfologii przez urbomorfologię do morfoznaku* [w:] „Przegląd Geograficzny”, T. 83, Z. 4, 2011.
11. *Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego, tom V*, Sulimierski F. (red.), Warszawa 1884.
12. Stawiszyńska A., *Łódzka zieleń w cieniu Wielkiej Wojny* [w:] „Acta Universitatis Lodzensis. Folia Historica 92”, 2014.
13. Stefański Krzysztof, *„Złota epoka” Gierka i budowanie nowej, socjalistycznej Łodzi* [w:] *Pod dyktando ideologii. Studia z dziejów architektury i urbanistyki w Polsce Ludowej*, Knap P. (red.), IPN Szczecin, Szczecin 2013.
14. Stępniewski M., Szambelan Z., *Mapa – Rozwój Terytorialny Łodzi*, http://uml.lodz.pl/miasto/o_miescie/wydawnictwa_o_lodzi/piotrkowska_104/rozwój_terytorialne_lodzi__mapa (dostęp 5.06.2015).
15. *Studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego miasta Łodzi*, Łódź 2002.
16. Wiśniewski M., *Adaptacja obiektów i zespołów przemysłowych jako czynnik restrukturyzacji miasta przemysłowego (żywa tkanka miasta i jej metamorfozy)* [w:] „PRO-REVITA”, Międzynarodowa Konferencja. Zakres i granice ingerencji konserwatorskiej w adaptacji obiektów i zespołów przemysłowych, Łódź 2010.
17. Wiśniewski M., *Wpływ planowania przestrzennego na rozwój strefy zurbanizowanej Łodzi w okresie powojennym*, Monografie Politechniki Łódzkiej, Łódź 2012.

kultura

Złote Pióro dla Błażeja Filanowskiego

Gustaw Romanowski

str. 81

Festiwal Łódź Czterech Kultur

Z akcentem na wydarzenia muzyczne

Paweł M. Sobczak

str. 83

Antoni Starczewski

Łódzki, oryginalny, światowy

Gustaw Romanowski

str. 91

Ostatnia wystawa w Atlasie Sztuki

Czternaście lat prawdziwego mecenatu

Błażej Filanowski

str. 98

Złote Pióro dla Błażeja Filanowskiego

kultura

Od 18 lat przyznawane jest w Łodzi wyróżnienie dla aktywnego młodego dziennikarza i publicysty obserwującego z inteligentną i krytyczną uwagą życie kulturalne w mieście. Tegoroczny laur Złotego Pióra im. Jerzego Katarasińskiego kapituła przyznała Błażejowi Filanowskiemu, który od ponad sześciu lat wzbogaca łamy „Kroniki Miasta Łodzi” swoimi artykułami, a od 2015 roku współredaguje łódzki kwartalnik samorządowy. Cieszę się, że dostrzeżono walory publicystyki mojego młodszego Kolegi, która skupia się na różnych stronach i zagadnieniach łódzkiej kultury.

Błażej Filanowski, choć z wykształcenia jest historykiem sztuki, nie zawęży tematów swoich tekstów tylko do podejmowania się ocen czystej działalności artystycznej. Zaletą jego twórczości publicystycznej jest spojrzenie na zjawiska kulturowe z uwzględnieniem ich wielorakiego społec-



nego charakteru. Dlatego w jego autorskich rozważaniach jest wiele o tym, jak społeczne idee splecione z tkanką kultury kształtują pozytywny obraz miasta, a szczególnie wiele uwagi poświęca architekturze i otwartym nowatorskim pomysłom miastotwórczym.

Nagrodę Złotego Pióra ustanowiła 19 lat temu posłanka Iwona Śledzińska-Katarasińska, dedykując ją pamięci Jerzego Katarasińskiego (1937–1989), łódzkiego dziennikarza, krytyka teatralnego, autora filmów telewizyjnych, którego można dziś stawiać za wzór odpowiedzialnego, wysokiej klasy dziennikarstwa, klarownego języka i szacunku wobec zjawisk autentycznej kultury. Tę ideę podniosła kapituła, przyznając nagrodę Błażejowi Filanowskiemu „za analityczny zrozumiały język wypowiedzi oraz umiejętność dostrzegania społecznych aspektów kultury”. Uroczyste wręczenie Złotego Pióra nastąpiło 10 września 2017 roku w salach Centralnego Muzeum Włókiennictwa.

Obecny laur Złotego Pióra nie jest pierwszym, który otrzymał członek redakcji „Kroniki Miasta Łodzi”. W 2012 roku laureatem tej nagrody został Marcin Kieruzel. Obecnie mieszka i pracuje w Warszawie, ale nie wyklucza, że wróci do Łodzi. Także jego wieloletniemu zaangażowaniu, pracowitości i publicystycznemu talentowi nasz kwartalnik samorządowy wiele zawdzięcza.

Gustaw Romanowski

Festiwal Łódź Czterech Kultur

Z akcentem na wydarzenia muzyczne



kultura

W połowie września łodzianie oraz przyjezdni goście mieli okazję uczestniczyć w kolejnej edycji Festiwalu Łódź Czterech Kultur, odbywającej się tym razem pod przewodnim hasłem „Alfabet Dialogu”. Ten najbardziej łódzki – jak niebezpiecznie przekonują organizatorzy – z festiwalu na dobre zdążył już wpisać się w tradycję miasta zainaugurowaną w roku 2002 pierwszą niezwykle efektowną edycją, wówczas pod nazwą Festiwal Dialogu Czterech Kultur.

Przez te 15 lat zmieniała się nazwa, formuła, dyrektorzy, ale jedno pozostało niezmiennie – inspiracja wielokulturowym dziedzictwem Łodzi i chęć przypomnienia dorobku mieszkających i tworzących tu Polaków, Żydów, Niemców i Rosjan. W sposób naturalny ciężar organizowania tej imprezy kilka lat temu przejęło na siebie Centrum Dialogu im. Marka Edelmana, czyli instytucja, której statutowym celem jest m.in. „popularyzowanie dorobku różnych kultur” oraz „promowanie wielokulturowego i wieloetnicznego dziedzictwa Łodzi”. Decyzję o powierzeniu tych zadań Centrum Dialogu można było witać ze sporymi nadziejami, znając energię i fachowość dyrektor Joanny Podolskiej oraz jej zespołu. Po raz pierwszy jednak za merytoryczną stronę festiwalu odpowiadało aż czterech kuratorów – Teresa Łatuszewska-Syrda (sztuki wizualne), Marcin Porcari (teatr), Przemysław Owczarek (literatura i film) oraz Marcin Tercjak (muzyka). Przygotowali oni zróżnicowany program artystyczny i edukacyjny, na który złożyło się kilkadziesiąt koncertów,



spektakli, projekcji, instalacji, spotkań i konferencji. Dominującą rolę odegrały jednak w tym roku przede wszystkim wydarzenia muzyczne, które spięły festiwal efektowną klamrą.

Między Dylanem a Mashą Qrellą

Spotkania z Łodzią Czterech Kultur rozpoczęły się na dobre w ciepły piątkowy wieczór od występu Łukasza Lacha, zatytułowanego *10 piosenek Boba Dylana*, zakończyły zaś w kolejną niedzielę anonowanym od kilku miesięcy koncertem finałowym *Cohen i kobiety*. Ten ostatni, zorganizowany z dużym rozmachem jako hołd dla niezwykle popularnego w Polsce kanadyjskiego barda, miał godnie zwieńczyć dziewięciodniowy festiwalowy maraton. Nic dziwnego, że szybko znalazł się w centrum medialnego zainteresowania. Interesująco wypadł także kameralny koncert inauguracyjny w radiowym Studiu im. Henryka Debicha, który na żywo obserwować mogło pewnie około trzydziestu siedzących wokół sceny osób. Usłyszeli 10 piosenek autorstwa ubiegłorocznego noblisty, zagranych przez znanego przede wszystkim z zespołu L.Stadt wokalistę i kompozytora, któremu towarzyszyli „muzyczni przyjaciele” (wśród nich m.in. Karim Martusewicz – na co dzień Voo Voo, od święta Karimski Club i inne projekty). Łukasz Lach chętnie podkreśla, że twórczość Dylana towarzyszy mu od wielu lat, i niewątpliwie dało się to odczuć – pochodzące przeważnie z lat 60. Dylanowskie klasyki (m.in. *Tell Me Mama*, *If You Gotta*

Go, Go Now, Positively 4th Street) nabrały nowego autorskiego charakteru, nie tracąc jednak przy tym pierwotnego ducha. Muzykom udało się także, na tej ledwie dziesięcioutworowej próbce, pokazać kilka różnych twarzy Dylana – songwritera, barda, bluesmana, ale także muzyka rockowego, którego występ w Newport wzbudził niegdyś niezadowolone folkowej publiczności.

Dziś Bob Dylan nie jest już niesfornym folkowym rene-gatem, ale klasykiem muzyki rozrywkowej i literatury, uświęconym przez Komitet Noblowski. Zwolennicy muzycznej alternatywy stawiali się więc pewnie bardziej na wspólny występ Mashy Qrelli, niemieckiej wokalistki o rosyjskich korzeniach – więc znakomicie wpisującej się swą biografią w łódzki festiwal – oraz Korteza. To młody muzyk z Iwonicza, którego artystyczna wrażliwość zachwyciła najpierw słuchaczy radiowej Trójki, potem przyznającą Fryderyki Akademię Fonograficzną, a także tzw. szeroką publiczność. Blisko dwugodzinny koncert na Dużej Scenie Teatru Nowego z pewnością nie zawiódł słuchaczy. Mogli oni zresztą obserwować nie tylko zmieniające się konfiguracje muzyków, ale także efektowną grę świateł, wydatnie wspomagającą dynamikę koncertu. Najpierw zaprezentowała się niemiecka artystka wspomagana przez dwóch muzyków, później był wspólny występ Korteza z jego niemieckimi przyjaciółmi, wreszcie indywidualny set zawierający tak oczekiwane przeboje: *Zostań i Z imbiem*. Współpraca obojga artystów – zapoczątkowana wspólną trasą, podczas której Masha Qrella pełniła rolę supportu – ma mieć ponoć także ciąg dalszy, z czego wypada się tylko cieszyć. Głęboki, niski wokal



Korteza zderzony z proponowanymi przez Maszę wspomaganymi elektroniką brzmieniami jest intrygujący.

Oblicza tradycji

Przygotowujący muzyczną stronę festiwalu Marcin Tercjak zaproponował w tym roku kilka spotkań z artystami reinterpreterującymi tradycyjną żydowską kulturę. Taki charakter miał oczekiwany z dużym zainteresowaniem koncert Symchy Kellera – do niedawna przewodniczącego Łódzkiej Gminy Wyznaniowej Żydowskiej, który nagrał właśnie dwupłytowy album *Bramy*, wypełniony przede wszystkim charakterystycznymi chasydzkimi nigunami z różnych stron Europy Środkowo-Wschodniej (Białoruś, Transylwania, Mazowsze). W repertuarze znalazły się także fragmenty Talmudu czy psalm, ale wypełniony po brzegi klub Scenografia porwały przede wszystkim ekstatyczne, rytmiczne pieśni, z którymi ruch chasydzki jest najbardziej kojarzony. Pochodzące z XIX wieku melodie, prezentowane niekiedy w stylistyce igrzysk rockowej (a nawet punkowej), oraz mocny głos Kellera, grającego również na flecie, stworzyły bardzo ciekawy amalgamat – nowoczesny, ale zachowujący głęboki, mistyczny wymiar; taki jak w wieńczącej koncert pięknej modlitwie „za tych, co wiedzą, ale nic nie robią”, aby zapobiec złu.

Inne obszary żydowskiej tradycji muzycznej eksplorują artyści z zespołu Yankel Band. Ich koncert, który pierwotnie miał odbyć się na bałuckim podwórku przy ul. Młynarskiej, przeniesiono – ze względu na nie-sprzyjającą pogodę – do festiwalowego klubu na placu Wolności. Tam został zilustrowany okolicznościowym rysunkiem autorstwa gościa specjalnego festiwalu, zamieszkałego w Stanach Zjednoczonych reżysera i scenarzysty Andrzeja Krakowskiego. Aura dopisała za to, kiedy na Starym Rynku zagrała brytyjska Yiddish Twist Orchestra, łącząca klasyczne pieśni idysz z tanecznymi rytmemi twista czy mambo. Ten występ został jednak nieco przyćmiony przez późniejszy rewelacyjny koncert gwiazdy izraelskiego rocka Dudu Tassy i jego zespołu The Kuwaitis. Dudu jest artystą cenionym i rozchwytywanym – latem wystąpił w krakowskiej Synagodze Tempel i na festiwalu Colours of Ostrava, zaś wiosną uczestniczył w amerykańskiej trasie Radiohead. Jego muzyczna podróż śladami dziadka, tworzącego w Bagdadzie muzyka i kompozytora, okazała się bardzo udanym eksperymentem. Liczące sobie sto lat pieśni, śpiewane po hebrajsku i arabsku, nowocześnie zaaranżowane i opatrzone bogatym instrumentarium (gitara, perkusja, sekcja smyczkowa – skrzypce, wiolonczela, qanun) zabrzmiały w przestrzeni żydowskiego niegdyś Starego Miasta wyjątkowo.

Warto wspomnieć o jeszcze jednym niezapomnianym muzycznym wieczorze, podczas którego w Teatrze Nowym wystąpiły zespoły



L.Stadt i Młynarski Plays Młynarski. Łódzki kwartet przedstawił materiał ze swojej najnowszej płyty *L.Story*, czyli piosenki do słów Konrada Dworakowskiego, skomponowane na okoliczność Koalicji Miast dla Europejskiej Stolicy Kultury we Wrocławiu. To jednorazowe początkowo zamówienie przerodziło się w najbardziej osobisty, przejmujący i – po prostu – najlepszy album w dorobku L.Stadt. Na teatralnej scenie zabrzmiał on nieco inaczej; specyficzna akustyka pozwoliła pełniej wybrzmieć Wielkiemu Chórowi Małej Chorei. Dwudziestotrzuosobowy chór towarzyszył muzykom na scenie, a od czasu do czasu, niczym w antycznej tragedii, wysuwał się na pierwszy plan, jak choćby w utworze *Pozwól zasnąć / Idzie sen*. Bardziej dyskretny, choć także zauważalny, był jego udział w *Oczach kamienic* – piosence promującej album, która dotarła aż do trzeciego miejsca Listy Przebojów Programu Trzeciego, a w czwartkowy wieczór zabrzmiała dwukrotnie. Później sceną i publicznością niepodzielnie zawładnęli już Jan Młynarski, Piotr Zabrodzki, Wojciech Traczyk i towarzysząca im od siedmiu lat Gaba Kulka. Z przepastnego repertuaru tekstów autorstwa Wojciecha Młynarskiego wybrali oni kilkanaście, opatrując je efektowną aranżacją, ujawniającą inspiracje jazzowe, swingowe, a niekiedy też dancinowe. Utwory takie jak *Nie ma jak u mamy*, *Ogrzej mnie*, *Piosenka starych kochanków*, *Jesteśmy na wczasach* otrzymały w ten sposób oryginalną oprawę. Zaproszenie do projektu Gaby Kulki, dysponującej znakomitym głosem i niemałymi talentami aktorskimi, okazało się strzałem w dziesiątkę. Festiwalową publiczność zachwycić mógł nie tylko kunszt i profesjonalizm

muzyków, ale także ich poczucie humoru. Gwoździem programu stała się piosenka *Podchodzą mnie wolne numery*, podczas której artyści jakby dla żartu zamienili się rolami – Jan Młynarski śpiewał, a Gaba Kulka zajęła jego miejsce za perkusją i w tej roli poradziła sobie, mimo początkowego popłochu, zupełnie dobrze.

Teatr ogromny, a literatura?

O koncertach odbywających się w ramach Festiwalu Łódź Czterech Kultur można byłoby pisać jeszcze długo. Kilka słów wypada jednak poświęcić także innym obszarom kultury silnie obecnym w tegorocznym festiwalowym programie. Bardzo interesujący i różnicowany okazał się repertuar teatralny. Na scenie Teatru Muzycznego widzowie mogli obejrzeć spektakl *Ucieczka z kina Polskość*, przygotowany przez kabaret Pożar w Burdelu oraz Teatr Polski im. Arnolda Szyfmana z Warszawy. Tę szaloną, hybrydyczną kabaretowo-musicalową opowieść zaludnioną postaciami z historyczno-filmowego imaginarium tworzy wielu znakomitych aktorów, z Andrzejem Sewerynem na czele. Filmowy Maks Baum, prymas Wyszyński i rejent Milczek prezentuje tu nie tylko aktorskie mistrzostwo, ale także dystans do samego siebie i własnego artystycznego wizerunku. Duże zainteresowanie wzbudziło także wstrząsające *Ashes to Ashes* Badac Theatre oraz *Czarnobylska modlitwa* – dramat przy-



gotowany przez Republikański Teatr Dramaturgii Białoruskiej, bazujący na słynnym reportażu noblistki Swiatłany Aleksijewicz. Szczególną, nieprzewidywaną początkowo przez organizatorów wymowę zyskała natomiast sceniczna interpretacja *Antygony w Nowym Jorku* Janusza Głowackiego. Nieoczekiwana śmierć pisarza, który zapowiadał przecież swoją obecność na premierze, sprawiła, że spektakl stał się hołdem złożonym Głowackiemu przez aktorów i publiczność.

Bogactwo tegorocznej oferty muzycznej, teatralnej czy też związanej ze sztukami plastycznymi (liczne murale i instalacje) uwypukliło skromny udział w programie tegorocznego festiwalu wydarzeń powiązanych z literaturą. Taki charakter miało oczywiście wiele koncertów, nie sposób przecież kwestionować literackich walorów tekstów Boba Dylana, Leonarda Cohena czy Wojciecha Młynarskiego. Mając jednak w pamięci kilka wydarzeń z lat ubiegłych – spotkanie z Natalią Gorbaniewską czy wykład o łódzkiej literaturze w przestrzeniach Hotelu Savoy, odmalowanego w powieści Josepha Rotha – trochę żal, że takiego akcentu zabrakło w tym roku. Choćby jako uzupełnienia finałowych rozstrzygnięć konkursu na *Poemat Czterech Kultur*.

Edukacja, nauka i... Cohen

Tegoroczny Festiwal Łódź Czterech Kultur to jednak nie tylko wydarzenia stricte artystyczne. Organizatorzy nie zapomnieli także o aspekcie edukacyjnym, o tym, jak ważne jest umiejętne i dostosowane do możliwości percepcyjnych odbiorców przybliżanie innych kultur. Dlatego też przez trzy dni odbywały się w Centrum Dialogu pokazowe lekcje dla uczniów i nauczycieli szkół podstawowych, gimnazjalnych oraz średnich, mówiące o liczącym się wkładzie Żydów, Niemców, a po części i Rosjan w historię miasta. Cerkiew katedralna św. Aleksandra Newskiego gościła wszystkich, którzy chcieli dowiedzieć się czegoś o łódzkim prawosławiu, w Centralnym Muzeum Włókiennictwa rozmawiano o Łodzi niemieckiej, Gmina Żydowska natomiast udzielała informacji dotyczących „wszystkiego, co chcecie wiedzieć o Żydach, ale boicie się zapytać”. Wszelkie takie inicjatywy są bardzo cenne i trzeba mieć nadzieję, że pojawiać się będą regularnie, nie tylko przy festiwalowych okazjach. Żadnym odkryciem nie jest oczywiście obserwacja, że wiele postaw niechętnych „obcym” wynika z uprzedzeń spowodowanych brakiem rzetelnej wiedzy, ale ten truizm nie traci mocy zwłaszcza teraz.

Festiwalowi towarzyszyły także dwie konferencje naukowe, poświęcone *Archeologii śladu* oraz *Reżimowi komunistycznemu w pamięci polskiej i rosyjskiej*. Pierwszą z nich, zorganizowaną z inicjatywy Przemysława Owczarka – poety, antropologa i dyrektora łódzkiego Domu Literatury – interpretować można jako próbę odnalezienia języka adekwatnego do opisu

tożsamości Łodzi, czyli miasta, którego historia tak bardzo różni się od wielu innych. Druga konferencja (przewodniczył jej prof. Andrzej de Lazari) i związany z nią panel dyskusyjny była natomiast okazją do śledzenia wielu polsko-rosyjskich paraleli i różnic – socrealistyczna architektura Łodzi a przestrzeń publiczna Iwanowa, ocena reżimu komunistycznego oraz przemian lat 90. w twórczości Andrzeja Sapkowskiego i Kira Bułyczowa, wreszcie: semantyka słowa „komunista” w publicznych wypowiedziach najważniejszych obecnie polityków obu krajów.

Na koniec wszyscy uczestnicy Festiwalu Łódź Czterech Kultur mogli się spotkać – o ile tylko odpowiednio wcześniej zaopatrzyli się w bilety – w ulewny niedzielny wieczór na koncercie finałowym. Wystąpiło 12 czołowych polskich piosenkarek różnych pokoleń, m.in. Grażyna Łobaszewska i Martyna Jakubowicz, Renata Przemyk i Anita Lipnicka, Natalia Przybyś i Daria Zawiałow. Zabrzmiały wspaniałe pieśni Leonarda Cohena w niezapomnianych tłumaczeniach Macieja Zembatego, a całość opracował aranżacyjnie – niekiedy dość zaskakująco, jak np. *First We Take Manhattan* – Leszek Biolik.

Kolejny festiwal już za rok, a następny jubileusz za lat pięć.

Paweł M. Sobczak
– dr, polonista, publicysta

Antoni Starczewski

Łódzki, oryginalny, światowy

kultura

Rok Awangardy dla Miejskiej Galerii Sztuki stał się okazją do przypomnienia twórczości tej niewielkiej grupy pierwszych studentów Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych, których wybory artystyczne można łączyć z osobą Władysława Strzemińskiego. Jak wiadomo, Strzemiński nie miał kręgu bezpośrednich uczniów, ponieważ w łódzkiej uczelni plastycznej – której był współzałożycielem i głównym autorem programu kształcenia – nie dano mu pracowni malarstwa, a jedynie prowadzenie przedmiotów pomocniczych. A że w styczniu 1950 roku był już poza uczelnią, dwa lata później zaś zmarł, moralną spuściznę po tej sztandarowej postaci polskiej awangardy przejęli nieliczni, za to najzdolniejsi i najinteligentniejsi studenci. Ci, którzy potrafili przyswoić w sposób krytyczny głoszoną zawsze przez Strzemińskiego zasadę, iż „warunkiem rozwoju sztuki jest eksperyment”.

Jednym z nich był Antoni Starczewski, rodowity łódzianin, urodzony w 1924 roku w nauczycielskiej rodzinie. Studia w łódzkiej uczelni plastycznej rozpoczął w 1945 roku, uczęszczając jeszcze równolegle do klasy maturalnej w liceum. Studia ukończył w 1951 roku i przez 39 lat był nauczycielem akademickim w obecnej ASP, dochodząc do tytułu profesorskiego. Zmarł w 2000 roku. Starczewski był ciekawym, bardzo osobnym artystą i raczej nie pozostawił naśladowców. Jego sylwetkę artystyczną i oryginalną twórczość MGS postanowiła przypomnieć w przestrzeniach popularnej, ale niedużej Galerii Re-Medium. Jest to więc „symboliczny” przegląd dokonań, zważywszy na ogromny dorobek łódzkiego artysty o światowej renomie. Niewątpliwie takie przeglądy w pigułce są jednak bardzo potrzebne. Uczą bowiem przeciętnego przechodnia z ulicy Piotrkowskiej, który do Re-Medium zajrzy, kontaktu ze sztuką ambitną, choć niekoniecznie skomplikowaną w odbiorze i nie nadmiernie hermetyczną. Starczewskiego uważa się przy tym za kontynuatora myśli Władysława Strzemińskiego w tym sensie, że motywy jego grafik, tkanin, instalacji przestrzennych zdają się wolne od skojarzeń literackich, tak jak obrazy unistyczne Strzemińskiego. Nie jest to jednak do końca prawda.



Płaskorzeźba w Bibliotece Uniwersyteckiej

Starzewski nie szukał raczej pola do eksperymentów w malarstwie. Ukończył studia artystyczne w 1951 roku i zajmował się nim właściwie do połowy lat 50. XX wieku. Później już niechętnie wracał do malarskiego okresu, realizując się głównie w ceramice, tkaninie i grafice. Każdy, kto przechodził kiedykolwiek przez hol starego gmachu Biblioteki Uniwersyteckiej, musiał widzieć wiszącą na ścianie ceramiczną płaskorzeźbę ścienną w formie dużego owalu. To przełomowe, a może i najważniejsze dzieło artysty powstało w 1960 roku i potocznie nosiło wtedy tytuł *Biblioteka*, gdyż tworzące kompozycję piętrowe karbowane pasma ceramiki miały kojarzyć się z księgozbiorem na regale. Ta najprostsza interpretacja dzieła artysty mogła przekonać każdego bywalca biblioteki, choć oczywiście idea tej pracy była dużo głębsza. Starzewski interesował się muzyką i próbował przekładać ją na język form plastycznych. Reliefowi w BUŁ sam artysta nadał – nieco po realizacji – tytuł *Kompozycja na dwie ręce* albo *Układ na dwie ręce*, wyimaginowana struktura płaskorzeźby bowiem ukształtowana została tak, jakby „ulepił” ją ruch dwóch rąk dyrygenta zagarniającego dźwięki orkiestry. Ta muzyczna asocjacja stała się potem

inspiracją następnych dużych realizacji Starczewskiego: ściany ceramiczne w foyer Teatru im. Stefana Jaracza w Łodzi, kolistej płaskorzeźby w Izbie Rzemieślniczej w Łodzi i płaskiej w holu kąpieliska Fala w parku na Zdrowiu. Powstało zresztą jeszcze kilku podobnych prac, które trafiły m.in. do muzeów we Wrocławiu.

Nie wiem, czy Starczewski umiał grać na jakimś instrumencie. Jedyny raz, kiedy gościłem w jego pracowni, artysta wyciągnął skrzypce. Dźwięki, jakie z nich wydobył, wydawały mi się zrazu straszliwą kakofonią. Dla muzyka byłoby zapewne nie do zniesienia, ale nie poprawnym wykonywaniem utworów był zainteresowany Starczewski. To była dźwiękowa ilustracja, jak można równolegle interpretować struktury wizualne złożone z powtarzalnych znaków w jego grafikach, tkaninach, a także budzących zaskoczenie widzów instalacjach przestrzennych. Zresztą Starczewski nagrywał przez jakiś czas te skrzypcowe seanse na sprzęcie w Szkole Filmowej i w Łódzkim Radiu, traktując to raz jako interpretację dźwiękową swoich prac plastycznych, a innym razem jako niezłą zabawę.

Artysta ironista

Zabawne mogły się też wydawać zrazu instalacje ułożone na pokrytych białymi obrusami stołach, złożone z porcelanowych odlewów ziemniaków, marchwi, bułek. To były kombinacje ciekawie rozbudowanych układów przestrzennych, które artysta z ironią konstruował z banalnych elementów. Czasem zresztą Starczewski wykonywał te „stołowe” kompozycje z prawdziwych bułek, ogórków czy marchwi. Takie efemerydy przemijały, a on miał niezłą zabawę, obserwując reakcje zwiedzających. W 1976 roku w Muzeum Sztuki w Łodzi wystawił na kilku stołach kompozycje, które nazwał „narracyjnymi”, gdzie poprzepłatał figurki plastikowych żołnierzyków z porcelanowymi odlewami marchewek. Traktował to jako zabawę, sam opisując ten pomysł tak: „stół długi, żołnierze leżący szeregiem między górami porcelanowej marchwi patrzą w dal przez lunety (skojarzenia z żołnierzami z *Alicji w krainie czarów*). Stół trzeci poświęcony jest higienie jamy ustnej. Szeregi past do zębów, czarnych szczoteczek do zębów i witamin w postaci marchwi i jabłek porcelanowych poustawianych na zmianę z szeregami kieliszków (szkło) i bandaży mających stwarzać atmosferę zagrożenia”.

Wśród ludzi niezorientowanych w jego koncepcjach artystycznych prezentacje te budziły rozbawienie lub irytację, wśród znawców sztuki Starczewski zdobywał z każdym rokiem coraz wyższą pozycję. Jest chyba do dziś jedynym artystą łódzkim, który zdobył tak dużo nagród na międzynarodowych wystawach i festiwalach. Są to medale złote i srebrne, którymi uhonorowano go wielokrotnie w różnych miastach europejskich,

głównie we Włoszech, ale także na innych kontynentach, jak Grand Prix na bardzo prestiżowym biennale grafiki w Tokio w 1979 roku.

Jest też pewnie jedynym z łódzkich artystów, który miał za granicą ponad 100 wystaw indywidualnych, poczynając od miast europejskich, po amerykańskie i japońskie.

Sztuka w odmianach pisma

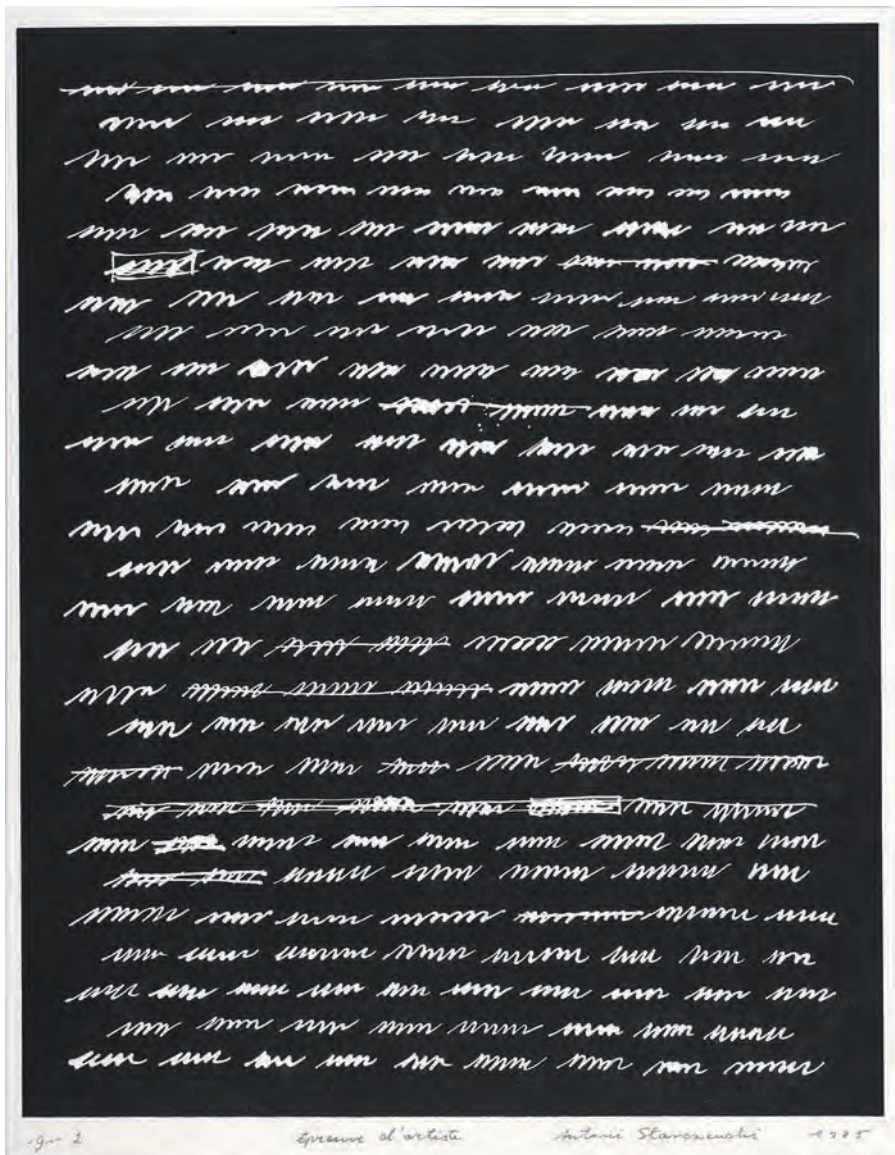
Antoni Starczewski był rzeczywiście artystą światowym. W czasach PRL nie było to łatwe, ale on dzięki stypendiom instytucji polskich i zagranicznych oraz zaproszeniom od czołowych uczelni i centrów sztuki mógł podróżować bardzo dużo i nie miał chyba nigdy problemu z otrzymaniem paszportu, co często było w tamtych czasach nie lada przeszkodą w rozwoju kariery. Te podróże były jego atutem artysty spełnionego i pewnie dzięki nim mógł stale wzbogacać pomysły twórcze.

Starczewski w grafikach i tkaninie stworzył własny, pozornie prosty język. Jego alfabetem były powtarzające się na płaszczyźnie grafiki czy gobelinu znaki – czasem jedynie pojedyncze litery, czasem całe „zdania”,



innym razem plansze ułożone z kilku szpalt z zamazanymi tekstami. Mawiał, że prowadzi w ten sposób „studia grafologiczne”. Artysta posługiwał się pismem odręcznym albo maszynowym oraz pismem Braille’a. Te ostatnie są najciekawsze, bo doprowadziły Starczewskiego do tworzenia tzw. gufraży. To bezbarwne plansze papieru z wyciśniętymi systemami powtarzalnych znaków pisańskich, zakreśleń, punktów itp. Na wystawie w Re-Medium można było zobaczyć, jak te grafiki reagują na refleksy

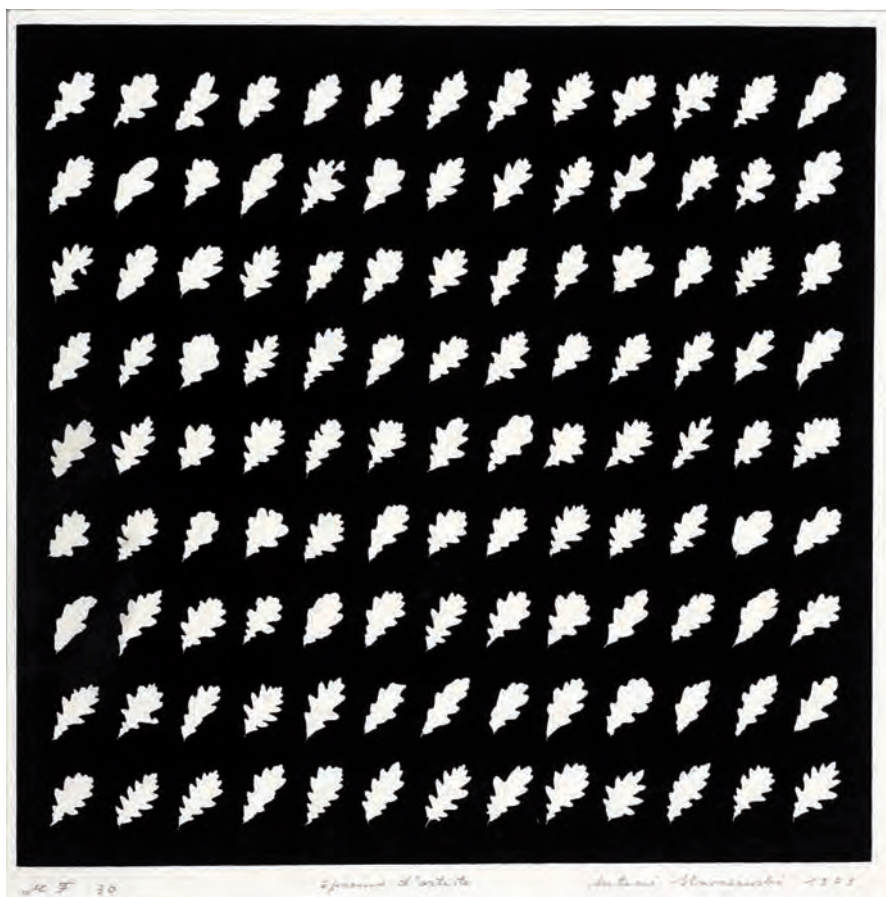
Antoni Starczewski.
Kompozycje graficzne



gr 2, 1975 r., druk wypukły, 49 x 38,4 cm, fot. R. Józwiak



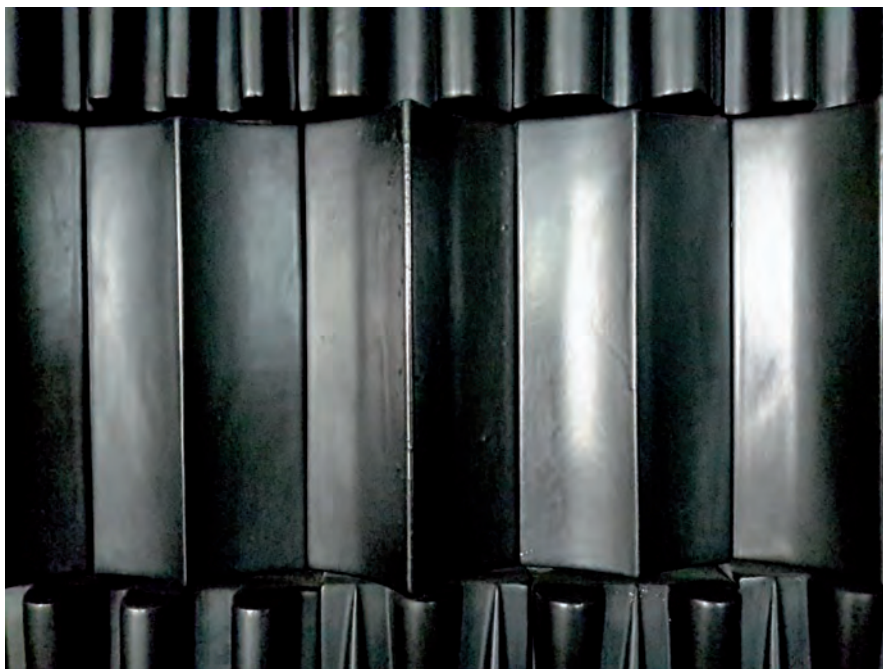
tr 4 b n, 1977/1985 r., druk wypukły, 21,6 x 22,4 cm, fot. R. Józwiak



MF 30, 1973 r., druk wypukły, linoryt, 39 x 40 cm, fot. R. Józwiak



Ściana ceramiczna w foyer Teatru im. Stefana Jaracza w Łodzi z lat 1967/70 r.
fot. A. Michalska



Detal ściany ceramicznej, fot. A. Michalska

Fot. dzięki uprzejmości Miejskiej Galerii Sztuki

Wybrane ekspozycje w galerii Atlas Sztuki



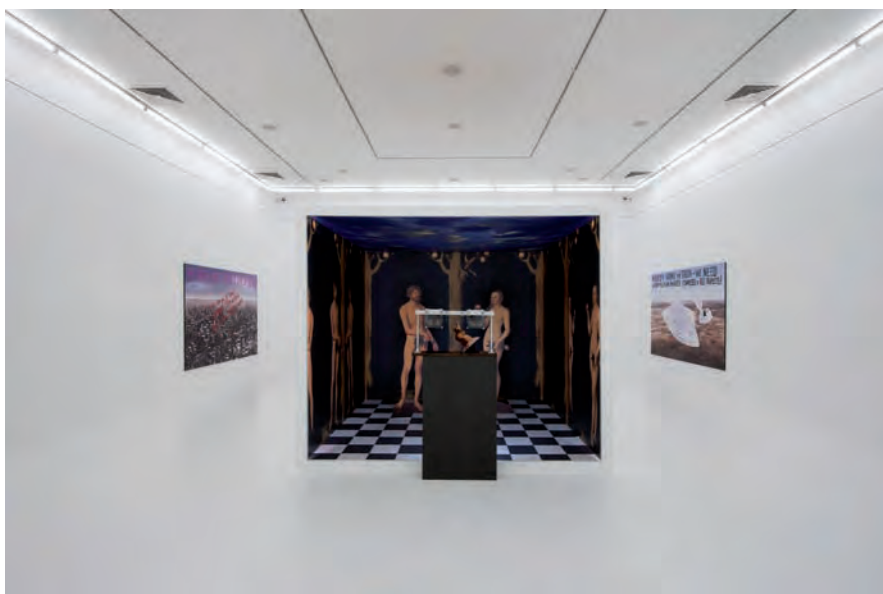
Roman Opalka, *1965/1 – ∞*, 2003 r.



Jarosław Kozłowski, *Dekompozycje*, 2014 r.



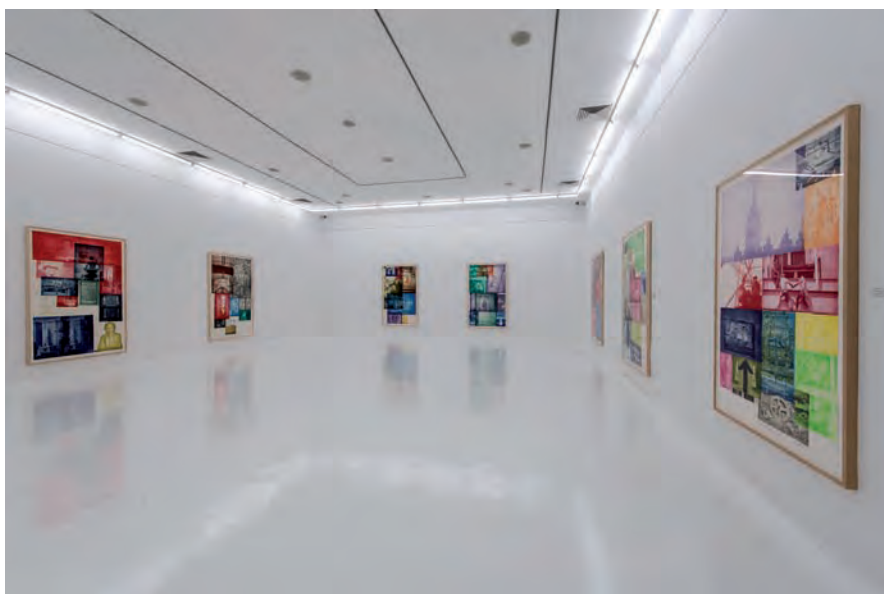
Krzysztof Wodiczko, *Goście*, 2010 r.



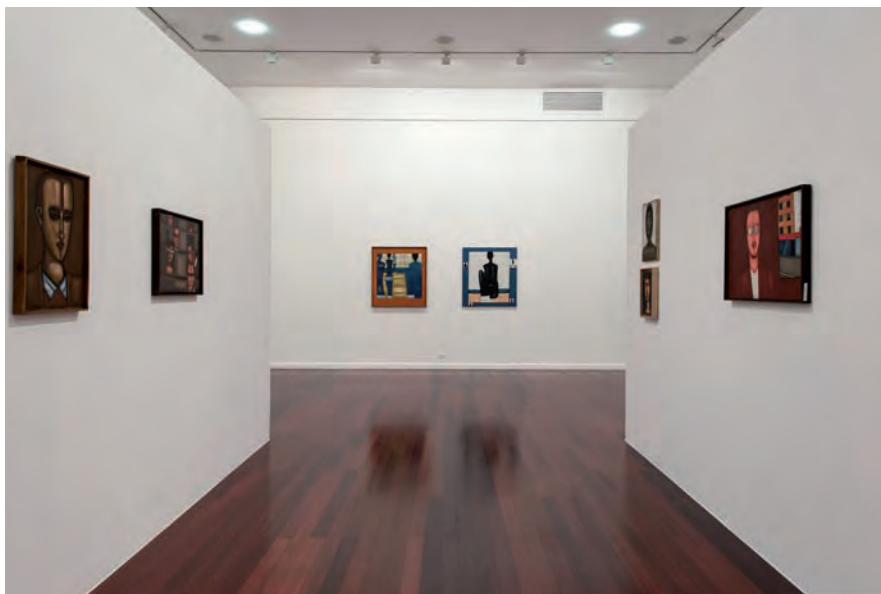
Zbigniew Rybczyński, 2013/2014 r.



Łódź Kaliska, *Maszyny drżące*, 2013 r.



Robert Rauschenberg, *Robert Rauschenberg Travels*, 2016 r.



Jerzy Nowosielski, 2015 r.



Czekalska + Golec, *Contract Killer*, 2012 r.

Fot. dzięki uprzejmości galeri Atlas Sztuki

światła, imitując trójwymiarowość. Najczęściej w grafikach można dostrzec, że zbiór liter łacińskich stosowanych przez artystę nie był duży. Są więc całe rzędy litery „a” albo tylko samogłosek „a”, „e”, „i”, „u”.

Znakiem używanym najczęściej przez artystę był liść. Z multiplikowanych rzędów wyobrażeń liści skomponowanych jest wiele tkanin, a jeszcze więcej grafik. Znaki, których używał, były powtarzalne, ale w różnych układach. Czarne liście na białym tle, białe na czarnym. Ta czarno-biała prostota prac Starczewskiego szczególnie podobała się Japończykom, stąd popularność artysty w tym kraju i wysokie ceny jego grafik na tamtejszych aukcjach sztuki.

Dogonił stracony czas

Antoni Starczewski od dzieciństwa przez prawie całe życie mieszkał w tym samym domu przy ul. Rzgowskiej pod nr 52. Pracownie, które otrzymywał z puli miejskiej dla artystów, nie odpowiadały mu zbytnio i właściwie pracował głównie w swoim mieszkaniu. Przez kilkadziesiąt lat prowadził dziennik, zapisując prawie codziennie fakty ze swego życia i refleksje ogólniejsze. To ciekawa lektura, która dopowiada wiele o nim samym. Kiedy zaczynał prowadzić dziennik, miał 20 lat i przede wszystkim poczucie zmarnowanej przez lata wojny szansy na edukację. Tak notował pod datą 17 lutego 1945 roku, kiedy Łódź opuścili już okupanci i większość niemieckiej ludności.

„Zaczynam pisać pamiętnik z chwilą, kiedy zaczyna się dla mnie nowe życie. Niemcy uciekli z Łodzi. Człowiek przestał być *Untermenschem*, a stał się znów człowiekiem. Okres letargu się skończył. [...] nie potrzebuję dłużej gnić w biurze, pracować dziesięć godzin albo udawać, że pracuję, nie potrzebuję drzeć przed szefem i ukrywać, że się uczę. Przez pięć lat marzyłem, by móc się jeszcze kiedyś uczyć w polskiej szkole. Tęskniłem za nauką, mało powiedziałem – pożałowałem wiedzy. Kiedyś uczyłem się dlatego, że rodzice tak chcieli, że wypadało się uczyć, że wypadało przechodzić z klasy do klasy. Dzisiaj rozumiem, że człowiek powinien się uczyć nie dla stopni, nie dla przyjemności rodziców czy pochwały profesorów, ale wyłącznie dla siebie. Niemcy pozamykali szkoły, przez to zmarnowałem pięć lat. Już dawno skończyłbym liceum i poszedł dalej. Wiele zapomniałem z tego, co kiedyś przerobiłem, czeka mnie dużo pracy nad sobą, ale mam tyle dobrych chęci, że z pewnością dam sobie radę. Kiedy w jakiś czas po zajęciu przez Rosjan Łodzi dowiedziałem się, z gazety polskiej, że mają być otwarte gimnazja, nie chciałem uwierzyć, by nie zaznać znowu rozczarowania. Zapisalem się do Żeromskiego [to reaktywowane przedwojenne gimnazjum im. S. Żeromskiego przy ul. Roosevelta, które ukończył m.in. Karl Dedecius – przyp. G.R.], gdzie chodziłem przed wojną. Zapisalem się, ale i tak nie mogłem

jeszcze uwierzyć, że będzie mi wolno chodzić do szkoły i się uczyć. Teraz wierzę. Dzisiaj było rozpoczęcie roku szkolnego”.

Ta pierwsza notatka w dzienniku pokazuje, co miało kierować artystą w przyszłości – nieustanne nadrabianie wiedzy, szukanie nowych pól poznania i swoista gorączka podróżowania. Starczewski w swoich peregrynacjach po świecie szukał nie tylko miejsc, gdzie mógłby pokazywać swoją sztukę, ale przede wszystkim przyswajać wiedzę o nowych terytoriach i poznawać nowych ludzi. To oczywiste, że bywając co roku we Włoszech – gdzie na konkursach sztuki ceramicznej w Faenzie otrzymał wiele nagród i wyróżnień – nieustannie też zwiedzał, podobnie jak podczas częstych podróży po Francji, Szwajcarii, Wielkiej Brytanii czy okazjonalnych wyjazdów do Japonii, Stanów Zjednoczonych, Indii czy kilku krajów Ameryki Południowej. Ale zawsze chciał sięgać głębiej niż rutynowy turysta. Dlatego nauczył się kilku języków obcych. Znał oczywiście niemiecki, bo podczas wojny pracował w niemieckiej firmie, posługiwał się płynnie francuskim, mówił po włosku, angielsku i hiszpańsku. Do Polski przywoził masę książek w tych językach, co było nie tylko gestem wrażliwego inteligenta, ale przede wszystkim artysty, który zdecydował, że uprawianie prawdziwej sztuki jest przede wszystkim działalnością intelektualną. To była zapewne lekcja odebrana od Strzemińskiego.

Warto jeszcze raz sięgnąć do dziennika młodego Starczewskiego, do momentu, kiedy zdecydował się, że powinien poświęcić się sztuce, choć kończąc gimnazjum, myślał jeszcze o leśnictwie lub architekturze. Pisał już jako 21-letni mężczyzna 8 września 1945 roku: „Spełnia się jedno z moich marzeń. Wchodzę w bliższy kontakt ze sztuką. Już drugi rok (szkolny) istnieje w Łodzi Szkoła Przemysłu Artystycznego [właściwie Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych – przyp. G.R.], a ja nic o tym nie wiedziałem. Mógłbym zapisać się jeszcze w lutym [...] Odkryłem ją dopiero w tym tygodniu. Jest malarstwo dekoracyjne, rzeźba, ceramika i grafika [...] Chciałbym, żeby łączyła się na czymś rzeźba z malarstwem. Wahałem się długo, ale dzisiaj wreszcie zdecydowałem się [...] Cieszę się ogromnie, bo zdaje mi się, że coś w sobie czuję, coś ciągnie mnie do sztuki, choć zmysł praktyczny (w który jestem b. ubogi) i rady starszych odradzają mi wszystko, co pachnie sztuką. Zobaczymy. Może rzeczywiście mam zdolności, może gdzieś na dnie mojej duszy drzemie talent, a nie jego złudzenie. Może uda mi się wymalować albo wykuć to, co widzę, czuję i pragnę [...] Zresztą nie wiem, czy będę na pewno rzeźbiarzem albo malarzem i czy to naprawdę jest moim powołaniem. Chciałbym wreszcie znaleźć swoją drogę prawdziwą, nie błąkać się po manowcach, iść śmiało i prosto do końca życia. Kiedy zbliży się śmierć, daj Boże, bym mógł powiedzieć: uczyniłem, co byłem uczynić powinien, zadanie swe spełniłem, mogę spokojnie odejść”.

Antoni Starczewski był do końca człowiekiem bardzo skromnym, choć niewątpliwie świadomym swojej pozycji w sztuce światowej. W Łodzi nie osiągnął szczególnej popularności, bo też o nią nie zabiegał. Wystawa wyboru jego grafik w Galerii Re-Medium upomniała się więc o artystę, któremu jego miasto rodzinne winno ofiarować lepszą pamięć.

Gustaw Romanowski

Współobecność. Artyści awangardowi w kręgu Władysława Strzemińskiego. Antoni Starczewski (1924–2000). Kompozycje graficzne, Miejska Galeria Sztuki w Łodzi, Galeria Re-Medium. 3–28 sierpnia 2017, kuratorka wystawy Elżbieta Fuchs, koordynatorka projektu: Małgorzata Dziągiewska, autorzy tekstów: Elżbieta Fuchs i Janusz K. Głowacki.

Cytaty z dziennika A. Starczewskiego pochodzą z katalogu wystawy pośmiertnej artysty w Muzeum Sztuki w Łodzi (17 grudnia 2002–26 lutego 2003) w opracowaniu Marty Ertman.

Ostatnia wystawa w Atlasie Sztuki

Czternaście lat prawdziwego mecenatu

ATLAS SZTUKI

W jesienny wieczór 10 października 2003 roku podwórko przy ulicy Piotrkowskiej 114/116 wypełnił tłum ludzi pragnących zobaczyć multimedialną instalację *Oktogon* jednego z najwybitniejszych polskich artystów – Romana Opalki. Wystawa ta była kontynuacją jego radykalnego konceptu z 1965 roku, polegającego na systematycznym i nieustannym uwiecznianiu czasu w formie malowanych na płótnie liczb. Używany do tego biały pigment na szarym tle z każdym obrazem stawał się o 1% jaśniejszy od poprzedniego, tak by odczytanie liczb o coraz wyższej wartości wymagało od widza coraz większej uwagi. Jednocześnie Opalka nagrywał na taśmie magnetofonowej wypowiedanie kolejnych liczb, a z czasem zaczął też regularnie fotografować własną twarz. Twórczość Opalki była już dobrze znana zainteresowanym sztuką łodzianom – pierwsza praca z cyklu *1965/1 – ∞* znajduje się bowiem w zbiorach Łódzkiego Muzeum Sztuki.

Otwarcie nowej galerii wystawą jednego z najbardziej znanych na świecie polskich artystów oraz mecenat jednej z najlepiej rozpoznawalnych polskich marek zapowiadały, że rozpoczyna się coś ważnego dla łódzkiej kultury. Po kilku latach galeria przy Piotrkowskiej 114/116 zaczęła być dostrzegana w całej Polsce – zarówno ze względu na głośne wystawy, jak i swój niekomercyjny i otwarty dla publiczności charakter. Świadczyło o tym m.in. dwukrotne (w 2007 i 2010 roku) zajęcie pierwszego miejsca w kategorii „prywatne galerie sztuki współczesnej” w rankingu tygodnika *Polityka*.

Nowe życie zabytkowego pawilonu

Powstanie galerii było inicjatywą współwłaściciela grupy Atlas, Andrzeja Walczaka. To on zaprosił Romana Opałkę, którego twórczością interesował się od wielu lat, utrzymując też z artystą osobiste kontakty. Chęć stworzenia otwartej dla wszystkich, niekomercyjnej galerii wynikała z pasji do sztuki i miała być formą podzielenia się nią ze społecznością miasta, w którym firma została założona i posiadała swoją centralę. Z inicjatywy Walczaka na miejsce galerii wybrano znajdujący się w głębi podwórka przy ulicy Piotrkowskiej 114/116 parterowy budynek z końca XIX wieku, zbudowany na zamówienie Jonasza Warszawskiego. Na temat historii tego obiektu krąży wiele nieudokumentowanych informacji – miał być kosztowną jatką, bożnicą, a nawet drukarnią. Z dokumentacji konserwatora zabytków wynika tyle, że pełnił funkcje handlowe i usługowe. Po 1945 roku Związek Polskich Artystów Plastyków utrzymywał tam warsztaty graficzne i ceramiczne. W latach 90. znajdujący się już w prywatnych rękach budynek zaczął podupadać. Klasycyzujący parterowy pawilon zaistniał w świadomości łodzian na nowo dopiero jako galeria.

Po remoncie zachowano historyczny podział na dwa duże pomieszczenia, do których prowadzi wspólne wejście zlokalizowane na osi fasady budynku. Obie sale zorganizowano w formie *white cube* z silnym – wręcz odrealniającym przestrzeń – górnym światłem. To właśnie format „białego sześcianu” i możliwość dowolnego aranżowania pozwalały dobrze wyeksponować oszczędną i wyrafinowaną w swojej formie twórczość Romana



Opalki. „Do sposobu prezentacji przywiązywaliśmy duże znaczenie. W wielu wystawach ekspozycje projektowane były przez Andrzeja Walczaka, z zawodu architekta, lub z jego udziałem” – wspomina Jacek Michalak, wiceprezes ds. rozwoju zarządu grupy Atlas i prezes galerii. Należy dodać, że zaplecze w postaci możliwości technicznych dużej firmy produkującej materiały budowlane otwierało artystom drogę do realizacji spektakularnych i skomplikowanych w produkcji wystaw.

W zależności od zaaranżowania przestrzennego i pory roku wernisaże odbywały się albo w salach wystawowych, albo na zewnątrz, sprawiając, że senne podwórko w piątkowy wieczór stawało się zatłoczone bardziej niż sama Piotrkowska. Otwarcia w Atlasie przyciągały osoby ze środowiska kultury, architektów, ale też przedsiębiorców i pracowników związanych z grupą Atlas, co często wpływało na ponadprzeciętną w porównaniu do innych łódzkich galerii frekwencję. Anegdotyczne stały się „nieskończone” zapasy wina, które rozdawali kelnerzy w czasie otwarć. Ten specyficzny klimat zainspirował Elżbietę Jabłońską, która zorganizowała akcję *83 kelnerów i pomocnik*, w której ogromna rzesza kelnerów absorbowała uwagę gości Atlasu zaskoczonych brakiem materialnych dzieł sztuki.

„Mogło się wydawać, że utrzymanie galerii pochłaniało znacznie większe pieniądze niż w rzeczywistości. Budżet był jednak ograniczony, nieporównywalny do podobnych miejsc za zachodnią granicą” – zauważa Jacek Michalak, z wykształcenia doktor nauk chemicznych, dla którego praca w instytucji kultury była nowym wyzwaniem. Poza Andrzejem Walczakiem i Jackiem Michalakiem zespół bezpośrednio zaangażowany w działalność wystawienniczą liczył okresowo trzy osoby. Dominik Szwemberg, prawa ręka prezesa, był odpowiedzialny za wykonanie wystaw. Z galerią związana była także krytyczka sztuki Agata Mendrychowska, a później fotograf Jan Janiak. Zawodowi kuratorzy wystaw artystycznych – pełniący ważną rolę w większości instytucji – współpracowali z galerią sporadycznie przy okazji poszczególnych projektów. Większość wystaw była realizacją pomysłów samych artystów lub kolekcjonerów.

Galeria hybrydowa

Atlas Sztuki prezentował bardzo osobliwy model działania. Zwykle galeria prywatna jest biznesem, który musi koncentrować się na pokazywaniu związanych z nią artystów. Wokół Atlasu Sztuki znalazło się kilku twórców, których pomysły realizowano wielokrotnie. Należeli do nich m.in. Zbigniew Libera, Józef Robakowski, grupa Łódź Kaliska oraz Wojciech Wilczyk. Nie byli oni jednak reprezentowani z klauzulą na wyłączność. Tego typu praktyki zespołowi Atlasu były obce. Jacek Michalak wspomina z żalem, jak bardzo chcieli



zorganizować indywidualną wystawę rzeźbiarki Moniki Sosnowskiej, jednak reprezentującą ją warszawska galeria nie chciała wyrazić na to zgody.

Druga liczna grupa galerii prywatnych to miejsca założone po to, by prezentować bogate zbiory kolekcjonerów. Ekstraklasą tego typu instytucji jest amerykańska Fundacja Solomona R. Guggenheima, utrzymująca pięć imponujących muzeów: od Nowego Jorku przez baskijskie Bilbao do wspieranej przez naftowych szejków placówki w Abu Zabi. W Polsce model galerii opartej na prywatnej kolekcji realizuje poznańska Art Stations Foundation Grażyny Kulczyk. Budowanie kolekcji nie było jednak kluczowym celem działania Atlasa Sztuki, co więcej, chętnie współpracował on z publicznymi kolekcjami, aby to do nich trafiały prezentowane wcześniej w galerii prace. Atlas Sztuki wyłania się raczej jako galeria stawiająca na upowszechnianie sztuki i promocję artystów. Ze względu na status i prywatne finansowanie mógł uniknąć wielu wyzwań stojących przed instytucją lub organizacją finansowaną ze środków publicznych, która powinna klarownie i długofalowo przedstawiać swój program oraz trzymać się usztywniających działalność szczegółowych przepisów, standardów i procedur wymaganych przez regulacje prawne lub grantodawców.

Atlas łączył wybrane elementy wszystkich popularnych modeli działania galerii w dość niekonwencjonalny sposób. Jacek Michalak przyznaje, że rozpoczynał tę działalność bez długiej listy zaplanowanych wystaw: „Rozwój odbywał się organicznie wraz ze zdobywanym doświadczeniem i gęstniejącą siecią kontaktów, zyskiwaniem zainteresowania wśród artystów i ludzi zajmujących się profesjonalnie sztuką. W czasie wernisaży, spotkań, wyjazdów pojawiały się nowe pomysły na wystawy i projekty arty-

styczne. Niemal każde zrealizowane przedsięwzięcie otwierało kilka nowych możliwości”.

Producent sztuki, przestrzeń kolekcjonerów

Wiele galerii pełni rolę przestrzeni do zagospodarowania przez twórców, kolekcjonerów i ich dzieła. Inne współfinansują lub finansują cały proces powstawania nowego projektu artystycznego od fazy konceptu po realizację. Atlas pokazywał zarówno wystawy będące efektem pracy z artystą od pomysłu do powstania dzieła, jak i takie, które bazowały na już gotowych pracach. W tym drugim typie mieściły się przede wszystkim prezentacje prac ze zbiorów uznanych kolekcjonerów. Atlas Sztuki zdobył zaufanie wielu z nich. Współpracował z krakowską Galerią Starmach, po raz pierwszy za wschodnią granicą Niemiec zorganizował ekspozycję bogatych zbiorów sztuki polskiej z kolekcji dr. Wenera Jerkego, pokazywał fragment kolekcji łódzianina Dariusza Bieńkowskiego. W Atlasie pierwszy raz w Polsce pokazano prace z berlińskiej kolekcji dr Ericha Marxa, w ramach akcji organizowanej przez Hamburger Bahnhof – Museum für Gegenwart w Berlinie, Atlas Sztuki i Muzeum Narodowe w Szczecinie. W ten sposób – mimo że łódzka galeria nie koncentrowała się na budowaniu kolekcji – jej widzowie mogli mieć kontakt z ideą kolekcjonerstwa dzięki rozlicznym współpracom.

Cennym wkładem tej galerii w rozwój polskiej sztuki współczesnej było współprodukowanie wraz z artystami kilkunastu premierowych wystaw. Pierwszą z nich były *Pozytywy* Zbigniewa Libery. Artysta zaprezentował na niej cykl zainscenizowanych fotografii pokazujących radosne sceny,



kadry zakomponował jednak tak, aby przywodziły na myśl słynne zdjęcia obrazujące dramatyczne historyczne zdarzenia. „Chciałem użyć tego mechanizmu widzenia i pamiętania, dotknąć fenomenu powidoków pamięci – mówił w wywiadzie Zbigniew Libera. – Te fotografie w istocie tak właśnie odbieramy: poprzez niewinne sceny przebijają flashbacki tych oryginalnych, okrutnych zdjęć”. Na jednym ze zdjęć z cyklu, zatytułowanym *Kolaże*, grupa sportowców usuwa szlaban. Osobie nieznającej kontekstu historycznego scena może się wydawać przykładem na to, jak sport znosi ograniczenia i bariery. Jednak kompozycja kadru przypomina słynne zdjęcie z września 1939 roku przedstawiające żołnierzy Wehrmachtu forsujących polski posterunek graniczny. Budując w ten sposób swoje prace, Libera zadał istotne pytanie o pamięć i obraz będący jej nośnikiem. Wystawa spotkała się z dużym zainteresowaniem, a sam cykl po łódzkiej premierze został kilkanaście razy pokazany w innych miastach w kraju i za granicą. Podobnych sukcesów premierowych wystaw Atlasa można wymienić więcej. Spore zainteresowanie wzbudziły fotograficzne wystawy Wilczyka, szczególnie *Niewinne oko nie istnieje*, rejestrująca współczesny stan i funkcje budynków dawnych synagog i żydowskich domów modlitwy w Polsce. Zdjęciom towarzyszą opisy historii poszczególnych budowli oraz zapisy rozmów, które fotograf miał okazję przeprowadzać z przypadkowo napotykanymi mieszkańcami odwiedzanych miejsc.

Mecenat Atlasa Sztuki wychodził poza mury samej galerii. Galeria miała epizod ze sztuką w przestrzeni publicznej, realizując na Dworcu Fabrycznym akcję Marcina Polaka *Opera Dworcowa*. Wspierał m.in. produkcję przedstawienia *Testosteron* w łódzkim Teatrze Powszechnym, był także współproducentem filmów *Mistrz* Piotra Trzaskalskiego czy *Bezmiar sprawiedliwości* Wiesława Saniewskiego.

Istotnym elementem aktywności Atlasa była działalność wydawnicza. Każda wystawa komentowana była poprzez teksty zaproszonych krytyków i badaczy sztuki. Wśród nich byli autorzy o bardzo bogatym dorobku, m.in. profesorowie Maria Poprzęcka, Andrzej Turowski czy Adam Mazur. Obok tekstów teoretycznych pojawiały się też wywiady z twórcami, przeprowadzone często przez dr Krzysztofa Cichonia, czasem z udziałem Andrzeja Walczaka. Atlas wydawał katalogi wystaw w postaci książkowej, ale publikował też „gazetki” dostępne bezpłatnie dla gości galerii. Przez wiele lat funkcjonowały one jako wkładki do magazynów o sztuce – poznańskiego „Arteonu”, później zaś warszawskiego „Art & Bussines”. „Współpraca z »Art & Bussines« była najbardziej owocna i trwała aż do momentu, gdy magazyn zmienił właściciela, miał wówczas sensowny nakład i faktycznie zauważaliśmy wzrost zainteresowania naszą działalnością” – wspomina Jacek Michalak. Atlas wydawał też inne poświęcone sztuce pozycje we współpracy z wydaw-

nictwem Le Monde Diplomatique, m.in. zbiór esejów amerykańskiego filozofa Richarda Schustermana, wspomnienia córki pierwszego dyrektora muzeum sztuki Mariana Minicha czy wywiad rzekę z nestorem łódzkiego środowiska artystycznego Stanisławem Fijałkowskim.

Łódzka przyszłość i tożsamość

Tożsamość i dziedzictwo Łodzi oraz jej przyszłość stały się jednym z ważnych tematów podejmowanych w Atlasie Sztuki, nie tylko w postaci wystaw. Już sama lokalizacja galerii była impulsem dla walczących o wielkomiejski charakter centralnej ulicy miasta. Ale paradoksalnie to nie Piotrkowska znalazła się w centrum uwagi Atlasa Sztuki. W 2006 roku amerykański reżyser David Lynch, architekt i biznesmen Andrzej Walczak oraz szef festiwalu filmowego Camerimage Marek Żydowicz założyli fundację Sztuki Świata, kierując uwagę całego miasta na niedawno zamkniętą zabytkową elektrownię EC1. Przeworsowanie koncepcji podziemnego Dworca Fabrycznego i tunelu średnicowego pod miastem ujawniło potencjał pokolejowego sąsiedztwa EC1, które wkrótce zaczęto nazywać Nowym Centrum Łodzi. Aby pokazać możliwości tej przestrzeni, z inicjatywy Andrzeja Walczaka do Atlasa Sztuki zaproszono wybitnego luksemburskiego urbanistę i architekta Roba Kriera. Projektant w ramach wystawy zaprezentował swoją koncepcję układu komunikacyjnego i rozlokowania obiektów, zgodną z logiką kreowania przestrzeni miasta z XIX-wiecznym rodowodem. Ważnym integrującym elementem stał się rynek (Rynek Kobro), a w planie przewidziano też miejsce na ogromną galerię – Specjalną Strefę Sztuki. Przekazany miastu masterplan Kriera stał się punktem wyjścia dla planistów Nowego Centrum, nie pozostał jednak ideowym wzorcem. Wywołało to protest Kriera, twierdzącego, że naruszono jego prawa autorskie. Także na Piotrkowskiej 114/116 odbyła się w 2008 roku rozmowa z wybitnym amerykańskim architektem Frankiem O. Gherym dotycząca budowy centrum festiwalowego Camerimage. Wizyta wywołała silne emocje u najdroższego architekta świata, rozczarowanego brakiem konkretnej propozycji ze strony miasta. W reakcji na przypomnienie mu jego łódzkich korzeni napisał na szybie galerii: „Moja matka się tutaj urodziła. Wyjechała w 1913. Gdyby tu została, ja bym nie istniał”. To spotkanie było sygnałem nadchodzącego kryzysu, który zakończył się opuszczeniem Łodzi przez festiwal Camerimage oraz fiaskiem planów zagospodarowania EC1 przez fundację.

W Atlasie Sztuki rozgrywał się wtedy początkowy etap tworzenia Nowego Centrum Łodzi, które miało być motorem przyszłej transformacji miasta z ważnym kulturalnym komponentem. Konflikty w gronie założycieli fundacji przyczyniły się jednak do zmarginalizowania roli inicjatorów w dalszej pracy nad zagospodarowaniem NCL.



Obok kwestii przyszłości miasta Atlas Sztuki podejmował też problem łódzkiej tożsamości artystycznej, w której ogromną rolę odgrywa awangarda i neoawangarda. Ważną wystawą w tym kontekście było przypomnienie dorobku uczniów Władysława Strzemińskiego: Samuela Szczekacza, Stefana Krygiera, Stanisława Fijałkowskiego. Szczekacza Atlas Sztuki pokazał za namową Józefa Robakowskiego. Artysta ten pomimo krótkiego okresu twórczości wyróżnił się jako grafik i projektant, którego prace także dziś wydają się niezwykle świeże i atrakcyjne. Prezentacja w Atlasie pomogła przywrócić jego pozycję w historii polskiej awangardy. Łódź pojawiała się też jako temat prac artystycznych. Szczególnie ciekawa i oryginalna (na tle całego dorobku grupy) była wystawa *Maszyny drżące Łodzi* Kaliskiej. Odnosiła się ona do utraconej łączności z przeszłością miasta i bezradności współczesnych mieszkańców w umiejętnym docenieniu wkładu poprzednich pokoleń. Problem obrazowały specyficzne rzeźbiarskie skorupy, „zastygłe tkaniny”, przypominające kształtem zakryte maszyny, oraz cyfrowo zmodyfikowana przejmująca fotografia, która przedstawiała centrum Łodzi pozbawione zabytkowych kamienic.

Odmowa na zakończenie

Zakończenie działalności galerii było przeciwieństwem spektakularności jej otwarcia. Zostało zakomunikowane na wernisażu wystawy Rafała Milacha 12 kwietnia 2017 roku, ku zaskoczeniu wielu zebranych, spodziewających

się najwyżej krótkiej przerwy wakacyjnej. Nie towarzyszył temu rozgłos, a prezes Michalak unikał komentarzy na temat powodów decyzji o zaprzestaniu działalności wystawienniczej. Rafał Milach, twórca urodzony w 1978 roku, był jednocześnie podekscytowany i nieco zmieszany z powodu tego specyficznego otwarcia, a jednocześnie zamknięcia. Jego wystawa pt. *Odmowa* dotyczyła problemu mechanizmów propagandowych, a jej trzonem był cykl zdjęć zrealizowany na Białorusi, w którym portretował współczesnych „przodowników pracy” ostatniej dyktatury Europy. Fotograf chciał wykorzystać sesje fotograficzne, aby nawiązać z tymi osobami rozmowę, poznać je, a nie tylko zobaczyć, opisać kontekst powstawania zdjęć, a w warstwie wizualnej zachować tamtejszą reżimową estetykę otoczenia. Tytułowa odmowa łączy się z niezgodą „najlepszego oracza Białorusi”, który mimo wezwania przez lokalne władze nie zgodził się na udział w sesji. Ten jedyny akt oporu, jaki napotkał fotograf, był najbardziej zaskakującym wydarzeniem całego porażającego swoją przewidywalnością wyjazdu. Wystawa nie koncentrowała się tylko na reżimie Łukaszenki. Jej kolejne elementy odnosiły się do uniwersalnej siły przetestowanych i wciąż stosowanych na wschodzie metod, sugerując, że możliwość wpływania za pomocą propagandy na życie jednostek w obecnych czasach staje się zagrożeniem także dla Polski.

Galeria przy Piotrkowskiej 114/116 przeszła już do historii łódzkiej sztuki. Zostanie zapamiętana jako miejsce prezentacji artystów o ugruntowanej pozycji w świecie sztuk wizualnych i ogromnym dorobku. Było wśród nich wielu twórców zagranicznych, jak Ilja Kabakow i związana z Łodzią rodzinną historią Emilia Kabakow, wybitny reżyser i fotograf południowoafrykański Roger Ballen oraz prawdziwi giganci sztuki, jak Joseph Beuys i Robert Rauschenberg. Atlas był dobrym miejscem dla pokazania dorobku uznanych osobowości współczesnej polskiej sceny artystycznej. Prezentował sztukę Lecha Majewskiego, Zbigniewa Libery, Łodzi Kaliskiej, Zbigniewa Makowskiego, Zofii Kulik, Józefa Robakowskiego, Krzysztofa Wodiczki, Zbigniewa Rybczyńskiego czy Katarzyny Kozyry oraz wybitnych polskich twórców XX wieku, takich jak Wojciech Fangor czy Jerzy Nowosielski. W Atlasie swoją pożegnalną wystawę miała bezkompromisowa grupa Twożywo. Galeria pokazywała też mało znane w Polsce malarstwo Dawida Lyncha – wybitnego amerykańskiego reżysera filmowego, ale też aktywnego malarza – oraz nieznanego w Polsce, lecz odnajdującego się na niemieckim rynku sztuki Romana Lipskiego. Dała też szansę Piotrowi Naliwajce, malarzowi wzbudzającemu kontrowersje swoim konserwatywnym podejściem do malarstwa. Obok wystaw pewnych i bezpiecznych Atlas dopuszczał eksperymenty nawet z odrobiną szaleństwa. W galerii prezentowane były ubrania na modelkach i modelach (Olga Nieścier), żywa owca jako zwierzę artystka (duet Golec & Czekalska), NRD-owska sztuka

oficjalna oraz wystawa *Gospodarz śpi a jemu w polu rośnie* dwóch artystów ludowych – Stanisława Koguciuka i Jana Uścimiaka.

Atlas Sztuki przejdzie do historii jako kolejny fenomen z bogatej tradycji unikalnych i swoistych inicjatyw, które zdarzyły się w Łodzi i nigdzie indziej (a być może tylko tutaj zdarzyć się mogły). Jego zamknięcie jest dużą stratą dla łódzkiej kultury. Pozostaje mieć tylko nadzieję, że Łódź wciąż nie znosi artystycznej pustki i zdarzy się znów coś tak nieprawdopodobnie nieprzewidzianego jak Atlas Sztuki z jego unikatowym programem.

Błażej Filanowski

kultura

Fot. dzięki uprzejmości galerii Atlas Sztuki

historia

Heimanowie-Jareccy

Rodzina łódzkich filantropów

Gustaw Romanowski

str. 111

Na marginesie *Wspomnień* marszałka Mannerheima

Fiński Piłsudski i jego polskie tropy

Przemysław Waingertner

str. 122

Łódzkie problemy w latach 1933–1939

Ataki na żydowskie sklepy

Paweł K. Rutkiewicz

str. 128

Do końca wierni przysiędze

Wspomnienia żołnierza AK

Mirosław Kopa

str. 141

Łódzianin Aleksander Bardini

Skomplikowane losy aktora, reżysera i pedagoga

Tomasz Czarnecki

str. 154

Łódzkie doświadczenia Janusza Gajosa

Nie tylko gwiazda na Piotrkowskiej

Jan Skąpski

str. 162

Dzieje łódzkiej opozycji studenckiej w latach 1968–1989

Lata przegrane, lata zwycięskie

Tomasz Czarnecki

str. 177

Heimanowie-Jareccy

Rodzina łódzkich filantropów

Wśród rodzin łódzkich przemysłowców, którzy odznaczyli się imponującą hojnością, dzieląc się zarobionymi pieniędzmi ze społeczeństwem, na wdzięczną pamięć łódzian zasłużyli Edward Heiman-Jarecki i jego syn Aleksander. Heimanowie nie należeli do najzamożniejszej finansowej klasy, jak Scheiblerowie, Poznańscy czy Geyerowie. Dysponując majątkiem znacznie mniejszym niż tamci, dzięki dobremu wykształceniu i obyciu potrafili odpowiedzialnie inwestować nie tylko w świecie biznesu. Nie wahali się też z pobudek obywatelskiej wrażliwości – bez względu na koniunkturę w interesach – dzielić się swoim majątkiem, fundując szkoły oraz gmachy biblioteki.



Patriotyczny gest fundatora

Roczniki uczniów, które przez ponad 100 lat przeszły przez szkolny budynek przy ulicy Więckowskiego, absolwenci popularnego „Kopra”, czyli I Liceum Ogólnokształcącego, przeważnie nie zdają sobie sprawy, kto ufundował ten gmach. A jest to materialny dowód szczodrego gestu Edwarda Heimana, który w 1906 roku postanowił na działce, gdzie pierwotnie zamierzał budować fabrykę, wybudować szkołę. W trudnym okresie dekonunktury gospodarczej, spowodowanej przegraną wojną Rosji z Japonią i Rewolucją 1905 roku, Heiman zdecydował się wesprzeć Towarzystwo „Uczelnia”, rozpaczliwie poszukujące finansowych możliwości utworzenia polskiej szkoły. Wybudował gmach szkolny, którego koszt wyniósł 200 tys. rubli, co było wówczas znaczną sumą. Gmach oddano do użytku w 1909 roku, a Heiman został honorowym

członkiem Komitetu Szkoły, wspierając nadal finansowo jej działalność. Jego żona Helena z domu Szyffer stworzyła Towarzystwo Wpisów i Zapomóg, pomagając dzieciom niezamożnych rodziców, by mogły podjąć naukę w polskiej szkole. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości przekazała w 1919 roku cały ten budynek na rzecz skarbu państwa.

Rzutki przedsiębiorca

Edward Heiman urodził się w 10 września (23 września według juliańskiego kalendarza) 1856 roku w Kleczewie (obecnie woj. wielkopolskie) w spolonizowanej rodzinie żydowskiej pielęgnującej tradycję powstań narodowych. Po ukończeniu studiów wyższych we Wrocławiu w 1879 roku przybył do Łodzi i tu podjął pracę w zakładach Izraela Poznańskiego. Po uzyskaniu praktyki wyjechał do Petersburga, gdzie założył własną fabrykę tkacką oraz dobrze prosperujący kantor handlowo-komisowy. W 1884 roku wrócił do Łodzi, zajmując się głównie organizacją handlu wyrobami włókienniczymi. W 1897 roku wspólnie z Maksymilianem Kernbaumem utworzył spółkę Przędzalnia Bawełny i Farbiarnia Wola, która odkupiła od firmy T. Rapacki i S-ka niewielką

warszawską fabrykę włókienniczą zatrudniającą tylko 150 robotników. Przed wybuchem pierwszej wojny światowej fabryka pod nazwą Spółka Akcyjna Wyrobów Bawełnianych „Wola” zatrudniało już blisko 800 pracowników. W niepodległej Polsce przedsiębiorstwo rozwijało się dalej. Powstała przędzalnia cienkoprzędna, nowoczesna farbiarnia i bielnik. W 1918 roku Heiman był jednym z organizatorów Związku Przemysłu Włókienniczego w Państwie Polskim, a następnie został prezesem tej organizacji gospodarczej. Działał także aktywnie w Towarzystwie Kredytowym Przemysłu Polskiego, którego był również współtwórcą i prezesem.



ŁÓDŹ. Gimnazjum im. Kopernika.

Z judaizmu na katolicyzm

W 1920 roku Edward Heiman porzucił judaizm i przyjął katolicyzm, który rok wcześniej przyjęła już jego żona Helena. Dołożył również do swego nazwiska nazwisko matki Teresy z domu Jareckiej. Odtąd używał nazwiska Heiman-Jarecki. W 1921 roku wiedziony pobudkami patriotycznymi postanowił wybudować w Gdańsku gmach szkolny przeznaczony na Akademię Handlową, w której miała uczyć się polska młodzież z Pomorza. Nie mógł porozumieć się jednak ze zdominowanym przez Niemców senatem Wolnego Miasta Gdańska, dlatego okazały budynek podarował Polskiej Macierzy Szkolnej. Powstały tam szkoły kilku stopni i wkrótce miejsce to stało się centrum polskiej oświaty w Gdańsku. Heiman-Jarecki wspierał hojnie działalność tej placówki. W 1929 roku z okazji półwiecza firmy „Wola” przeznaczył 50 tys. zł na rozbudowę i wyposażenie tej szkoły.

Warto jeszcze wspomnieć o innych społecznikowskich pasjach tego przemysłowca. W młodości związany był z Żydowskim Towarzystwem Dobroczynności i wspierał fundację Tanie Mieszkania. W 1903 roku znalazł się wśród współzałożycieli Polskiego Towarzystwa Teatralnego. Pomagał finansowo łódzkim scenom przede wszystkim w sprowadzeniu do miasta ambitniejszych zespołów.

Przez cały czas swojej aktywności związany był z Łodzią. Mimo że fabryka „Wola” znajdowała się w Warszawie, a społeczne zainteresowania Heimana-Jareckiego po 1920 roku łączyły się z Gdańskiem, przemysłowiec przez cały czas mieszkał przy ul. Piotrkowskiej 125, w kamienicy, której wraz z żoną był właścicielem. Zmarł także w Łodzi, 22 lipca 1933 roku, na zawał serca, kiedy wracał z posiedzenia Towarzystwa Kredytowego Przemysłu Polskiego. Został pochowany na cmentarzu rzymsko-katolickim na Ogrodowej. Grobowiec rodziny Heimanów-Jareckich jest dziś jedynym śladem bytności tego altruisty w naszym mieście.

Sukcesor z ambicjami

Fabrykę „Wola” przejął po ojcu syn Aleksander Heiman-Jarecki, który od 1919 roku kierował już produkcją tego przedsiębiorstwa. Sukcesor rodzinnej fortuny urodził się w Łodzi 11 września 1886 roku. Ukończył tu w 1911 roku Szkołę Zgromadzenia Kupców. Potem za namową ojca wyjechał do Wielkiej Brytanii, gdzie odbywał praktyki w tamtejszym przemyśle tekstylnym. Studiował w Manchester School of Technology i gruntownie wykształcony wrócił do Polski. W 1920 roku służył w Wojsku Polskim i brał udział w wojnie polsko-rosyjskiej.

Aleksander Heiman-Jarecki w latach 20. objawił się jako zdolny publicysta gospodarczy. Publikował sporo, między innymi na łamach



„Republiki” oraz „Polityki Gospodarczej”. Jednocześnie, wspierając działalność filantropijną ojca w Gdańsku, związał się organizacyjnie z tamtejszą Polską Macierzą Szkolną, nadzorując budowę ufundowanej przez Edwarda Heimana szkoły i pomagając w jej kompleksowym wyposażeniu. Miał też aktywny udział w pozyskiwaniu i sprowadzaniu do Gdańska nauczycieli z innych miast Polski, aby zapewnić wspieranej szkole odpowiednią kadrę.

Rok po śmierci ojca wybrano go na prezesa Związku Przemysłu Włókienniczego w Państwie Polskim. Przejmując i tę schedę po Edwardzie Heimanie, oświadczył, że organizacja przemysłowców będzie otwarta na wspieranie oświaty i kultury wszędzie tam, gdzie będzie to możliwe. Organizacja w pierwszym rzędzie pomogła stworzyć podstawowe księgozbiory w kilkudziesięciu biblioteczkach szkolnych. Sam przemysłowiec był zresztą bibliofilem i jednym z założycieli Towarzystwa Bibliofilów w Łodzi. Zainteresowanie bibliotekami miało wkrótce postawić przed Heimanem-Jareckim nowe najpoważniejsze w jego działalności filantropijnej zadanie.

Aktywny senator II RP

Rzutki i inteligentny przemysłowiec został dostrzeżony przez piłsudczykowski polityków. Otrzymał od nich propozycję startu z łódzkiej listy Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem w wyborach do senatu II Rzeczypospolitej Polskiej w 1935 roku. Uznał to za swoją obywatelską powinność i stając do wyborów, wygrał je bez trudu. Jako senator IV kadencji wykazał się dużą aktywnością, pracując aż w pięciu komisjach: budżetowej, prawniczej, gospodarczej, komunikacji, społecznej. W tej pierwszej, jak i ostatniej w archiwalnych dokumentach parlamentu odnotowany jest jako referent, co oznacza, że na jego barkach spoczywało wypracowywanie projektów aktów prawnych dyskutowanych w tych komisjach.

Kosztowny dar dla Łodzi

Kiedy w maju 1935 roku zmarł Józef Piłsudski, senator Heiman-Jarecki zwołał zebranie zarządu Związku Przemysłu Włókienniczego w Państwie Polskim, którym jako prezes kierował. Jego propozycję, aby uczcić pamięć

Marszałka, wznosząc gmach-pomnik przeznaczony na Bibliotekę Publiczną, zebrani zaakceptowali, ponieważ istniejąca w Łodzi biblioteka borykała się z problemem lokalowym i coraz bardziej uciążliwą ciasnotą pomieszczeń. Podjęcie tego tematu przez senatora Jareckiego było konsekwencją prośby Jana Augustyniaka, kierownika Biblioteki Miejskiej, z którym znali się z Towarzystwa Bibliofilów. 16 maja podjęto stosowną uchwałę, aby przeznaczyć na pomnik-bibliotekę w Łodzi 500 tys. zł. W tym czasie jednak Generalny Związek Przemysłu Polskiego wystąpił z odezwą do przemysłowców, aby ufundowali pomnik Piłsudskiego w Warszawie. Była to konkurencyjna inicjatywa wobec związku włókienników, ale takiej odezwy nie mogli zlekceważyć. W tej sytuacji 29 maja zarząd związku przemysłowców wezwał swoich członków, wśród których byli właściciele ponad 100 dużych zakładów tekstylnych, do „deklarowania i wpłacania ofiar przeznaczonych na budowę w Warszawie pomnika marszałka Piłsudskiego w myśl odezwy Centralnego Związku Przemysłu Polskiego, który w imieniu całego przemysłu zadeklarował na ten cel 1 milion złotych, z czego na przemysł włókienniczy okręgu łódzkiego winno przypaść zł 150.000 [...] równocześnie powiadomił członków związku, że wykonanie uchwały zarządu związku z dnia 16 maja w sprawie zadeklarowania 500.000 zł na budowę biblioteki publicznej im. Marszałka Piłsudskiego w Łodzi nastąpi najprawdopodobniej z oszczędności budżetowych w ciągu 5-lecia 1936–1940 oraz że jedynie ewentualny niedobór zostanie pokryty w drodze dodatkowych składek dobrowolnych, których wysokość określona będzie w przyszłości w zależności od kształtowania się sytuacji budżetowej związku”.



O tym, że przemysłowcy branży włókienniczej zadeklarowali pół miliona złotych na budowę oczekiwanej w Łodzi biblioteki, napisały wszystkie gazety. Dla senatora Heimana-Jareckiego dotrzymanie przyrzeczenia stawało się sprawą honoru. Koledzy przemysłowcy nie kwapili się z deklarowaniem wpłat. Widział po ich reakcjach, że w konkurencji z inicjatywą warszawską trudno mu będzie zmusić członków związku do dodatkowej zrzutki na bibliotekę i Łódź może w tej sytuacji nie doczekać się jej budowy. Ujęty poczuciem honoru wyasygnował z własnych prywatnych środków zadeklarowaną kwotę



500 tys. zł. Była to ogromna suma i niespotykana w tamtym czasie darowizna na cele społeczne dokonana przez jednego człowieka. To tak, jakby dziś jakiś biznesmen lekką ręką dał co najmniej 5 mln zł na jakiś cel publiczny.

Aleksander Heiman-Jarecki stanął na czele społecznego Komitetu Budowy Biblioteki Publicznej, utworzył fundację i zamówił projekt gmachu. Był to otwarty konkurs architektoniczny ogłoszony przez SARP, który w 1937 roku wygrał inż. Jerzy Wierzbicki z Warszawy. Konkurs przewidywał oczywiście więcej nagród i ich suma wyniosła około 10 tys. zł, którą także wyasygnował Heiman-Jarecki. Żaden z łódzkich przemysłowców już do tej sprawy nie wracał i senator filantrop pokrywał po kolei wszystkie koszty związane z inwestycją. Nie musiał tylko kupować działki pod budowę, bo tę ostatecznie znalazł i przygotował łódzki magistrat.

14 maja 1938 roku na działce przy skrzyżowaniu ulicy Gdańskiej z Kopernika wmurowany został kamień węgielny pod budowę nowoczesnego gmachu biblioteki. Była duża uroczystość z udziałem wielu polityków. Przyjechał wicepremier Eugeniusz Kwiatkowski, inwestycje poświęcił biskup łódzki Włodzimierz Jasiński, a honory gospodarza pełnił Aleksander Heiman-Jarecki. Potem fundator doglądał budowy, która postępowała dość szybko, i przed wybuchem wojny nowoczesny gmach Miejskiej Biblioteki Publicznej był już w zasadzie ukończony. Do przeniesienia zbiorów przygotowywali się

pracownicy, ale już nie zdążyli. Wkroczenie wojska niemieckiego do Łodzi oznaczało przerwanie planów związanych nie tylko z łódzką biblioteką. Nie zastanawiając się długo, Heiman-Jarecki postanowił natychmiast uciekać. Pozostawił dobrze prosperujące przedsiębiorstwo „Wola” w Warszawie, piękny pałac w Smoszewie pod Zakroczymiem, który był jego wiejską rezydencją, i rodzinną kamienicę przy ul. Piotrkowskiej 125, gdzie mieszkał. Została tam jego duża prywatna biblioteka i kolekcja dzieł sztuki, którą odziedziczył po ojcu i systematycznie przez lata uzupełniał. Do Polski miał już nigdy nie wrócić.

Twórca najpiękniejszego parku

Aleksander Heiman-Jarecki był w Łodzi znany także jako twórca najpiękniejszego parku. To dzisiejszy park im. J. Matejki, położony naprzeciw Biblioteki Uniwersytetu Łódzkiego. Nieruchomość tę przyszły senator zakupił u progu II Rzeczypospolitej. Miała tam powstać rezydencja jego i ówczesnej żony, z którą ożenił się za granicą w 1910 roku. Antonina Edmé Reuff urodziła się w Szwajcarii i była znaną pięknością, ale chorowita źle znosiła polski klimat.

Aby zapewnić żonie piękne otoczenie, Heiman-Jarecki w 1924 roku urządził na działce przy ul. Matejki park w stylu francuskim, który miał być miniaturą parku pałacowego w Wersalu. Wśród zaprojektowanej przez architekta krajobrazu kompozycji drzew, krzewów i parterów kwiatowych miał stanąć pałac. Powstał tylko od strony ulicy Matejki tzw. Dom Ogrodnika,





w którym miała zamieszkać obsługa tej pięknej nieruchomości, oraz niewielki budynek gospodarczy. W 1926 roku Antonina Heimanowa zmarła na gruźlicę w Szwajcarii i zrozpaczony stratą żony mąż zarzucił plan budowy pałacu. Całą nieruchomość przekazał do użytkowania wojewodzie łódzkiemu, a w 1937 roku park od właściciela ostatecznie kupiła gmina Łódź, płacąc zresztą za tę perełkę krajobrazową bardzo umiarkowaną cenę. Odtąd park im. J. Matejki jest parkiem miejskim.

Po sześciu latach od śmierci ukochanej żony Heiman-Jarecki ożenił się z aktorką Bronisławą Kojałowicz. Dla niego było to drugie małżeństwo, dla niej trzecie. Jej drugim mężem był Kazimierz Wierzyński, znany poeta, jeden ze Skamandrytów, z którym się rozwiódł, aby wziąć ślub z przystojnym przemysłowcem. Heiman-Jarecki miał już wówczas 47 lat, Kojałowicz była 10 lat młodsza od męża. Małżeństwo stało się pewną sensacją w kręgach warszawskich, tym bardziej że w tym samym czasie inny poeta Skamandra Antoni Słonimski wszedł do rodziny Heimanów, żeniąc się z córką siostry Aleksandra, malarką i rzeźbiarką Janiną Konarską, o której względy bezskutecznie zabiegał właśnie porzucony przez żonę Wierzyński.

Ucieczka i kolejne tragedie

Ucieczka Heimanów po napaści hitlerowskiej na Polskę wiodła przez Rumunię do Francji. Tam wśród rzeszy polskich uchodźców próbowali urządzić sobie jakoś życie w nowych warunkach, ale upadek Francji rozbił te plany. Oboje mieli żydowskie korzenie i pozostawanie na miejscu zwiastowało nieszczęście. Małżonkowie wyjechali do Nicei, aby stamtąd ewakuować się do Wielkiej Brytanii. Nie wiadomo, dlaczego tylko Heiman-Jarecki wsiadł na pokład statku płynącego do Anglii. Jak podaje Jerzy Pietrasik, daleki kuzyn Heimanów, który mieszka w Łodzi, Bronisława Kojałłowicz została w porcie, bo nie chciała



rozstać się z wywiezionym z Polski ulubionym pieskiem, którego wpuszczenia na pokład jej odmówiono. Egzystowała jakoś w kolaborującym z Niemcami państwie Vichy, czując się prawdopodobnie bezpiecznie w kręgu znajomych. W 1943 roku w ramach akcji wymierzonej przeciwko Żydom została aresztowana i umieszczona w obozie. Stamtąd została w transporcie francuskich Żydów przewieziona do obozu koncentracyjnego Auschwitz i tam zamordowana. Są jednak poszlaki, że śmierć aktorki nastąpiła w obozie na Majdanku, dokąd przewieziono z Oświęcimia część deportowanych z Zachodu Żydów.

Tymczasem Aleksander Heiman-Jarecki znalazł się Londynie bez środków do życia. Utrzymywał się z zasiłku, z którego korzystali na uchodźstwie także inni polscy politycy oczekujący końca wojny i rozstrzygnięcia dalszych losów Polski. W 1944 roku znalazł się w delegacji byłych polskich posłów i senatorów, którą przyjął prezydent RP Władysław Raczkiewicz. Było już po spotkaniu przywódców trzech mocarstw w Teheranie i powojenne losy Polski zostały w zasadzie przesądzone. Byli parlamentarzyści próbowali namówić Raczkiewicza, aby załatwił im audiencję u premiera Wielkiej Brytanii Winstona Churchilla. To jednak okazało się niemożliwe.

W lutym 1945 roku ta sama grupa polskich parlamentarzystów, w której istotną rolę odegrał Heiman-Jarecki, wystąpiła z apelem do członków obu izb parlamentu brytyjskiego w sprawie decyzji jałtańskich podjętych nad głowami Polaków, a następnie wystosowali dramatyczną odezwę *Dla członków Parlamentów Wolnych Narodów*. Polscy parlamentarzyści

pisali: „Z komunikatu wydanego w Jałcie 12 lutego 1945 roku wynika, że Wielka Brytania i Stany Zjednoczone zapowiadają zerwanie wszelkich umów i układów łączących te państwa z Prezydentem RP i Rządem Polskim uprawniającym ciągłość niepodległości państwa polskiego i są gotowe nawiązać stosunki z rządem narzuconym Polsce przez władze sowieckie. Z rządem, o którym wiadomo, że w znacznej części składa się z ludzi nie mających prawa do obywatelstwa polskiego [...] Narzuca się wniosek, że obecnie stanowisko Wlk. Brytanii i Stanów Zjednoczonych ma być karą dla Polaków za to, że nie chcieli uznać ponownego rozbioru swojej ojczyzny i oddania Rosjanom dwóch miast sercu polskiemu najbliższym, Wilna i Lwowa i przez to utrudniali stosunki pomiędzy trzema wielkimi sojusznikami”. Pod odezwą na trzecim miejscu znajduje się podpis Aleksandra Heimana-Jareckiego.

Skromny polski emigrant

Był to już ostatni akt politycznej działalności byłego przemysłowca, senatora i fundatora gmachu Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego. Rozgoryczony i samotny postanowił wyjechać do Australii i tam zacząć nowe życie. W 1946 roku z grupą polskich wygnańców wylądował w Sydney. Rok później ożenił się z Antoniną Zagórką, wdową, emigrantką tak jak on. W 1948 roku otrzymali obywatelstwo australijskie. Miał już 62 lata i mimo że znał bardzo dobrze język angielski, w nowym kraju przyszło mu żyć w skromnych warunkach. Otworzył mały zakład naprawy maszyn biurowych. Czasem pomagał w doradztwie ekonomicznym polskiej firmie



Vistula, w której kręgu znaleźli utrzymanie inni polscy emigranci. Sam nie miał już ambicji rozwijania większego biznesu. Zresztą nie miał na to pieniędzy i pogodził się ze skromnym miejscem, jakie znalazł w gościnnej dla polskich emigrantów Australii.

Udzielał się nadal społecznie w środowisku tamtejszej Polonii. Był członkiem Polskiego Towarzystwa Demokratycznego w Sydney, działał w Polskim Kole Kulturalno-Artystycznym. Wygłaszał odczyty, dzielił się wspomnieniami. Zmarł 14 stycznia 1966 roku. Jego prochy zostały złożone w kolumbarium Walt Unit na terenie Eastern Suburbs Memorial Park w Sydney. Według niepotwierdzonych informacji w latach 70. Polskę odwiedziła Antonina Heimanowa, wdowa po Aleksandrze. Miała udać się na cmentarz przy ul. Ogrodowej i złożyć prochy męża w rodzinnym grobie Heimanów-Jareckich. W administracji cmentarza nie ma jednak na ten temat wzmianki i być może wdowa prochy męża tylko rozsypała wokół grobu, wykonując w taki sposób testament zmarłego.

15 maja 2017 roku Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. Marszałka Józefa Piłsudskiego uczciła pamięć Aleksandra Heimana-Jareckiego sesją popularnonaukową i wmurowaniem tablicy pamięci na frontonie gmachu ufundowanego przez tego wybitnego łódzianina.

Gustaw Romanowski

Indeks źródeł:

1. *Kto kim był w II Rzeczypospolitej*, red. M.J. Majchrowski, Warszawa 1994.
2. Kuciel-Frydryszak Joanna, *Słomski. Heretyk na ambonie*, Warszawa 2012.
3. Rządowska Maria, *Heiman-Jarecki Aleksander [w:] Słownik pracowników książki polskiej*. Suplement III, red. Hanny Tadeusiewicz, Warszawa 2010.
4. Strzałkowski Jacek, *Przeława Smolika Towarzystwo Bibliofilów w Łodzi*, Łódź 2017.
5. Wikipedia (dostęp: 10.09.17) https://wikipedia.org/wiki/Aleksander_Heiman-Jarecki
6. Witryna Edukacyjna Kancelarii Senatu, (dostęp: 10.09.2017) <https://senat.edu.pl/historia/senat-rp-w-latach-1922-1939/senatorowie-ii-rp/senator/aleksander-heiman-jarecki>.
7. Wskazane informacje i wybrane relacje Jerzego Pietrasika.

Fot. dzięki uprzejmości Biblioteki Publicznej im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Łodzi

Na marginesie *Wspomnień* marszałka Mannerheima

Fiński Piłsudski i jego polskie tropy



Wśród mężów stanu, którzy odcisnęli piętno na historii własnych państw i narodów, a niekiedy regionów lub całej Europy w pierwszej połowie XX wieku, postać Carla Gustafa Mannerheima, marszałka i prezydenta Finlandii, zajmuje miejsce zupełnie wyjątkowe. Szczególny charakter ma również legenda, interpretacje i oceny postawy politycznej oraz historycznej roli tego przywódcy w dziejach Finlandii, Skandynawii i całego Starego Kontynentu.

Kontrowersyjny bohater Finów

Wielu spośród charyzmatycznych liderów politycznych i dowódców wojskowych z lat Wielkiej Wojny, europejskiego międzywojnia i drugiej wojny światowej określić można mianem kontrowersyjnych. Francisco Franco – faszystowski dyktator czy przywódca narodowego powstania, które ocaliło Hiszpanię przed czerwonym totalitaryzmem? Regent Miklós Horthy – pogromca bolszewickiej rewolty Beli Kuna czy sojusznik nazistowskich Niemiec i antysemita? Józef Piłsudski – budowniczy niepodległej Rzeczypospolitej, pogromca Armii Czerwonej i autor przewrotu majowego, który uratował Polskę przed chaosem, czy burzyciel porządku konstytucyjnego II Rzeczypospolitej?

Jednak nawet w tej grupie politycznych liderów mit marszałka C.G. Mannerheima należy do fenomenów. W gronie fińskich elit to postać dalece niejednoznaczna. Część z ich przedstawicieli podkreśla jego zasługi dla zdobycia i utrwalenia niepodległości Finlandii. Zwracają oni też uwagę na decydujący udział marszałka w trzykrotnym ocaleniu suwerenności państwa. A więc: w latach 1917–1918, kiedy dowodzone przez niego wojska pokonały wroga wewnętrznego w postaci fińskich komunistów i zbrojnej Czerwonej Gwardii i wyparły z granic państwa zrewoltowane rosyjskie garnizony; w latach 1939–1940, podczas tzw. wojny zimowej, gdy skutecznie kierował on obroną przed inwazją sowiecką; wreszcie w latach 1941–1944, kiedy to w ramach wojny kontynuacyjnej potrafił poprzez umiejętne zaangażowanie wojska – jego skierowanie najpierw przeciwko Związkowi Sowieckiemu (w ramach aliansu z III Rzeszą), a następnie oddziałom niemieckim (gdy Armia Czerwona w pościgu za Wehrmachtem zalewała Europę Środkowo-Wschodnią) – ocalić niepodległość fińskiej republiki zawieszanej pomiędzy nazistowską III Rzeszą a komunistyczną Rosją. Z kolei dla fińskiej lewicy Mannerheim to przede wszystkim reakcjonista, który nie cofnął się przed krwawą rozprawą z rodzimą lewicą u progu niepodległości, a dwie dekady później wsparł w latach drugiej wojny światowej zbrodnicze, faszystowskie Niemcy. Fakt, iż w obydwu przypadkach kierował się dążeniem do utrzymania niepodległości państwa, zdaje się nie usprawiedliwiać wspomnianych czynów w oczach jego adwersarzy.

Z drugiej strony – w odróżnieniu od tego niejednoзначnego wizerunku, wciąż dyskutowanego wśród fińskiej elity – marszałek Carl Gustaf Mannerheim w opinii fińskiej ulicy to ikona niepodległości i wzorzec patriotyzmu. Kiedy w grudniu 2004 roku fińska telewizja wyemitowała program pt. *Wielcy Finowie*, połączony z wyborami narodowego bohatera, marszałek znokautował konkurentów, uzyskując bez trudu zaszczytne miano największego Fina w historii.

Od carskiego oficera do prezydenta Finlandii

Biografia Mannerheima w pełni usprawiedliwia zarówno wielkie zainteresowanie tą postacią, jak i diametralnie różne oceny jej politycznego zaangażowania. Przyszły fiński marszałek przyszedł na świat w arystokratycznej szwedzkiej rodzinie w 1867 roku. Określany w polskiej publicystyce mianem fińskiego Piłsudskiego – z racji podobnej roli odegranej w dziejach Finlandii w latach Wielkiej Wojny i międzywojnia – był również rówieśnikiem Komendanta! Kształcił się w Szkole Kadetów w Haminie, a następnie na Uniwersytecie Helsińskim i w Mikołajewskiej Szkole Oficerskiej Kawalerii w Petersburgu. Od 1889 roku służył w wojsku rosyjskim – najpierw w 15 Aleksandryjskim Pułku Dragonów w Kaliszu, potem w Sankt Petersburgu czy wreszcie na Da-

lekiem Wschodzie, gdzie uczestniczył w wojnie rosyjsko-japońskiej w latach 1904–1905. Po jej zakończeniu wrócił do Królestwa Polskiego i dowodził najpierw 13 Włodzimierskim Pułkiem Ułanów w Mińsku Mazowieckim, a później Lejb-Gwardyjskim Pułkiem Ułanów w Warszawie.

W latach pierwszej wojny światowej C.G. Mannerheim walczył w Galicji, awansując do stopnia generała. Po rewolucji lutowej i puczu bolszewików powrócił w grudniu 1917 roku do Finlandii, obejmując naczelne dowództwo wojsk swojej ojczyzny, na czele których pokonał komunistyczną fińską Czerwoną Gwardię i spacyfikował rosyjskie garnizony na terenie kraju. Jako konserwatysta bez powodzenia brał udział w wyborach prezydenckich, a po podpisaniu konstytucji w lipcu 1919 roku wycofał się z życia politycznego, poświęcając się działalności społecznej. Dziesięć lat później odmówił poparcia prawicowego zamachu stanu, aby w 1931 roku przyjąć funkcję Przewodniczącego Rady Obrony Państwa. Jako marszałek fińskiej armii zreorganizował i wzmocnił siły zbrojne państwa i zbudował na Przesmyku Karelskim tzw. Linie Mannerheima.

W okresie drugiej wojny światowej Mannerheim najpierw skutecznie powstrzymywał agresję Armii Czerwonej na Finlandię w latach wojny zimowej (1939–1940), a następnie u boku Niemiec brał udział w fińskiej wojnie kontynuacyjnej ze Związkiem Sowieckim w celu odzyskania ziem utraconych w roku 1940 roku. Równocześnie odrzucił niemieckie żądania deportacji ludności żydowskiej i utrzymał dobre stosunki z przedstawicielami koalicji antyhitlerowskiej – premierem brytyjskim Winstonem Churchillem i prezydentem Stanów Zjednoczonych Franklinem Delano Rooseveltem. Wybrany w sierpniu 1944 roku na prezydenta Finlandii, w obliczu widma sowieckiej inwazji podpisał zawieszenie broni z ZSRR i skierował wojska fińskie do walki z Niemcami. W maju 1946 roku ustąpił z urzędu – zdając sobie sprawę, że jako były sojusznik Hitlera może stanowić dla Finlandii problem w ułożeniu powojennych stosunków z mocarstwami zachodnimi i Związkiem Sowieckim. Zamieszkał w Szwajcarii. Zmarł w 1951 w Lozannie.

Potomnym – dla nauki i ku przestrodze

Pozostawił wspomnienia, które jego zdaniem miały stanowić zarówno rodzaj politycznego testamentu, jak i pożytecznego przewodnika dla fińskich polityków, ułatwiającego – na podstawie jego doświadczeń i przemyśleń – prowadzenie rozsądnej i racjonalnej polityki wewnętrznej i zagranicznej. Sam pisał o nich: „Rozważania skłoniły mnie do podjęcia wysiłku i opracowania poniższych wspomnień i doświadczeń z życia długiego i różnorodnego [...]. Mam nadzieję, że najistotniejsze przeżycia i nauki, jakich udzieliło mi życie, będą służyć ku oświeceniu i przestrodze pokoleniom, od których zależy obecna i przyszła pomyślność Finlandii”.

Książka, która ukazała się właśnie nakładem wydawnictwa Editions Spotkania (opatrzona wstępem Henrika Meinandera, fińskiego historyka z Uniwersytetu Helsińskiego, krótką biografią autora *Wspomnień* piora M. Kopczyńskiego pt. *Mannerheim – bohater kontrowersyjny* oraz notą do pierwszego wydania polskiego z 1996 roku), zbudowana jest z dziesięciu części: *Przedmowy* samego marszałka C.G. Mannerheima do pierwszego wydania *Wspomnień* i dziewięciu obszernych rozdziałów.

W rozdziale pierwszym pt. *Oficer carskiej armii* Mannerheim opisuje swoją młodzieńczą drogę życiową, wiodącą od fińskiego korpusu kadetów, przez rosyjską szkołę kawalerii, aż po służbę w wojsku carskim, wreszcie udziale w światowym konflikcie i wydarzeniach przełomowego 1917 roku. Rozdział kolejny (*Wojna o niepodległość*) prezentuje wspomnienia i refleksje marszałka z okresu walk o utrwalenie suwerenności Finlandii – wojny, która była zarówno starciem z wrogiem wewnętrznym, czyli fińskimi komunistami i sformowaną przez nich Czerwoną Gwardią, jak i zrewoltowanymi wojskami rosyjskimi. Następny, pt. *Utrwalanie niepodległości*, dotyczy działalności politycznej autora książki jako regenta Finlandii, zarówno na arenie wewnętrznej, jak i międzynarodowej. W rozdziale czwartym – *Wolni obywatele* – Mannerheim wraca do lat 20., kiedy tylko obserwował z dystansu fińską scenę polityczną oraz zmiany następujące w relacjach międzynarodowych. Ta absencja miała stanowić dla byłego generała dogodny punkt wyjścia do udanego projektu powrotu do najwyższych władz wojskowych i polityki, który opisuje on w rozdziale piątym, pt. *Osiem lat wyścigu z burzą*. Tu relacja skupia się na poczynaniach Mannerheima jako Przewodniczącego Rady Obrony, przyszłego naczelnego dowódcy i charakteryzuje wysiłki na rzecz wzmocnienia obronności Finlandii w obliczu zagrożenia agresją ze strony Związku Sowieckiego. Rozdział szósty pt. *Wojna zimowa* to opis konfliktu zbrojnego z Sowietami w latach 1939–1940. W następnym – pt. *Zbrojny pokój* – Mannerheim analizuje przede wszystkim politykę zagraniczną Finlandii w dramatycznym, choć krótkim okresie dzielącym zakończenie zmagania z „czerwoną Rosją” od niemieckiego ataku na Związek Sowiecki. Rozdział ósmy pt. *Drugi etap wojny* to w istocie opis udziału Finlandii w starciu Niemiec ze Związkiem Sowieckim w latach 1941–1944, tyle że celem współdziałania z III Rzeszą, było dążenie do rewindykacji obszarów utraconych po wojnie zimowej. Ostatni rozdział pt. *U steru państwa* przedstawia okoliczności objęcia przez Mannerheima urzędu prezydenta, zwrotu w fińskiej polityce zagranicznej i podjęcia działań zbrojnych przeciwko Niemcom. Jest też mowa o stabilizowaniu kraju i jego położenia międzynarodowego w pierwszym okresie po zakończeniu drugiej wojny światowej. Rozdział kończy się wspomnieniami o rezygnacji z pełnienia funkcji Głowy Państwa.

Wspomnienia męża stanu

Wspomnienia Mannerheima to pozycja niezwykle cenna w dwudziestowiecznej spuściźnie pamiętnikarskiej. Lektura ich wydaje się wręcz obowiązkiem historyków zainteresowanych dziejami XX wieku, a zwłaszcza jego dramatycznej i krwawej pierwszej połowy. Jest też ważna dla publicystów mających ambicję kompetentnego pisanie o dziejach europejskiego międzywojnia i drugiej wojny światowej. Uwagi powyższe dotyczą rzecz jasna nie tylko rodaków wielkiego przywódcy, ale także przedstawicieli wymienionych środowisk i kręgów zawodowych z innych krajów.

Refleksje i wspomnienia C.G. Mannerheima umiejętnie łączą prezentację faktografii i opisy procesów historycznych z jego własnymi ocenami, osądami i opiniami. Atutem książki jest wreszcie intelekt oraz talent polityczny i wojskowy tego fińskiego przywódcy. To dzięki nim *Wspomnienia* stają się swoistym poradnikiem dla polityków i dowódców wojskowych oraz – w szerszym kontekście – kształcącą lekturą dla tych Europejczyków, którym leży na sercu racja stanu ich państw oraz interes narodowy.

Mannerheim – ślady polskie i... łódzkie

Są wątki, które czynią *Wspomnienia* C.G. Mannerheima szczególnie cenną książką dla Polaków. Jeden z nich to narzucające się w trakcie lektury – i akcentowane zresztą niekiedy wprost przez niego – pokrewieństwo losów Finlandii i Polski w pierwszej połowie XX wieku. Podobieństwo to urywa się oczywiście wraz z dramatem drugiej wojny światowej – kiedy Polska utraciła na pół stulecia suwerenny byt, a Finlandia zdołała przetrwać jako niepodległe państwo. A to znacznie za sprawą wojskowych zdolności, politycznej wirtuozerii i tytanicznej dyplomatycznej pracy C.G. Mannerheima.

Drugi polski wątek to pojawiające się na kartach książki fragmenty wprost odnoszące się do Polski i Polaków. Późniejszy marszałek Finlandii, stacjonując przez kilka lat jako carski oficer na ziemiach polskich przed pierwszą wojną światową, zadzierzgnął bliskie przyjaźnie z licznymi reprezentantami polskiej elity – arystokratami, przemysłowcami, wojskowymi i urzędnikami. Nauczył się języka polskiego, jako przedstawiciel narodu pozostającego w zależności od Rosji przyjmując ze zrozumieniem żywe nad Wisłą postawy patriotyczne. Wspominał później: „Polacy przyjmowali mnie, mimo mojego stanowiska służbowego, bez uprzedzeń. Jako Fin i zdeklarowany przeciwnik rusyfikacji w moim własnym kraju, ze zrozumieniem myślałem o uczuciach Polaków i ich poglądach na sprawy, które uznać można by za drażliwe. Nigdy więc nie rozmawiałem z nimi o polityce. Oni także nie łamali tego niepisanego prawa”.

Już po zakończeniu Wielkiej Wojny połączyła go polityczna przyjaźń z Józefem Piłsudskim. Tak np. relacjonował swój kontakt z przywódcą Drugiej Rzeczypospolitej i Wodzem Naczelnym jej armii z 1919 roku: „Złożyłem wizytę marszałkowi Piłsudskiemu, wielkiemu przywódcy Polaków [...]. Piłsudski, zachowujący się bez pompy, prosto i naturalnie, przyjął mnie w swym skromnie urządzonej gabinecie. Prawie natychmiast zaczęliśmy rozmawiać o najbardziej aktualnym dla nas obu problemie rosyjskim”.

W polskich wspomnieniach Mannerheima również łodzia- nie znajdują wątki związane z ich regionem. Wielką pasją Fina były polowania. Jako rosyjski oficer często towarzyszył carowi Mikołajowi II i jego rodzinie w wyprawach myśliwskich w okolicach Spały i Uniejowa. Tutaj też spotkało go z woli cara wielkie wyróżnienie. Tak zapamiętał swoje spalskie przygody łowieckie i zaszczytny awans: „Przypominam sobie dokładnie, jakie możliwości polowań oferowała Polska. Pamiętam zwłaszcza wielkie polowania z nagonką, organizowane w lasach koło cesarskiego pałacu myśliwskiego w Spale [...] Często zapraszano mnie do udziału [...]. W 1912 roku w Spale zostałem mianowany generałem świty cesarskiej. Był to zaszczyt, z którym nie wiązały się żadne obowiązki dworskie, natomiast dawał prawo noszenia inicjałów cesarskich na epoletach i akselbantach oraz dostęp do cara bez czasochłonnej formalności”.

Na zakończenie, prawem (życzliwego!) recenzenta wypada mi wspomnieć, iż omawiana książka nie jest wolna od pewnych mankamentów. Z dużą dozą pewności można zakładać, iż na oceny i opinie formułowane przez Mannerheima w połowie XX wieku, a odnoszące się do wydarzeń wcześniejszych o dekady miały wpływ zachodzące w tym czasie fakty. Pewną też usterką – przynajmniej odczuwaną przez piszącego te słowa – jest brak w książce choćby kilku map ilustrujących narrację, np. mapy Finlandii przed pierwszą wojną światową. Jednak niezależnie od tych drobnych uwag wznowienie *Wspomnień* C.G. Mannerheima należy odnotować jako przedsięwzięcie wydawnicze niezwykle potrzebne i pożyteczne, sam tekst zaś wypada zaliczyć do kanonu wspomnieniowych lektur historycznych.

Przemysław Waingertner
– historyk, publicysta, profesor Uniwersytetu Łódzkiego

Carl Gustaf Mannerheim, *Wspomnienia*, przeł. Krystyna Szelągowska, wstęp, red. i przyp. Michał Kopczyński, Editions Spotkania 2017.

Łódzkie problemy w latach 1933–1939

Ataki na żydowskie sklepy

W Łodzi lat 30. XX wieku miało miejsce pasmo motywowanych ideologicznie napadów na żydowskie sklepy. Bezpośrednią odpowiedzialnością za nie należy obarczać łódzkie koło Stronnictwa Narodowego (endecji). Od roku 1933 prezesem Zarządu Okręgu SN w Łodzi był adwokat Kazimierz Kowalski – nazywany w nieprzychylniej mu lokalnej prasie liberalnej „łódzkim Führerem”. Zdaje się jednak, że wbrew powierzchownej analogii z niemieckim nazizmem¹ u podstaw antysemickich ataków na żydowskie sklepy leżało nie tyle uleganie teoriom rasowym, co faktyczne rozwarstwienie społeczne, zaznaczone tradycyjną dominacją ludności żydowskiej w sferach handlu i usług. W konsekwencji tego była widoczna wytykana przez endecję „nadreprezentacja” Żydów w niektórych zawodach i dziedzinach². Tymczasem grupom młodych, sfrustrowanych i pozbawionych perspektyw przeważnie niewykwalifikowanych robotników lub bezrobotnych nie przedstawiono żadnego pomysłu na zrównoważenie „etnicznych proporcji” w obrębie choćby niektórych grup zawodowych, co mogłoby stanowić alternatywę dla propozycji endeckiej³. Ta zaś opierała się na radykalnym rozdzieleniu wyobrażonych narodowych interesów – polskiego i żydowskiego – oraz na wykluczeniu możliwości pokojowej koegzystencji różnych grup etnicznych w ramach zgodnej społeczno-ekonomicznej symbiozy. Założenia te objawiały się m.in. niechęcią narodowo-demokratycznej ideologii wobec żydowskiej asymilacji⁴.

Zarysowany powyżej stan rzeczy uprawnia tezę, że w efekcie coraz bardziej natrętnej endeckiej demagogii oraz braku w przestrzeni publicznej II RP równie sugestywnego, a ideologicznie opozycyjnego przekazu koncentrującego się na tzw. „kwestii żydowskiej” masom tzw. miejskiego plebsu i wiejskiej ludności napływowej Żyd coraz wyraźniej jawił się jako przeszkoda dla społecznego awansu. I to bez względu na to, że żydowskie pochodzenie

licznych przedsiębiorców i sklepikarzy nie było w stanie przesłonić faktu skrajnej nędzy większości polskich Żydów. Nie bez wpływu na polityczno-społeczny klimat w Polsce lat 30. pozostawała również analogiczna względem nagonki na żydowski handel kampania na rzecz „odżydzenia” adwokatury⁵, lansowany przez endecką prasę projekt wywłaszczenia Żydów⁶ czy wreszcie pobicie w dniu 28 maja 1935 roku radnych żydowskich przez przedstawicieli SN na sesji Rady Miejskiej w Łodzi⁷.

Radykalizacja tendencji antysemickich

Okresem kulminacji ataków na żydowskie sklepy wydają się lata 1936–1937. Wtedy to, po pierwsze, doszło do największej liczby takich napadów, a po drugie, oprócz akcji nadzorowanych bezpośrednio przez SN wyjątkowo silnie dawały o sobie znać terrorystyczne akty swoistych „samotnych wilków”⁸. Chodzi tu o indywidualnych zamachowców zmanipulowanych nacjonalistyczną propagandą tamtego okresu. Ci młodzi ludzie albo rekrutowali się z szeregów SN, albo w końcu trafiali tam na drodze ideologicznego rozwoju, ale na Żydów napadali samodzielnie, w sposób niezorganizowany i bez bezpośredniego rozkazu. Zarazem jednak wzrost częstotliwości ataków na żydowskie sklepy w wymienionym wyżej przedziale dwóch lat stanowi konsekwencję stopniowej radykalizacji tendencji antysemickich, która od początku dekady postępowała nie tylko w Łodzi i w Polsce, ale i prawie w całej Europie. W latach 1938–1939 natomiast nasilenie fizycznych ataków na żydowskie sklepy w Łodzi wyraźnie spadło. Można to tłumaczyć wyraźnym zdominowaniem przez tendencje antysemickie ekonomicznej polityki państwa i – w tym konkretnym sensie – zwycięstwem ideologicznym endecji.

Proces łódzkich „bombiarzy” i działalność „piątek”

Spośród akcji *de facto* terrorystycznych z 1936 roku wymierzonych w sklepy żydowskie, a bezpośrednio nadzorowanych przez Narodową Demokrację należy wymienić przede wszystkim ataki tzw. „bombiarzy” bądź „petardowców” – przy czym początkowe wahania w kwestii właściwego określenia wynikały z niepewności co do rodzaju stosowanych materiałów wybuchowych⁹. Pierwszy atak odnotowany przez lokalną prasę odbył się 27 stycznia, a jego obiektem był „Sklep porcelany i kryształów” Samuela Wintera przy ul. Piotrkowskiej 33. Ostatecznie, dzięki szybkiej reakcji syna właścicieli sklepu, który w porę dostrzegł niebezpieczeństwo i wezwał rodziców do ucieczki w głąb pomieszczenia – skończyło się tylko na stratach materialnych i drobnych obrażeniach przechodniów ranionych rozrzuconym od wybuchu szkłem. Szybko jednak okazało się, że zamach ten był jednym z trzech zaplanowanych na ten dzień. Pierwszy z nich nie powiódł się – jego

celem była siedziba redakcji „Ilustrowanej Republiki” przy ul. Sienkiewicza 9, bo gazeta była krytyczna wobec Narodowej Demokracji. Drugi natomiast, przeprowadzony na sklep spożywczy Blumy Borowieckiej przy ul. Zawiszy 24 (dziś Zawiszy Czarnego) okazał się tragicznie skuteczny. W jego wyniku trwałemu okaleczeniu uległ przypadkowy klient, nastoletni Polak Karol Zborzęcki, który stracił nogę. Próba kolejnego zamachu miała miejsce 9 marca, kiedy celem stał się sklep mięsny Hersza Wajsztoka przy rogu ul. Nowo-Zarzewskiej (dziś Zarzewskiej) i Kruczej. Ten atak również się nie udał, domowej konstrukcji bomba zaś wybuchła w rękach zamachowca, masakrując go na oczach niedoszej ofiary.

Policja szybko wpadła na trop sprawców i dokonała wielu aresztowań. Proces łódzkich „bombiarzy”, który odbył się w dniach 1–7 kwietnia 1936 roku ujawnił powiązania pomiędzy zamachami a działalnością Stronnictwa Narodowego, choć zbrakło dowodów na to, aby wskazać bezpośrednie zaangażowanie w ich organizację samego zarządu koła, w tym adwokata Kowalskiego, występującego zresztą jako obrońca jednego z oskarżonych. Spośród 27 oskarżonych, z których wszyscy albo aktualnie, albo w przeszłości byli członkami SN¹⁰, najwyżej postawiony był Napoleon Siemaszko, członek sekcji akademickiej zarządu koła warszawskiego, które na przełomie lat 1935/1936 zorganizowało szereg antyżydowskich zamachów bombowych na terenie stolicy¹¹. Siemaszko był jednocześnie najwyższym rangą członkiem stronnictwa, któremu współudział w zamachach udowodniono podczas procesu. Jednak najważniejsze, co ujawnił proces łódzkich „bombiarzy”, to oblicze bojówek endeckich jako częściowo zakonspirowanej, paramilitarnej organizacji – pośrednio antyżydowskiej, a docelowo antypaństwowej.

Zamachowcy tworzyli zhierarchizowaną strukturę, na szczycie której znajdował się wspomniany Siemaszko. On koordynował terrorystyczne akcje za pośrednictwem Ewarysta Zwierzewicza, swego przedstawiciela w Łodzi, a ten wydawał dyspozycje Stanisławowi Ogórkowi – nadzorującemu praktyczną realizację planowanych działań. Ogórek z kolei wybierał spośród sympatyzujących z SN młodych robotników, rzemieślników i bezrobotnych, z których każdy miał za zadanie skompletować własną „grupę operacyjną” złożoną z pięciu osób, czyli tzw. „piątkę”. W ramach tak skonstruowanej hierarchii członkowie spisku składali przed swoimi bezpośrednimi przełożonymi uroczystą „przysięgę” wierności obozowi „narodowemu” i jego idei¹². Siemaszko przywoził Zwierzewiczowi pieniądze, które ten rozdysponowywał m.in. na zakup broni oraz materiały wybuchowe. Te Zwierzewicz przekazywał Ogórkowi, a on rozdzielał je między „piątki”, z których każda miała do przeprowadzenia jeden zamach.

Opisane powyżej ataki nie były prawdopodobnie jedynymi zamachami na sklepy należące do Żydów, w których planowaniu i przeprowadzeniu brały udział lokalne struktury endecji. Podobny zamach miał miejsce choćby w grudniu 1937 roku, kiedy przez dwa wieczory z rzędu celem ataków był sklep Nuty Rozencwelda przy Rzgowskiej 197. Najpierw 11 grudnia wśród głośniejszych deklaracji „wyrzucenia Żydów z Polski” i powoływaniu się na przynależność do obozu „narodowego”¹³ dwóch pijanych osobników powybijało w tym sklepie szyby. Następnego dnia do wnętrza wrzucono żarówki wypełnione żrącym płynem kreozotem, co wywołało krótkotrwałe oślepienie właściciela sklepu i zniszczenie części towaru. W tym ataku brało udział pięciu endeków, co od razu przywodzi na myśl opisany powyżej podział na „piątki”. Jednocześnie spory zapas wypełnionych kreozotem żarówek policja znalazła w siedzibie SN na Chojnach¹⁴.

Wszystkie zamachy służyć miały osłabieniu żydowskiej konkurencji w sektorze handlu, a także zastraszeniu środowisk przedstawianych przez endecką propagandę jako prożydowskie, a które w rzeczywistości – jak redakcja „Ilustrowanej Republiki” – były po prostu niechętne działaniom i ideologii zaburzającej spokój społeczny¹⁵. Zarazem jednak – co najsilniej ujawniło śledztwo w sprawie zamachów ze stycznia 1936 roku – zwiększanie społecznego chaosu miało przygotować grunt pod endecki zamach stanu¹⁶. Taka intencja „bombiarzy” każe powiązać ich zamachy z partyjnymi manifestacjami pod łódzką katedrą 3 maja 1934 roku, kiedy to endecy agitatorzy zakłócili krzykami nabożeństwo z okazji święta narodowego, a zainicjowana przez nich manifestacja przerodziła się w masowy akt przemocy przeciwko ludności żydowskiej¹⁷. Dostrzegalna wówczas próba wykorzystania nastrojów antysemitycznych, obecnych zwłaszcza w tzw. „niższych” warstwach społeczeństwa, również otworzyć miała pole dla endeckiego „marszu po władzę”.

Łódzka specyfika „rewolucji narodowej”

W miastach akademickich, gdzie w latach 30. do ekscesów antyżydowskich dochodziło coraz częściej na wyższych uczelniach, a tzw. „problem żydowski” dotyczył w przeważającej mierze kwestii „getta ławkowego” i *numerus clausus*, antysemitka nagonka endecji mogła opierać się na działalności studenckich kół SN i środowisk sympatyzujących z Obozem Narodowo-Radykalnym. W Łodzi natomiast, gdzie przed drugą wojną światową środowisko akademickie nie istniało, struktura społeczna wymuszała koncentrację antysemitycznego przekazu na masach robotniczych – ze szczególnym uwzględnieniem bezrobotnych. Lokalna specyfika wymuszała więc pewne rozwarstwienie środowisk endeckich, gdzie pomiędzy dobrze sytuowanym mieszczaństwem a najbardziej zagrożoną warstwą społeczeństwa brakowało stanu pośredniego. Ten

fakt zauważył pisarz Ksawery Pruszyński w „Wiadomościach Literackich”: „Narodowcem jest w Łodzi najpierw pan doktor, pan kupiec, pan mecenas, potem długa, długa przerwa. Potem idzie nowy narodowiec, bezrobotny”¹⁸.

Zdaniem Pruszyńskiego bezrobotny w Łodzi lat 30. to tzw. „bezrobotny z urodzenia”, o którego prawa nie zabiegały stronnictwa socjalistyczne, zrzeszające robotników już zatrudnionych w fabrykach, a bezrobotnych postrzegające jako potencjalną polityczną konkurencję¹⁹. Kreując się więc na jedynych rzeczników warstw sfrustrowanych, narodowcy zmuszeni byli przedstawiać Żydów (ich obecność w handlu i biznesie) jako rzekomo sprzeczną z interesem narodu i stanowiącą przyczynę społeczno-zawodowego upośledzenia owych warstw²⁰. Konsekwencję ukierunkowania przekazu na najniższe warstwy społeczne musiała stanowić jego wyraźna trywializacja. Z jednej strony, pozostawało to w zgodzie z ogólną niechęcią retoryki endeckiej do psychologiczno-kulturowego pogłębiania obrazu „Żyda”²¹. Z drugiej strony, znajdowało potwierdzenie w słowach Kazimierza Kowalskiego, który podczas procesu po wspomnianych „zajściach pod katedrą” miał stwierdzić wprost, że ze względu na „niezwykle niski poziom umysłowy słuchaczy” podczas prelekcji i publicznych wystąpień nie używano np. wyrażen takich jak „rewolucja narodowa – których zrozumienie wymagać miało wiedzy o świecie większej niż elementarna”²².

Organizowane w Łodzi demonstracje Stronnictwa Narodowego ukierunkowywały złość i rozgoryczenie najniższych warstw społeczeństwa przeciwko Żydom, stając się pretekstem dla aktów rozboju, bynajmniej nie sprzecznych z intencjami organizatorów. Według świadków oskarżenia w procesie na okoliczność „zajść pod katedrą” zarząd SN miał zalecić manifestantom, aby bili każdego napotkanego Żyda i wybijali szyby w każdym żydowskim sklepie – jeśli tylko nie będzie w pobliżu policjanta²³. Rozruchy w Święto Narodowe Trzeciego Maja miały przy tym stanowić zapowiedź początku „narodowej” rewolucji, która obali porządek polityczny ustanowiony wskutek „przewrotu majowego” z 1926 roku²⁴. Pierwszego etapu tej rewolucji upatrywano w wyborach samorządowych 27 maja 1934 roku, podczas których SN zdobyło w Łodzi przewagę nad innymi ugrupowaniami, uzyskując 39 na 72 mandaty w Radzie Miejskiej²⁵. Wówczas też coraz częściej zaczynało dochodzić do mniej lub bardziej samodzielnych napadów członków lub sympatyków SN na żydowskie sklepy²⁶.

Rozprawę poświęconą łódzkim zajściom z maja 1934 postrzegano jako nieoficjalny proces całej łódzkiej endecji. W tzw. „procesie monstre” – zwanym tak z racji swoich niespotykanych wcześniej w Łodzi rozmiarów – oprócz prawników łódzkich (adw. Szwajdlera, Bryńskiego, Brzezińskiego, Grochowskiego) brali udział adwokaci z Warszawy, Lwowa, Poznania,

Lublina i Tomaszowa Lubelskiego. Odbyswał się on między 14 a 25 stycznia 1935 roku w gmachu Sądu Okręgowego w Łodzi przy pl. Dąbrowskiego. W stan oskarżenia postawiono w nim 19 przedstawicieli łódzkiego SN (w tym samego mecenasa Kowalskiego), przesłuchano 80 świadków obrony i blisko 50 świadków dowodowych²⁷. Jeden z tych ostatnich, inspektor Niedzielski, komendant policji nadzorujący inwigilację łódzkich środowisk nacjonalistycznych, wspominał w swoich zeznaniach zajście z początku roku 1934, gdy do sklepu przy ul. Żeromskiego wrzucono butelkę z kwasem siarkowym, powodując m.in. ciężkie poparzenie dwuletniego dziecka²⁸.

Sfanatyzowani mordercy

Do najbardziej brutalnego ataku na żydowski sklep doszło jednak wieczorem 9 listopada 1936 roku, kiedy 18-letni członek SN, Tadeusz Szaniawski, robotnik fabryczny, „pod wpływem impulsu” wybił szybę w cukierence przy Kilińskiego 11, a następnie zastrzelił jej właściciela, Joska Berkowicza, gdy ten dogonił napastnika, domagając się odszkodowania za poniesioną stratę. Następnie, uciekając w dół ulicy Piłsudskiego (dzisiejsza Wschodnia), Szaniawski postrzelił przechodnia Mendla Rubinsztajna, który – jak sam później zeznawał – nie miał nawet świadomości zaistniałej chwili wcześniej sytuacji. Następnie na rogu ulic Piłsudskiego i Kamiennej (dzisiejsza Włókiennicza) bandytę rzeczywiście próbował zatrzymać handlarz mlekiem, Izrael Zendel – i była to niestety druga ofiara śmiertelna młodego narodowca. Po zastrzeleniu Zendla napastnik dalej straszył rewolwerem wszystkich napotykanych na tej ulicy Żydów, aż ranił kolejnego z nich – bezrobotnego Moszka Wajssanda. Obezwładniony wreszcie przez przechodniów sprawca został oddany idącemu w pobliżu plutonowemu Wojska Polskiego, a ten przekazał go policji²⁹.

Podczas procesu, który zaczął się 11 lutego 1937 roku, próbowano poddawać w wątpliwość poczytalność Szaniawskiego, który początkowo symulował obłąd. Potem jego adwokaci Grochowski i Kowalewski (obaj byli członkami SN) przekonywali sąd, że młody człowiek pragnął zostać zakonnikiem, ale na przeszkodzie stanęła jego trudna sytuacja finansowa. Przyjęta linia obrony miała najwyraźniej na celu ograniczenie bezpośredniej winy oskarżonego poprzez skierowanie dyskusji na kwestię zakładanych nierówności ekonomicznych między Polakami a Żydami. Tego rodzaju argumentacja, mimo że z pewnością słuszną z punktu widzenia samego Szaniawskiego, nie wytrzymała jednak konfrontacji z faktyczną nędzą obu jego ofiar: Berkowicza, którego tzw. „cukiernia” była klitką w „ruderze, o małych oknach”, oraz Zendla, tuż przed swoją tragiczną śmiercią wyeksmitowanego z mieszkania, „z jedynej izby, którą zajmował z żoną i dwojgiem dzieci”³⁰.

Z zeznań Szaniawskiego wynikało, że chciał jedynie wybić szybę w żydowskim lokalu, a zastrzelonego Joska Berkowicza nawet nie znał. Natomiast rewolwer – którego czarnorynkowa cena wynosiła tyle, ile tygodniowa pensja oskarżonego – miał mu służyć rzekomo do samoobrony. Zeznania prowadzącego dochodzenie przodownika policji Stanisława Joachimiaka podważyły wiarygodność twierdzeń Szaniawskiego, jakoby jego strzały w kierunku przechodniów stanowiły reakcję na obrzucanie go kamieniami przez gniewny tłum. Policjant stwierdził jednoznacznie, że kamienie w stronę Szaniawskiego ludzie zaczęli rzucać dopiero po jego śmiertelnym ataku na drugą ofiarę.

Chaotyczne zbrodnie z nienawiści popełnione przez bardzo młodego Szaniawskiego można zestawzić z bestialstwem innego członka łódzkiego SN, Jana Antczaka. Inaczej niż Szaniawski, w przypadku którego przypadkowość pierwszego zabójstwa pociągnęła za sobą następne, Antczak był od początku świadomy celu i zabijał Żydów z pełną premedytacją. Podczas procesu w maju 1937 roku udowodniono mu dwa brutalne zabójstwa i dwie próby zabójstwa. W swojej mowie końcowej porównał go wówczas z Szaniawskim prokurator Alfred Dreszer – oskarżyciel publiczny w procesach obu zbrodniarzy – wyraźnie podkreślając różnicę między przypadkowością działań pierwszego i celowością zamiarów drugiego, w obliczu ich analogicznej motywacji ideologicznej: „tam [u Szaniawskiego] zbrodnie były dalekim refleksem idei, a tu spłotły się z nią nierozzerwalnie”³¹. Antczak nie myślał już o atakowaniu żydowskich sklepów, ale zdecydował się na fizyczną eliminację napotykanych w mieście Żydów.

Pierwszego zabójstwa Antczak dokonał 6 września 1936 roku, po zorganizowanym przez PPS pochodzie z okazji rocznicy tzw. „krwawej środy”, który próbował zakłócić wraz z innymi członkami endeckiej bojówki. Starcie z socjalistami przy skrzyżowaniu ulic Kilińskiego i Narutowicza zmusiło endeków do wycofania się w stronę pl. Dąbrowskiego. Tam część z nich postanowiła odreagować porażkę na dwóch przypadkowo wysiadających z tramwaju Żydach, Gelhornie i Glicensztajnie. Pierwszy z nich odniósł niegroźne obrażenia w wyniku pobicia, drugi – ofiara Antczaka – zmarł w wyniku zadanych mu w głowę toporkiem ciosów. Bezkarność wywołana początkową niezdolnością policji do ustalenia sprawcy popchnęła Antczaka do drugiego morderstwa, którego dopuścił się 27 stycznia 1937 roku tuż po odczycie sympatyzującego z endecją księdza Stanisława Trzeciaka. Po opuszczeniu budynku Towarzystwa Śpiewaczego przy ul. 11 Listopada 21 (dzisiejsza Legionów) rozplomieniony ideologicznie Antczak udał się wzdłuż ulicy Pomorskiej. Najpierw dźgnął nożem nieznanym sobie wcześniej Kopela Czaryskiego i Fiszela Grynsztajna, a następnie na ul. Północnej zasztyletował

na śmierć przypadkowo napotkanego Szymona Chelemnera. W międzyczasie – czego nie uwzględniono w akcie oskarżenia – pobił jeszcze dwóch innych żydowskich przechodniów.

Chociaż według wyjaśnień oskarżonego w odczycie ks. Trzeciaka, który „natchnął” go do działania, mowa była jedynie o „ekonomicznym” rozwiązaniu „kwestii żydowskiej”, a nie o ich fizycznej eksterminacji, Antczak przyznał, że widząc Żydów, nie mógł się już powstrzymać. Podczas procesu tłumaczył konieczność popełnienia opisanych morderstw już nie tylko racją narodową, ale też osobistym bezpieczeństwem. Utożsamiając Żydów z socjalistami, Antczak do końca procesu wydawał się przekonany, że sam działał w obronie własnej – i że gdyby nie zabił, sam zostałby zabity. Przekonanie to było tym bardziej szokujące, że ofiary nie znały Antczaka i nigdy się z nim wcześniej nie zetknęły.

Wyroki surowe, wyroki łagodne

Na osobną uwagę zasługują wyroki wydane przez sądy w wymienionych powyżej sprawach – rażąco niskie, jeśli wziąć pod uwagę ówczesną praktykę. Wyrok po „zajściach pod katedrą” sam w sobie stanowi kuriozum, ponieważ 5 marca 1936 Sąd Apelacyjny w Warszawie wpierv zadecydował o wymierzeniu wszystkim oskarżonym kary do dwóch lat pozbawienia wolności (w większości przypadków utrzymując wcześniejszy wyrok Sądu Okręgowego w Łodzi, a następnie zadecydował o zastosowaniu art. 4. ustawy amnestyjnej, który dopuszczał odstępnie od kary w przypadku przestępstw uznanych za polityczne i zagrożonych karą do dwóch lat więzienia³². W procesie „bombiarzy” Siemaszko, Zwierzewicz i Ogórek, główni organizatorzy groźnych zamachów, z których jeden skończył się ciężkimi obrażeniami ciała osoby postronnej, w przypadku zaś ostatniego siła detonacji ładunku stanowiła realne zagrożenie życia niedoszłych ofiar, zostali skazani tylko na cztery lata więzienia³³. Z kolei Szaniawski, który działając w pełni świadomie, zabił dwóch ludzi i ciężko ranił dwóch kolejnych, otrzymał karę 12 lat pozbawienia wolności, bo sąd uznał, że oskarżony tylko „uległ złym i zgubnym czynnikom postronnym”³⁴.

Warto w tym miejscu porównać wydane w tym samym czasie wyroki w przypadku zabójstw Polaków dokonanych przez Żydów. Np. Judkę Lejbę Chaskielewicz z Mińska Mazowieckiego i Joska Pędraka z Częstochowy, obu winnych zabójstwa, skazano na dożywocie³⁵, przy czym w przypadku pierwszej zbrodni sąd pierwszej instancji skazał pierwotnie sprawę na karę śmierci³⁶. Tej nie uniknął za to Welwel Szczerbowski, który 13 maja 1937 zabił posterunkowego policji w Brześciu nad Bugiem³⁷. Podobnie jak zabójstwo z Częstochowy popełnione 19 czerwca 1937 roku, zbrodnia z Brześcia stała się bezpośrednią przyczyną rozruchów, w wyniku których

dokonano masowych zniszczeń żydowskiego mienia. Analizując społeczne nastroje, jakie towarzyszyły procesom w sprawie trzech wymienionych tu zbrodni, publicysta „Głosu Porannego” stwierdził obecność „psychozy odpowiedzialności zbiorowej”, w wyniku której każde kryminalne zdarzenie z udziałem Żyda miało być postrzegane przez opinię publiczną jako prowokacja pod adresem narodu polskiego³⁸.

Na wspomniane przypadki z Brześcia i z Mińska Mazowieckiego³⁹ powołał się również adw. Sz wajdler, obrońca Antczaka. Zwracając uwagę na to, jak łatwo jest Żydowi wyprowadzić z równowagi Polaka, „któremu leży na sercu dobro ojczyzny”, skłaniał się on w swojej wypowiedzi do traktowania wybryków antyżydowskich za naturalne odruchy, co prowadzić miało do częściowego usprawiedliwienia oskarżonego „delikatnością materii społecznej”. Sąd najwyraźniej dał się przekonać do wyjątkowości problemu pomimo zeznań prowadzącego śledztwo policjanta Mizerskiego, który charakteryzował Antczaka jako bezwzględnego „człowieka zdolnego do wszystkiego”. Pominął też sąd opinie biegłych psychiatrów, jednoznacznie określających tego bandytę jako psychopatę, nawet podczas procesu nieokazującego jakichkolwiek oznak skruchy. Człowiek ten – który w trakcie rozpraw sądowych ostentacyjnie ignorował pytania oskarżyciela posiłkowego, adw. Wachtela, reprezentującego rodziny ofiar, oświadczając, że nie będzie „gadać z Żydem” – otrzymał taką samą karę jak Szaniawski: 12 lat pozbawienia wolności.

W stronę antysemityzmu gospodarczego

W swojej monografii poświęconej regionalnej działalności endecji w międzywojniu Izabela Iwanowicz wysunęła tezę, że stopień rozpowszechnienia tendencji antysemickich w kulturach europejskich w XX wieku pozwala potraktować tę ksenofobię jako część powszechnego obyczaju kulturowego tamtego okresu; część powszechnie akceptowaną, dopóki antysemickie ataki nie wykraczały poza sferę retoryki. Do tego często dochodziło jednak w latach 30., a inspiracje nazizmem i włoskim faszyzmem sprawiły, że trend ten ominął również nacjonalistów polskich⁴⁰. Jeśli spojrzeć z tego punktu widzenia na kwestię zamachów na żydowskie sklepy, okazują się one naturalnym przedłużeniem uprawianej przez endecję antysemickiej retoryki gospodarczej. Cel całkowitego usunięcia Żydów z handlu publicznie ogłoszono 14 maja 1933 roku, podczas otwartego zebrania w fabryce przy ul. Senatorskiej. Znalazł się on m.in. wśród postulatów całkowitego usunięcia polskich Żydów z administracji, służby publicznej i władz uniwersyteckich. W rzeczonym zgromadzeniu miało wziąć udział około tysiąca osób⁴¹. Należy tu przypomnieć, że za sprawą rosnącego poparcia wśród bezrobotnych, a w konsekwencji także

wygranych wyborów samorządowych Łódź wyrastała wówczas na jeden z głównych ośrodków endecji – niejako na przekór stereotypowi „czerwonej Łodzi”. Antysemicka nagonka gospodarcza odbywała się przy tym w całkowitym lekceważeniu fatalnego ekonomicznego położenia większości ludności żydowskiej, w której przypadku szanse na zatrudnienie gdziekolwiek poza tradycyjnie żydowskim obszarem handlu jawiły się jako minimalne, nawet w porównaniu z polskimi „bezrobotnymi z urodzenia”.

Propagandę bojkotu żydowskich sklepów łódzka endecja rozpoczęła jednak dopiero w drugiej połowie 1935 roku, po rozwiązaniu przez władze państwowe Rady Miejskiej, uformowanej po wygranych przez SN wyborach samorządowych⁴². Powrót endecji na ścieżkę rewolucyjną jawi się przy tym jako efekt z jednej strony niemożności uzyskania władzy w kraju z demokratycznego mandatu, a z drugiej – nieumiejętności jej utrzymania na poziomie lokalnym. Od połowy sierpnia na terenie całego miasta trwały pikiety przed sklepami żydowskimi, polegające na skandowaniu antysemickich haseł, oklejaniu tych sklepów szowinistycznymi afiszami i piętnowaniu kierujących się ku nim „klientów chrześcijańskich”⁴³. Dochodziło także do jawnych wtargnięć „umundurowanych” bojówek endeckich do żydowskich sklepów i oblewania żywności karbolem, jak zdarzyło się to np. 14 września 1935 roku w trzech małych „spożywcach” przy ul. Rokicińskiej⁴⁴.

Najwięcej antysemickich pikiet przeżyła Łódź w roku 1937, kiedy ta forma „społecznego protestu” wyraźnie zaczęła wypierać zamachy terrorystyczne na żydowskie sklepy. Uwagę na ten fakt zwrócił w styczniu 1938 roku łódzki poseł Lejb Mincberg w swoim wystąpieniu sejmowym⁴⁵. Utrudnianie działalności gospodarczej miało być lepszą metodą degradowania współobywateli niż krwawe zamachy; np. w niedzielę 19 grudnia 1937 roku zatrzymano 66 endeków pikietujących na łódzkich targowiskach żydowskie stragany⁴⁶.

Niższa niż wcześniej liczba napadów na żydowskie sklepy w latach 1937–1939 nie oznaczała osłabienia tendencji antysemickich w kraju. W 1939 roku Sejm i Senat obradowały nad kwestią stopniowego rozbijania monopoli żydowskich i cofania żydowskim przedsiębiorcom koncesji⁴⁷, przy jednoczesnym postulacie ochrony prawnej dla „pikietarzy” jako osób walczących „o niepodległość gospodarstwa narodowego”⁴⁸. Na kilka miesięcy przed wybuchem wojny powstał też projekt jawnie faszystowskiej ustawy, która odbierać miała polskim Żydom obywatelstwo, przyznając im jedynie status „przynależnych do państwa”⁴⁹. Wprawdzie u schyłku II RP, w marcu 1939 roku, nawet prasa endecko-oenerowska wstrzymała ataki na Żydów – z obawy przed tym, że w przypadku wojny z Niemcami społeczna destabilizacja osłabiłaby zdolności obronne państwa – lecz brak w tym okresie zauważalnych

oznak zmiany polityki państwa w kwestii antysemityzmu gospodarczego⁵⁰. Najwyraźniej zatem z punktu widzenia celów łódzkiej Narodowej Demokracji ataki na żydowskie sklepy stały się mniej potrzebne.

Paweł K. Rutkiewicz
- dziennikarz

Przypisy:

- ¹ Zob. „Ilustrowana Republika”, nr 93/1936, s. 1.
- ² Por. A. Leder, *Prześlona rewolucja. Ćwiczenie z logiki historycznej*, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2014, s. 49–55. Autor przekonująco analizuje dominujące w polskiej kulturze początku XX w. utożsamienie ludności miejskiej z żydowską w kontekście międzywojennych problemów z postrzeganiem wielokulturowego społeczeństwa jako spójnego podmiotu politycznego.
- ³ „Głos Poranny”, nr 186/1935, s. 2. Por. M. Dek, *Antysemityzm a lewica*, „Lewy Tor”, nr 7–8/1935 (czerwiec–lipiec), s. 25–28.
- ⁴ Zob. O. Bergmann, *Narodowa Demokracja a Żydzi. 1918–1929*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2015, s. 256.
- ⁵ „Głos Poranny”, nr 324/1936, s. 5.
- ⁶ Na temat odpowiedniego artykułu z „Małego Dziennika” zob. „Głos Poranny”, nr 52/1936, s. 2.
- ⁷ „Głos Poranny”, nr 146/1935, s. 1.
- ⁸ Celowo używam określenia, które współcześnie przylgnęło do samodzielnych zamachowców kojarzonych z działalnością tzw. Państwa Islamskiego, żeby uwypuklić dostrzegalną również w opisywanym przypadku tendencję do kształtowania indywidualnych postaw poprzez ideologiczną manipulację – wraz z analogiczną tragicznością konsekwencji tego procesu.
- ⁹ Jeśli nie sprecyzowano inaczej, informacje na temat zamachów ze stycznia 1936 i odnoszącego się do nich procesu pochodzą z następujących numerów prasy lokalnej: „Głos Poranny”, nr 27/1936 (s. 1, 5), nr 28 (s. 7), nr 29 (s. 7–8), nr 30 (s. 1), nr 34 (s. 1), nr 69–70 (s. 1), nr 71 (s. 8), nr 90 (s. 9), nr 91 (s. 7), nr 92 (s. 1, 8–12), nr 93 (s. 8), nr 94 (s. 8–10), nr 95 (s. 5), nr 97 (s. 1); „Ilustrowana Republika”, nr 28/1936–29/1936 (s. 1), nr 31–32 (s. 1), nr 90 (s. 5), nr 69–70 (s. 1), nr 91 (s. 1), nr 92 (s. 1, 5–6), nr 93 (s. 1, 6–8), nr 94 (s. 1, 5–7).
- ¹⁰ „Głos Poranny”, nr 162, 16 czerwca 1936, s. 10.
- ¹¹ Do roku 1936 analogiczne ataki petardowe lub bombowe na żydowskie sklepy organizowano też m.in. w Katowicach, we Lwowie i w Stanisławowie. Zob. „Głos Poranny”, nr 40, 11 lutego 1936, s. 4 i nr 100, 10 kwietnia 1936, s. 2.
- ¹² Członkowie „piątek” dowódcom: dowódcy Ogórkowi, Ogórek Zwierzewiczowi, Zwierzewicz Siemaszce.
- ¹³ „Głos Poranny”, nr 342/1937, s. 4.
- ¹⁴ „Głos Poranny”, nr 343/1937 s. 4.
- ¹⁵ Znamienna jest satysfakcja oskarżonych po tym, jak podczas procesu Wintrowa zeznała, że zniszczenia powstałe na skutek wybuchu zmuszają ją do za-

- mknięcia sklepu. Zob. „Ilustrowana Republika”, nr 93/1936, s. 6.
- ¹⁶ „Głos Poranny”, nr 92/1936, s. 8.
- ¹⁷ „Głos Poranny”, nr 121/1934, s. 1.
- ¹⁸ K. Pruszyński, *Podróż po Polsce. Żółci ludzie z Łodzi*, „Wiadomości Literackie”, nr 25 (657), 7 czerwca 1936, s. 1.
- ¹⁹ O tym, że była to strategia obiecująca, świadczy ilość łódzkich bezrobotnych. Według danych „Głosu Porannego” tylko w grudniu roku 1934 pracę w łódzkim przemyśle straciło 32 700 robotników (nie wiadomo jednak, jaki odsetek spośród nich stanowili Żydzi), a ogólna liczba łódzkich bezrobotnych w marcu 1935 r. wynosiła niemal 58 tys. osób. Zob. odpowiednio: „Głos Poranny”, nr 5/1935, s. 5 i nr 72/1935, s. 6. Natomiast o tym, że strategia była skuteczna, świadczą policyjne statystyki wzrostu SN: w całym województwie łódzkim 150 kół i 9330 członków w roku 1934 oraz 357 i ponad 20 tys. członków w roku 1935; w Łodzi 1400 osób w roku 1936 i 2875 w roku 1937. Zob. M.J. Chodakiewicz, J. Mysiakowska-Muszyńska, W.J. Muszyński, *Polska dla Polaków! Kim byli i są polscy narodowcy*, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2015, s. 165–166.
- ²⁰ Por. E. Maj, *Komunikowanie polityczne Narodowej Demokracji*, Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 2010, s. 538.
- ²¹ Tamże, s. 532.
- ²² „Głos Poranny”, nr 64/1936, s. 7.
- ²³ „Głos Poranny”, nr 18/1935, s. 8.
- ²⁴ „Ilustrowana Republika”, nr 65/1936, s. 7.
- ²⁵ „Głos Poranny”, nr 15/1935, s. 7–8.
- ²⁶ „Głos Poranny”, nr 17/1935, s. 7–8.
- ²⁷ Na temat procesu zob. „Głos Poranny”, nr 13/1935, s. 8 i nr 15–26/1935.
- ²⁸ Tamże, s. 8.
- ²⁹ Informacje na temat opisanych zajęć i następującego po nich procesu na podstawie: „Ilustrowana Republika”, nr 42/1937, s. 7, nr 43/1937, s. 1, 5–8. Wersji jakoby ktoś próbował pomóc Szaniawskiemu, zabierając od niego broń (por. „Głos Poranny”, nr 309/1936, s. 5), nie udało się ostatecznie potwierdzić.
- ³⁰ „Ilustrowana Republika”, nr 42/1937, s. 7.
- ³¹ Cyt. za: „Głos Poranny”, nr 138/1937, s. 10. Poniższe informacje nt. procesu i zbrodni Antczaka na podstawie tego samego numeru „Głosu Porannego”, s. 1, 8–10.
- ³² „Ilustrowana Republika”, nr 65/1936, s. 7, 9. Jedną z istotnych modyfikacji wyroku wobec poszczególnych uczestników „zajęć” stanowiło uznanie współudziału mec. Kowalskiego, uniewinnionego przez sąd pierwszej instancji (por. „Głos Poranny”, nr 26/1935, s. 1, 4.). Z racji zastosowania „ustawy amnestyjnej” zmiana wyroku nie miała jednak żadnych rzeczywistych konsekwencji.
- ³³ „Głos Poranny”, nr 97/1936, s. 1, 5. Przynajmniej Zwierzewicz nie odbył jednak całości kary, skoro już w 1939 r. pełnił funkcję członka Zarządu Miasta Łodzi i kierownika Wydziału Akcji Gospodarczej Zarządu Okręgowego SN. Zob. *Polska dla Polaków! Kim byli i są polscy narodowcy*, dz. cyt., s. 173.
- ³⁴ Cyt. za: „Ilustrowana Republika”, nr 43/1937, s. 1.
- ³⁵ „Głos Poranny”, nr 179/1937, s. 2–3.
- ³⁶ „Głos Poranny”, nr 257/1937, s. 1.
- ³⁷ „Głos Poranny”, nr 163/1937, s. 1–3.
- ³⁸ „Głos Poranny”, nr 178/1937, s. 5.
- ³⁹ A także na pogrom w Przytyku z dnia 9 marca 1936 r.
- ⁴⁰ *Samorząd terytorialny w działalności Obozu Narodowego w Rzeczypospolitej Polskiej w latach 1918–1939*, Fundacja na rzecz Czystej Energii, Poznań 2016, s. 392.
- ⁴¹ Tamże, s. 395.

⁴² Bezpośrednią przyczynę rozwiązania Rady Miejskiej stanowiła jej niezdolność do wyboru prezydenta i zarządu miasta. Zob. „Głos Poranny” nr 173/1936, s. 4.

⁴³ „Głos Poranny”, nr 233/1935, s. 5.

⁴⁴ „Głos Poranny”, nr 236/1935, s. 8.

⁴⁵ „Głos Poranny”, nr 27/1938, s. 2.

⁴⁶ „Głos Poranny”, nr 350/1937, s. 7.

⁴⁷ Por. „Głos Poranny”, nr 45/1939 (s. 1) i nr 77/1939 (s. 5).

⁴⁸ „Głos Poranny”, nr 55/1939, s. 3.

⁴⁹ „Głos Poranny”, nr 19/1939, s. 5.

⁵⁰ „Głos Poranny”, nr 82/1939, s. 6.

Do końca wierni przysiędze

Wspomnienia żołnierza AK

historia

9 listopada 1944 roku, po prawie czterech miesiącach walk na zapleczu frontu wschodniego i 30 starciach, w tym siedmiu całodziennych krwawych bojach z okupantem niemieckim, 25 pp AK z Okręgu Łódź został rozformowany na sześć pododdziałów partyzanckich, podporządkowanych dowódcy pułku mjr. Rudolfowi Majewskiemu „Leśnikowi”, który konspiracyjnie zamelinował się w terenie wraz ze swoim sztabem.

Tym razem nie chodziło tylko o atakowanie zbrojne przeciwnika. Będąc w ciągłym ruchu, oddziały te przyjęły różne formy walki: likwidowano w terenie zdrajców i konfidentów, tępieno miejscowy bandytyzm, chroniono ludność wiejską przed rabunkami kolaboracyjnych jednostek okupanta. Zdarzało się, że to nie wieś partyzantom, a partyzanci starali się wesprzeć wygłodzone wioski zbożem i produktami żywnościowymi, zarekwirowanymi w niemieckich magazynach. Trzeba było przy tym unikać okrążenia, niekiedy przebijając się ogniem przez pierścień obławy.



Zgrupowanie „Bończy”

Zgrupowanie „Bończy” (por. Kazimierz Załęski) było najliczniejsze, z trzema uszczuplonymi plutonami: „Konrada” (ppor. Mieczysław Drabik), „Maja” (ppor. Aleksander Arkuszyński) i „Gardy” (ppor. Stefan Soborowski). Liczyło początkowo 150 żołnierzy, ale przetrzebione chorobami zmalało do około 100 walczących. Zapas amunicji dźwigały im dwa juczne konie. Zdarzyło się, że

26 listopada, kwaterując w kolonii Dorobna Wola w pobliżu Górek Niemojewskich, zgrupowanie znalazło się na obrzeżu pierścienia okrążenia dywizji płk. Redera, złożonej z Wehrmachtu, kolaboracyjnych brygad Ostlegionu i oddziałów pomocniczych. Gdy zaczęły one zaciągać linię zaporową ciężkich karabinów maszynowych, „Bończa” przystąpił do wycofywania swoich partyzantów w głąb lasu. Oddział „Maja” jako ubezpieczenie tylne pozostał jeszcze ukryty w opłotkach wiejskich zagród i z zaskoczenia rozbił atakujący szwadron kawalerii kałmuckiej, po czym odskoczył za zgrupowaniem do lasu. Szczególnie odznaczyli się erkaemiści „Loba” (kpr. Tadeusz Wawrzonek) i „Waldek” (Waldemar Mazerant).

Przez cały dzień i noc Zgrupowanie „Bończy” próbowało wyrwać się z kotła. Najpierw po krótkim, ale uciążliwym marszu w kierunku wschodnim dotarto w pobliże wsi Sobień, gdzie czekano do zmroku. Jednakże łącznicy z placówek terenowych donieśli o silnych oddziałach pacyfikacyjnych blokujących szosę prowadzącą z Końskich do Żarnowa. Wobec tego „Bończa” uformował kolumnę marszową z „Konradem” na szpicy i zgrupowanie ruszyło w kierunku północno-wschodnim. Po przebyciu kilku kilometrów w fatalnej pogodzie okazało się, że i tam zaciągnięta przez Niemców wzdłuż drogi i torów kolejowych linia zaporowa ciężkich karabinów maszynowych zaryglowała także północno-wschodni rejon białaczowskich lasów.

Trzeba było odstąpić i ruszyć z powrotem na południe. Po kilku godzinach uciążliwego marszu leśnymi bezdrożami, grzęznąc w rozmokłym śniegu, w błocie i bagnistych roztopach, oddział nasz dotarł pod gajówkę Głupiejów. Wszyscy mieli już dosyć tej mitręgi, chciano rzucić wszystko na jedną kartę i przebijać się ogniem bez względu na straty. Ale „Bończa” wciąż jeszcze szukał szansy i pociągnął zgrupowanie dalej na południowy wschód, pod wieś Pomorzany, tuż przy szosie Końskie – Żarnów.

Pamiętam, że zaczęło już świtać, mgła dźwigała się z ziemi i zatarte przez mrok drzewa i krzewy odzyskiwały kontury. Dłużej nie można było już zwlekać. Pozostanie w terenie przez jeszcze ten dzień oznaczałoby zgubę zgrupowania. Dowódca zdecydował – przebijamy się przez szosę, broń maszynowa na czoło!

Rozciągnięci wąską tyralierą schodziliśmy z łagodnego zbocza na ugiętych nogach, czujnie i bezszelestnie. Potem mimo woli przyspieszyliśmy kroku i nagle, bez rozkazu, poderwani jakimś wewnętrznym impulsem, ruszyliśmy biegiem. W rękach granaty i w jednej chwili przeskok przez szosę, jakby od tego zależało wszystko. Wypatrywaliśmy ukrytego wroga, zanim uświadomiliśmy sobie, że wyszliśmy jednak z matni bez jednego strzału, znajdując lukę w zarzuconej na nas sieci. Rozmokłą łąką wyszliśmy na brzeg przeciwnego lasu. Mimo krańcowego zmęczenia ogarnęło nas



ppor. Mieczysław Drabik „Konrad”



ppor. Stefan Soborowski „Garda”



por. Adolf Pilch „Dolina

poczucie własnej siły, wspaniałe wrażenie, że znów wyszliśmy, że nigdy nie dadzą nam rady. Tylko kpr. „Smyk” (Stefan Kasprzyk) od „Maja” okropnie kaszlał i pluł krwią...

Z trudem dotarliśmy do pobliskiej wsi Staw. „Bończę”, któremu otworzyły się niezaleczone rany spod Przysuchy, chłopcy dźwigali najpierw na splecionym z rąk „krzeselku”, a następnie na prowizorycznie skleconych noszach. W pierwszych z brzegu chatach zwaliliśmy się jak bez życia. Nasz sen mogliśmy powierzyć już tylko mieszkańcom tej wsi. Ale nie trwał on długo. Zbudzeni przez gospodarza z trudem uświadomiliśmy sobie, że do drugiego końca wsi wjechał na samochodach transportowych niemiecki oddział pacyfikacyjny. Żołnierze wroga wyrzucili chłopów z kilku zagród i chyba też szykowali się do odpoczynku po nocnych rozjazdach w terenie. Można ich było zaatakować i wybić w czasie snu granatami, ale wiedzieliśmy, że po naszym odskoku okrutna zemsta czekałaby mieszkańców wsi.

Więc czekaliśmy i szczęście nam dopisało, gdyż po kilku godzinach nasi „sąsiedzi” opuścili wieś. Por. „Bończa” wziął ze wsi przewodnika, który przez resztę dnia kluczył z nami w terenie wprawdzie pełnym wroga, ale już poza kordonem pacyfikacji. A dwa dni później, w ostatni listopadowy wieczór 1944 roku, „Bończa” rozformował zgrupowanie na samodzielne oddziały. Do ostatniego apelu stanęliśmy wyprężeni w dwusereg. Padło: „Czołem, żołnierze!”. Odkrzyknęliśmy: „Czołem, panie poruczniku!” i coś nam przygniatało serca.

Dowódca naszego plutonu „Maj” wysunął się do przodu i wypuścił szperaczy. Wracaliśmy w swoje stare strony, między Pilicą a Czarną, do „Królestwa”. Tam dowódca znał doskonale teren, wszystkie mosty i brody. Oddział miał być teraz strażnikiem tego rejonu, czuwać nad bezpieczeństwem okolicznych wiosek. Co noc zmienialiśmy miejsca postoju, kwatery zajmowa-

liśmy tylko u zaufanych mieszkańców wiosek, leśniczówek i gajówek. Oddział był permanentnie w marszu i ostrym pogotowiu, sypano bez ściągania butów i z bronią u boku. Ponieważ zbliżały się Święta Bożego Narodzenia, dowódca zdecydował się na czasowe rozformowanie oddziału na okres tygodnia, celem podkurowania zdrowia, odświeżenia bielizny i mundurów. Broń złożyliśmy w bunkrze, wybudowanym przy gospodarstwie rodzinnym dowódcy, w Dąbrowie nad Czarną. Ci, którzy nie zostali „spaleni”, mogli pozostać już na stałe w swoich domach, w cywilnej odzieży, ale z obowiązkiem zameldowania się w macierzystych komórkach organizacyjnych. Ja również z tego skorzystałem i nadchodzące święta mogłem już spędzić w rodzinnym gronie.

Dla tych, którzy nie mogli sobie pozwolić na powrót do domów, trzeba było wyrobić „lewe” dokumenty i rozlokować na melinach w okolicznych wioskach. Na wyznaczonym przez dowódcę spotkaniu miał być jeszcze wypłacony zaległy żołd, gdyż ci bez rodzin nie mieli środków do życia. W tym celu miejsce zborne wyznaczył por. „Maj” w domku na terenie majątku Piła, tuż przy rzece Czarnej. Mieszkała w nim oprócz pracownika leśnego wysiedlona z Łodzi rodzina Antczaków. Ich syn „Żmija” był żołnierzem naszego oddziału. W wyznaczonym dniu dotarło tam kilkunastu partyzantów; wśród nich zapamiętałem Jana Skórkę „Jastrzębia”, kpr. Wacława Szewczyka „Odrowąża”, kpr. Jana Kacprzyka „Smyka”, Czesława Ćwielucha „Dęba”, Jana Bukowskiego „Śrubkę”, „Pietrka”(NN), „Józika” (Rosjanin polskiego pochodzenia), stryjecznych braci z powstania warszawskiego: Witolda Dziubalskiego „Orkusza” i Józefa Romanowskiego „Orfana”, a także „Sowę”[NN].

Oczekując na dowódcę z erkaemistą „Lobą” (Tadeusz Wawrzonek) i pozostałych partyzantów, chłopcy porozkładali się po kątach małego pomieszczenia i drzemali. Broń krótką miał tylko „Odrowąż”, a po jednym granacie „Śrubka” i „Jastrząb”, ale mimo to czuli się bezpiecznie, bo domek stał na uboczu, tuż przy rzece z wąską kładką, a wieś była patriotyczna i dobrze zorganizowana konspiracyjnie. Jednakże na wszelki wypadek wysłano na mostek „Śrubkę”, który w razie niebezpieczeństwa miał cisnąć granat i uciekać. I gdy tam szedł, zaczęły nagle bić z kilku kierunków pociski z erkaemów i pistoletów maszynowych, dziurawiąc ściany pomieszczenia. Tynk sypał się ze ścian, szyby z brzękiem rozbijanego szkła wypadały z okien. Robotnik leśny dostał serię strzałów w głowę i zwałił się martwy na podłogę. Partyzanci automatycznie rozciągnęli się na podłodze. Po chwili wrzucone z zewnątrz granaty powyrywały z futryn okna i roztrzaskały drzwi. Gdyby wrzucono je głębiej, byłaby jatka. Do środka wdarła się grupa Kałmuków z SS-Galizien, bijąc na oślep kolbami. Partyzantów natychmiast ustawiono twarzą do ściany domku i już słychać było stuk zwalnianych zamków od pistoletów maszynowych. Kałmucy ich jednak nie rozstrzelali, ale związali powrozami po

dwóch. Jak się później okazało, dowodzący nimi Niemiec w randze majora zdecydował się odstawić jeńców do Gestapo do Opoczna, licząc pewnie na wydobyć z nich dodatkowych informacji. Związanych rzucono pod ścianę, bez jedzenia i picia. Był wśród nich także „Śrubka”, z zaskoczenia pojmany przez patrol zwiadowczy napastników.

Rankiem popędzono wycieńczonych najpierw pieszo, a następnie podwodami do Paradyża, gdzie zamknięto ich na noc pod silną strażą w budynku składu węgla. Następnego dnia po południu czarnych od pyłu węglowego, brudnych i zarośniętych przewieziono do siedziby Gestapo w Opocznie. Tu 16 więźniów zamknięto w celi. Miała 6 m², małe zakratowane okienko i trudno było w niej oddychać. Raz na dzień otrzymywali wodę z miętą i kawałek chleba. Kilku wzięto na okrutne przesłuchania. W takich warunkach przetrwali do Nowego Roku, a po kilku dniach załadowano ich na ciężarowe samochody i przez Inowłódz i Spałę przewieziono do słynnego więzienia w Tomaszowie Mazowieckim. Tam, tuż przed wkroczeniem Armii Czerwonej, więźniowie porozbijali drzwi kilku cel, zdobyli klucze z wartowni i wyszli na wolność, a wśród nich także partyzanci oddziału „Maja”.

Oddział „Doliny”

Słynny dowódca por. Adolf Pilch ograniczył swoje dowodzenie do szwadronu obejmującego dwa plutony: „Dąbrowy” (ppor. Zygmunt Koc) i „Wira” (wachmistrz Antoni Burdziłowski), razem więc 60 kawalerzystów uzbrojonych głównie w erkaemy i pistolety maszynowe. Tak się złożyło, że w tym samym dniu co zgrupowanie „Bończy”, a więc 26 listopada również szwadron „Doliny” znalazł się w kotle dywizji Redera. Dowódca postanowił przebić się przez obstawioną szosę, nacierając nie od strony lasu, ale otwartym polem. Spodziewał się tu słabszej zapory ogniowej, gdyż Niemcy mieli zakodowane, że sprzymierzeńcem partyzantów jest zawsze las. Kilkaset



metrów od szosy szwadron odbił od lasu. I „Dolina” (jak zapamiętał to st. ułan Marian Podgóreczny „Żbik”, kronikarz oddziału) rzucił: „Ruszamy na nich!”.

Jeźdźcy ruszyli galopem, rozciągnięci w tyralierę. Gdy od szosy doszły ich zawołania: „Halt!, Halt!, Halt!”, było już za późno. Ułani „Doliny” strzelali z zawieszonych na ramionach erkaemów i pistoletów maszynowych wprost znad końskich karków. Konie błyskawicznie przeskoczyły przydrożny rów i pomknęły na drugą stronę szosy. Nikt z atakujących nie poległ ani nawet nie został ranny. Tylko klacz wachmistrza „Kuli” (Kazimierz Puchaczewski) potknęła się i przekoziółkowała, wyrzucając jeźdźcę z siodła. Niechybnie wpadłby w ręce Niemców, gdyby nie „Dąbrowa”, który po oddaniu serii z pistoletu maszynowego w kierunku Niemców, zawrócił i pomógł potłuczonemu pechowcowi dosiąść konia. Oddziałowi udało się przeskoczyć nieobstawione tory kolejowe i po przebyciu kilkunastu kilometrów na północ zaszyć się w gęstym młodziaku. Padał śnieg; w zimnie, drzemiąc, dotrwali do świtu.

W tym niezwykle uciążliwym okresie jesienno-zimowym 1944/1945 ułani „Doliny” nigdzie nie zagrzali miejsca dłużej niż jedną dobę. Byli stale w siodle i ostrym pogotowiu. Półtora roku w lesie, ponad 200 starć z wrogiem wykańczało najodporniejszych. Wielu było już u kresu sił, chorych, gorączkujących, cierpiących z powodu niezaleczonych ran i bolesnych czyraków ropnych. Dowódca lokował ich kolejno na melinach pod opieką miejscowych placówek konspiracyjnych. Oddział jednak topniał z każdym dniem i w połowie grudnia liczył już tylko 17 kawalerzystów. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia, które mieli spędzić z dala od swoich rodzin na Nowogródczyźnie. Anna Będkowska z Kraśnicy zadbała o to, aby choć trochę osłodzić im rozłąkę z najbliższymi, i zorganizowała wieczór wigilijny w szkole we wsi Lubiszów, w gronie kadry nauczycielskiej i przedstawicieli miejscowego społeczeństwa. Było niezwykle uroczyste i patriotycznie. Cały oddział mógł uczestniczyć w tej niezapomnianej wieczerzy wigilijnej bez wystawiania wart, gdyż teren ubezpieczała miejscowa placówka AK.

Oddział „Doliny” dobrze zapisał się w pamięci mieszkańców, strzegąc, aby nie ucierpieli od rozwyrzonych oddziałów kolaboranckich i wycofujących się z frontu niemieckich rozbitków. Jeszcze na kilka dni przed wkroczeniem Sowietów schwyтали partyzanci ośmiu Kałmuków rabujących w chłopskich zagrodach, a wieczorem rozbroili 40 Niemców, których zamknęli w strzeżonej szopie. Rozwiązanie oddziału nastąpiło 17 stycznia 1945 roku. Adolfowi Pilchowi („Dolinie”) udało się zmylić krajową bezpiekę i uciec przez Czechosłowację do Wielkiej Brytanii, gdzie zamieszkał na stałe. W 1990 roku odwiedził kraj i w Kampinosie był entuzjastycznie witany przez rodaków. Miał to szczęście także autor artykułu.

Oddział „Henryka”

Oddział ppor. Henryka Furmańczyka kluczył początkowo w białaczowskich lasach, w okolicy Sobienia, Górek Niemojewskich, Ossy i Sędowa. Znając doskonale teren i korzystając z pomocy tamtejszych placówek AK, uniknęli wpadki i przetrwali jakoś pacyfikację przez dywizję Redera. Przed Świątami Bożego Narodzenia znaleźli się pod Diabłą Górą. Dowódca zamierzał zapewnić swoim partyzantom przynajmniej skromny świąteczny posiłek z gorącym daniem i kilkanaście godzin wytchnienia w ciepłej izbie. Nawiązał kontakt z gospodarzami pobliskiej wsi Wolice Nowe, którzy chętnie ofiarowali gościnę, ale zwrócili się też o pomoc i obronę przed uzbrojoną trzyosobową bandą, która podając się za partyzantów, zabierała gospodarzom wszystko, co można spieniężyć, a opornych maltretowała. Tuż przed świątami patrol oddziału

historia



ppor. Henryk Furmańczyk „Henryk”



kpt. Józef Wyrwa „Stary”



por. Zdzisław Suszycki „Osuch”

nakrył ich podczas alkoholowej libacji w sąsiedniej wsi. Jak się okazało, byli to dezerterzy z oddziału Gwardii Ludowej „Kruka”. Dwudziestoletni herszt został rozstrzelany, a jego dwaj młodociani pomocnicy ukarani dotkliwą chłostą.

Na wigilijną wieczrę zebrano się na końcu wsi w dużym pomieszczeniu gospodarczym. Łamano się opłatkiem i ze wzruszeniem skłádano sobie życzenia dotrwania do końca wojny i powrotu do swoich rodzin. Ale już 26 grudnia silna jednostka niemiecka zaatakowała oddział ostrzałem ciężkiej broni maszynowej i granatników, tym razem uderzając od strony lasu. Dowódca, osłaniając się ogniem, zrezygnował z przebijania się przez nieprzyjacielski kordon i zaryzykował odskok niewielkim odcinkiem odkrytego terenu, aby po chwili skryć się za osłaniającym wzniesieniem. Dotarli do rzeki Czarnej i przeprawili się na drugi brzeg płytkim brodem. Zgubili za sobą ślad i zakwaterowali gdzieś koło Rożenka.

Następnego dnia podczas marszu zerwała się potężna wichura, która przerodziła się w śnieżną burzę. Śnieg zasypywał ślady, ale nie można było długo wytrwać w tych warunkach, brnąć w topniejących brejach, marznąc w nasiąkniętych jak gąbka mundurach i butach. A pod bokiem, w młynie na Borowcu, można było zawsze liczyć na ofiarą pomoc małżeństwa Trojanowskich, które nieustannie narażając życie, udzielało schronienia oddziałom partyzanckim. Kiedy w obszernej izbie gościnnego domu partyzanci grzali się w cieple dobrze rozpalonych pieców, niespodziewanie na teren młyna zajeżdżał niemiecki sztab z obstawą. To było prawdziwe *science fiction*, kiedy to ukryci na piętrze domu czatowali partyzanci z bronią gotową do strzału, a na parterze gospodarz gościł Niemców wódką, rozpraszając ich uwagę i czujność. Na szczęście nie zabawili długo, gdyż w pobliżu rozległa się gwałtowna strzelanina i nieoproszeni goście odjechali pośpiesznie. Podobno Niemcy pogubili się w lasach podczas pacyfikacyjnych akcji i starli się pomyłkowo z jakimś pododdziałem Kałmuków, których wzięto za partyzantów.

Pluton „Henryka” po opuszczeniu kwatery natychmiast ruszył leśnymi bezdrożami z powrotem na południe, w rejon Widuchu, lokując się we wsi Afryka. Po Nowym Roku śnieg był już po kolana, zalegał pod butami, tłumiał kroki, utrudniał przemarsz i pozostawiał ślady. Tym razem oddział kluczył w rejonie Mniszkowa przy szosie Sulejów – Opoczno. Około 10 stycznia natknęto się na sowiecki oddział spadochronowy „Gromowa”. Jakiś czas przebywali w sąsiedztwie, informując się wzajemnie o ruchach niemieckich oddziałów pacyfikacyjnych. Coraz głośniejsze dochodziły odgłosy frontowych walk. Niektóre rozbite jednostki Wehrmachtu chroniły się w rejonie biwakowania oddziału „Henryka”. Kiedy spora grupa Niemców dosłownie wpadła w ręce partyzantów i z łatwością dała się rozbroić, od strony Mniszkowa nadjechały dwa czołgi sowieckie, radośnie witane przez skoczków „Gromowa”. Ich dowódca zażądał, aby wspólnie ruszyć do Mniszkowa opanowanego już przez oddziały Armii Czerwonej. Obiecał oczywiście, że wyrazi tam swoje uznanie i wdzięczność za pomoc udzieloną im przez polskich partyzantów. „Henryk” uformował kolumnę marszową, w środku której zgrupował niemieckich jeńców, i w szyku bojowym dotarli do Mniszkowa. Dowódca „Gromowa” dotrzymał słowa i początkowo zostali wylewnie przyjęci przez sowieckiego majora i ich żołnierzy. Ale wkrótce podpity major oświadczył, że wojna już się dla polskich partyzantów skończyła i mogą wracać do domów. Rozkazał natychmiast się rozbroić i złożyć broń do ogródka przy jego kwaterze.

Niebawem sowiecki major dostał rozkaz wyruszenia w kierunku Piotrkowa, pozostawiając na miejscu tylko skromny odwód dla utrzymania łączności z docierającym pododdziałem zmotoryzowanej piecho-

ty. Spodziewał się konieczności przebijania się przez szosę wycofujących się dużych kolumn niemieckich, co zreżnie wykorzystał „Henryk”, argumentując, że przyda się każdy karabin. Dowodzący jednostką sowiecką młody kapitan polecił dozbroić partyzancki oddział w ich własną broń. Ostatnim akordem działalności bojowej „Henrykowców” był wspólny z oddziałami sowieckimi udział w bitwie o zdobycie Opoczna, zakończonej wzięciem do niewoli 300 niemieckich jeńców.

Nie pomogła jednak „Henrykowi” wspólna walka z sowieckim „sojuszniakiem” przeciwko Niemcom. Odsiedział za „władzy ludowej” kilka lat, z niewykonanym wyrokiem kary śmierci.

Oddział „Starego”

Oddział „Starego” (kpt. Józef Wyrwa) po rozformowaniu pułku ruszył w swoje macierzyste strony, w Koneckie koło Radoszyc. Mieli kilka zwycięskich starć z Niemcami, a 10 grudnia, kwaterując we wsi Kłucko, udało im się zestrzelić z erkaemów samolot zwiadowczy Storch z oficerami sztabowymi jednostki pacyfikacyjnej. Tuż przed świętami Bożego Narodzenia rozbili oddział patrolowy SS-Galizien. Poległo siedmiu żołdaków, bez strat własnych. Zdobyto przy tym sporo broni, nawet cekaem typu Maxim oraz skrzynki z amunicją.

W połowie stycznia ruszyła sowiecka ofensywa. Oddział, zmieniając kwatery, przesunął się bliżej Radoszyc i zatrzymał się we wsi Wisy. Po zajęciu Radoszyc przez Sowieców „Stary” wraz z synem „Orlikiem” (Tadeusz Wyrwa) zameldował się rankiem 17 stycznia ich dowódcy, pozostawiając oddział w Wisach. Przyjęto ich wylewnie w sztabie, a w tym czasie silnie uzbrojona jednostka frontowa otoczyła oddział „Starego” we wsi, rozbroiła go i doprowadziła do Radoszyc, ograbiając przy okazji z wartościowszych rzeczy osobistych. Żołnierzy powitał sowiecki kapitan, podziękował za walkę z niemieckim najeżdźcą, a następnie polecił, aby wszyscy wrócili do Wis i tam oczekiwali na włączenie do Armii gen. Berlinga. „Stary” i jego syn „Orlik” zostali zatrzymani jako zakładnicy, ale wraz z nimi zatrzymano też rosyjskich żołnierzy – walczących u „Starego” uciekinierów z niewoli. W trakcie pożegnania jeden z nich, ps. „Japończyk” (Tatar Rachmantuła Guzairow) szepnął „Zadorze” (Marian Chrzastowski), że podsłuchał, iż w nocy wszyscy partyzanci mają być zlikwidowani jako faszyci. Ten Tatar okazał się godny miana prawdziwego towarzysza broni. Znając prawdę, gdy tylko zaczęło się ściemniać, partyzanci rozproszyli się w terenie i tak uratowali życie. Wkrótce jednak „Starego” i „Orlika” aresztowali oprawcy z UB. W lipcu 1945 roku udało im się uciec z więzienia i przedostać na Zachód.

Partyzant „Orlik”, czyli Tadeusz Wyrwa, za granicą został wybitnym naukowcem, posiadaczem trzech doktoratów, m.in. paryskiej

Sorbony, w 2007 roku otrzymał tytuł doktora *honoris causa* Uniwersytetu Łódzkiego.

Oddział „Osucha”

Niewielki oddział „Osucha” (por. Zdzisław Suszycki) krążył w rejonie Drzewicy i Przysuchy, współdziałając z sowiecką grupą zwiadowczą „Nitra”. W listopadzie 1944 roku wspólnie ze skoczkami sowieckimi wysadzili pociąg z żołnierzami niemieckimi na linii kolejowej Opoczno – Końskie. We wsi Kuźnica oddział zaatakował 35 Niemców konwojujących zarekwirowane środki aprowizacyjne. Dwóch zostało rannych, reszta się rozproszyła, a zagrabiony prowiant zwrócono mieszkańcom. Podobny los spotkał grupę Niemców konwojujących wozy z sianem, które również zwrócono gospodarzom. Na trakcie Kurzacze – Przysucha partyzanci opanowali kolumnę wozów konwojowanych przez 35 Niemców. Towar zarekwirowano, konwojentów rozbrojono, zabierając im mundury i buty. Ponieważ byli to starsi wiekiem wehrmachtowcy ze służb pomocniczych, puszczono ich wolno.

Skoczkowie sowieccy wkrótce podporządkowali się „Osuchowi” jako dowódcy, kwaterowali wypadowo w wykopanych ziemiankach. Trafili tam również uciekinierzy z Wehrmachtem, a nawet z kolaboracyjnych jednostek Batalionu Turkiestańskiego. Jak podaje „Osuch” w swoich wspomnieniach, dowodził on zespołem ofiarnych, zdyscyplinowanych i karnych żołnierzy. Pisał: „Koleżeństwo i przyjaźń coraz bardziej pogłębiają się, nikną całkowicie różnic narodowościowe, Rosjanin, Azerbejdżanin, Uzbek, Ukraińiec, Węgier, Polak to po prostu żołnierze jednego oddziału złączeni gorącym pragnieniem wolności i solidarną walką o nią”.

Nie miało to jednak żadnego znaczenia i „Osuch” też trafił do więzienia we Wronkach.

Oddział „Wichra”

„Wicher” (por. Witolda Kucharski) krążył głównie wśród swoich starych kwater na terenie „Królestwa” i permanentnie utrzymywał oddział w ruchu. Zajmował kwatery w leśniczówkach i samotnych chatach na obrzeżach lasu, a w dzień ściągając swoich podkomendnych na biwaki leśne, gdzie przy małych ogniskach trwali do wieczora. Od początku zajęli się uporządkowaniem i „oczyszczeniem” swojego terenu. Likwidował zdrajców i konfidentów, tępił miejscowy bandytyzm, a także baczył, aby jakiś oddział Ostlegionu nie dokonywał rozboju i grabieży. Był stale w pogotowiu do obrony ludności wiejskiej i starał się ulżyć najbardziej zubożałym mieszkańcom wsi. Dwukrotnie oddział „Wichra” przeprowadził akcje aprowizacyjne, rekwirując w niemieckich spichlerzach w Rudzie Pilczyckiej po 10 wozów żyta, które rozdzielił komisyjnie wśród



historia

najbardziej potrzebujących. Kilkakrotnie rekwirował masło (np. w Paradyżu) i inne produkty mleczarskie, które najczęściej trafiały do wysiedleńców z Warszawy.

Na początku grudnia pod wsią Adamów doszło do starcia ze szwadronem Ostlegionu, liczącym 60 konnych żołnierzy. Wystawieni na ubezpieczenie oddziału erkaemiści, kpr. „Żegota” (Tadeusz Klecha) i „Żbik” (Ryszard Wieczorkowski), rozbili z zasadzki straż przednią atakujących, umożliwiając szybkie dotarcie oddziału i skuteczne ostrzelanie nieprzyjaciela, który pozostawił w polu czterech zabitych i siedmiu ciężko rannych. Zdobyto sporo broni i amunicji.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia 1944 i Nowy Rok. W sylwestrowy wieczór partyzanci grzali się na kwaterze. Jak wspomina pchor. „Mundek” (Edmund Jankowski), „Wicher” zapowiedział: „Spędzimy Nowy Rok po partyzacku, to znaczy w marszu”. Oddział wyruszył o godzinie 22:00. Noc była piękna, mroźna, ale bezwietrzna. Rozciągnięci sznurem partyzanci kroczyli miarowo leśnym duktem, z erkaemami na ramionach,

obwieszeni granatami i torbami z amunicją, pod butami skrzypiał śnieg. Gdy minęli gajówkę Łazy i zbliżyli się do Fałkowa, „Wicher” zerknął na zegarek i zatrzymał oddział na niewielkiej polanie. Kiedy odebrał regulaminowy raport, nagle rozległy się ze wszystkich stron serie broni maszynowej. Wnet zrobiło się widno od kolorowych rakiet, wystrzeliwanych w Fałkowie, Rudzie Maleńkiej i Radoszycach. To okupant po raz ostatni wiwatował w naszym kraju.

W połowie stycznia 1945 roku partyzanci zakwaterowali w małej osadzie koło Zajączkowa. Chory na ciężką grypę „Wicher”, ślaniając się na nogach, wezwał o północy cały oddział do ostatniego apelu. W pełnej gotowości bojowej wysłuchali ostatniego rozkazu: „Żołnierze, dziękuję Wam za wierną służbę i za dochowanie przysięgi. Dziękuję za dzielność w walce i poniesiony trud. Dla nas już się wojna zakończyła, zamykamy naszą kartę walk z okupantem niemieckim. Za chwilę rozejdziecie się do waszych domów. Przebierzcie się w cywilne ubrania i wracajcie do swoich rodzin. Rozkazuję wam złożyć broń, która przekazana zostanie do komendy Rejonu. Czołem, żołnierze!”.

Odkrzyknęli: „Czołem, Panie Poruczniku” i zrobiło się cicho, wszyscy stali w odrętwieniu. Po raz ostatni z nawyku odśpiewali pieśń, która zamiast modlitwy kończyła zawsze wieczorny apel: „O Panie, który jesteś w niebie / wyciągnij sprawiedliwą dłoń / wołamy z wszystkich stron do Ciebie / o polski dom, o polską broń”. Po chwili zaczęli rzucać broń na sztos. Pierwszy partyzancki oddział Kedywu zakończył swoją działalność bojową.

Po co nam to było?

Dziś, po wielu latach, nas, partyzantów AK, żyje już niewielu. W niepodległej Polsce nurtują niekiedy współczesnych wątpliwości, czy należało trwać w walce do końca, a wiązało się to z przedłużającym się udręczeniem narodu. Ale czy można było nie walczyć, skoro okupant niemiecki po bezwzględny wyniszczeniu ludności żydowskiej przystąpił według dyrektywy Hitlera do zaplanowanej eksterminacji polskiego społeczeństwa? Widział to jasno dowódca Armii Krajowej, gen. Stefan Rowecki „Grot”, kiedy 22 czerwca 1942 roku na odprawie oficerów sztabu mówił: „Jeśliby nas nawet miała czekać walka beznadziejna, to zaniechać jej przecież nie możemy pod groźbą odpowiedzialności przed przyszłymi pokoleniami”.

Warto może wobec tego zakończyć ten artykuł krótkim fragmentem wiersza Iwony Krzepkowskiej-Bułat *Po co Wam to było Chłopczy?*:

...Poprzez pola, zaśnieżone drogi
Na nierówną walkę, na bój z wrogiem

Karabiny w przemarzniętych rękach
Po co, chłopcy, była wam ta męka?

...Umierali z ran w straszliwej męce
Padł nie jeden, by nie powstać więcej
Biały krzyż pozostał nad mogiłą
Po co, chłopcy? Bo tak trzeba było!

To może brzmi sentymentalne, ale dla nas, odchodzących na „wieczną wartę” dawnych żołnierzy leśnych oddziałów AK, taka nuta jest zrozumiała. Bo wiemy, że tak trzeba było.

Mirosław Kopa
– mjr WP, uczestnik czynu zbrojnego AK, dr inż., chemik,
działacz organizacji kombatanckich

Łodzianin Aleksander Bardini

*Skomplikowane losy aktora, reżysera
i pedagoga*

W lipcu minęła 22. rocznica śmierci Aleksandra Bardiniego, jednego z najbardziej wszechstronnych polskich artystów. Nie kreował pierwszoplanowych postaci. Do dziś nie wiadomo dlaczego, bo prawie każda jego drugoplanowa rola – czy nawet epizod – była prawdziwą perełką świadczącą o kunszcie artystycznym i stanowiła ważną część składową produkcji filmowej czy telewizyjnej. Prawdziwym talentem błysnął jako reżyser zarówno na deskach teatralnych, jak i w Teatrze Telewizji. W tym drugim przypadku trzy inscenizacje, *Profesja Pani Warren Shawa* oraz *Trzy Siostry* i *Wujaszek Wania* Czechowa, trafiły do prestiżowej Złotej Setki Teatru TV. Duże uznanie



zyskał też jako pedagog w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej (PWST) w Warszawie. Przydomek „profesor”, którym obdarzyli go studenci i koledzy po fachu, wynikał nie tyle z pełnionej funkcji, co z pozycji i szacunku, jakim cieszył się w środowisku. Wobec przyszłych adeptów sztuki aktorskiej, którym nie dawał szans w zawodzie, potrafił być brutalnie szczery w swoich osądach. Jak zauważył Krzysztof Kowalewski: „Dominował intelektualnie. Ale też potrafił być niezwykle cięty, złośliwy. Tępił głupotę. Wyraźnie dawał odczuć, że nie jesteśmy jeszcze dla niego partnerami. On po prostu wiedział, że część

z nas sobie nie poradzi. Nie odnajdzie się w zawodzie. Próbował nas na to trochę przygotować, m.in. dosyć gęsto odsiewając już w czasie studiów”. Budził skrajne emocje: od prawdziwego uwielbienia i podziwu, poprzez chłodny szacunek do głębokiej niechęci. Wymykał się jednoznacznym ocenom. Przeszedł do historii jako wielki znawca sztuki aktorskiej i reżyserskiej, ale i człowiek o skomplikowanych i kontrowersyjnych wyborach życiowych.

Chłopak z ulicy Zielonej

Aleksander Bardini urodził się 17 listopada 1913 roku w Łodzi w żydowskiej rodzinie Józefa Bardyniego i Marii z domu Grad. Zmiana nazwiska z Bardyni na Bardini nastąpiła w 1932 roku, gdy młody Aleksander zapisywał się do Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej (PIST) w Warszawie. Urzędnik, wypisując dokument, prawdopodobnie zamienił „y” na „i”, źle odczytując dane z aktu urodzenia napisanego cyrylicą. Ojciec – z zawodu kucharz – prowadził jadłodajnię w kamienicy przy ul. Zielonej 6 w Łodzi, gdzie rodzina Bardynich zajmowała całe piętro. Rodzice dbali o wykształcenie jedynego syna. Uczył się w bardzo dobrym Prywatnym Gimnazjum Męskim Mieczysława Witaszewskiego im. ks. Ignacego Skorupki w Łodzi, słynącego z harmonijnej symbiozy różnych nacji. Żydzi przyjaźnili się tam z Polakami, grali w tych samych drużynach sportowych i siedzieli w tych samych ławkach.

W Łodzi – dzięki staraniom ojca – Aleksander Bardini nauczył się grać na skrzypcach. Jako uczeń gimnazjum grał w orkiestrze Towarzystwa Muzyczno-Literackiego „Hazomir”, która regularnie dawała koncerty, mając w repertuarze nawet oratoria Haydna i Haendla. Był również członkiem zespołu muzyków grających w przedstawieniach musicalowych, wystawianych w języku jidysz w studiu teatralnym działającym przy „Hazomirze” oraz w bardzo dobrym literackim kabarecie Ararat. Często chodził na koncerty do łódzkiej filharmonii i do kina Odeon, gdzie na pierwszym seansie grał na fortepianie znany przedwojenny pianista Artur Balsam. Dorabiał korepetycjami w szkole oraz uczeniem gry na skrzypcach.

W teatrze na dalekich kresach

W 1932 roku Bardini ukończył naukę w gimnazjum i wyjechał do Warszawy, gdzie miał wprowadzić stomatologię, ale... trafił od razu do Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej. Oczywiście w tajemnicy przed ojcem i matką. Studiował aktorstwo, a następnie reżyserię. W 1935 roku ukończył Wydział Aktorski (m.in. z Ireną Kwiatkowską) i... z największym trudem znalazł pracę w Wileńskim Teatrze Objazdowym, dającym przedstawienia w najodleglejszych zakątkach wschodnich województw. Jak sam zauważył: „Zdarzało się, że w ogóle nie było garderoby. [...] Natomiast jedna rzecz była

naprawdę trudna do wytrzymania – zimno. W Wołożynie przy -25 C graliśmy w nieopalonym budynku. [...] Ludzie na widowni siedzieli w płaszczach”. Przed wojną okazynie wystąpił na deskach kilku scen warszawskich. Zagrał też w dwóch filmach: *Halce* Juliusza Gardana i *Profesorze Wilczurze* Michała Waszyńskiego. W 1939 roku ukończył Wydział Sztuki Reżyserskiej PIST-u. Jako reżyser debiutował wspólnie z Leonią Jabłonkówną komedią Fredry *Piosnka wujaszka* na scenie Teatru Letniego w Warszawie. Samodzielnie zaprezentował się dramatem *Althea* Faleńskiego w Teatrze Narodowym. Przedstawienie zostało przychylnie przyjęte przez krytykę. Zdaniem Tadeusza Żeleńskiego Boya „P. Bardini pięknie wyreżyserował niełatwy utwór, dobrze wyćwiczone chóry podtrzymywały nastrój tajemnicy i grozy, sceny wiązały się i grupowały szlachetnie”.

Latem 1939 roku Bardini wrócił na krótko do Łodzi, gdzie prowadził m.in. kółko teatralne w hebrajskim gimnazjum Icchaka Kacenelsona, kultowego żydowskiego poety. W sierpniu tego roku, dzięki poparciu i rekomendacji Leona Schillera, dostał angaż do Teatru Lubelskiego Centralnego Okręgu Przemysłowego (COP), gdzie miał być reżyserem i aktorem. Po wybuchu wojny opuścił Lublin, kierując się w stronę Lwowa. Do Lwowa trafili również z Łodzi jego rodzice, do Grodna zaś siostra z mężem i małym dzieckiem. We Lwowie znajduje miejsce w utworzonym przez władze sowieckie Państwowym Polskim Teatrze Dramatycznym (PPTD) Jest tam aktorem i reżyserem. Nawiązuje również współpracę z lwowską rozgłośnią radiową.

Ocalony z Holocaustu

Wkroczenie Niemców na kresy wschodnie w czerwcu 1941 roku to piekło Holocaustu, które przynosi Aleksandrowi Bardiniemu największą osobistą tragedię. Z rąk niemieckich oprawców we Lwowie giną rodzice, a w Grodnie także siostra z rodziną. Sam Bardini, pracujący przymusowo jako sanitariusz w żydowskim szpitalu we Lwowie, cudem ocaleje, ukrywając się w domu siostr Aftanasow. Jedna z nich, Julia, zostanie żoną reżysera.

W 1944 roku Lwów zajmują ponownie wojska sowieckie, a Bardini włącza się w pracę reaktywowanego polskiego teatru. Jako reżyser zaprezentuje się m.in. dramatem *Burmistrz Maeterlincka* – o wypadkach w Belgii w czasie pierwszej wojny światowej – jednoznacznie kojarzącym się z wojenną tragedią Lwowa oraz własną interpretacją *Moralności pani Dulskiej* Zapolskiej, z udziałem m.in. Krystyny Feldmanówny w roli Hesi. W 1945 roku wraz z całym ewakuowanym do Polski zespołem tego teatru Bardini przenosi się do Katowic. W Teatrze Śląskim pod dyktando Dąbrowskiego będzie kontynuował działalność aktorską i reżyserską, głównie opierając się na sprawdzonym już w okresie lwowskim repertuarze dramatycznym i komediowym.

W kwietniu 1946 roku Bardini zgłasza Schillerowi, dyrektorowi Teatru Wojska Polskiego w Łodzi, gotowość do pracy w tej placówce. W Łodzi ma się stawić 15 sierpnia 1946 roku. Jednak traumatyczne przeżycia dadzą o sobie znać na początku lipca 1946 roku. Na wieść o wstrząsającym pogromie Żydów w Kielcach, który przyniósł wiele ofiar śmiertelnych, pod wpływem spontanicznego impulsu decyduje się na wyjazd z Polski. Pewne zdziwienie może jednak budzić kierunek emigracji. Reżyser z całą rodziną trafia do zachodnich Niemiec i osiada w Monachium. W miejscowym Teatrze Żydowskim zrealizuje trzy przedstawienia, ale nie czując się dobrze w niemieckim otoczeniu, w listopadzie 1948 roku zdecyduje się na wyjazd do Kanady. Jest mu ciężko. Pracuje tam jako robotnik w zakładzie kuśnierskim, następnie w fabryce lamp.

Od połowy 1949 roku jest zdecydowany na powrót do kraju. W emocjonalnym liście do Schillera pisze: „Gdyby ktoś uważał np., że powinienem zostać ukarany za to co popełniłem, to mogę na to odpowiedzieć, że nikt mnie nie może dotkliwiej ukarać, niż ja ukarałem sam siebie, opuszczając kraj”.

Od produkcyjniaków do Szekspira

Powrót do Polski łączył się jednak z bezkrytycznym zaakceptowaniem komunistycznej rzeczywistości. Bardini wraca w 1950 roku i otrzymuje angaż reżyserski w kierowanym przez Schillera Teatrze Polskim w Warszawie – ówczesnej pierwszej warszawskiej scenie. W okresie szczytowego terroru stalinowskiego na początku lat 50. reżyseruje agitacyjno-propagandowe tzw. produkcyjniaki: *Próbę sił* Lutowskiego, *Sprawiedliwych ludzi* Brandysa czy *Juliusza i Ethel* Kruczkowskiego. Przejdzie również do historii polskiego teatru jako twórca jednej z najbardziej kontrowersyjnych inscenizacji *Ballady* Słowackiego na deskach Teatru Nowej Warszawy. O skali zaufania władz komunistycznych świadczy fakt powierzenia Bardiniemu pierwszej powojennej adaptacji *Dziadów* Mickiewicza w Teatrze Polskim w Warszawie w 1955 roku. Samo przedstawienie, mimo mistrzowskiej gry odtwórców głównej roli Gustawa – Konrada: Stanisława Jasiukiewicza i Ignacego Gogolewskiego, spotkała fala krytyki: wytykano realistyczny obrzęd, skreślenie tego, co religijne i mistyczne w tekście, zbyt obyczajowy „Salon Warszawski”. Jednak brak zgody władz na pokazanie *Dziadów* w Paryżu sprawia, iż Bardini w proteście opuszcza Teatr Polski.

Rok 1956 roku to wyrazista cezura w twórczości artysty. Październikowa odwilż otworzyła nowe możliwości i Bardini mógł wrócić do swoich ulubionych autorów, zwłaszcza do klasyków: Szekspira, Ibsena czy Czechowa. Do dramatów Szekspira Bardini po raz pierwszy sięgnął w 1958

roku. W łódzkim Teatrze im. S. Jaracza zrealizował *Henryka IV* jako ciekawe studium problemu psychiki ludzi dotkniętych ambicją sprawowania władzy, a nie jej mechanizmów. Krytyka przychylnie przyjęła inscenizację. Chwalono reżysera za to, iż zespół aktorski „poderwał do pięknego artystycznego zrywu i podporządkował swej reżyserskiej koncepcji”. Dwa lata później pokazał to przedstawienie w Teatrze Ateneum, z udziałem m.in. wschodzących gwiazd polskiej sceny: Mariana Kociniaka, Bronisława Pawlika i Romana Wilhelmiego. Pomędzy tymi dwoma spektaklami Bardini zrealizował inne przedstawienie szekspirowskie – *Sen nocy letniej*, również w Teatrze Ateneum, w konwencji teatru iluzji, nie tyle politycznych, co głównie obyczajowych. Ostatnim spektaklem szekspirowskim w dorobku reżyserskim była *Miarka za miarkę* w Teatrze Polskim w Warszawie w 1965 roku.

Po 1956 roku Aleksander Bardini sięgnął do nowej na scenach polskich dramaturgii, zwłaszcza amerykańskiej i angielskiej. Do repertuaru Teatru Ateneum za czasów swojej dwuletniej dyrekcji włączył dwie wersje *Tramwaju zwanego pożądaniem* Williamsa – jedną Janusza Warmińskiego, z Aleksandrą Śląską w roli głównej, a drugą według własnej interpretacji, z rocznikiem dyplomantów warszawskiej szkoły teatralnej. Również z młodymi aktorami zrealizował *Zabawę jak nigdy* Saroyana: kameralną sztukę o przeciętnych ludziach i ich małych dramatach. Jednym z widomych dowodów prawdziwego mistrzostwa reżyserskiego Bardiniego stało się przedstawienie angielskiej czteroaktowej sztuki O’Caseya *Czerwone róże dla mnie* na deskach Teatru Dramatycznego w Warszawie, opowiadającej tragiczne losy irlandzkiej protestanckiej rodziny na tle potężnego strajku dokerów dublińskich z 1913 roku, z wielkimi rolami Ryszardy Hanin, Józefa Duriasza i Jana Świderskiego. Przedstawienia Aleksandra Bardiniego charakteryzowały się doskonałą obsadą aktorską i wielkimi kreacjami.

Mistrzowskie spektakle

Dość powszechnie uważa się za szczytowe osiągnięcie Bardiniego w pracy reżyserskiej telewizyjne *Trzy siostry* Czechowa z 1974 roku. Jak zauważył w swojej recenzji Andrzej Wanat: „Nie ma w tym przedstawieniu szczególnie eksponowanych bohaterów, gdyż mamy do czynienia z grupą postaci, z których żadna nie posiada przywileju racji”. W tym spektaklu spotkały się dwa pokolenia aktorskie: obok takich sław, jak Bronisław Pawlik, Marek Walczewski, Jerzy Kamas i Andrzej Seweryn, wystąpiły debutantki – Joanna Szczepkowska, Ewa Ziętek, Krystyna Janda i Anna Szczepaniak.

Ostatnie przedstawienia Bardiniego w pełnym blasku pokazały jego dar tworzenia bogatego świata scenicznego poprzez pracę z aktorami. Warto wspomnieć o trzech spośród nich. Pierwsze – *Jan Gabriel Borkman*

Ibsena, zrealizowany w Teatrze Współczesnym – to opowieść o wielkim indywidualiście, samotniku i niepoprawnym marzycielu. W obsadzie same sławy: Jan Świdorski, Zofia Mrozowska, Halina Łabonarska, Henryk Borowski czy Krzysztof Kołbasiuk. Drugie – *Barbarzyńcy* Gorkiego w Teatrze Powszechnym w Warszawie w 1976 roku – przypominało klimatem Czechowa. *Barbarzyńcy* Bardiniego byli spektaklem niezwykle wyrównanym aktorsko, rola w rolę: Bronisław Pawlik, Stanisław Zaczek, Władysław Kowalski, Wojciech Pszoniak, Mirosława Dubrawska czy Ewa Dałkowska. I wreszcie trzecie przedstawienie: *Wujaszek Wania* z 1980 roku dla Teatru Telewizji, oparty na rzetelnej analizie tekstu, z drobiazgową scenografią Wiesławy i Allana Starskich, doskonale oddający rosyjskie realia. Bardini ponownie wydobył charakterystyczny klimat sztuk Czechowa. Poprowadził narrację w powolnym rytmie, nie bojąc się długich pauz w dialogach i sytuacjach, dla podkreślenia nieubłaganie płynącego czasu. Spektakl przeszedł do historii wielkimi kreacjami aktorskimi Zofii Rysiówny, Haliny Łabonarskiej, Władysława Kowalskiego, Mieczysława Voita, a zwłaszcza Zbigniewa Zapasiewicza jako Astrowa. To właśnie ta rola idealnie przystawała do opinii, jaką sformułował o Zapasiewiczu sam Bardini: „Jest największy w swoim aktorstwie”.

Reżyser oper

Drugą oprócz aktorstwa pasją Bardiniego była muzyka. Chętnie podkreślał, iż to właśnie w Łodzi nauczył się grać na skrzypcach. Posiadał słuch absolutny i potrzebę nieustannego obcowania z muzyką: „Muzyka towarzyszy mi przez cały czas, do tego stopnia, że są okresy, kiedy nie chodzę do teatru, nie ma natomiast okresów, bym nie chodził na koncerty. Mam potrzebę aktywnego uczestnictwa w muzyce, tzn. bycia obecnym przy muzyce żywej. Jest to potrzeba organiczna i nawyk wyprowadzony z dzieciństwa. Nawet bywając poza krajem [...] zawsze jakoś trafiałem na koncerty”. Był częstym gościem w Filharmonii Narodowej. Miał abonament i stałe miejsce w środku pierwszego rzędu na balkonie, gdzie słuchał muzyki w skupieniu, niekiedy śledząc partyturę. Krzysztof Kieślowski długo zastanawiał się nad wyborem profesji dla bohaterki filmu *Podwójne życie Weroniki*. Weronika została śpiewaczką po to, by Bardini mógł zagrać dyrygenta.

Jeszcze jako student przedwojennego PIST-u brał sporadyczne lekcje gry na skrzypcach u Józefa Jastrzębskiego z zasłużonej rodziny muzycznej. Jego stosunek do muzyki w teatrze ukształtował jednak Leon Schiller, który dostrzegł muzykalność Bardiniego. W grupie adeptów sztuki reżyserskiej jako nieliczny znał nuty. W 1937 roku został wyznaczony przez Schillera jako delegat PIST-u do niesienia wieńca uczelni w kondukcje żałobnym Karola Szymanowskiego. W 1950 roku zrealizował samodzielnie

swoje pierwsze przedstawienie operowe – *Damę pikową* Czajkowskiego – w Operze Śląskiej. Spektakl oparty na zespole utalentowanych młodych śpiewaków z Andrzejem Hiolskim na czele został dobrze przyjęty. Podkreślano harmonijne zespolenie muzyki i śpiewu ze wszystkimi elementami tworzącymi z opery teatr, świetne poprowadzenie aktorskie śpiewaków i chórów, precyzyjne opracowanie i rozplanowanie sytuacji scenicznych. Kolejne opery, m.in. *Borysa Godunowa* Musorgskiego, *Don Pasquale* Donizettiego, *Straszny dwór* Moniuszki, *Otella* Verdiego czy *Elektrę* Straussa, Bardini wystawił w Operze Warszawskiej i Teatrze Wielkim.

Pedagog i surowy przyjaciel

W 1950 roku został wykładowcą reżyserii, a następnie sztuki aktorskiej w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej (PWST) w Warszawie. Wśród jego studentów były takie znakomitości polskiego teatru, jak Zygmunt Hübner, Konrad Swinarski, Jan Maciejewski czy Bronisław Pawlik. W tej uczelni pozostał na etacie do końca 1978 roku, gdy jako profesor zwyczajny, za kadencji rektorskiej Tadeusza Łomnickiego, odejście na niechcianą emeryturę. Przez lata wykładał naukę reżyserii dramatu, widowisk muzycznych, pracę z aktorem, zagadnienia muzyczne w teatrze, a także teatr i dramaturgię operową. Stał się prawdziwą legendą tej niezwykle zasłużonej polskiej uczelni artystycznej. W pracy ze studentami kierował się zasadą: mówić prawdę i nie zabiegać o względy studentów, bo to klęska dla obu stron. Z mistrzowską precyzją uczył mówić, śpiewać, poruszać się na scenie, a także myśleć. W swoich osądach potrafił być okrutnie szczery: „Nigdy nie zapomnę jak kazał stanąć mi przed lustrem w sali estradowej warszawskiej uczelni i spokojnie, bez litości wymieniać moje wady urody i zalety, uświadamiać mi z całą brutalnością, jaka jestem, jak mnie widzą inni. Na koniec kazał mi siebie polubić i uświadomił, że bez tej zgody na siebie i akceptacji nic w tym zawodzie nie osiągnę” – wspominała studencki okres Krystyna Janda. Bardini chciał w ten sposób przygotować swoich podopiecznych na realia brutalnej walki o utrzymanie w tym wyjątkowo konkurencyjnym zawodzie. Swoim najzdolniejszym uczniom potrafił wręczać symboliczne złotówki. Najbardziej znaną realizacją, jaką Aleksander Bardini przygotował ze studentami, stały się *Ćwiczenia z Szekspira* z 1971 roku, stanowiące zbiór etiud aktorskich, prezentujących całą paletę emocji i postaw międzyludzkich. Rok później pokazane w ośrodkach uniwersyteckich w Stanach Zjednoczonych, m.in. w Austin, Kansas City, Minneapolis czy Juilliard School w Nowym Jorku, stały się prawdziwą sensacją artystyczną.

W latach 1956–1958 był również wykładowcą na Wydziałach: Aktorskim i Reżyserskim Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej (PWSF) w Łodzi. Na swojego asystenta wybrał Jerzego Antczaka, który ze współpracy

zapamiętał szczególnie podziw profesora do *Obywatela Kane’a* – uznawanego za jeden z najwybitniejszych obrazów w historii światowego kina – oraz jego ulubione motto: „Tylko rzeczy niemożliwe zasługują na to, by po nie sięgać”. Znając kilka języków, był także wykładowcą sztuki aktorskiej na uniwersytecie w Georgii w USA, w Szkole Dramatyczno-Muzycznej w Sztokholmie oraz współkierownikiem i wykładowcą Międzynarodowych Kursów Letnich w Austrii i Holandii.

Wielokrotnie zaznaczał swoją obecność na dużym i małym ekranie, m.in. w takich filmach, jak *Jutro premiera*, *Markheim*, *Sprawa Gorgonowej*, *Polskie drogi* Janusza Morgensterna, *Spirala* i *Gdziekolwiek jest, jeśliś jest...* Krzysztofa Zanussiego, *Krajobraz po bitwie* Andrzeja Wajdy, *Baryton* Janusza Zaorskiego, *Ocalenie* Edwarda Żebrowskiego czy *Dekalog II*, *Podwójne życie Weroniki* i *Trzy kolory*. Biały Krzysztofa Kieślowskiego. Zawsze jednak na drugim planie bądź w epizodzie. Kreował pewien określony, specyficzny rodzaj bohatera: profesora, ordynatora, antykwariusza, mecenasa, a dzięki swojemu charakterystycznemu *emploi*, wykorzystywanym środkom wyrazu, mimice twarzy, tembrowi głosu osiągał zamierzony efekt – wiarygodność i uczciwość granej postaci. Innym istotnym miejscem dla Bardiniego było Polskie Radio, z którym był związany ponad 40 lat. Współpracował z nim zarówno jako reżyser (*Dożywocie* Fredry, *Cezar i Kleopatra* Shawa, *Edward II* Marlowe’a), jak i aktor (*Lord Jim* Conrada i *Pielgrzymka Wagnera do Beethovena* Da Costy w reż. Andrzeja Zakrzewskiego czy *Mesjasz* Gromaire’a Bernsteina w reż. Andrzeja Łapickiego).

Z początkiem września 1986 roku został konsultantem programowym Teatru Powszechnego w Warszawie za dyrekcji Zygmunta Hübnera. Niecałe trzy lata później, w styczniu 1989 roku, w emocjonalnych, wzruszających słowach tak pożegnał swojego dawnego studenta, wieloletniego współpracownika i bliskiego przyjaciela: „Na ścianie klatki schodowej w PWST im. A. Zelwerowicza przy ul. Miodowej wiszą fotografie z przedstawień dyplomowych studentów. Jedno z takich zdjęć pochodzi ze sztuki *Jej przyjaciele* Rozowa, której byłem reżyserem. Na zdjęciu widać trzech licealistów po maturze, w szkolnych mundurach. Są to: Henryk Czyż, Marian Rułka i Zygmunt Hübner. Nikogo z nich nie ma wśród nas. Jest w tym coś niegodnego, a nawet nieprzyzwoitego, że nauczyciel żyje dłużej niż jego uczniowie”.

Odszedł 30 lipca 1995 roku w Warszawie.

Tomasz Czarnecki
– historyk, publicysta

Łódzkie doświadczenia Janusza Gajosa

Spośród wybitnych aktorów wielu miało ważny dla rozwoju swojej artystycznej kariery dłuższy lub krótszy związek z Łodzią. Jednym z nich jest Janusz Gajos. Ma dziś swoją gwiazdę na Piotrkowskiej i honorowy doktorat macierzystej uczelni – Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej. Ale to przecież w Łodzi rozpoczynał swoją drogę na szczyty kunsztu aktorskiego.

Nie urodził się wprawdzie w Łodzi, ale do naszego miasta nie kryje sentymentu, bo – jak stwierdził w jednym z wywiadów – „tu nastąpił początek tego wszystkiego, co w moim życiu okazało się niezwykle ważne, istotne i pozostające nieprzerwanie do chwili obecnej jego integralną częścią”¹. Niezwykle znaczące były studia w Filmówce i początki kariery aktorskiej.

Jego dzieciństwo i wczesna młodość upłynęły na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim. Naprzód Dąbrowa Górnicza, gdzie przyszedł na świat w 1939 roku, rodzice zaś wybrali dla niego imię od jednego z bohaterów moniuszkowskiej *Halki*. Później było Zabrze i tam nauka w szkole podstawowej. Wreszcie rodzina Gajosów zamieszkała w Będzinie, gdzie przyszły aktor ukończył Liceum Towarzystwa Przyjaciół Dzieci.

Będzińskie liceum organizowało swoim uczniom wyjazdy do teatru w Katowicach. „Szczególne wrażenie zrobił na mnie budynek Teatru Śląskiego, wybudowany przez Niemców jeszcze przed pierwszą wojną. Na moje ówczesne doświadczenia życiowe i estetyczne był on bardzo wytworny, elegancki... Na dodatek była tam także scena, na której działo się coś osobliwego, dziwnie ubrani ludzie coś mówili, ruszali się w inny niż na ulicy sposób, a widzowie tego słuchali i przeżywali. Nie pamiętam nawet tytułu sztuki. Znacznie bardziej zaciekało mnie to, co za sceną, ale tam oczywiście mnie nie wpuszczono”² – wspominał po latach.

Poznał także świat z drugiej strony rampy, kiedy licealny polonista inscenizował XII księgę *Pana Tadeusza*, a ucznia Gajosa obsadził

w roli tytułowej. „Przedstawienie stało się wydarzeniem w skali lokalnej, a ja poczułem smak »sławy«. Przechadzając się w niedzielne przedpołudnie będzińskim deptakiem, gdzie spotykali się wszyscy wymieniając ukłony i grzeczności, dostrzegałem zachwycone spojrzenia pańienek, ich szepty (mocno nadstawiałem ucha): Popatrz, popatrz! Pan Tadeusz!”³.

Przedstawienie stało się punktem zwrotnym w jego myśleniu o przyszłości. Architekturę, o której wcześniej myślał, wyparło aktorstwo. A zwycięstwo w konkursie recytatorskim w Sosnowcu ten pomysł silniej zakotwiczało. Rodzice aktorskimi planami syna nie byli zachwyceni, ale też twardo się im nie sprzeciwili.



Początek egzaminacyjnych niepowodzeń

W 1957 roku z trzech funkcjonujących szkół aktorskich, w Warszawie, Krakowie i Łodzi, wybrał tę ostatnią. Startował bez powodzenia. „Byłem dość nieśmiałym chłopcem, który po maturze w małym miasteczku starał się o przyjęcie do szkoły aktorskiej. Od kandydata na aktora oczekiwano zapewne umiejętności efektownego zaprezentowania własnej osoby. Nie potrafiłem tego wtedy i sądzę, że miałbym z tym kłopoty do dziś”⁴ – diagnozował po latach. I tłumaczył: „[...] byłem tak speszony wielkim przedwojennym pałacem, marmurowymi schodami i całym tym kolorowym, krzykliwym towarzystwem zdających, że nie potrafiłem pokonać straszliwego spięcia, a to po prostu paraliżuje”⁵. „Jak sobie przypomnę, że za pierwszym razem bezczelnie recytowałem fragment Wielkiej Improwizacji z *Dziadów*, to mnie ciarki przechodzą. Człowiek nie wiedział, co bierze do ręki. Starałem się wyobrazić sobie, co ci ludzie o mnie myśleli. Fizycznie nie przedstawiałem zdecydowanego wizerunku. Ani specjalnie przystojny, ani brzydki. Miałem kompleks chłopaka z małego miasteczka”⁶.

Adept lalkowego teatru

Padły marzenia o studiach aktorskich, ale jesienią 1957 roku podjął pracę w działającym w Będzinie Teatrze Dzieci Zagłębia, prowadzonym przez Jana Dormana. Dorman przedstawienia dla dzieci urządzał już od grudnia 1945 roku. Naprzód w Sosnowcu, a następnie w Będzinie, gdzie osiadł w 1949 roku. Inspiracją jego przedstawień była gra, dziecięca zabawa. Zamiast tradycyjnego ilustrowania treści bajki odwoływał się do nieskrępowanej wyobraźni i swobodnej gry skojarzeń. Uważał bowiem, że w procesie edukacji najważniejszym elementem jest pobudzenie indywidualnej wrażliwości dziecka, uruchomienie jego indywidualnych reakcji. Posługiwał się lalkami, ale też wprowadzał na scenę żywych aktorów ubranych w czarne trykoty i w maskach. Nie tylko zrywał z teatralną iluzją, ale też – z czasem – zaczął przygotowywać przedstawienia dla młodzieży i dorosłych. Dzisiaj twórczość Jana Dormana opisywana jest w kategoriach eksperymentu, awangardy, wręcz rewolucji, ale w latach 50. i 60. środowisko lalkarskie oceniało go dosyć chłodno.

Janusz Gajos zaczynał od prac na zapleczu sceny – zasuwiał kurtynę, obsługiwał magnetofon, lepił główki lalek. Stopniowo zaczął też operować lalkami. W aktorskiej roli zadebiutował już w pierwszej premierze sezonu, wystawionych 24 października *Kolorowych piosenkach* Henryka Ryla, które wyreżyserował autor wraz z Haliną Bańkowską w dekoracjach Ali



Bunscha, z lalkami Andrzeja Cybulskiego i muzyką Stefana Kisielewskiego⁷. Gajos znalazł się także w obsadzie pozostałych premier sezonu. 30 czerwca 1958 roku odbyła się premiera jednej z najgłośniejszych inscenizacji Jana Dormana – *Krawca Niteczki*. Baśń Kornela Makuszyńskiego zaadaptowała Hanna Januszewska, a Dorman wyreżyserował ją w scenografii Tadeusza Grabowskiego i z muzyką Jerzego Haralda. Dla Janusza Gajosa, jednego z 14 wykonawców *Krawca Niteczki*, premiera i poprzedzające ją próby niezbyt fortunnie zbiegły się z egzaminami. Ponownie bowiem ubiegał się o indeks studenta Szkoły Aktorskiej w Łodzi. I ponownie jego aspiracje nie znalazły uznania egzaminatorów.

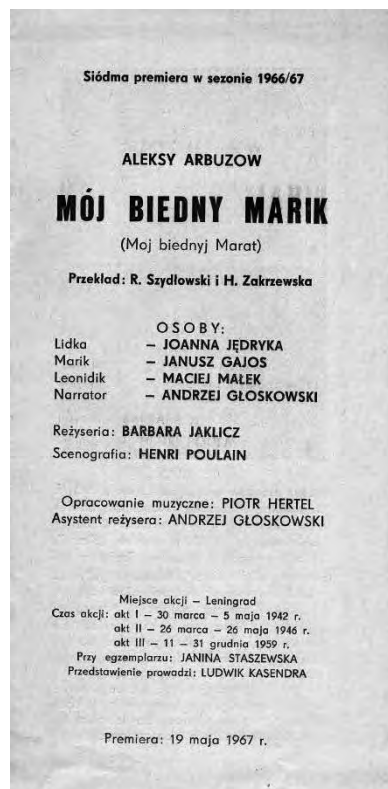
Spróbował po raz trzeci. Jeszcze w tym samym roku we wrześniu odbyły się dodatkowe egzaminy do Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej im. Ludwika Solskiego w Krakowie. Tu dostał się nawet do drugiego etapu, ale swoje szanse pogrzebał, gdy jeden z egzaminatorów poprosił, by recytował przygotowany utwór bez wymieniania tytułu i nazwiska autora. Gajos miał potwierdzić, że zrozumiał i zaczął: „Julian Tuwim, *Kwiaty polskie...*”.

Wrócił do Będzina i Teatru Dzieci Zagłębia, gdzie należał do „pomocniczego zespołu aktorskiego”⁸. Teraz jednak ciekawie zapoczątkowaną karierę aktora lalkarza przerwała armia. Rekrut Gajos trafił do pułku artylerii haubic w Żarach. Miał być rachmistrzem. W ciągu dwuletniej służby porzucił teatralne marzenia, jednak w dowodzie miał wpisane, że jest aktorem i pracuje w będzińskim teatrze. Na tej podstawie dowódca rozkazał mu wziąć udział w ogólnopolskim konkursie recytatorskim, którego lokalne eliminacje odbywały się też w Żarach. Gajos je wygrał, a później również eliminacje wojewódzkie w Legnicy. Pochlebne artykuły na ten temat w prasie sprawiły, że został przeniesiony do zespołu estradowego Śląskiego Okręgu Wojskowego. I znów odżyły myśli o aktorstwie.

Mundur szczęśliwy dla pechowca

W 1961 roku, jeszcze w mundurze, po raz trzeci przyjechał na egzaminy do Łodzi. Zdał. „Pamiętam, że kiedy przeczytałem swoje nazwisko na liście studentów, wyszedłem na ulicę, nie mogąc opanować wzruszenia. Mijałem ludzi, tramwaje, samochody i myślałem: Oni nie wiedzą nawet, co to jest szczęście! Jakże im współczuję, że nie mogą być aktorami!”⁹ Teraz został studentem Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej (PWSFTviT) w Łodzi im. L. Schillera. Uczelnia taka powstała w 1958 roku z połączenia łódzkich szkół teatralnej i filmowej.

Wprawdzie filmowcy i aktorzy kształcili się w tej samej uczelni, to jednak warunki lokalowe podkreślały pewną odrębność. Reżyserzy i operatorzy mieli zajęcia przy ul. Targowej 61, w dawnym pałacu Oskara



Kona, a aktorzy, jak w okresie funkcjonowania Wyższej Szkoły Aktorskiej, w dawnym pałacu Karola Poznańskiego przy ul. Gdańskiej 32. Pośród wykładowców, z którymi zetknęło się 17 studentów pierwszego roku Wydziału Aktorskiego w roku akademickim 1961/62, najbogatszy staż aktorski i pedagogiczny miały Jadwiga Chojnacka i Hanna Małkowska. Pierwsza zasłynęła genialną kreacją jako tytułowa Celestyna w sztuce Fernando de Rojasa wyreżyserowanej na łódzkiej scenie przez Leona Schillera w 1947 roku, a w latach 1951–1957 kierowała Teatrem Powszechnym. Z kolei Hanna Małkowska, aktorka, reżyserka i szefowa teatrów, przez dwa lata (1952–1954) była rektorem łódzkiej PWSA, po odejściu Borowskiego została zaś dziekanem Wydziału Aktorskiego (PWSFTviT).

Janusz Gajos okazał się studentem poszukującym nowych szans. Skrzyknął kolegów z roku i założyli kabaret Piątka z ulicy Gdańskiej.

Zbudowali pogram z utworów znanych choćby z radiowej anteny, głównie pochodzących ze *Słów* Tadeusza Boya-Żeleńskiego. „Ale pani Małkowska, dziekan wydziału, która to dostała do zatwierdzenia, miała spore obiekcje do tego scenariusza – wspominał. – A my, to znaczy koledzy: Halina Kowalska, Franek Trzeciak, Włodek Nowak i ja, byliśmy bardzo niecierpliwi”. Ta „zabawa w kabaret” trwała dwa lata – „nawet w czasie wakacji jeździliśmy na tak zwane występy, żeby coś zarobić”¹⁰.

Pierwsze role zdolnego studenta

Jeszcze jedna przygoda poza programem: przedstawienie *Pamiętniki Pana Boga*. „Waldek Wilhelm, który uczył nas wówczas szermierki, interesował się również reżyserią. Dotarł do tekstu włoskiego pisarza i filozofa, zdeklarowanego ateisty, który po okropieństwach pierwszej wojny przeżył konwersję duchową i stał się gorliwym katolikiem. Nazywał się Giovanni Papini i jeszcze jako wojujący ateista w 1911 roku napisał tekst, gdzie przedstawił Boga w trzech osobach. Grali je Joasia Jędryka, Franek Trzeciak i ja. [...] Wystę-

powaliśmy w sali organowej pałacyku na Gdańskiej. Nieoczekiwanie staliśmy się elitą szkoły. To był jedyny rok, który potrafił się uruchomić i złożyć samodzielne przedstawienie poza licznymi i trudnymi zajęciami. Mnie wtedy bardzo frapowało robienie czegoś innego”¹¹.

Pomogli mu w tym pedagodzy. Naprzód Maria Kaniewska, która przygotowując swój nowy film na podstawie powieści Jadwigi Łuszczewskiej (Deotymy) *Panienka z okienka*, obsadziła studenta Gajosa w roli służącego Pietrka.

Na planie filmu spotkał się z głośnymi aktorami z Warszawy: Jerzym Duszyńskim, Mariuszem Dmochowskim, Andrzejem Szczepkowskim, wykładającą w PWSFTviT Jadwigą Chojnącką oraz z całą falangą aktorów scen łódzkich: z Ludwikiem Benoit, Leonem Niemczykiem, Krzysztofem Chamcem, Feliksem Żukowskim, Stanisławem Łapińskim, Wojciechem Pilarskim. W obsadzie znaleźli się także jego koledzy ze studiów, a wśród nich m.in. Pola Raksa.

Przeznaczona dla młodych widzów *Panienka z okienka* okazała się ważna dla dalszej ekranowej kariery Gajosa. Na ekranie wypatrzyli go twórcy *Czterech pancernych* i zaprosili na zdjęcia próbne. Zanim do tego doszło, studentowi Gajosowi zaproponował udział w swoim filmie początkujący jako reżyser Jerzy Skolimowski. W jego filmie *Bariera* zagrał epizodyczną rolę tramwajarza, choć pierwotnie reżyser planował obsadzić go w roli głównego bohatera, ale w końcu powierzył ją Janowi Nowickiemu.

Na scenie w Grand Hotelu

Jeszcze przed premierą *Panienki z okienka* (grudzień 1964) pomocną dłoń podał mu wykładający podstawy gry aktorskiej Jerzy Walden. Walden posiadał duże doświadczenie jako reżyser teatrów dramatycznych, muzycznych oraz scenek kabaretowych. Kierował także wieloma zespołami prowincjonalnymi. Łódzcy decydenci w połowie grudnia 1963 roku powierzyli mu dyrekcję Teatru 7.15, rozrywkowej sceny ulokowanej na piętrze w budynku Grand Hotelu.

Według wspomnień Janusza Gajosa Walden miał mu zaproponować „jakieś zastępstwo”, później zaś grał „tam epizody”¹².

Kadencję Walden zainaugurował w styczniu 1964 roku *Lekarzem mimo woli* Moliera, 13 maja 1964 roku zaprezentował natomiast prapremierę trzyaktowej komedii Mirosława Łebkowskiego *Gość z kosmosu* w reżyserii Stefanii Waldenowej. Bohaterami sztuki była grupa wyrostków, którzy „urwawszy się z obozu na samodzielną wycieczkę zostają zaskoczeni przez śnieżycę. Trafiają do opuszczonej chałupy, a zapuka do niej gość, witając ich »Dzień dobry ludzie«”¹³. Wśród jej premierowych wykonawców znalazł się także Janusz Gajos. Młodych bohaterów grali dojrzały aktorzy oraz kilkoro

studentów. Do końca sezonu *Gościa...* zagrano 20 razy, a w kolejnym sztuka szła jeszcze przez 11 wieczorów.

Nazwiska Janusza Gajosa nie spotkamy w obsadzie żadnej z pięciu premier Teatru 7.15, które zostały przygotowane w kolejnym sezonie. Były tego przyczyną. Teatralny sezon czasowo pokrywa się z rokiem akademickim; Gajosa czwartym, ostatnim rokiem studiów. A studenci szkół aktorskich tradycyjnie kończą edukację praktycznym pokazem swoich umiejętności – w spektaklach dyplomowych. Wtedy w Filmówce przygotowano trzy premie-ry: *Grę interesów* Jacinta Benaventego, *Kondukt* Bohdana Drozdowskiego oraz *Męża i żonę* Aleksandra Fredry. Gajos brał udział w dwóch z nich. Zagrał Arlekina w *Grze interesów* (reż. Maria Kaniewska, premiera 7 lutego w sali Teatru Rozmaitości w Młodzieżowym Domu Kultury, dzisiaj budynek YMCA, przy ul. Moniuszki) oraz Pawelskiego, delegata partii w *Kondukcje* (reż. Jerzy Walden, premiera 27 lutego, na scenie szkolnej przy Gdańskiej 32). W tym czasie początkujący aktor zaabsorbowany był także zdjęciami do serialu *Cztery pancerni i pies*¹⁴.

Debiut i nowe role w Teatrze Jaracza

Walden jednak pamiętał o uzdolnionym studencie, który indeks wprowadzić uzyskał dopiero za czwartym podejściem, ale szybko zdobył opinię najzdolniejszego słuchacza. Walden więc nieomylnie w ostatnich dniach sezonu 1964/65 zatrudnił go w teatrze¹⁵. Było to w ostatniej chwili, gdyż z końcem sezonu 1964/65 Walden utracił stanowisko, a Teatr 7.15 przyłączono do





Teatru im. Stefana Jaracza jako jego drugą scenę. W taki sposób Janusz Gajos stał się aktorem tego teatru, którym kierował wtedy Feliks Żukowski. Na najstarszej łódzkiej scenie Gajos zadebiutował w przedstawieniu *Kolumbowie, rocznik 20* według głośnej powieści Romana Bratnego. Przedstawienie wyreżyserowała Barbara Jaklicz (premiera 10 listopada 1965 roku) w adaptacji i inscenizacji Adama Hanuszkiewicza przygotowanej dla warszawskiego Teatru Powszechnego.

Recenzenci nie szczędzili komplementów wykonawcom. W tygodniku „Kultura” znalazła się nawet uwaga, że „aktorsko przedstawienie to jest lepsze od *Kolumbów* warszawskich”¹⁶. Padły stwierdzenia o przedstawieniu „bardzo czystym aktorsko, granym bez najmniejszej emfazy”, o „bardzo równym poziomie” wykonania i „szlachetnej powściągliwości środków wyrazu”, a Stanisław Kaszyński w „Odgłosach” zapewniał, że wszyscy byli dobrzy i należy przepisać pełną obsadę¹⁷.

Januszowi Gajosowi przypadła rola Kolumba, acz odnoszenie tych uwag także do niego niekoniecznie musi być trafne. Rzecz w tym, iż w roli tej był dublerem, a w przedstawieniu premierowym Kolumba zagrał Józef Zbiróg, wówczas jeden z czołowych aktorów tej sceny.

2 marca 1966 roku odbyła się premiera *Kaukaskiego koła kredowego* Bertolda Bechta, którym jako reżyser, inscenizator i scenograf jednocześnie zadebiutował Jerzy Grzegorzewski. Janusz Gajos został w nim obsadzony w epizodycznej roli jednego z Tkaczy (wraz z Jerzym Balbuzą,

Zdzisławem Józwiakiem i Wiesławem Ochmańskim). Zbyt mało, aby zainteresować recenzentów, bo ich uwagę skoncentrował Grzegorzewski, który sięgając po tę sztukę, zdecydowanie odrzucił kształt, jaki zyskała w kanonicznej inscenizacji Berliner Ensemble. „Stała się rzecz inna, wcale nie mniej ciekawa [...], jego Brecht pomyślany w planie teatralnym zupełnie nie po Brechtowsku okazał się w ostatecznym rachunku bardziej Brechtowskim przedstawieniem od spektakli robionych z myślą o bezwzględnym dochowaniu wierności modelowi berlińskiemu” – twierdził Jerzy Koenig¹⁸.

W listopadzie 1967 roku miało półwiecze od wybuchu rewolucji październikowej. Zgodnie z dyspozycjami władz partyjnych teatry

Wyróżniony Honorową Odznaką Miasta Łodzi i Odznaką Tysiąclecia Państwa Polskiego **PAŃSTWOWY TEATR IM. STEFANA JARACZA**

Dyrektor i kierownik artystyczny: **FELIKS ZUKOWSKI** Kierownictwo literackie: **KRYSTYNA BOBROWSKA** Kierownictwo muzyczne: **PIOTR HERTEL**
MARIAN RIECHAL

Piąta premiera w sezonie 1968/69

STANISŁAW WYSPIAŃSKI

WESELE

dramat w trzech aktach

OSOBY:

Gospodarz	— KAZIMIERZ TALARCZYK	Ksiądz	— ZYGMUNT NOWICKI
Gospodyni	— DANUTA KŁOPOCKA	Maryna	— MIROSŁAWA MARCHEŁUK
Pan Młody	— ANDRZEJ GŁOSKOWSKI	Zosia	— MARIA PRZYBYLSKA
Panna Młoda	— BARBARA WAŁKOWNA	Radczyni	— GRAZYNA MARZEC
Marysia	— BOŻENA DARŁAKOWNA	Haneczka	— MARIA KOZIEWSKA
Wojtek	— KAROL OBIDNIAK	Czepiec	— MARIA WILHELM
Ojciec	— ZYGMUNT URBANSKI	Czepcowa	— JAN TESARZ
Dzied	— JÓZEF ŁODYŃSKI	Klimina	— BARBARA JAKLICZ
Jasiek	— JANUSZ GAJOS	Kasia	— ZOFIA WILCZYŃSKA
Kasper	— STANISŁAW KWAŚNIAK	Staszek	— ALICJA CICHECKA
Poeta	— JANUSZ KRAWCZYK	Zyd	— WALDEMAR STARCZYŃSKI
Dziennikarz	— MACIEJ MAŁEK	Rachel	— FELIKS ZUKOWSKI
Nos	— KAZIMIERZ IWŃSKI	Isia	— EWA MIROWSKA
	— JERZY Cwikliński		— Ewa Adamska (PWST)

OSOBY DRAMATU:

Chochol	— ZDZISŁAW JÓZWIAK	Rycerz Czarny	— ANTONI LEWEK
Widmo	— BOGUMIŁ ANT CZAK	Upiór	— IRENEUSZ KASKIEWICZ
Stańczyk	— JÓZEF ZBIROG	Wernyhora	— MAREK SOBCZYK
Hetman	— MIECZYSLAW SZARGAN		

Reżyseria i scenografia: **JERZY GRZEGORZEWSKI**
 Muzyka: **STANISŁAW RADWAN**
 Konsultacja pracy nad słowem: **KRYSTYNA MAZUR**
 Asystent reżysera: **JANUSZ KRAWCZYK**
 Przedstawienie prowadzi: **Irena Przybylska**
 Przy egzemplarzu: **Ewa Iwińska**
Premiera: 1 lutego 1969 roku

rocznicę upamiętniały, sięgając szerzej niż zwykle do twórczości autorów ze Związku Radzieckiego. W Teatrze Jaracza nie czekali jesieni i już 19 maja odbyła się premiera sztuki Aleksego Arbuzowa *Mój biedny Marik* w reżyserii Barbary Jaklicz i w scenografii Henri Poulaina. Obsadę przedstawienia zestawiono z aktorów młodych, o krótkim stażu teatralnym. Tytułowego Marika (w oryginale – Marata) grał Janusz Gajos, Lidkę – Joanna Jędryka, w roli

Leonidika zaś występował Maciej Małek. Narratorem był Andrzej Głóskowski. Ten ukłon w stronę najmłodszych w zespole zaprojektował autor, gdyż w akcie I sztuki (akcja toczy się w 1942 roku w oblężonym Leningradzie) Lidka jest szesnastolatką, a Marik ma dwa lata więcej. W dalszej części sztuki bohaterowie starsi są o 17 lat.

Pierwsze pochwały recenzentów

„Świetnie dobrana trójka młodych aktorów gra równo, sprawnie i ze szczerym przejściem pod batutą B. Jaklicz” – zapewniał Roman Łoboda na łamach „Odgłosów”¹⁹. Mieczysław Jagoszewski, nestor łódzkich recenzentów, nie krył entuzjazmu: „Prawdziwy koncert gry aktorskiej dali Joanna Jędryka i Janusz Gajos. [...] Janusz Gajos początkowo zabawny w swoich gaskonadach i przekornie dziecinnej bufonadzie, czuł się potem znakomicie w mundurze oficera. Bardzo pomogło mu tutaj »terminowanie« w filmie »Czterej pancerni i pies«. Tylko że w filmie grał rolę żołnierza, tu zaś nosi już szlify oficerskie. I nie jest to tylko awans sceniczny, lecz również awans artystyczny tego młodego a utalentowanego aktora!”²⁰. Nieco inaczej ocenił grę aktorów Marek Wawrzekiewicz: „Linia prosta wyznaczająca jednakowy, wysoki poziom – to grający tytułową rolę Janusz Gajos. Widziałem go w dużej roli po raz pierwszy. Wbrew obawom, które żywię wobec bohaterów popularnych serii telewizyjnych, okazał się aktorem dojrzałym, dysponującym bogatym warsztatem”²¹.

Sezon teatr zakończył 17 czerwca premierą *Ogniem i mieczem*. Przeróbki pierwszej części Trylogii Henryka Sienkiewicza wystawiano na łódzkiej scenie już na przełomie XIX i XX wieku. Tym razem skorzystano z nowej adaptacji dokonanej przez Wandę Maciejewską. A chociaż Stanisław Kaszyński po latach zastrzegał, że o tym dziele „niewiele też pozytywnego można by napisać”²², to jednak na przełomie lat 60. i 70. zagościło ono na kilku polskich scenach. Inscenizatorem i reżyserem łódzkiej premiery był Feliks Żukowski, skrótowe dekoracje (przedstawienie miało 23 obrazy) i „barwne” kostiumy zaprojektował Bolesław Kamykowski, a muzykę skomponował Piotr Hertel. Januszowi Gajosowi przypadła rola „małego rycerza” – Michała Wołodyjowskiego. Niewątpliwie na tę decyzję obsadową wpłynął również mało imponujący wzrost aktora (169 cm). Przedstawienie zostało zrecenzowane jedynie na łamach „Expressu Ilustrowanego” i zapewne nie był to przypadek. Przypominanie konfliktu polsko-ukraińskiego, choćby sprzed stuleci, nie było mile widziane przez władze partyjne. Pośrednio nawiązał do tego też recenzent popołudniówki, zapewniając, iż jest przeciwnikiem *Ogniem i mieczem* na scenie m.in. z racji obecności w utworze drażliwych spraw dzielących dwa narody. Najwyżej ocenił występujące na scenie aktorki, a listę wykonawców zakończył następującą uwagą: „A już zupełnie nijaki był Janusz Gajos jako pan

Wołodajowski – nakleił sobie maleńki, ciemny wąsik i to zgubiło go do reszty, bo nawet młoda widownia miała niejakie trudności z rozpoznaniem swojego ulubieńca”²³.

Gajos zagrał także w kolejnej premierze – *Przełomie* Borysa Ławreniewa (premiera 14 października). Reżyserujący sztukę Żukowski (za partnera jako scenografa miał znów Kamykowskiego) obsadził go w dwóch rolach, które dublował ze Zdzisławem Józwiakiem: Miczmana I oraz Marynara VI.

Najpopularniejszy aktor łódzkiej sceny

Na kolejną rolę w teatrze Gajos czekał ponad rok, do lutego 1969 roku. Wcześniej jednak, bo w końcu marca 1968 roku redakcja „Dziennika Łódzkiego” ogłosiła wyniki plebiscytu czytelników na najpopularniejszą parę łódzkich aktorów, w którym tryumfowali Pola Raksa (Teatr Powszechny) oraz Janusz Gajos (Teatr im. Jaracza)²⁴. Wyniki były pokłosiem serialu *Czterej pancerni i pies*, który Telewizja Polska nadała po raz pierwszy w 1966 roku (9 maja odcinek pilotażowy, a 25 września rozpoczęto regularną emisję ośmiu odcinków). Dziennikarska inicjatywa uchwyciła zjawisko o ogólnopolskim rezonansie, czyli niebywałą popularność aktorów tego serialu. Tak rasowy aktor jak Żukowski zapewne dostrzegł to zjawisko i uwzględnił to w decyzjach obsadowych.

Także wśród teatralnych widzów można zauważyć modę „na Gajosa”. Wprawdzie w 1968 roku aktor nie otrzymał żadnej nowej roli (należy jednak pamiętać, że od stycznia do grudnia 1968 roku trwały zdjęcia do drugiej serii przygód załogi „Rudego”²⁵) ale nie znaczy to, że przesiadywał bezrobotny w teatralnym bufecie. Grał, i to niemało. *Sztuka Arbuzowa* na afiszu utrzymała się przez 123 wieczory. *Ogniem i mieczem* w sezonie 1968/69 zagrano po raz 105. A jak reagowali widzowie na przedstawieniach z udziałem Janusza Gajosa przekonałem się osobiście właśnie przy kolejnej premierze – *Weselu* Stanisława Wyspiańskiego.

Wystawiono je 1 lutego 1969 roku w inscenizacji, reżyserii i scenografii Jerzego Grzegorzewskiego i z muzyką Stanisława Radwana. Mijało właśnie 100 lat od narodzin Wyspiańskiego, ale przedstawienie dalekie było od rocznicowej „poprawności”. Grzegorzewski odrzucił zarówno układ tekstu, jak i zawarte w didaskaliach dyspozycje o wyglądzie sceny i postaci. Przedstawienie miało dwie części. Pierwsza, trwająca niemal dwie godziny, obejmowała akt I, II i kilka scen III, a kończył ją monolog Nosa. Część II to tylko finał utworu. Odmierna była również kolejność poszczególnych scen. Izbę jako miejsce akcji sygnalizowały wiszące po bokach obrazy Matki Boskiej Częstochowskiej i Ostrobramskiej, krakowska skrzynia, do której gospodyni



chowala złotą podkowę, ustawiony w centralnym planie fotel, stylowy zegar i zbite z desek „skrzynie”, jak jeden z recenzentów określił solidnej szerokości ościeżnice sygnalizujące drzwi, przez które wchodzili i wychodzili aktorzy.

W tym *Weselu* Janusz Gajos otrzymał dwie role: Jaśka i Nosa. Obie były obsadzone podwójnie, tak więc Jaśka grał na zmianę ze Stanisławem Kwaśniakiem, a Nosa z Jerzym Cwiklińskim. W przedstawieniu premierowym był Jaśkiem.

Recenzentka „Głosu Robotniczego” odstąpiła od ocen gry aktorów, uznając, że „są oni zbyt zmajoryzowani koncepcją reżysera, aby móc oddać im bezstronną sprawiedliwość”²⁶. Przeciwnie zdanie miał sprawozdawca „Expressu Ilustrowanego”, zapewniając, że „inscenizatorska pomyłka *Wesela* nie zakończyła się klęską”²⁷ wyłącznie dzięki aktorom, a wśród licznej grupy najlepszych wykonawców wymienił też Gajosa. Władysław Rymkiewicz grono koryfeuszy ograniczył do pięciu: Ewy Mirowskiej (Rachel), Feliksa Żukowskiego (Żyd), Barbary Wałkówny (Panna Młoda), Andrzeja Głoskowskiego (Pan Młody) i Janusza Gajosa. Był on „pełen chłopskiego wigoru”²⁸. Mieczysław Jagoszewski dostrzegł „kilka interesujących kreacji aktorskich” i po najlepszej Mirowskiej wymienił Gajosa – „początkowo zamaszysty i junacki w roli Jaśka, ze szczerą rozpaczą konstatował potem, że »ostał mu się jeno sznur«”²⁹.

Jako Nosa widział Gajosa recenzent „Teatru”. „Nie ma zresztą czasu na reagowanie, gdyż parobcy wnoszą zalanego Nosa. Na spektaklu, który oglądałem, grał tę postać Janusz Gajos, pamiętny ze świetnej roli

filmowej w *Stajni na Salwatorze*. Gajos nie akcentuje zanadto pijaństwa Nosa, raczej hasło »Eviva l'arte!«³⁰.

Dwie role w *Weselu* Grzegorzewskiego były ostatnią wspólną pracą obu artystów. Widziałem to *Wesele* zdecydowanie przedwcześnie, bo w początkach mojej edukacji licealnej. Zauroczyło mnie, chociaż jeszcze nie znałem utworu. Uzupełniłem lekturę, a po powrocie zespołu na ulicę Jaracza³¹ obejrzałem je ponownie. Tym razem trafiłem na spektakl, w którym znakomitą większość widzów stanowili moi starsi koledzy – uczniowie klas maturalnych i przedmaturalnych. Kiedy na scenie pojawił się Jasiek, teatr zafalował. Z łóż, parteru i balkonu niósł się szepot: „Gajos! Gajos! Gajos!”. Kilkaset ust skutecznie zagłuszyło pierwszą kwestię aktora. Gajos królował też wśród tematów rozmów w foyer podczas przerwy. Zapamiętałem jak kilka dziewcząt oburzało się, że na scenie ma ciemną czuprynę, bo w tej Inianego koloru (jako Janek Kos w *Czterech pancernych...*) „wyglądał cudnie”.

Ostatni sezon w Łodzi

Znów rok przerwy³² i kolejna nowa rola, ale nie w nowej premierze. 20 marca 1970 roku teatr wznowił *Kolumbów...*, a Janusz Gajos tym razem zagrał Jerzego, główną postać przedstawienia. Recenzenci byli nieobecni. *Kolumbowie...* okazali się swoistą klamrą spinającą lata pracy Janusza Gajosa w Teatrze im. Jaracza. Aktor bowiem po cichu przygotowywał ewakuację do Warszawy. Mierzył wysoko, bo ubiegał się o angaż do Teatru Współczesnego, wówczas jednego z najlepszych w Polsce, gdzie od roku aktorką była już Pola Raksa. Erwin Axer, jego dyrektor, specjalnie przyjechał, aby zobaczyć aktora w *Weselu*. Towarzysząca temu konspiracja stała się źródłem kilku nieporozumień. Aktor nie spotkał się bowiem z Axerem w Łodzi, za co przeproszał. Gajos tego wieczoru wystąpił jako Nos. „Nosa pamiętam, to było sympatyczniejsze i naturalniejsze, jakkolwiek też nie powiem, żeby rola wydawała mi się w pełni rozegrana, ale to już sprawa pewnego typu kompozycji reżyserskiej” – dodał później Axer.

Ostatecznie miejsca we Współczesnym nie znalazł, bo brakowało wolnego etatu. Ale do Warszawy się przeniósł, do Teatru Komedia. Łódzcy aktorzy od dziesięcioleci migrowali do Warszawy. W końcu lat 60. z zespołu Teatru im. Jaracza wyjechali np. Joanna Jędryka i Krzysztof Chamiel. Dlatego decyzja Gajosa nie wydaje się zaskakująca. Można natomiast podziwiać jego determinację, gdyż Teatr Komedia zaliczano wówczas do najsłabszych, chyba nie tylko w stolicy. Zapewne aktor krytycznie ocenił szanse, jakie dawała mu Łódź.

W macierzystym teatrze, mimo bardzo licznego zespołu, bezspornie mógł grać więcej. Owszem, w tym czasie był też bardzo obciążony

pracą w filmie. Trzy serie *Czterech pancernych...* (w sumie 21 odcinków), epizody, ale też większe role w filmach. *Kapitan Sowa na tropie*, *Szyfry*, *Powrót na ziemię*, *Bicz Boży*, *Bariera*, *Zwariowana noc*, *Stajnia na Salwatorze*, *Cyryl*, *graf dojrzałości*, *Wakacje z duchami*, *Mały* – to jego dorobek filmowy do 1970 roku. A obecność na planie kolidowała z pracą na próbach. To wyjaśnia, choć tylko częściowo, skromny dorobek ról teatralnych. Pewną, choć ograniczoną, rekompensatę stanowił udział w premierach Teatru Telewizji (wtedy jeszcze emitowanych co tydzień na żywo). Łódzki Ośrodek TVP często swoimi dokonaniem wypełniał poniedziałkowe wieczory, toteż między czerwcem 1965 a styczniem 1970 roku Janusz Gajos pojawił się w obsadzie dziewięciu realizacji: *Dragonie*, *Ziemi obiecanej*, *Uczniu diabła*, *Zasadźce*, *Zamachu* (tu rola główna), *Młodości Jasia Kunefala* (rola tytułowa), *Księżycowych ptakach*, *Kochankach z Nohant* (z Ewą Mirowską zagrał tytułową parę) i w *Samotnym drzewie Ole*.

Bogactwo ról to nie wszystko. Równie istotne są sztuki, w których występuje młody aktor, oraz z jakimi artystami ma możliwość współpracować. Tymczasem w drugiej połowie lat 60. Żukowski nie zaskakiwał pomysłami repertuarowymi (wyjątkiem są prace reżyserskie Grzegorzewskiego), nie przyciągał też do teatru głośnych, dobrych reżyserów. Przeciwnie, sam dużo reżyserował i powierzał te obowiązki aktorom z zespołu. A że podobną stagnację widać było i w innych łódzkich teatrach dramatycznych (wówczas opisał ją Jerzy Katarasiński w głośnym pamflocie *Przekłęta przeciętność*), więc krytycy z prasy ogólnopolskiej omijali Łódź.

Zamknięcie etapu „aktor sceny łódzkiej” nie oznaczało definitywnego pożegnania z Łodzią. Janusz Gajos powrócił tu już w 1971 roku, by obronić pracę dyplomową w Filmówce. Z kolei w październiku 1998 roku odsłonięto jego gwiazdę w Alei Gwiazd na Piotrkowskiej, a w 2005 roku grał księdza Kubalę w *Nartach Ojca Świętego* wystawionych przez zespół Teatru Narodowego podczas XI Ogólnopolskiego Festiwalu Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych. No i PWSFTviT. Jesienią 2003 roku został jej wykładowcą, a pięć lat później senat uczelni przyznał mu tytuł profesora. Wreszcie w październiku 2016 roku „matka karmicielka”, jak artysta nazwał Filmówkę, nadała mu doktorat honoris causa.

Jan Skąpski
– dziennikarz, publicysta

Przypisy:

¹ K. Miklaszewski, *Sposób na mówienie prawdy. Rozmowa z Januszem Gajosem*. „Aspekt Polski” 2005, nr 3, s. 14–15.

² E. Baniewicz, *Gajos*, Warszawa 2013, s. 32.

- ³ Tamże, s. 33.
- ⁴ A. Laszuk, *Trzeba wyjść z prowincji. Rozmowa z Januszem Gajosem*, „Przeгляд” 2010, nr 22, s. 34–36.
- ⁵ E. Baniewicz, dz. cyt., s. 35.
- ⁶ D. Subbotko, *Widzi mnie pani jako anioła? Rozmowa z Januszem Gajosem*, „Gazeta Wyborcza” 2012, nr 299, s. 16–18.
- ⁷ *Almanach sceny polskiej 1957/58*, www.pwst.krakow.pl/data/modules/pliki/obr_s5758.html, dostęp 10.06.2017 r.
- ⁸ *Almanach sceny polskiej 1958/59*, <https://archive.fo/ZERFN>, dostęp 10.06.2017 r.
- ⁹ E. Baniewicz, dz. cyt., s. 41.
- ¹⁰ Tamże, s. 50.
- ¹¹ Tamże.
- ¹² Tamże.
- ¹³ J. Panasewicz, *Dla młodszych i starszych*, „Express Ilustrowany”, 1964, nr 234, s. 2.
- ¹⁴ Zdjęcia rozpoczęły się w styczniu w Międzygórzu, trwały tam też w marcu, a wiosną ekipa przeniosła się do Żagania. Por. Marek Łazarz, *Czterej pancerni i pies. Przewodnik po serialu i okolicach*, Wrocław 2006, s. 45–61.
- ¹⁵ *Almanach sceny polskiej 1958/59*, dz. cyt. Tymczasem wg E. Baniewicz „w maju 1965 roku aktor podpisał angaż do Teatru im. Stefana Jaracza w Łodzi, w którym spędził pięć sezonów”, E. Baniewicz, dz. cyt., s. 386.
- ¹⁶ J.S., *W teatrach łódzkich*, „Kultura” 1966, nr 18, s. 10.
- ¹⁷ S. Kaszyński, *Kolumbowie rocznik dojrzali*, „Odgłosy” 1966, nr 1, s. 8.
- ¹⁸ J. Koenig, *Co z Brechtem?*, „Współczesność” 1966, nr 7, s. 9.
- ¹⁹ R. Łoboda, *Dwie sceny teatru Jaracza*, „Odgłosy” 1967, nr 28, s. 3.
- ²⁰ M. Jagoszewski, *Mój biedny Marik*, „Dziennik Łódzki”. 1967, nr 124, s. 3.
- ²¹ M. Wawrzekiewicz, *Sceny wielkie i średnie*, Łódź 1970, s. 76.
- ²² S. Kaszyński, dz. cyt., s. 288.
- ²³ J. Panasewicz, *Dla kogo Ogniem i mieczem?*, „Express Ilustrowany” 1967, nr 213, s. 2.
- ²⁴ M.J. [M. Jagoszewski], *Najpopularniejsi aktorzy łódzcy*, „Dziennik Łódzki” 1968, nr 75, s. 4. W krótkiej notatce zabrakło informacji o liczbie nadesłanych ankiet oraz po ile głosów oddano na zwycięzców.
- ²⁵ M. Łazarz, *Czterej pancerni i pies...*, dz. cyt., s. 73–93.
- ²⁶ Z. Szporkoff, *Wesele czyli co reżyser miał na myśli*, „Głos Robotniczy” 1969, nr 29, s. 3.
- ²⁷ J. Panasewicz, *Wesele, porażka niezasłużona*, „Express Ilustrowany” 1969, nr 29, s. 2.
- ²⁸ W. Rymkiewicz, *Udziwnione Wesele*, „Odgłosy” 1969, nr 7, s. 8.
- ²⁹ M. Jagoszewski, *Mało Wesela – dużo zastrzeżeń*, „Dziennik Łódzki” 1969, nr 35, s. 3.
- ³⁰ W. Natanson, *Wesele z zegarem*, „Teatr” 1969, nr 6, s. 8. Do roli Nosa aktor powrócił ćwierć wieku później w *Weselu* wyreżyserowanym przez Krzysztofa Nazara w warszawskim Teatrze Powszechnym (premiera 1 października 1995 r.). W następnym roku za tę rolę otrzymał nagrodę na Opolskich Konfrontacjach Teatralnych „Klasyka polska”.
- ³¹ Od początku sezonu 1966/1967 z powodu remontu macierzystej sceny zespół występował w Teatrze Rozmaitości.
- ³² W 1969 r. od wczesnej wiosny do końca roku trwała praca nad trzecią serią o pancerniakach; Łazarz, dz. cyt., s. 94–110.

Fot. archiwalnych przedstawień dzięki uprzejmości archiwum Teatru im. Stefana Jaracza w Łodzi

Dzieje łódzkiej opozycji studenckiej w latach 1968–1989

Lata przegrane, lata zwycięskie

historia

Niewiele wydarzeń w dziejach najnowszych Łodzi przyciągało uwagę całej Polski. Jeszcze mniej było takich, które realnie wpłynęły na bieg historii. Strajk studencki ze stycznia i lutego 1981 roku, stanowiący szczytowy moment kształtowania niezależnego ruchu akademickiego, bez wątpienia można zaliczyć do tej kategorii zdarzeń.

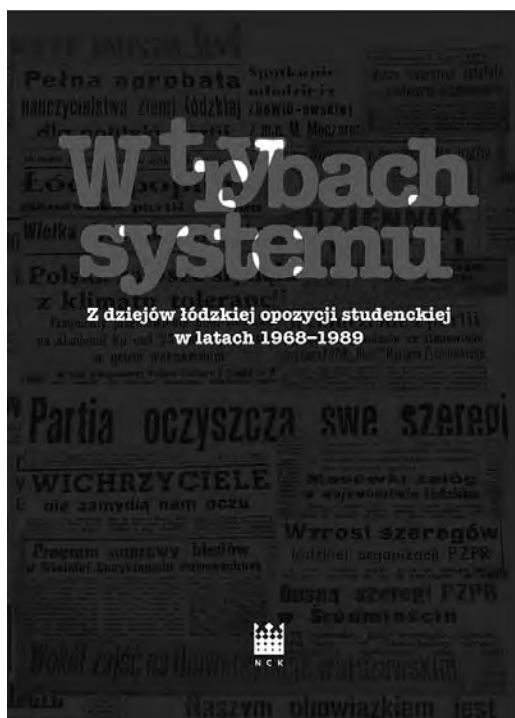
Pozornie lokalna, spontaniczna akcja studentów Wydziału Prawa Uniwersytetu Łódzkiego (UŁ), domagających się likwidacji egzaminu z podstaw nauk politycznych oraz zniesienia upokarzających praktyk robotniczych i obowiązkowego lektoratu z języka rosyjskiego, wobec lekceważącej postawy władz uniwersyteckich i braku oczekiwanej reakcji przekształciła się w strajk okupacyjny na łódzkich wyższych uczelniach. Skala protestu zaskoczyła władze komunistyczne. Przez 28 dni – od 21 stycznia do 18 lutego 1981 roku – tysiące łódzkich studentów (w przeddzień podpisania porozumienia tylko na UŁ strajkowało około 4000 osób na różnych wydziałach, a na Politechnice Łódzkiej kolejnych 3500), mających wśród swoich liderów m.in. takie indywidualności, jak Wojciech Walczak czy Paweł Gniazdowski, wspierani przez autorytety prawnicze i lokalne struktury Solidarności, wywalczyli główny cel – rejestrację Niezależnego Zrzeszenia Studentów (NZS). Jeszcze większą niespodziankę dla ówczesnych decydentów stanowiło wsparcie udzielone strajkującym studentom Łodzi przez inne ośrodki akademickie w kraju. Do akcji w formie strajków okupacyjnych lub gotowości strajkowej przyłączyli się studenci m.in. z Warszawy, Krakowa, Poznania, Wrocławia, Szczecina, Lublina, Bydgoszczy czy Torunia. W połowie lutego 1981 roku w strajkach na 29 wyższych uczelniach w całej Polsce uczestniczyło około 30 tysięcy studentów. Co więcej, stałe rozprzestrzenianie się akcji strajkowej w

różnych ośrodkach akademickich w Polsce, przy coraz bardziej realnej groźbie przekształcenia protestu w strajk powszechny, zmusiła prof. Janusza Górskiego – ministra Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki – oraz Komisję Międzyresortową do zmiany taktyki polegającej na graniu na czas, a następnie do ustępstw i podpisania 18 lutego 1981 roku słynnego porozumienia łódzkiego. W rezultacie w totalitarnym, opresyjnym systemie komunistycznym pojawiła się całkowicie niezależna struktura w postaci NZS, nieuznająca przewodniej roli PZPR i mogąca w przyszłości stać się przyczółkiem do całkowitej zmiany dotychczasowego sposobu sprawowania władzy. Władze, mając pełną tego świadomość, po wprowadzeniu stanu wojennego już na początku stycznia 1982 roku zlikwidowały niezależną organizację studencką.

Wydana przez Narodowe Centrum Kultury pozycja pt. *W trybach systemu. Z dziejów łódzkiej opozycji studenckiej w latach 1968–1989*, autorstwa Wiesława Maciejewskiego, Adama Hohendorffa i Janusza Mikosika – z których dwaj pierwsi byli uczestnikami strajku studenckiego ze stycznia i lutego 1981 roku – stanowi kolejną próbę zmierzenia się z tą problematyką. Jak zauważyli sami autorzy we wprowadzeniu do publikacji: „W środowisku akademickim Łodzi najbardziej znanym wydarzeniem, bardzo ważnym dla niezależnego ruchu studenckiego w skali całego kraju, był niewątpliwie strajk zimowy w roku 1981, dzięki któremu wywalczono rejestrację Niezależnego Zrzeszenia Studentów. Ale na przestrzeni lat były także w tle inne ciekawe wydarzenia, dowodzące, że gdy w kraju grzmiało, studenci łódzcy również nie milczeli”.

Przeciw represjom

Punktem wyjścia dla całego opracowania jest obszerny artykuł Adama Hohendorffa pt. *Przed karnawalem solidarnościowym*, traktujący o kształtowaniu się pierwszych zrębów studenckiej niezależności. Szczególnie istotne w tym kontekście są dwie daty. Pierwszą stanowi marzec 1968 roku. Brutalna pacyfikacja wiecu studentów Uniwersytetu Warszawskiego (domagających się unieważnienia decyzji w sprawie relegowanych i represjonowanych kolegów) na dziedzińcu tej uczelni 8 marca 1968 roku przez milicję i tzw. „aktyw robotniczy” spotkała się z reakcją w innych miastach, w tym w Łodzi. Część studentów łódzkich zdecydowała się zorganizować wiec poparcia z pobitymi w Warszawie kolegami. Do pierwszego większego spotkania doszło 11 marca w holu Biblioteki Uniwersytetu Łódzkiego z udziałem około 250 studentów. Protestujący wybrali delegację uprawnioną do dalszych rozmów z władzami. W gronie delegatów znaleźli się m.in. Jerzy Szczęsny i Andrzej Makatrewicz, studenci Wydziału Prawa UŁ i późniejsi przywódcy strajkowi. Najważniejszym elementem spotkania było podjęcie decyzji o zwołaniu na następny dzień ko-



lejnego wiecu. Pomimo presji ze strony władz uniwersyteckich pod gmachem biblioteki uniwersyteckiej 12 marca zgromadziło się ponad 1000 studentów. W trakcie manifestacji przyjęto rezolucję *Do społeczeństwa Łodzi*, w której m.in. domagano się ukarania winnych zająć w stolicy. W dniach od 14 do 16 marca grupy młodych ludzi, liczące do około 300 osób, gromadziły się na placu Wolności, a każdy wiec był rozbijany przez oddziały ZOMO. 19 marca młodzież zebrała się w okolicach budynków Politechniki Łódzkiej, ale wobec zamknięcia bram wiodących na wewnętrzny dziedziniec postanowiła przenieść manifestację ponownie w okolice Biblioteki UŁ. W trakcie przemarszu ul. Piotrkowską w okolicach siedziby łódzkiej prasy doszło do demonstracyjnego palenia gazet przy równoczesnym skandowaniu haseł wymierzonych w ówczesną politykę informacyjną władz. W trakcie wiecu, który zgromadził około dwóch tysięcy studentów, przyjęto odczytaną przez Jerzego Szczęsnego rezolucję, w której powtórzono wcześniejsze żądania młodzieży akademickiej. Istotnym elementem zgromadzenia stała się zapowiedź podjęcia dwudniowego strajku okupacyjnego w budynkach łódzkich uczelni, do którego doszło w dniach 21–22 marca. Protest objął przede wszystkim część wydziałów PŁ i UŁ, w mniejszym zakresie inne szkoły wyższe w Łodzi. Po jego zakończeniu nastroje buntu wśród łódzkich studentów stopniowo wygasły. Przyczyniły

się do tego narastające represje, jak tymczasowe zawieszenie w prawach studentów liderów łódzkiego Marca '68 – Jerzego Szczęsnego, Brunona Kapali, Andrzeja Makatrewicza i Andrzeja Kowalskiego – ich przymusowe wysłanie na ćwiczenia wojskowe oraz aresztowanie przez łódzką SB. Ostatnim akordem studenckiego marcowego protestu stały się ich procesy we wrześniu i listopadzie 1968 roku. Dzisiaj nikt z nich już nie żyje.

Informacja o mordzie popełnionym najprawdopodobniej w nocy z 6 na 7 maja tego roku na Stanisławie Pyjasie, studencie polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego (UJ), a zarazem jednym z najaktywniejszych współpracowników Komitetu Obrony Robotników (KOR) w Krakowie, przez tzw. „nieznanych sprawców”, co jednoznacznie wskazywało na komunistyczną bezpiekę, wstrząsnęła społecznością akademicką w całej Polsce, w tym także w Łodzi. Począwszy od dnia 10 maja 1977 roku na murach budynków uczelni i w domach akademickich rozklejano klepsydry informujące o śmierci Pyjasa – szybko zrywane przez funkcjonariuszy milicji i postawioną w stan pogotowia uniwersytecką administrację. 16 maja – dzień po słynnym czarnym marszu studenckim w Krakowie – na uczelniach łódzkich rozdawano ulotki informujące o mszy za duszę zamordowanego studenta. Nabożeństwo w kościele pod wezwaniem św. Teresy w Łodzi, przy którym działało Duszpasterstwo Akademickie, zgromadziło kilkaset osób i zakończyło się wiecem na schodach świątyni, skąd do gromadzących się osób przemówili: współorganizator marszu krakowskiego Józef Maria Ruszar, student polonistyki na UJ z kręgu bliskich znajomych Stanisława Pyjasa oraz studenci z Łodzi: Piotr Amsterdamski z UŁ, Jacek Lipowski z PŁ i Jacek Zajdler z łódzkiej Filmówki. Wiec zakończył się odczytaniem przez Piotra Amsterdamskiego rezolucji solidaryzującej się z kolegami z Krakowa i wyrażającej wolę stworzenia ruchu studenckiego, będącego kontynuacją Studenckiego Komitetu Solidarności (SKS). Druga msza w intencji Pyjasa, zamówiona przez działaczy Ruchu Praw Człowieka i Obywatela (ROPCiO), odbyła się 19 maja o 17:00 w parafii pod wezwaniem św. Piotra i Pawła przy ul. Nawrot 104 i zgromadziła około 150 osób, głównie studentów z Duszpasterstwa Akademickiego „Węzeł” i Wydziału Filologii UŁ.

Konsekwencją łódzkich protestów były represje, którymi SB objęła studentów uznanych za organizatorów wydarzeń. Już 17 maja zatrzymano i poddano przesłuchaniu Piotra Amsterdamskiego i Elżbietę Lewińską, których zwolniono dopiero po 50 godzinach, co było złamaniem prawa, zakazującego przetrzymywania w areszcie bez sankcji prokuratorskich dłużej niż 48 godzin. Elżbietę Lewińską dodatkowo skreślono z listy studentów I roku pedagogiki UŁ. Z kolei Annę Bazel – ówczesną wolną słuchaczkę na I roku Wydziału Prawa UŁ poddano wyniszczającemu przesłuchaniu, trwającemu nieprzerwanie aż 17 godzin.

Ewidentną porażką organizatorów protestów stało się fiasko próby utworzenia Studenckiego Komitetu Solidarności w Łodzi, na co złożyły się dwa zasadnicze powody. Pierwszy to odmienne poglądy niedoszłych założycieli. Silnie podkreślający swój związek ze światopoglądem katolickim i myślą narodową Jacek Bartyzel dystansował się od równie stanowczo akcentującego swoje liberalne przekonania Pawła Spodenkiewicza. Drugą barierą był brak zaplecza środowiskowego i nikła liczba zadeklarowanych działaczy opozycji wśród studentów łódzkich, niezbędnych do rozwinięcia całego ruchu. Za próbę stworzenia środowiska, które w przyszłości mogłoby w Łodzi stać się odpowiednikiem SKS-u, można uznać powołany w październiku 1977 roku przez doświadczonych opozycjonistów (m.in. Józefa Śreniowskiego, Ewę i Jacka Bierezinów czy Witolda Sułkowskiego) oraz zaangażowanych już w działalność opozycyjną studentów UŁ (m.in. Piotra Amsterdamskiego, Tomasza Filipczaka, Pawła Spodenkiewicza czy usuniętą już wtedy z UŁ Elżbietę Lewińską) Niezależny Klub Dyskusyjny, koncentrujący się na samokształceniu, który mimo licznych szykan i nękania ze strony SB przetrwał do roku 1980.

Wydział Prawa strajkową redutą

Zasadniczy trzon książki stanowią relacje i wspomnienia członków i działaczy Niezależnego Zrzeszenia Studentów, także studentów niezrzeszonych czy pracowników naukowych UŁ. Wspomnienia dotyczące – co warto podkreślić – nie tyle strajkowej batalii o rejestrację stowarzyszenia z pierwszych miesięcy 1981 roku, co przede wszystkim dramatycznego protestu na Wydziale Prawa UŁ w dniach 14 i 15 grudnia 1981 roku. Nacechowane są one dużym ładunkiem emocjonalnym. Nastrój tamtych chwil dobrze oddają słowa Macieja Jankowskiego, członka NZS-u, studenta Wydziału Prawa UŁ i zarazem uczestnika strajku: „[...] do dzisiaj mam przed oczyma widok z pierwszego piętra budynku na Składowej tuż przed rozpoczęciem ataku. Plac Dąbrowskiego pełen ludzi, słysząc, jak skandują okrzyki, szpaler zomowców w hełmach z tarczami, w które uderzają pałkami, syreny i migające fioletowe światło [...] Nie czuło się atmosfery strachu. Raczej pewną egzaltację połączoną z czymś, co bym określił jako nastrój straceńców [...] Dość powszechne było przekonanie, że będziemy wszyscy aresztowani”.

Wprowadzenie stanu wojennego 13 grudnia 1981 roku, skutkujące uwięzieniem tysięcy działaczy „Solidarności”, NZS-u i ugrupowań opozycyjnych, było olbrzymim szokiem dla społeczeństwa. W różnych punktach kraju dochodzi do spontanicznych akcji. W Łodzi 14 grudnia strajkuje bądź podejmuje próbę strajkową około trzydziestu zakładów. Jednak w obliczu groźby ataku wojska i ZOMO opór powoli gaśnie. W rezultacie to strajk okupacyjny proklamowany tego dnia na Wydziale Prawa UŁ urósł do rangi

symbolu walki z totalitarnym reżimem komunistycznym. Na czele strajku stanął przewodniczący NZS UŁ Leszek Owczarek, wspierany przez studentów prawa Janusza Michaluka i Joannę Śmigielską oraz pracownika naukowego mgr. Rafała Kasprzyka. Strajkujący formalnie przejmą władzę nad budynkiem wydziałowym przy ul. Składowej, w którym wieczorem 14 grudnia postawią dwie barykady z mebli jako obronę przed uzbrojonymi oddziałami milicji i wojska. Wywieszą też z okien słynny transparent: „Strajk studencki – precz z komunistyczną juntą”. Następnego dnia po 14:00 Mieczysław Rutowicz i Mariusz Dychto – jedni z najbardziej aktywnych uczestników protestu – w białych czapkach studenckich skutecznie unieruchomią tramwaje, spinając kolejne wagony w okolicach przystanku przy Pl. Dąbrowskiego. Opór studentów rzucających ulotki z ostatniego piętra gmachu potrwa do godzin popołudniowych 15 grudnia, kiedy to na prośbę biskupa pomocniczego diecezji łódzkiej Bohdana Bejzego i dziekan Wydziału Prawa UŁ prof. Biruty Petrykowskiej większość strajkujących wyjdzie na ul. Składową z flagami i śpiewem, przy akompaniamencie muzycznym Jerzego Bożyka grającego na akordeonie. Pozostała grupa najbardziej zdeterminowanych z Leszkiem Owczarkiem na czele (ponad 20 osób) wycofa się przy pomocy pracowników naukowych z wydziałowego gmachu o zmierzchu, po 16:00, w momencie szturmie oddziałów ZOMO.

Wśród opracowań i relacji dotyczących strajku studenckiego z grudnia 1981 roku na uwagę zasługuje artykuł pt. *Kryptonim „Heca”*, szczegółowo rozpatrujący kwestię rozpracowywania środowiska NZS-u przez SB, autorstwa Włodzimierza Domagalskiego. W opinii łódzkiego historyka i znawcy tematu łódzkim strukturom bezpieki nie udało się wprowadzić w szeregi NZS-u cennej agentury, mającej dostęp do szczególnie ważnych informacji lub mającej wpływ na podejmowanie decyzji. Co więcej, w toku zbierania informacji o strajku, SB na podstawie długoterminowej inwigilacji typowała cztery osoby jako przewidywanych przywódców strajku. Okazało się, że całkowicie błędnie. Jedna z tych osób nie odgrywała w proteście większej roli, a druga – w ogóle nie wzięła udziału w strajku.

Wydawnictwa podziemne i akcje ulotkowe

Wprowadzenie stanu wojennego i delegalizacja NZS-u w styczniu 1982 roku zmusiła najbardziej aktywnych członków stowarzyszenia do podjęcia działalności podziemnej. O niezależnych inicjatywach podejmowanych przez działaczy studenckich w postaci powołania do życia „Biuletynu Łódzkiego”, jednego z najważniejszych pism podziemnych w Łodzi w latach 80., czy utworzenia grupy wydającej podziemny tytuł „Jesteśmy” szczegółowo odniósł się Wiesław Maciejewski w swoim artykule pt. *Biuletyn Łódzki i „Jesteśmy”*.

Z kolei Mariusz Dychto we wspomnieniach pt. *Moja działalność opozycyjna w latach 1980–1984* przypominał swoją aktywność w jednej z największych łódzkich opozycyjnych grup, Grupie Mirosława Michałowskiego, zajmującej się głównie kolportażem wydawnictw podziemnych, zróżnicowanej środowiskowo, w której znaleźli się zarówno działacze NZS-u, jak i działacze z zakładów przemysłowych (m.in. Mieczysław Rutowicz, Janusz Michałuk i Tadeusz Stefanowski).

Innym polem aktywności stały się samorządy studenckie, na co zwrócił uwagę Adam Hohendorff w swoim opracowaniu pt. *Po 13 grudnia 1981... Od NZS-u do Samorządu Studenckiego*. Ustawa o szkolnictwie wyższym z maja 1982 roku, w której zapisach pozostawiono część praw studenckich wywalczonych jeszcze w okresie legalnej Solidarności, dawała w latach 1983–1985 osobom wywodzącym się ze środowiska dawnego NZS-u jako reprezentantom samorządu studenckiego możliwość uczestniczenia w obradach Senatu uczelni z jednej strony, a z drugiej pozwalała skutecznie przeciwdziałać monopolowi Zrzeszenia Studentów Polskich – organizacji posłusznej władzom komunistycznym – na występowanie w imieniu całego środowiska. Dzięki zorganizowaniu wyborów udało się wprowadzić przedstawicieli studentów do Senatu i rad wydziałów. Próbowano również występować w sprawach ważnych dla całego kraju. Np. po zamordowaniu ks. Jerzego Popiełuszki na Wydziale Ekonomiczno-Socjologicznym UŁ działacze samorządowi wywiesili plakaty z hasłami potępiającymi zbrodnię, z których jedno brzmiało: „Dziś Popiełuszko, jutro Ty”. Usiłowano również – bezskutecznie ze względu na odmowę władz UŁ – stworzyć samorządowe pismo, na którego czele miał stanąć Paweł Gniazdowski, jeden z przywódców strajku studenckiego ze stycznia i lutego 1981 roku. Kres działalności niezależnych samorządów studenckich w Polsce położyła nowelizacja ustawy o szkolnictwie wyższym z roku 1985, która w praktyce je ubezwłasnowolniła, jednocześnie rozwiewając jakiekolwiek nadzieje na autonomię i samorządność uczelni.

Jedną z najciekawszych podziemnych inicjatyw studenckich lat 80. w Łodzi było utworzenie Niezależnego Zrzeszenia Studentów Politechniki Łódzkiej (NZS PŁ), o czym traktuje artykuł Piotra Swaczyny pt. *Do NZS i przez NZS*, jednego z założycieli i najbardziej aktywnych członków struktury. Początki działalności sięgają 1985 roku, kiedy to członkowie tej podziemnej organizacji, której nieformalnym liderem był Radosław Purgał – student Wydziału Elektrycznego PŁ – w imieniu Niezależnego Zrzeszenia Studentów wysłali list powitalny do wszystkich studentów przyjętych na I rok studiów tej uczelni. Latem następnego roku NZS PŁ powtórzył akcję na rzecz kolejnego rocznika, czym wywołał duże zamieszanie i wściekłość w łódzkiej SB. Podstawą działalności tej niewielkiej liczebnie, ale świetnie zorganizowanej

struktury było wydawanie własnego pisma o nazwie „Biuletyn Informacyjny NZS PŁ”, kolportowanego w akademikach i na wydziałach PŁ oraz w akcjach ulotkowych. Co warto podkreślić, część numerów wydrukował Tomasz Stefaniak – członek podziemnej struktury – na służbowym powielaczu łódzkiego Akademickiego Zespołu Sportowego, którego był prezesem.

O zmaganiach środowiska studenckiego w celu ponownego zarejestrowania NZS-u w latach 1988–1989 w swoim obszernym opracowaniu pt. *Kierunek niezależność* przypomina Janusz Mikosik, jeden ze współautorów książki, a zarazem aktywny uczestnik tamtych wydarzeń. W lutym 1988 roku z inicjatywy właśnie Janusza Mikosika (ówczesnego studenta Wydziału Prawa UŁ) dochodzi do odtworzenia NZS-u na UŁ, czego symbolem stała się odezwa w formie ulotki informacyjnej do studentów uczelni, zredagowanej i wydrukowanej w siódmą rocznicę rejestracji stowarzyszenia. Nowy impuls do działania przyniosła fala strajków wśród załóg zakładów przemysłowych w całym kraju, między innymi w Nowej Hucie w Krakowie, na przełomie kwietnia i maja 1988 roku. Wsparcie dla strajkujących ze strony studentów Warszawy i Krakowa skłoniło podziemny NZS UŁ do zwołania wiecu 10 maja w auli Wydziału Prawa i Administracji UŁ, który zgromadził ponad 400 osób. Sformułowano na nim listę postulatów. Sześć dni później działacze stowarzyszenia przygotowali wniosek o rejestrację NZS Wydziału Prawa i Administracji UŁ – odrzucony przez administrację Urzędu Miasta Łodzi.

Jedną z głośniejszych akcji przeprowadzonych przez podziemne struktury NZS UŁ jesienią 1988 roku było przyłączenie się do ogólnopolskiego bojkotu studium wojskowego, zainicjowanego przez studentów Uniwersytetu Warszawskiego, do których dołączyli koledzy m.in. z Krakowa, Gdańska czy Wrocławia. Łódzki NZS przyłączył się do bojkotu 7 listopada. Na poszczególnych wydziałach i osiedlu akademickim kolportowano ulotki z żądaniem daleko idących zmian w programie szkolenia wojskowego. Skuteczność bojkotu sięgała 90–95 procent. 8 listopada mimo szykan ze strony MO, której funkcjonariusze bezprawnie wtargnęli na teren osiedla akademickiego i skonfiskowali nagłośnienie oraz transparenty, działacze NZS-u zorganizowali wiec. Bojkot zakończył się dwa dni później podpisaniem porozumienia, opierającego się na nowej, korzystniejszej dla studentów interpretacji wytycznych MEN-u w sprawie szkolenia wojskowego.

Walka o ponowną rejestrację NZS-u

Rozmowy z władzą komunistyczną w ramach tzw. Okrągłego Stołu, przyjmowane przez środowisko NZS-u z ostrożnym optymizmem, bardzo szybko przyniosły rozczarowanie. Wśród uczestników obrad praktycznie nie było działaczy studenckich, co oznaczało, iż główne postulaty zrzeszenia nie będą

mogły być przedstawione. Jeszcze większy zawód sprawiło otwarte spotkanie z Lechem Wałęsą 22 lutego 1989 roku w hali Łódzkiego Klubu Sportowego. W opinii wielu studenckich uczestników deklaracje przywódcy Solidarności, że NZS jest trzecią nogą Okrągłego Stołu, to tylko puste hasła. Prawdziwą ilustracją studenckich nastrojów był groteskowy happening o nazwie *Wszystko jasne*, przygotowany 24 lutego 1989 roku przez Galerię Działań Maniakalnych w okolicach klubu 77 przy ul. Piotrkowskiej. Przebrani w garnitury i wyposażeni w teczki uczestnicy rozbijali jajka z komentarzem: „Następuje historyczne oddzielenie białka od żółtka”, po czym ubijali trzepaczkami pianę, co określono jako „pierwszy polityczny kogel-mogel”. W połowie marca 1989 roku Krajowa Komisja Koordynacyjna NZS złożyła ponowny wniosek o rejestrację zrzeszenia – zgodnie z ustaleniami Okrągłego Stołu. Wobec oporu Urzędu Miasta Stołecznego Warszawy, domagającego się wykreślenia ze statutu prawa do strajku, podjęła decyzję o ogłoszeniu 20 kwietnia dniem ogólnopolskiego protestu pod hasłem „Wolne szkoły – wolne uczelnie”. W Łodzi około 2500 młodych ludzi (członków i sympatyków NZS-u, Federacji Młodzieży Walczącej i Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej) przemaszerowało ul. Piotrkowską aż do alei Mickiewicza z licznymi transparentami i okrzykami w rodzaju: „Precz z komuną” czy „Bolszewicy do kostnicy”.

W maju 1989 roku Sąd Wojewódzki w Warszawie ponownie odrzucił wniosek o zarejestrowanie NZS-u, a protestujący po opuszczeniu gmachu sądu studenci zostali brutalnie pobici przez milicję. W odpowiedzi struktury stowarzyszenia na Uniwersytecie Warszawskim podjęły strajk okupacyjny, wsparty przez kolegów z innych ośrodków akademickich. W Łodzi działacze NZS UŁ przez siedem dni – od 24 do 31 maja – okupowali budynek Filologii Polskiej przy al. Kościuszki, wspierani przez Solidarność Walcząca, Konfederację Polski Niepodległej i struktury Solidarności. Majowe strajki studenckie nie doprowadziły do legalizacji zrzeszenia. Stało się to dopiero we wrześniu 1989 roku, gdy Sąd Najwyższy uchylił decyzję Sądu Wojewódzkiego w Warszawie i tym samym wyraził zgodę na wpisanie NZS do rejestru stowarzyszeń.

Tę ważną książkę, która pokazuje prawdziwe emocje i odczucia uczestników i świadków tamtych przełomowych wydarzeń, wzbogacają zdjęcia dokumentujące najważniejsze akcje studenckie z lat 1981–1989, fotokopie podziemnej prasy NZS-u z Łodzi i innych ośrodków akademickich oraz dokumenty.

Tomasz Czarnecki
– historyk, publicysta

wspomnienia

Arcybiskup Szymon Romańczuk (1936–2017)

Był wzorem postawy ekumenicznej

Andrzej de Lazari

str. 189

Grzegorz Lech Królikiewicz (1939–2017)

Wizjoner kina trudnego

Gustaw Romanowski

str. 192

Hanna Ewa Stańska (1935–2017)

Pasjonatka ekslibrisu

Mirosław Zbigniew Wojalski

str. 196

Arcybiskup Szymon Romańczuk (1936–2017)

Był wzorem postawy ekumenicznej

wspomnienia

Jak piękna i owocna może być przyjaźń ludzi różnych światopoglądów, otwartych na spotkanie z innym człowiekiem, niechaj zaświadczy związek mojej rodziny i przyjaciół z abp. Szymonem Romańczukiem. Zwracaliśmy się do niego nie Wasza Ekscelencjo, nie Władyko, a po prostu Ojcie Szymonie, choć wielu z nas jest agnostykami, by nie powiedzieć ateistami, a niekiedy wręcz antyklerykałami. Wykładał u nas na Uniwersytecie Łódzkim – najpierw w Instytucie Rusycystyki, a potem w Instytucie Studiów Międzynarodowych. Był jednym z najpłodniejszych autorów rosyjsko-polsko-angielskiego leksykonu *Idee w Rosji*, wydawanego przez Interdyscyplinarny Zespół Badań Sowietologicznych, którego ukazało się już dziewięć



tomów. Był też członkiem Interdyscyplinarnego Zespołu Badań Religioznawczych, powołanego przez nas niegdyś w Instytucie Studiów Międzynarodowych po to, by skupić w nim uczonych duchownych różnych wyznań. Był wzorem człowieka dialogu, kompromisu i tolerancji.

Arcybiskup Szymon z pochodzenia był Białorusinem. Urodził się na Podlasiu we wsi Guszczewina. W 1955 roku ukończył liceum pedagogiczne w Bielsku Podlaskim i podjął studia filologiczne na uniwersytecie w Mińsku, ukończone pracą magisterską o twórczości Elizy Orzeszkowej. Po powrocie przez kilka lat nauczał łaciny, rosyjskiego i białoruskiego w liceum w Michałowie, a w 1965 roku rozpoczął studia w Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie. Tam też w 1996 roku obronił doktorat *Myśli religijno-społeczne w twórczości Fiodora Dostojewskiego*. Duchownym został w 1970 roku, biskupem lubelskim w 1979, łódzkim i poznańskim w 1981, arcybiskupem w 1993.

Do współpracy z łódzkim środowiskiem rosjoznawczym zaprosiliśmy go w drugiej połowie lat 90., gdy przystąpiliśmy do redagowania *Idei w Rosji*. To dziwny „postmodernistyczny” leksykon, bo dopuszcza wiele „prawd” w interpretacji jednego problemu i Ojciec Szymon nigdy nie zakwestionował żadnego „innego” spojrzenia nawet na kwestie, które mogły wydawać się „dogmatycznymi”. Napisał dla nas teksty o krzyżu, modlitwie, prawosławiu, czyśćcu, o *krotosti* – cichości serca, czyli „o postawie pozytywnego otwarcia na Boga i ludzi, pełnej dobroci i pokory”, oraz o czystości serca, a także Logosie, Bogoczołwieczeństwie i wiele innych. Uczestniczył regularnie w naszych roboczych konferencjach, nigdy nie narzucając własnego zdania.

W 2013 roku nakładem Fundacji im. Księcia Konstantego Ostrogskiego w Białymstoku ukazał się zbiór esejów Ojca Szymona zatytułowany *Pisarz i Bóg. Dostojewski, Gogol, Tołstoj*. I tu mnie nieco zaskoczył pełną akceptacją idei Dostojewskiego i Gogola oraz negacją idei Lwa Tołstoja.

Niejednokrotnie w rozmowach z nim określałem siebie mianem tołstojowca. W ślad za Tołstojem w pełni akceptuję Chrystusa jako Nauczyciela dobrego postępowania, ale w Tróję Świętą i w zmartwychwstanie nie wierzę i przykro mi, że dla bardzo wielu Chrystus jest wyłącznie zaklęciem ode złego, gdyż nic nie wiedzą o Jego naukach. Dla mnie etyk Lew Tołstoj, nauczający, jak żyć zgodnie z Kazaniem na górze, jest postacią bardzo pozytywną. Okazało się, że dla Ojca Szymona niestety nie i w pełni usprawiedliwiał on „odłączenie Hrabiego od Cerkwi w roku 1901”. Arcybiskup nie mógł widocznie zaakceptować faktu, że: „Tołstoj uznaje Chrystusa, Jego Naukę, Jego Słowa, ale nie Jego Boskość. [...] Chrystus pięknie naucza i tylko... Tołstoj nie przyjmuje Chrystusa-Bogoczołwieka, ale nie przyjmuje też i świata, państwa, ustroju ekumenicznego, stosunków społecznych, sądownictwa, armii, Cerkwi wreszcie także”.

A z drugiej strony Ojciec Szymon był przecież wzorem postawy ekumenicznej i serdecznym przyjacielem mojej rodziny. Z pastorem Kościoła Ewangelicko-Reformowanego Semką Korozą pochował moją mamę

na prawosławnym Starym Cmentarzu, zaś z franciszkaninem Ojcem Fabianem (śp. Stefanem Piętką) i pastorem Semką Korozą uczestniczył w ekumenicznym ślubie mojej córki. Nasze dzieci przyrzekły wychować swoje dzieci „po chrześcijańsku”, a nie „po katolicku”.

Smutne, że nie będzie już z nami tak otwartego, serdecznego i pogodnego człowieka. Takim go zapamiętamy. Dobrze, że zostawił nam swoją książkę i teksty w leksykonie. Będziemy mogli kontynuować rozmowę z nim, odwołując się do zawartych tam mądrych myśli Ojca Szymona.

Andrzej de Lazari
– *prof. dr. hab., historyk idei, sowietolog*
członek założyciel Stowarzyszenia Mosty Europy

wspomnienia

Fot. diecezja łódzko-poznańska Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego

Grzegorz Lech Królikiewicz (1939–2017)

Wizjoner kina trudnego



Wiadomość o jego śmierci 21 września 2017 roku była zupełnie niespodziewana. Zaledwie kilka dni wcześniej, w niedzielę poprzedzającą tę smutną informację, spotkałem go, kiedy wychodził z wieczornego nabożeństwa w naszym osiedlowym kościele. Wyglądał krzepko i sprawiał wrażenie człowieka wyluzowanego i chętnego do rozmowy. Nie zdążyliśmy, bo akurat bardzo spieśzyliśmy się gdzieś z żoną, i ta nieodbyta rozmowa ciąży

nam, ponieważ następnej okazji już nie będzie.

Z Grzegorzem, a właściwie bardziej Leszkiem znaliśmy się kilkadziesiąt lat. Był kilka lat wyżej na studiach prawniczych i w tym środowisku studenckim, złożonym głównie z przybyszów z małych miasteczek, już wówczas uchodził za ekscentryka. Sam przyjechał z Piotrkowa Trybunalskiego, gdzie jego matka była nauczycielką, a w Łodzi mieszkał na Osiedlu Lumumby. Tam w studenckim klubie Balbina zaczął realizować swoje pierwsze reżyserskie pomysły. W jakiejś roli obsadził Krystynę Morawską, moją koleżankę z roku, która została kilka lat później jego żoną. Studia prawnicze ukończył w terminie, ale nie dopuszczono go do egzaminu magisterskiego, bo coś było niezgodnego z regulaminem, gdy bez zgody rektora Uniwersytetu Łódzkiego

zdecydował się zdawać do Szkoły Filmowej. Na reżyserię dostał się bez trudu; był niewątpliwie osobowością bardzo ciekawą wśród zdających na ten elitarny kierunek. Jakoby sam rektor Filmówki Jerzy Toeplitz po wysłuchaniu jakiejś tyrady ideowej Królikiewicza miał powiedzieć: „Albo geniusz, albo wariat, ale takich studentów potrzebujemy”.

Wkrótce się ożenił, przyszło na świat dziecko. On studiował, ona pracowała na rodzinę, bardzo wtedy biedowali. W 1968 roku był jeszcze studentem. Szkoła Filmowa przeżywała wstrząs marcowy, atakowana przez propagandę kadra uczelni traciła pracę, studenci protestowali. Widywałem go wówczas mocno podekscytowanego. Bronił rektora, ale o jakichś wykładach wypowiadał się krytycznie, niektórym nie wróżył dalszej kariery.

W 1972 roku po nakręceniu kilku filmów dokumentalnych zrealizował *Na wylot*, film, który wywołał ogromne poruszenie głównie w środowisku „branżowym”. Widzowie, przyzwyczajeni do tradycyjnej, tocznej przy pomocy następujących po sobie sekwencji narracji, byli zaskoczeni gniewnym ekspresyjnym stylem zaproponowanym przez Królikiewicza, szarpniętymi ujęciami, gwałtownością akcji. Z tego powodu ten ważny dla historyka filmu debiut nie zdobył masowej wyobraźni mimo sensacyjnej, mrożącej krew w żyłach fabuły. Sensacją stał się natomiast ideowy format negatywnego bohatera tego filmu, mordercy widzianego jako ofiara społecznego systemu, który go odrzucił, bo nie chciał stworzyć biedakowi szans moralnego awansu.

Ten motyw człowieka wyobcowanego, nieudacznika mającego pretensje do świata powtórzył także w swoich następnych filmach fabularnych. Wydaje się, że najlepszy z nich pod względem prawdy psychologicznej był jego drugi film *Wieczne pretensje*. To zrealizowany w 1974 roku obraz ukazujący smutek codzienności osadzonej w społecznej rzeczywistości PRL. I wielka szkoda, że dziś jest już chyba całkowicie zapomniany. Fabularnych filmów nie zrealizował zresztą wiele. Oprócz dwóch wymienionych były to jeszcze *Tańczący jastrząb* (1977), *Klejnot wolnego sumienia* (1981), *Fort 13* (1983), *Zabicie ciotki* (1984), *Przypadek Pekosińskiego* (1993), *Drzewa* (1995) i *Sąsiady* (2014).

Grzegorz Królikiewicz pisał sam scenariusze, a czasem nawet sam zajmował się montażem, bo chciał stworzyć własny język filmowy. I to mu się udało, przede wszystkim w filmach fabularnych i po części w widowiskach telewizyjnych. Tych zrealizował sporo, bo ponad dwadzieścia, a niektóre z nich, jak *Proces Giordano Bruno* czy *Sąd nad Brzozowskim*, stały się przejmującymi moralitetami dotyczącymi problemu względności człowieczego sumienia. Najwięcej pozostawił filmów dokumentalnych. Nie wszystkie, które zrealizował w latach 70., trafiły do rozpowszechnienia. Niektóre z nich weszły na ekrany dopiero w 1981 roku, po powstaniu Solidarności.

Niektórymi spłacał dług wdzięczności, jak choćby filmem *Człowiek środka* (poświęconym Jerzemu Toeplitzowi, byłemu rektorowi Szkoły Filmowej wyrzuconemu w 1968 roku z uczelni i zmuszonemu do emigracji) czy *Abel, twój brat*, będącym swoistym hołdem wobec Janusza Nasfetera, reżysera filmów dla dzieci i wrażliwego człowieka uwikłanego w bardzo trudną, dramatyczną historię swego życia.

W 1980 roku zostaliśmy sąsiadami, zamieszkując niedaleko od siebie na jednym osiedlu. W tym czasie Grzegorz Królikiewicz otrzymał etat w Filmówce. Cieszył się, że to ustabilizuje mu życie. Miał już wtedy troje dzieci, a uczelniana pensja dawała comiesięczne poczucie finansowej pewności. Pochłonęła go wtedy mocno dydaktyka, to było pole zupełnie nowych doświadczeń. Pasjami lubił perorować i studenci początkowo przyjmowali go z dystansem, ale potem polubili. Okazał się znakomitym analitykiem filmów innych reżyserów. Jego analizy twórczości Godarda, Kurosawy czy Antonioniego weszły do kanonu kształcenia adeptów reżyserii. Cykl esejów *Kłopot z Fellinim*, który ukazał się nakładem założonego przez niego Studia „N”, to świetna lektura, nie tylko dla miłośników twórczości włoskiego mistrza sztuki filmowej. O Fellinim chciał zresztą bardzo często rozmawiać. To była widoczna miara jego osobistych ambicji. Stworzyć taki język filmu, aby niezawodnie stać się podobną wielkością w dziejach kina.

Po ogłoszeniu stanu wojennego spotykaliśmy się prawie codziennie. Mnie dotknęły represje z ówczesnego katalogu „ładu i porządku” zadekretowanego przez władzę i straciłem pracę, a potem – jak się okazało – także prawo do uprawiania zawodu. Leszka to ominęło. Nasze rodziny były wtedy blisko siebie. Pamiętam, jak jego syn Jacek przyniósł buty, z których wyrósł, mojemu synowi Łukaszowi, który ich akurat nie miał. Bo buty to był wtedy towar deficytowy i reglamentowany na kartki. Takie były nasze dobrosąsiedzkie chwile.

Przypominam go jako „Leszka” po pod tym imieniem znała go rodzina, koledzy, przyjaciele. Grzegorzem był oficjalnie jako znany reżyser, a potem profesor sztuki filmowej w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej. Ta długa nazwa uczelni bardzo go zresztą irytowała.

Potem widywaliśmy się już jedynie okazjonalnie. Od 1982 roku robił tylko filmy dokumentalne. Wybierał tematy niezagrażone interwencją cenzury, przyjął w swoim domu „Pielgrzymkę artystyczną”, wędrującą po Polsce grupę kontestujących twórców tworzących zręby polskiej kultury alternatywnej, brał też udział w redagowaniu podziemnego pisma „Przedświt”.

W przemiany rozpoczęte 1989 rokiem wszedł bardzo emocjonalnie. Zaczął kręcić głównie dokumenty polityczne. Nie były to najlepsze filmy reżysera Grzegorza Królikiewicza. Często nadmiernie tezowane, z fabu-

laryzowanymi dokrętkami, z dyskusyjnym uproszczonym komentarzem – nie znajdują poczesnego miejsca w jego dorobku. Tylko dwie fabuły: *Przypadek Pekosińskiego* z 1993 roku – nagrodzony Złotymi Lwami na festiwalu w Gdyni i nagrodą specjalną w Karlowych Warach – oraz *Sąsiedzi* z 2014 roku zaświadcza, że reżyser w tym okresie nie utracił siły kreacji.

W latach 2003–2004 miał krótki epizod jako dyrektor artystyczny Teatru Nowego im. Kazimierza Dejmka w Łodzi. Epizod nieudany nie tyle z jego winy, co z powodu gwałtownego oporu aktorów i organizowanej przeciwko niemu akcji protestacyjnej. Mianowany przez ówczesnego prezydenta Łodzi Jerzego Kropiwnickiego, uznany został przez środowisko teatralne za nominata politycznego, choć żadną deklaracją programową nie dał ku temu powodów. Nie zapowiadał rewolucji i nie miał raczej zamiaru robić teatru publicystycznego. Zrealizował dwie poprawne premiery repertuarowe i pewnie mógłby ich zrobić jeszcze więcej, bo był profesjonalistą. Tak naprawdę ta porażka przyszła bez powodu i była całkowicie niezasłużona.

Po śmierci pojawiły się liczne teksty o wielkości reżysera, ktoś nazwał go geniuszem kina, ktoś inny wybitnym wizjonerem. Za życia – choć otrzymał za swoje filmy wiele nagród na różnych festiwalach – takich epitetów mu szczędzono. A przecież nic się nie zmieniło. Jedynie to, że nie powstanie już żaden nowy film Grzegorza Królikiewicza.

Gustaw Romanowski

Fot. dzięki uprzejmości Szkoły Filmowej w Łodzi

Hanna Ewa Stańska (1935–2017)

Pasjonatka ekslibrisu



26 lipca 2017 roku zmarła Hanna Ewa Stańska, zasłużona na polu grafiki książkowej łódzka artystka plastyczka, wytrawna twórczyni ekslibrisów. Uprawiała rysunek, gwasz, grafikę warsztatową oraz grafikę użytkową, a także plakat i druki bibliofilskie. Szczególne osiągnięcia miała w całościowym opracowywaniu książek. Była uhonorowana Odznaką „Zasłużony Działacz Kultury”.

Kolekcjonuję ekslibrisy od niemal 40 lat. Kiedyś wpadły mi w ręce autorskie ekslibrisy stworzone przez Hannę Stańską jeszcze dla Biblioteki im. L. Waryńskiego w Łodzi. Nawiązałem więc kontakt z autorką, mając obietnicę wzbogacenia mojego zbioru o inne jej prace, ale wówczas do dalszych kontaktów nie doszło. Dopiero

wiele lat później spotkaliśmy się, gdy zarekomendował mnie Andrzej Znamirowski, wybitny kolekcjoner i propagator ekslibrisów z Krakowa, który dobrze znał łódzką artystkę. Bywając w Widzewskiej Galerii Ekslibrisu na otwarciach wystaw, odwiedzał ją, a w 2004 roku urządził w Krakowie pokazną prezentację ekslibrisów jej autorstwa.

Pokazałem wtedy Hannie Stańskiej niektóre ekslibrisy z mojego liczącego 15 000 znaków zbioru. Niektóre z nich zrobiły na niej duże wrażenie. Od tego momentu zaczęliśmy rozmawiać o jej wystawie

autorskiej w prowadzonej przeze mnie od 1990 roku Widzewskiej Galerii Ekslibrisu. Takich galerii jest mało, ledwie pięć w kraju, dlatego twórcom ekslibrisu tak trudno zbiorczo zaprezentować swoje dzieła. Przygotowania do wystawy trwały długo, spotykaliśmy się wielokrotnie w mieszkaniu artystki na Bednarskiej, gdzie mieszkała całe życie. Starannie wybieraliśmy eksponaty, a bywając tam także z moją żoną Zofią, prowadziliśmy wielogodzinne rozmowy o sztuce ekslibrisu i sztuce życia. Lubiła nas częstować herbatą z imbirem, w przyrządzaniu której okazała się niezwykle mistrzynią. Często rozmawialiśmy też telefonicznie. Niepostrzeżenie się zaprzyjaźniliśmy.

Była od zawsze łodzianką. Urodziła się tu 1 stycznia 1935 roku. Studia ukończyła w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Łodzi (obecnie Akademia Sztuk Pięknych im. Władysława Strzemińskiego) w pracowni prof. Stanisława Byrskiego, uzyskując dyplom artysty plastyka w 1960 roku. Od ukończenia studiów do 1974 roku pracowała w Łodzi jako projektantka w przemyśle lekkim. W PRL-owskiej szarżyźnie projektowana przez nią odzież dla młodych mężczyzn cieszyła się niebywałym powodzeniem.

Od 1974 roku związała się jako grafik z Wydawnictwem Łódzkim, skompletowała do współpracy doborowy garnitur artystów książki i typografów z całego kraju. Praca w wydawnictwie wiązała się z jej upodobaniami literackimi, szczególnie zainteresowaniem poezją. Wielu miłośników jej twórczości twierdziło, że to właśnie dlatego w ekslibrisach najpełniej przejawiał się jej talent. Ekslibrisem zainteresowała się dawno. Pierwsze stworzyła w 1963 roku, a pasją do tej miniatury graficznej zaraził ją Michał Kuna, znany łódzki bibliofil, wieloletni prezes Łódzkiego Towarzystwa Przyjaciół Książki. Wymyśliła dla niego kilka ekslibrisów, a także dla innych bibliofilów z tego kręgu, sama zresztą została członkinią ŁTPK.

Do wystawy przygotowywała się bardzo rzetelnie. Przejrzeliśmy dokładnie całe jej archiwum, koperta po kopercie ułożone systematycznie w dwóch wielkich pudłach. Wybraliśmy 80 ekslibrisów wykonanych dla łodzian – rodziny, przyjaciół i znajomych. Sama aktywnie włączyła się w przygotowanie także katalogu, zaprojektowała afisz wystawy.

Jej otwarcie 13 października 2015 roku rozpoczęło 25-lecie Galerii. Na otwarciu pojawili się bardzo licznie miłośnicy jej talentu, bibliofile, przyjaciele, znajomi, dając autorce wiele satysfakcji. Najczęściej chwalili ekslibrisy z motywami ptaków i kobiecych aktów. Jak się okazało, była to niestety ostatnia już wystawa artystki.

W życiu artystycznym Łodzi była mniej znana, choć od 1961 roku należała do Związku Polskich Artystów Plastyków w Okręgu Łódzkim i brała udział w wystawach okręgowych, a w 1974 roku otrzymała medal ZPAP za pracę graficzną. Wystawiała dość regularnie w kraju, ale brała

również udział w prezentacjach zagranicznych, m.in. na IV Międzynarodowym Biennale „Sport w sztuce” w Madrycie w 1973 roku oraz w pokazach towarzyszących Międzynarodowym Kongresom Ekslibrisu: Lublana 1974, Oxford 1982, Weimar 1984, Utrecht 1986. Brała udział i była nagradzana w wielu konkursach i przeglądach krajowych małych form grafiki i ekslibrisu, m.in. w Ostrowie Wielkopolskim, Bibliotece Śląskiej w Katowicach, Bibliotece Raczyńskich w Poznaniu.

Prace Hanny Stańskiej trafiły do zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie, Muzeum Narodowego we Wrocławiu i Muzeum Narodowego w Rzeszowie, a spory ich zasób trafił do Biblioteki UŁ, Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej im. Józefa Piłsudskiego i Muzeum Miasta Łodzi. Posiada je też kilkuset prywatnych kolekcjonerów małych form graficznych.

W latach 1964–2016 miała w Polsce około 20 wystaw indywidualnych, ale o jednej z nich warto powiedzieć więcej. W 2007 roku w Galerii Ekslibrisu „Podgórze” w Krakowie Hanna Stańska pokazała *Ekslibrisy i znaki własnościowe dla małolatów od 4–14 lat* (wstęp do katalogu napisał Andrzej Znamirowski). *Małolaty* to seria 18 ekslibrisów, które zasługują na szczegółowe omówienie. Hanna Stańska była bardzo dumna ze swojego pomysłu. Wykonała cykl ekslibrisów i znaczków własnościowych dla „małolatów” (4–14 lat), w ramach społecznej akcji urządzonej przez nią dla dzieci przyjaciół, znajomych i sąsiadów. Pierwsze znaki powstały w końcu 2006 roku – były skutkiem „zapotrzebowania” na ikonki własnościowe dla dzieci jeszcze nieczytających lub zaczynających czytać. Ostatnie powstały w 2011 roku. Zdecydowała się na formę ilustracyjną; „postacie i scenki” charakteryzując celnie zainteresowania adresatów oraz ich upodobania. Niektórym rysunkom towarzyszyły krótkie, proste, „dookolne”, lapidarne rymowanki („częstochowskie”, jak sama je określiła).

Te ekslibrisy były przeznaczone do powielania metodą kserograficzną w zmniejszonym formacie, tak aby pasowały do formatu książeczek dla dzieci i zmieściły się w niezadrukowanej części drugiej strony. Ten tani sposób powielania spowodował, że komisarz wystawy nie dopuścił ich do prezentacji na przeglądowej ekspozycji łódzkich twórców w 500-lecie pierwszego polskiego ekslibrisu w październiku 2016 roku w Galerii Willa Miejskiej Galerii Sztuki. Nastąpiło to nie tyle z krzywdą dla artystki, co z lekceważeniem idei, jaka przyświecała jej przy tworzeniu *Małolatów*. Pomysł Hanny Stańskiej miał znaczenie bardzo ważne z punktu widzenia pedagogiki, o czym pisał w magazynie „Ex Bibliotheca” (nr 1[18] z 2008 roku) znawca przedmiotu Andrzej Znamirowski. Miał on bowiem uświadamiać dorosłym konieczność znalezienia dla siebie miejsca w dziecięcym świecie i dziecięcej wyobraźni, zrozumieć potrzebę podejmowania współpracy z dziećmi w rozwijaniu ich

zainteresowań książką, by kultura narodowa w dzisiejszym małopole znalazła w jego przyszłym dorosłym życiu znaczącego sojusznika. To był świetny pomysł, który wpisał się w mocno i słusznie lansowaną akcję czytania dzieciom książek, uzupełniając ją i dopełniając.

Do planowanej wystawy *Małolatów* w Widzewskiej Galerii Ekslibrisu niestety nie doszło...

Hanna Stańska była do końca czynna w ruchu bibliofilsko-graficznym. Do końca też tworzyła ekslibrisy, m.in. dla autora tych wspomnień. Jest na nim motyw „tramwajowy” (łódzki tramwaj Herbrand z 1898 roku), bo zorientowała się, że bardzo lubię tematy związane z komunikacją, z kolejami, tramwajami, z techniką jezdnią. A przygotowała go specjalnie na wystawę *80 ekslibrisów dla Mirosława Zbigniewa Wojalskiego z okazji 80-lecia urodzin* 28 lutego 2017 roku. Okazało się, że był to już jej ostatni ekslibris, opus 182. Na otwarcie wystawy już nie była w stanie przyjść.

Ci, którzy ją znają z okresu czynnej pracy zawodowej w wydawnictwie, twierdzą, że stawiała sobie i innym wysoko poprzeczkę, miała swoją wizję graficzną wydawanych książek i konsekwentnie ją realizowała. Stworzyła dobry wizerunek Wydawnictwa Łódzkiego od strony graficznej i typograficznej. Z jej plastycznych pomysłów powstał duży dorobek książkowy. Sama zaprojektowała okładki wielu książek, m.in. całą wyrazistą koncepcję „Biblioteki Jugosłowiańskiej” i wizję graficzną obchodów 30-lecia wydawnictwa, wzbogaconą oczywiście ekslibrisem.

Nie mam jej dobrego portretu fotograficznego – nie lubiła być fotografowana, sztywniała gdy widziała wycelowany obiektyw aparatu.

Spoczęła 2 sierpnia 2017 roku na cmentarzu na Dołach.

Mirosław Zbigniew Wojalski
– publicysta, animator kultury, przewodnik po Łodzi

Fot. z archiwum autora



wspomnienia

kroniki rodzinne

Alfons Pellowski – człowiek wielu pasji

Odkrywca muzycznej historii Łodzi

Bożena Pellowska-Chudobińska

str. 202

Alfons Pellowski – człowiek wielu pasji

Odkrywca muzycznej historii Łodzi

40 lat temu zmarł Alfons Pellowski, muzyk, naukowiec, chórmistrz, pedagog i publicysta, autor najważniejszej dla muzycznych dziejów Łodzi fundamentalnej pracy naukowej *Kultura muzyczna Łodzi do roku 1918*. Ten zasłużony dla kultury naszego miasta wybitny znawca wielu dziedzin łączących się z muzyką urodził się 25 lipca 1908 roku w Nowej Kiszewie, pomorskiej wsi położonej niedaleko Kościerzyny. Pochodził ze światłej rolniczej rodziny o silnych tradycjach patriotycznych. Ojciec, Franciszek Pellowski – jak zanotował to w swoich zapiskach najstarszy z braci Augustyn Paweł – był człowiekiem „rozległych zdolności, jednak wcześniej straciwszy swojego ojca musiał sam ciężką pracą dochodzić do majątku co musiał przedkładać ponad naukę”. Matka natomiast, Marcjanna z domu Plata, otrzymała w domu rodzinnym solidne wykształcenie, a mając wielki szacunek dla nauki, wykształciła w dzieciach ogromny pęd do zdobywania wiedzy.

Przyszły muzyk i naukowiec miał siedmioro rodzeństwa. Był czwartym dzieckiem z kolei, po Franciszku, Norbercie, Brunonie, a przed Ger-



trudą, Stefanią, Brunonem i Zygmuntem, z których nie wszystkim pisana była długa linia życia. Żyjąca w poczuciu przynależności do narodu polskiego rodzina Pellowskich dbała o kultywowanie w domu ojczystego języka, tradycji, zwyczajów i wiedzy historycznej o ważnych wydarzeniach, ludziach i kulturze. Taka postawa miała jednak swoje konsekwencje. Pellowsky zostali przesiedleni przez pruską administrację do wsi Stare Polaszki, która odtąd miała stać się ich domem, nadal jednak prowadzili w domu tajne nauczanie języka polskiego, geografii i historii Polski, a redagowane przez starszego brata Norberta tajne polskie pismo „Orzeł biały” było ręcznie przepisywane przez całą rodzinę.



Pierwsza edukacja

Alfons Pellowski naukę rozpoczynał w polskiej szkole, do której uczęszczały zarówno dzieci Polaków, jak i mieszkających w okolicy Niemców; były to jeszcze czasy, w których wszyscy potrafili porozumieć się ze sobą. Sąsiedzi rozmawiali i po polsku, i po niemiecku, urządzając nawet wspólne uroczystości. W 1920 roku przyszły znawca muzycznych dziejów Łodzi był już w gimnazjum w pobliskiej Kościerzynie. Wykazywał znaczne zdolności do nauk ścisłych, interesował się także z sukcesami sportem, zdobywając w wieku 16 czy 17 lat mistrzostwo Pomorza w biegu na trzy tysiące metrów. Jednocześnie rozwijał swoje zainteresowania muzyką, którą „nasiąkał” od dziecka, w jego najbliższym otoczeniu bowiem grali amatorsko na różnych instrumentach niemal wszyscy. Już w gimnazjum prowadził orkiestrę szkolną i chór, w czym nieocenioną pomocą służył mu absolutny słuch, którym obdarzyła go natura. Po pięciu latach musiał jednak przerwać naukę w gimnazjum z powodu trudności



finansowych rodziny, ale dzięki pomocy starszego brata Norberta od września 1926 roku kontynuował naukę w gimnazjum męskim w Wadowicach i tam dwa lata później uzyskał świadectwo maturalne. Przeniósł się następnie do Ołtarzewa koło Warszawy, gdzie starszy brat Norbert był księdzem w kościele NMP Królowej Apostołów. W latach 1928–1930 prowadził tam dwa chóry: męski oraz chłopięcy. Rok później rozpoczął studia w zakresie filozofii i nauk teologicznych, po czym wyjechał do Niemiec, by studiować etnomuzykologię i chorał gregoriański. W Limburgu zainteresował się zbiorami tamtejszego muzeum misyjnego i pod kierunkiem Hermanna Nekesa zajął się badaniami nad muzyką afrykańską i afrykańskimi instrumentami ludowymi. Po powrocie do Polski dokończył rozpoczęte wcześniej studia filozoficzne, zajmując się dalej działalnością chórmistrzowską w Ołtarzewie. Prowadził chór męski oraz Schola Cantorum.

Pierwszą pracę pedagogiczną podjął w Collegium Marianum w Wadowicach. Początkowo był tam nauczycielem śpiewu, prowadził także bibliotekę szkolną. W Wadowicach założył orkiestrę dętą oraz mandolinową i prowadził 120-osobowy chór chłopięcy i męski tamtejszego gimnazjum i liceum oraz 60-osobowy studencki chór męski.

Nawiązana wówczas znajomość – będąca początkiem wieloletniej przyjaźni – z Kazimierzem Jurdzińskim (1894–1960), organistą, pedagogiem, chórmistrzem oraz kompozytorem wykształconym przez Karola Szymanowskiego w warszawskim konserwatorium, ukierunkowała dalsze zawodowe działania Pellowskiego. Pod koniec lat 30. XX wieku po pomyśl-

nym zdaniu egzaminów rozpoczął naukę w Konserwatorium Państwowym w Warszawie, w klasie organów Bronisława Rutkowskiego oraz teorii muzyki Kazimierza Sikorskiego, które niestety przerwała wojna.

Trudne wojenne doświadczenia

Po wybuchu drugiej wojny światowej Pellowski znalazł się w Radomiu, gdzie działał jako organista. Tam też założył i prowadził 50-osobowy Chór Mieszany „Młodzianie”, któremu akompaniował Józef Chwedczuk (późniejszy profesor Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Krakowie i długoletni dziekan Wydziału Instrumentalnego tej uczelni). Również w Radomiu – na tajnych kompletach – Alfons Pellowski prowadził działalność oświatową jako nauczyciel języka polskiego, historii i geografii Polski, będąc jednocześnie członkiem tajnej komisji maturalnej. Dojeżdżał także do Warszawy, gdzie w 1940 roku założył i przez całą wojnę prowadził dwa chóry: żeński „Słowiczki” oraz mieszany „Warszawa” które swoją siedzibę miały u zbiegu ulic Miodowej i Długiej. Chórom tym akompaniowali znani później kompozytorzy, Kazimierz Jurdziński i Tadeusz Paciorkiewicz. Te chóralsne spotkania stanowiły „płaszcz ochronny” realizowanej w ich tle działalności konspiracyjnej. Znakomita znajomość języka niemieckiego pozwoliła mu dwukrotnie uniknąć obozu koncentracyjnego.



W powstaniu warszawskim uczestniczył czynnie. Jego wybuch zastał go przy klawiaturze organów, które włączył na całą moc, by w kościele nie wybuchła panika. Śródmieście Warszawy opuszczał jedyną możliwą wówczas dla powstańców drogą – kanałami, co nie było bezpieczne i dla wielu skończyło się tragicznie. Uratował z powstańczego piekła nieznanego sobie rannego człowieka, nie wiedząc też, że do stolicy podczas toczących się wówczas walk nie będzie mu już dane powrócić.

Po upadku powstania przebywał w kilku miejscowościach, by w październiku 1945 roku zatrzymać się w Krakowie. Podjął tam przerwane wojną studia na Wydziale Teorii Muzyki, Kompozycji i Dyrygentury Państwowego Konserwatorium. Jednocześnie prowadził chór gregoriański studentów Uniwersytetu Jagiellońskiego. Atmosfera uczelni i kontakt z wybitnymi osobowościami świata muzycznego i naukowego, m.in. Adolfem Chybińskim, Zdzisławem Jachimeckiem, Władysławem Hordyńskim, Włodzimierzem Poźniakiem czy prof. dr Stefanią Łobaczewską, wywarły znaczący wpływ na ukształtowanie się jego zainteresowań również pracą ściśle naukową. Ważnym bodźcem do jej w przyszłości kontynuowania było też odkrycie nieznanych szczegółów z biografii Stanisława Sylwestra Szarzyńskiego oraz Grzegorza Gerwazego Gorczyckiego. Był więc dojrzałym i w pełni ukształtowanym artystą i erudytą, gdy 20 grudnia 1948 roku uzyskał dyplom Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Krakowie w zakresie teorii muzyki.

Łódź – środowisko i praca

Do związania swoich planów życiowych z Łodzią Alfonsa Pellowskiego zachęcił jego przyjaciel Kazimierz Jurdziński, rodowity łodzianin. Do naszego miasta przyjechał w połowie 1950 roku, niedługo po tym, jak zdobył najwyższe w swoim życiu wyróżnienie w dziedzinie kompozycji. Była to pierwsza nagroda za cykl pieśni maryjnych w zorganizowanym w Watykanie międzynarodowym konkursie, w którym uczestniczyli kompozytorzy z 20 krajów.

Pracę w Łodzi podjął na etacie lektora języka niemieckiego w Studium Filozofii Wyższego Seminarium oo. Franciszkanów w Łagiewnikach. Był to oczywiście epizod, bo szybko związał się z Państwową Wyższą Szkołą Muzyczną, której po wojnie przypadła ważna rola wykształcenia wysoko kwalifikowanej kadry artystów i pedagogów dla potrzeb odradzającego się kraju. Znalazł się w ten sposób wśród muzycznych osobowości, które wówczas działały w Łodzi, gdzie obok Kazimierza Jurdzińskiego byli m.in. Tadeusz Paciorkiewicz, Władysław Raczkowski, Franciszek Jamry, Franciszek Wesołowski, Tomasz Kiesewetter, Kiejstut Bacewicz, a także Aleksander Kozłowski, organista i kompozytor, uczeń m.in. Bronisława Rutkowskiego, Kazimierza Sikorskiego i Waleriana Bierdiajewa.

W PWSM Alfons Pellowski wykładał na wydziałach Kompozycji i Teorii Muzyki, Wychowania Muzycznego oraz Wokalnym, a zakres prowadzonych przedmiotów świadczy nie tylko o gruntownym wykształceniu i wszechstronnej wiedzy, ale i bogatych zainteresowaniach muzycznych i naukowych. Lista przedmiotów i dziedzin, ze znajomości których swoją profesjonalną wiedzę dzielił się ze studentami, jest imponująca. Na przestrzeni lat wykładał m.in. historię muzyki, literaturę muzyczną, literaturę chóralną, naukę o stylach muzycznych, kształcenie słuchu, czytanie partytur, etnologię muzyczną, a po zlikwidowaniu przedmiotu – polski folklor muzyczny, instrumentoznawstwo, akustykę muzyczną, a także języki niemiecki i włoski. Ten ostatni dla studentów wokalistyki. Prowadził także metodologię pracy naukowej, był promotorem blisko 40 prac magisterskich na Wydziałach Teorii Muzyki oraz Wychowania Muzycznego. Jednak w uczelni zatrudniano go początkowo na umowach zleconych, dopiero później na stanowisku wykładowcy, a następnie starszego wykładowcy. W styczniu 1973 roku został mianowany przez ministra kultury i sztuki na stanowisko docenta. Natomiast stopień naukowy doktora nauk humanistycznych uzyskał rok później na Uniwersytecie Łódzkim, na Wydziale Historyczno-Filozoficznym.

Muzyk z naukową pasją

Równolegle bowiem z działalnością pedagogiczną pochłonięta go praca naukowa. Jego dorobek i w tej dziedzinie jest bardzo znaczący, nie wszystkie jednak jego prace ukazały się drukiem. Pierwsza przygotowana książka, poświęcona muzyce i instrumentom Afryki, spłonęła w powstaniu warszawskim. Wśród zachowanych są m.in. *Polski Koncert Kościelny* (Kraków 1948), *Przyczynki historyczne do biografii G.G. Gorczyckiego i S.S. Szarzyńskiego* (Kraków ok. 1947), *Dzieje muzyki w dawnej Łodzi 1635–1875* (Łódź 1959), *Metodologia pracy naukowej* oraz *Życie muzyczne Łodzi do 1918 roku* (PWSM, Łódź 1974), *Władysław Raczkowski* (PWSM, Łódź 1976). Jest także Pellowski autorem skryptów służących zarówno studentom, jak i pedagogom, takich jak: *Akustyka muzyczna*, *Etnologia muzyczna*, *Nauka o stylach muzycznych*, *Polski folklor muzyczny*, *Historia muzyki* i inne. Pozostawił także spisane *Kroniki*, m.in. Państwowej Średniej Szkoły Muzycznej z lat 1945–1960 i 1960–1964, Łódzkiego Towarzystwa Muzycznego (1899–1906; 1957–1961 oraz 1962–1963), Ludowego Instytutu Muzycznego (1945–1965) czy Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Łodzi z lat 1945–1970. Jako pierwszy odtworzył też dzieje orkiestry łódzkiej filharmonii łącząc historię powstałej w 1915 roku *Łódzkiej Orkiestry Symfonicznej* z dziejami zespołu działającego od powstania w Łodzi Filharmonii jako *Orkiestra Symfoniczna Filharmonii Łódzkiej*.

Uczestniczył także w konferencjach naukowych w ważnych ośrodkach kultury w Polsce. W czerwcu 1973 roku został delegatem na odbywający się w Warszawie II Kongres Nauki Polskiej. W tym samym roku wystąpił na organizowanej przez Państwową Wyższą Szkołę Muzyczną w Łodzi sesji poświęconej kulturze muzycznej Łodzi. Była ona przygotowana z okazji 550-lecia nadania praw miejskich i 150-lecia Łodzi przemysłowej. Alfons Pellowski wygłosił wtedy referat pt. *Życie muzyczne Łodzi do roku 1918*, który był zwiastunem jego najpoważniejszej i najobszerniejszej pracy naukowej dokumentującej muzyczne życie Łodzi od czasów narodzin miasta aż do powstania niepodległej Polski w 1918 roku. Pracy fundamentalnej dla dziejów muzyki Łodzi i jednocześnie pionierskiej, przed nim bowiem nikt – ani z historyków, ani z muzyków – opracowania tego tematu się nie podjął.



Pracą tą pragnął odpowiedzieć na pytanie, czy rzeczywiście aż do zakończenia pierwszej wojny światowej Łódź była białą plamą na mapie kulturalnej, bo tak sądziło wielu. Zbudowanie wyczerpującej odpowiedzi na to pytanie zajęło mu 18 lat. Dokonał tego tylko dzięki wszechstronnej wiedzy, którą posiadał, oraz skrupulatności i dokładności badacza. Podczas zbierania materiałów w wielu archiwach, bibliotekach i zbiorach wielce przydatna okazała się także jego biegła znajomość pięciu języków.

Nad powstaniem pracy czuwali cenieni historycy: profesorowie Leon Tadeusz Błaszczyk, Gryzelda Missalowa oraz Stefan Śledziński, który w recenzji ocenił ją jako unikatową, z uwagi na szczególne zaakcentowanie społecznej roli muzyki na tle innych uwarunkowań kulturowych. Praca udokumentowała nie tylko twórczość muzyczną, ale i szeroko pojęty rozwój kultury muzycznej na tak trudnym terenie, jakim do czasu pierwszej wojny światowej była Łódź.

Nadanie Alfonsowi Pellowskiemu tytułu doktora nauk humanistycznych odbyło się 24 maja 1972 roku w auli Uniwersytetu Łódzkiego przy ulicy Kopcińskiego w Łodzi. Musiały jednak upłynąć jeszcze 22 lata, by

tak potrzebna dla umacniania łódzkiej tożsamości praca mogła ukazać się drukiem...

Bestseller po latach oczekiwania

Okazało się, że po długim oczekiwaniu znajdzie się wydawca, który od razu zrozumiał, że opublikuje prawdziwy bestseller. „*Kultura muzyczna Łodzi do roku 1918* Alfonsa Pellowskiego jest pierwszą dużą książką mojego wydawnictwa – wspomina Wojciech Grochowalski, wydawca dzieła, zasłużony animator kultury – Gdy przyszedli do mojego biura państwo Bożena i Marek Chudobińscy w 1993 roku z maszynopisem pracy ojca pani Bożeny, stwierdziłem ze zdziwieniem, że skoro władze od lat nie mogły wydać tak ważnej książki, to widocznie wola Boża jest, abym ja to zrobił. Obejrawszy opasły tom w zielonej oprawie pracy doktorskiej z 1972 r., zapoznając się z biografią autora, wielkiego, solidnego badacza i wybitnego człowieka, ważnością tematu, ogromem pracy, opisującej dzieje tylu ludzi, miejsc i zdarzeń (od robotnika do fabrykanta, od altany do opery, od małego recitalu szkolnego poprzez koncerty w Łodzi Orkiestry Filharmonii Warszawskiej pod dyktando Emila Młynarskiego po operę) i pokazanie kultury tych ludzi, np. wspólne koncertowanie, problemy kultury, wielką i nieznaną aktywność łódzian na tym polu – postanowiłem w myślach, że trzeba to wydać, że to skandal, że Miasto i nikt inny nie chciał się tym zająć. Na szczęście praca została – za przykazaniem Michała Kuny, zastępcy dyrektora BUŁ, zastrzeżona i złożona w depozycie i nikt jej nie mógł kopiować, przepisywać, mówiąc wprost – nie rozdrapali jej [...] powiedziałem że ją wydaję i w grudniu 1994 roku była gotowa.[...] Nie brzmi to skromnie, ale książka ta jest moją dumą, ale i też radością z tego powodu, że ta ogromna i ważna praca p. Pellowskiego jest już dostępna dla każdego. Korzystam i ja z niej regularnie w mojej pracy dziennikarskiej i wydawniczej, czasami szukam czegoś... i nagle olśnienie! Przecież to pewnie musi być u Pellowskiego! Otwieram... i jest!”

Podobną opinię o tym dziele Alfonsa Pellowskiego ma Janusz Janyst, pedagog i dziennikarz muzyczny: „Dorobek naukowy dr. Alfonsa Pellowskiego jest nie do przecenienia [...] Ta książka, będąca rezultatem wieloletniej, mrówczej pracy historyka i w pierwszej wersji stanowiąca jego rozprawę doktorską zrealizowaną w ramach przewodu w Uniwersytecie Łódzkim, zadziwiająco długo czekała na wydanie. A jest to prawdziwa kopalnia wiadomości dotyczących różnych przejawów lokalnej kultury muzycznej, m.in. dziewiętnastowiecznych i późniejszych orkiestr, chórów, inicjatyw operowych. Czerpali z tego tomu wiedzę inni, pisząc swe prace, nie tylko magisterskie, zresztą właśnie od momentu jej wydania niejeden muzyk i działacz mógł się kreować na znawcę muzycznych dziejów Łodzi. Szczyci się tą rozprawą, jako

częścią własnego dorobku, łódzka Akademia Muzyczna, której Pellowski był długoletnim wykładowcą. Notabene »unaukowienie« akademickich środowisk muzycznych sprawiło, że zaczęły powstawać liczne pseudo-doktoraty, pseudo-habilitacje, którym jakże daleko do naukowych dokonań Pellowskiego”.

Pellowski pisał dużo i intensywnie, ale nie wszystko udało mu się opublikować. Jest autorem blisko 140 artykułów naukowych i popularnonaukowych, które ukazały się w łódzkiej i ogólnopolskiej prasie, m.in. w „Poradniku Muzycznym”, programach koncertowych Państwowej Filharmonii w Łodzi, „Ruchu Muzycznym”, „Odgłosach”, „Tygodniku Kulturalnym”, „Życiu Śpiewaczym”. A. Pellowski działał także w Polskim Związku Chórów i Orkiestr, zasiadał w Zarządzie Łódzkiego Towarzystwa Muzycznego im. Karola Szymanowskiego, Ludowego Instytutu Muzycznego, Towarzystwa Przyjaciół Ognisk Artystycznych, Zarządzie i Radzie Artystycznej Zjednoczenia Polskich Zespołów Śpiewaczych i Instrumentalnych, pełnił ważne funkcje w Zarządzie Głównym Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków z siedzibą w Warszawie. Był też aktywnym prelegentem, m.in. w bibliotekach, Łódzkim Towarzystwie Muzycznym, Łódzkim Domu Kultury, w szkołach, w muzeach. Na antenie Polskiego Radia wziął udział w kilkudziesięciu audycjach, mówiąc zarówno o muzycznym życiu Łodzi, jak i o ludziach go tworzących. Pozostawił też wiele niedokończonych prac, wśród których najważniejsze to *Kultura muzyczna Łodzi okresu międzywojennego* i *Słownik muzyków łódzkich i w Łodzi występujących*.

Pedagog i erudyta

Warto jeszcze przypomnieć, że od samego początku pobytu w Łodzi Alfons Pellowski związany był jako pedagog również z 1. Państwową Średnią Szkołą Muzyczną w Łodzi, w której m.in. w latach 1953–1956 prowadził polski folklor muzyczny, historię muzyki, literaturę zespołową oraz solfeż. Dobrze zapamiętali go dawni uczniowie. „To był wrzesień 1953, data, gdy po raz pierwszy zetknęłam się z prof. Pellowskim – wspomina Ilona Grzesiak, wieloletnia dziennikarka muzyczna Polskiego Radia. – Prowadził zajęcia z folkloru. Pamiętałam te zajęcia. Wtedy nie przypuszczałam, że o polskim folklorze można mówić tak ciekawie i barwnie, a co najważniejsze, z tak wielkim patriotycznym zapałem i miłością. Wtedy też dowiedziałam się, kto to jest Oskar Kolberg i jakie znaczenie ma jego dzieło dla narodowej kultury. Wiedza ta bardzo się przydała w pracy zawodowej wiele lat później.[...] W roku 2015 Filharmonia Łódzka obchodziła Jubileusz 100-lecia istnienia orkiestry. Zaproponowano mi napisanie artykułu do pamiątkowego albumu. Korzystałam wówczas z wydanej w 1994 roku książki *Kultura muzyczna Łodzi do roku 1918*, o której ze wszech miar słusznie napisano, że jest to »unikatowe, jedyne – jak dotąd – wyczer-

pujące opracowanie dotyczące historii muzyki w Łodzi». Pozwoliła mi uporządkować rozwichrzoną wiedzę i zadumać się nad splotem ludzkich losów. Przecież o pracę nad tą właśnie książką chodziło, gdy jako studentka byłam świadkiem powstawania jej zrębów w późnych latach 50. ubiegłego wieku”.

Uwielbiał zresztą pracę pedagoga i rozwijał ją na różnych polach. Współpracował z Państwową Szkołą Instruktorów Muzycznych działającą przy Ludowym Instytucie Muzycznym i z Państwowym Liceum Muzycznym. Prowadził też „odziedziczone” po Kazimierzu Jurdzińskim zajęcia w Państwowej Wyższej Szkole Aktorskiej w Łodzi. W 1974 roku podjął współpracę z Instytutem Pedagogiki i Psychologii na Uniwersytecie Łódzkim, gdzie prowadził m.in. metodologię pracy naukowej. Po przyjeździe do Łodzi, przez szereg lat kontynuował też działalność chórmistrzowską, prowadząc Chór Politechniki Łódzkiej, Chór „Jutrzenka” przy kościele św. Ducha w Łodzi, a w późniejszych latach „Hasło” oraz „Echo”.

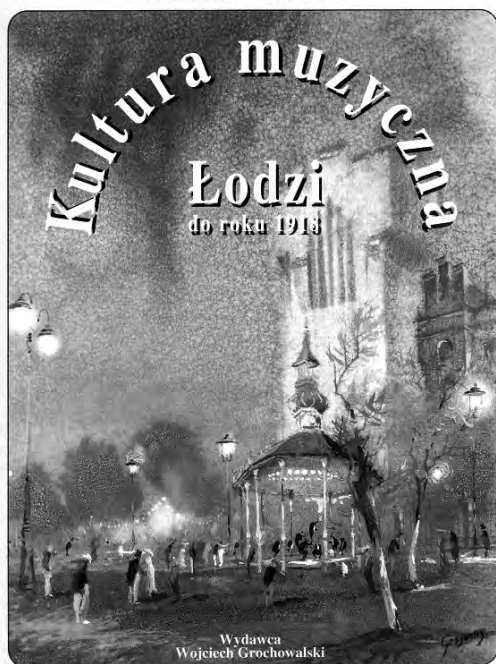
Alfons Pellowski zmarł nagle 3 listopada 1977 roku, w Chojnicach. Został pochowany na cmentarzu na Dołach w Łodzi, obok Aleksandra Kozłowskiego, którego rodzina ofiarowała to miejsce, by przyjaciele za życia mogli obok siebie spoczywać po śmierci. Na płycie nagrobkowej Alfonsa Pellowskiego widnieje napis VIXI ET QUEM DEDERAT CURSUM FORTUNA PEREGI*, co w literackim tłumaczeniu oznacza: „Żyłem i doszedłem do kresu przez los wyznaczonej mi drogi”. Odszedł nagle, jakby „w biegu”, w pełni sił i w trakcie realizacji kolejnych planów.

W rodzinnej pamięci

Chciałabym teraz ustąpić nieco miejsca w tej opowieści o Alfonsie Pellowskim mojej siostrze Aldonie Pellowskiej-Krasuckiej: „Tatę od wczesnego dzieciństwa pamiętam siedzącego do późnej nocy przy biurku wśród stosów rękopisów,



Alfons Pellowski



maszynopisów, sporządzanych odręcznie katalogów i różnych dodatkowych karteczek... Był bardzo dociekliwy w ustalaniu faktów a praca naukowa stawała się ogromną pasją. Lubił opowiadać, jakich fascynujących odkryć dokonał. Wiele czasu spędzał w archiwach i bibliotekach. Znał biegle pięć języków, w których swobodnie sporządzał notatki i z nich budował barwny obraz życia muzycznego i kulturalnego naszego miasta. Rękopisy powstawały zawsze na białych kartkach, pisane ołówkiem, pięknym, równym pismem. Później były przepisywane na maszynie. Praca *Kultura muzyczna Łodzi do roku*

1918 powstawała długo. Postrzegam ją jako samotną, heroiczną walkę, trwającą 18 lat. Bez żadnego wsparcia i wynagrodzenia. Kiedy nadszedł moment obrony pracy doktorskiej, tak błyskotliwie przez Tatę dokonanej – było to dla nas wielkie święto rodzinne!

Kiedy jako studentka uczestniczyłam potem w wykładach Taty, odkryłam Go na nowo. Z humorem i swadą poruszał się w morzu wiadomości z różnych dziedzin powodując, że słuchało się go z zapartym tchem. Cichym bohaterem pracy ojca była nasza mama. Odeszła 15 lat temu, w 51 rocznicę ich ślubu.”

Ojciec był dla nas bardzo ważny. Wydawał się być człowiekiem o niewyczerpanej energii, pełnym optymizmu i wiary w ludzi, o ogromnej wiedzy, benedyktyńskiej wręcz skrupulatności i wytrwałości. I wierzył, że największym bogactwem człowieka jest jego wiedza i umiejętności. Był wsparciem przykładu na to, że pomimo ciężkich chwil w życiu, zawsze trzeba w sobie znaleźć tyle siły, by zacząć od nowa. Miał wiele pasji, z których jedną był sport. Uwielbiał też wędrowki po górach. Miał też ogromne poczucie humoru i umiał wspaniale opowiadać. O miejscach, w których żył, ludziach, których

spotykał, dzieciństwie, atmosferze domu rodzinnego, wydarzeniach które go w życiu spotkały – i tych radosnych, ale też tych tragicznych. Umiał się też pięknie przyjaźnić. Wszystkie jego przyjaźnie przetrwały do samego końca.

Bożena Pellowa-Chudobińska
- publicystka, archiwistka Filharmonii Łódzkiej

recenzje

Chłopak ze Wschodniej, który uratował Anglię

Nazywał się Herman Pines

Paweł Spodenkiewicz

str. 217

Władysław Strzemiński. Nieznane fakty z życia znanego artysty

Konrad A. Czernielewski

str. 222

Mroczne oblicze Łodzi pierwszej połowy XX stulecia

Pitaval miasta kominów

Przemysław Waingertner

str. 227

Chłopak ze Wschodniej, który uratował Anglię

Nazywał się Herman Pines

recenzje

Opanowanie w USA metody produkcji wysokooktanowej benzyny lotniczej pomogło Brytyjczykom wygrać „bitwę o Anglię”. Kluczowego odkrycia dokonał emigrant z Polski, łódzianin Herman Pines, wpływając w ten sposób na losy drugiej wojny światowej. Przypomniat go i należne honory oddał angielski autor Peter Varey.

W czasie kampanii francuskiej w maju i czerwcu 1940 roku Brytyjczycy stracili ok. 120 hurricane'ów i 75 spitfire'ów, co stanowiło dużą część ówczesnych zasobów Royal Air Force. Dowództwo RAF było zaniepokojone, a wśród pilotów zapanowało przekonanie, że niemieckie messerschmitty są szybsze i lepiej uzbrojone od maszyn brytyjskich. Jednak już dwa miesiące później piloci zauważyli nagle wyraźną poprawę osiągnięć swoich samolotów. Co się zmieniło? Otóż nad Francją Brytyjczycy używali jeszcze standardowej benzyny 87-oktanowej, ale w czasie bitwy o Anglię – już paliwa o klasę lepszego, mianowicie 100-oktanowej benzyny „lotniczej”, w większości importowanej z USA.

Jak potoczyła się dalej historia niemiecko-brytyjskich zmagani powietrznych, wiedzą wszyscy interesujący się drugą wojną światową. Książka Petera Vareya *100-octane. The story behind the fuel* opowiada o mniej znanych naukowych i technicznych kulisach tego alianckiego zwycięstwa.

Jest rok 1930, czas Wielkiego Kryzysu. W laboratorium firmy Universal Oil Products w Riverside koło Chicago pojawia się nowy pracownik, polski Żyd Herman Pines. Choć ma dyplom wyższej uczelni z Lyonu, jako imigrant świeżej daty musi zadowolić się podrzędnym stanowiskiem młodszego laboranta. Ma sprawdzać jakość benzyny produkowanej przez tę firmę.

Zmorą ówczesnej petrochemii była nadmierna ilość w paliwie tzw. olefin, czyli węglowodorów o podwójnych wiąźaniach węglowych, które

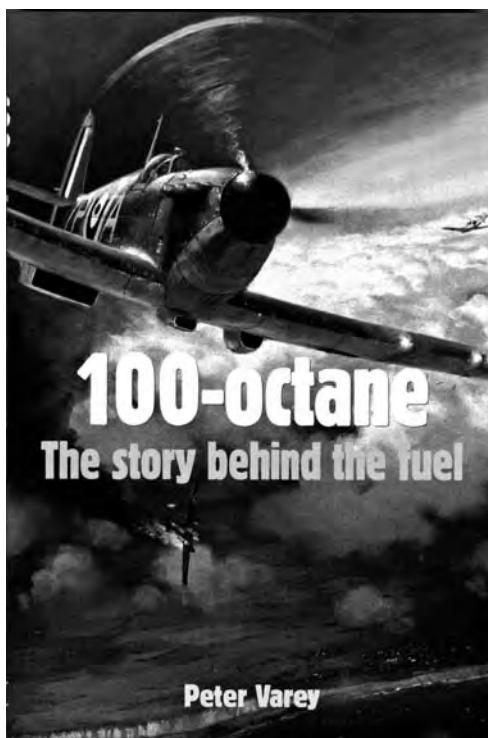
spalały się źle. Ich resztki osadzały się na tłokach i ściankach cylindrów jako tak zwany nagar. Znacznie lepiej palą się parafiny z wiązaniem pojedynczym. Stosowana przez Universal Oil Products metoda rutynowych testów polega na dolewaniu do probówek z benzyną stężonego kwasu siarkowego, który rozpuszcza same tylko olefiny, a parafiny pozostawia nietknięte. Probówkę odstawia się na noc, a rano mierzy ubytek olefin po kontakcie z kwasem.

Herman Pines dla zabicia czasu próbuje ustalić, jak dokładna jest metoda tego pomiaru. Pozostawia jedną z probówek na kolejny dzień i zauważa, że ilość benzyny zwiększyła się. Czyżby kwas siarkowy podziałał tu jak katalizator i rozpuszczone w kwasie olefiny przekształciły się w nowy związek? O swym przypuszczeniu mówi przełożonemu. Ten wzrusza tylko ramionami i każe laborantowi trzymać się dotychczasowej instrukcji.

Herman Pines wrócił do swej codziennej rutyny. Niedługo po tym wydarzeniu współpracę z Universal Oil Products nawiązał wielki chemik rosyjski, Władimir Ipatjew. Pojawił się problem – gość władał tylko językiem francuskim. Przypomniano sobie o laborancie z dyplomem z Lyonu, który mógł służyć Ipatjewowi jako tłumacz. Obaj szybko zorientowali się, że mogą rozmawiać po rosyjsku, bo Pines jako łodzianin znał ten język ze szkoły. Wkrótce stali się nierozłączni.

– Był moim mentorem, szefem, kolegą i zastępczym ojcem, wszystkim na raz. Byłem z nim od dnia, gdy pojawił się w UOP, aż do pogrzebu w 1952 roku – wspominał Herman Pines.

Gdy młody chemik nabrał wystarczającej śmiałości, powiedział Ipatjewowi o „dziwnym” zachowaniu olefin w kąpeli z kwasu. Ten natychmiast docenił znaczenie tej obserwacji. Wkrótce obaj uczeni opanowali sposób poprawy jakości benzyny z użyciem katalizatora.



Było to odkrycie na miarę wielu milionów dolarów. Nie dla Hermana Pinesa, ale dla UOP, który zaczął zarabiać na sprzedaży patentów. Łodzianin mógł pocieszać się tym, że wszedł do historii motoryzacji: ktośkolwiek odtąd tankował na stacji benzynowej benzynę wysokooktanową, tę możliwość zawdzięczał właśnie jemu. Jego odkrycie miało też ogromne znaczenie militarne. W momencie gdy Shell zaczynał produkować na dużą skalę 100-oktanową benzynę lotniczą na podstawie patentu UOP, wojska III Rzeszy wchodziły do Wiednia. Rząd brytyjski bardzo zabiegał o to paliwo, ale wtedy na przeszkodzie stanęło embargo amerykańskie – władze USA prowadziły początkowo politykę izolacjonistyczną. Dopiero po upadku Francji prezydent Franklin D. Roosevelt zezwolił na wysyłanie po cichu benzyny Brytyjczykom. Dopłynęła do Anglii dosłownie w ostatniej chwili.

Gdy Herman Pines dokonał swego największego odkrycia, miał 29 lat – urodził się 3 stycznia 1902 roku w Łodzi. Jego ojciec Izaak Pines handlował towarami włókienniczymi, rodzina mieszkała przy ulicy Wschodniej 23. W wieku 11 lat Gienik, jak zdrobniano w rodzinie jego imię, wstąpił do Szkoły Zgromadzenia Kupców przy ulicy Dzielnej (ob. Narutowicza). Zachowany w Archiwum Państwowym dziennik klasowy dowodzi, że był uczniem mniej niż średnim – musiał wielokrotnie poprawiać dwójki po wakacjach i zostawiono go na drugi rok w piątej klasie. W dzienniku widać, że było wielu uczniów lepszych od niego. Historia jednak o nich milczy.

Po maturze Herman Pines zamierzał studiować chemię na Politechnice Warszawskiej, ale nie został przyjęty. Uważał do końca życia, że to z powodu dyskryminacyjnych limitów, czyli *numerus clausus* dla Żydów. Wylądował na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie studiował przez dwa lata. W 1924 roku przeniósł się do École Supérieure de Chimie Industrielle w Lyonie. Dyplom uzyskał w 1927 roku, pół roku później popłynął do USA. W Polsce zostali jego rodzice i bracia – Józef, Beniamin i Julian.

Nie zobaczył ich już więcej. Ojciec zmarł jeszcze przed wojną, resztę rodziny pochłonęła Zagłada. Julian utknął w Łodzi i zginął w Chełmnie lub Oświęcimiu, a pozostali bracia wraz z matką trafili do getta warszawskiego. Herman utrzymywał korespondencję z Józefem. W ostatnim liście z marca 1941 roku brat napisał mu, że jest głodny, wychudzony i ma wrzody żołądka. Odtąd nie było już żadnej wiadomości.

Herman Pines włączył się jako chemik do walki z III Rzeszą. Wraz z całym zespołem uczonych z Chicago badał na zlecenie władz wojskowych skład benzyny przechwyconej od wroga. Wyniki analizy dawały wskazówki, jaką techniką i z jakich surowców paliwo to zostało wyprodukowane. To z kolei pomagało ustalić, którą niemiecką lub rumuńską rafinerię należy zbombardować w pierwszej kolejności.



Czuł się Amerykaninem, a do kraju pochodzenia miał stosunek niechętny. Wobec polskich chemików odwiedzających Northwestern University, gdzie pracował, zachowywał się jednak bez zarzutu. (Skądinąd wiem, że utrzymywał kontakty naukowe z łódzkimi uczonymi, np. z prof. Janem Michalskim z Centrum Badań Molekularnych i Makromolekularnych PAN. Przyjął też na roczny staż dr. Andrzeja Zwierzaka, obecnie emerytowanego profesora Politechniki Łódzkiej).

Przyjechał do Polski w 1963 roku na zaproszenie prof. Tadeusza Urbańskiego z Politechniki Warszawskiej. Wtedy też odwiedził Łódź. Zaprowadzono go pod dom na Bałutach, gdzie w czasach istnienia getta mieszkał jego brat Julian. Po powrocie do USA powiedział, że jeden pobyt w Polsce mu wystarczy. Mawiał z ironią, że powinien być wdzięczny przedwojennym władzom Politechniki Warszawskiej za stosowanie zasady *numerus clausus*, bo gdyby nie ona, pozostałby w kraju i zginął z niemieckich rąk.

Tematem książki Petera Vareya są dzieje benzyny lotniczej, więc historię Hermana Pinesa i jego rodziny poznajemy niejako przy okazji, podobnie jak biografie innych osób, których prace były użyteczne. Barwną postacią był Francuz Eugène Houdry, dziedzic fortuny fabrykanckiej, który zainteresował się wysokooktanową benzyną jako amator wyścigów samochodowych i kierowca szybkiego bugatti. Choć pracował w sposób mniej naukowy niż Pines i Ipatjew, metodą prób i błędów doszedł do godnych uwagi rezultatów. Wpadł też na pomysł katalizatora samochodowego wiążącego zanieczyszczenia ze spalin, czym jeszcze od innej strony wszedł do historii motoryzacji.

Nietypowe były losy Władimira Ipatjewa. Chemik ten zasłużył się rządowi rosyjskiemu w czasie pierwszej wojny światowej, rozwijając przemysł chemiczny, za co awansowano go do stopnia generała. Po rewolucji oddał swój talent na użytek państwa sowieckiego. Gdy jednak pod koniec lat 20. zauważył złowróżbne zainteresowanie jego osobą ze strony tajnej służby GPU, postanowił uciec. W czerwcu 1930 roku przekonał władze, że musi pojechać wraz z żoną na ważną konferencję w Berlinie. Jest prawie pewne, że w ten sposób ocalił wolność, jeśli nie życie. Jego syn, profesor Uniwersytetu Leningradzkiego, publicznie potępił ojca, co i tak nie uchroniło go od łagru.

Budzi szacunek praca, którą Peter Varey wykonał w Polsce, Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, gromadząc informacje archiwalne o swoich bohaterach i ich odkryciach. Imponująca jest też lista jego rozmówców i korespondentów. Są na niej m.in. Jeffrey Levin, wnuk Hermana Pinesa, Tom Neil, as lotnictwa myśliwskiego RAF, Jeffrey Bricker z Chicago, szef działu badawczego koncernu UOP oraz Andriej Czerkasow, krewny Władimira Ipatjewa z Sankt Petersburga. Co więcej, książka jest świetnie napisana – autor umiał zamienić nawet fragment historii chemii w ciekawą opowieść o ludziach i czasach.

Paweł Spodenkiewicz
– pisarz, publicysta, dziennikarz

Peter Varey, *100-octane. The story behind the fuel*, Cambridge 2017.

Władysław Strzemiński. Nieznane fakty z życia znanego artysty

Muzeum Sztuki w Łodzi wydało w bieżącym roku opracowanie *Władysław Strzemiński. Zawsze w awangardzie. Rekonstrukcja nieznannej biografii 1893–1917* autorstwa Iwony Luby i Ewy Pauliny Wawer. Autorki pierwotnie zamierzały napisać pracę poświęconą życiu i twórczości Katarzyny Kobro, żony Strzemińskiego, i w tym celu udały się na przeszukiwanie archiwów rosyjskich. Dokonując jednak kwerendy dokumentów zgromadzonych w Państwowym Archiwum Federacji Rosyjskiej oraz w Rosyjskim Państwowym Archiwum Wojskowo-Historycznym w Moskwie, a także w Rosyjskim Państwowym Archiwum Historycznym w Petersburgu, zmieniły całkowicie tematykę pracy. Natknęły się bowiem na do tej pory nieznane fakty z życiorysu jednego z najwybitniejszych przedstawicieli polskiej awangardy artystycznej.

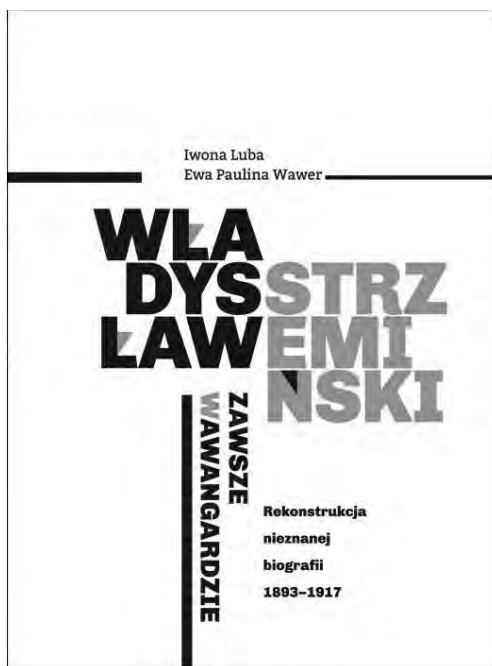
W rezultacie powstała niezwykle ciekawa książka, poprzedzona wstępem prof. dr hab. Marii Poprzęckiej. Historyczka sztuki stwierdziła, iż monografia autorstwa I. Luby i E. Wawer to: „rewelacyjna książka”. Wypada się tylko zgodzić z taką oceną.

Autorki skupiły uwagę na młodości Strzemińskiego i jego losach podczas pierwszej wojny światowej. Ale dlaczego tylko do roku 1917? Odpowiedź jest banalnie prosta – brak jest zachowanych dokumentów w archiwach. Strzemiński po amputacji prawej nogi i lewej ręki w 1917 roku „znika” z akt wojskowych, staje się cywilem. Wróci do Polski, a potem zamieszka w Łodzi, stając się jednym z najwybitniejszych malarzy i teoretyków sztuki polskiej awangardy okresu II Rzeczypospolitej.

Ciekawe, czy gdyby nie jego kalectwo, nie kontynuowałby kariery wojskowej w niepodległej Polsce jak wielu innych Polaków zaprawionych wcześniej w służbie rosyjskiej armii? Był przecież saperem – absolwentem elitarnej uczelni oficerskiej, jaką była Mikołajewska Szkoła Inżynieryjna w Petersburgu. Wcześniej ukończył 3 Moskiewski Korpus Kadetów Impe-

ratora Aleksandra II, wysłany tam już jako dziecko przez ojca Maksymiliana, podpułkownika piechoty rosyjskiej. Zaletą pracy jest to, iż pisząc o postaci Strzeмиńskiego, panie Luba i Wawer przedstawiają bohatera swej książki na bogatym tle ówczesnego życia społeczno-politycznego Rosji. Wyjaśniły też wiele nieścisłości podawanych przez autorów wcześniejszych prac. Sprostowały chociażby błędną ocenę postawy Strzeмиńskiego dokonaną przez Christinę Lodder: „Choć etnicznie był Polakiem, jego znajomość języka była dość słaba i prawdopodobnie nie wychowano go w duchu gorliwego polskiego patriotyzmu”¹. Autorka myli całkowicie szkołę kadetów z wyższą uczelnią wojskową, zarzucając Strzeмиńskiemu całkowicie niesłusznie, iż w Moskwie „przeziąknął wartościami tej instytucji [to jest korpusu kadetów] i lojalnością wobec cara”². Przypomnę, iż rozpoczynali służbę wojskową w armii rosyjskiej tacy oficerowie, jak gen. Józef Dowbór-Muśnicki – później dowódca I Korpusu Polskiego w Rosji i dowodzący siłami polskimi w powstaniu wielkopolskim, gen. Stanisław Nałęcz Małachowski – w maju 1926 roku dowodzący 10 Dywizją Piechoty w Łodzi, który poparł Józefa Piłsudskiego, choć nie wywodził się z Legionów Polskich. Carskimi oficerami byli także gen. Lucjan Żeligowski – w 1920 roku dowodzący 10 Dywizją Piechoty czy gen. Juliusz Rómmel – w 1939 roku dowódca Armii „Łódź”.

Najczęściej powody wyboru służby w armii rosyjskiej były natury bardzo prozaicznej. Decydowały o tym względy ekonomiczne. Dla wielu przedstawicieli zubożałej szlachty była to szansa na ułożenie sobie życia. Wielu Polaków wybierało służbę we flocie wojennej, dawała ona możliwość poznania świata, a także gwarancję, iż w razie kolejnego polskiego powstania nie będą walczyli z rodakami. Przykładem takiego działania jest chociażby gen. Jerzy Wołkowicki, rosyjski bohater bitwy w cieśninie Cuszima. Karierę wojskową zakończył jako zastępca dowódcy 6 Dywizji Piechoty Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR gen. Władysława Andersa. Wracając do postaci Strzeмиńskiego:



recenzje

służbę wojskową rozpoczął w korpusie kadetów w 1904 roku w wieku 11 lat. Nie była to zapewne jego decyzja, tylko ojca przyszłego artysty – carskiego oficera. Zresztą korpusy kadetów dzięki reformie z 1882 roku zapewniały wysoki poziom nauki, co ułatwiało późniejszy start na studia wyższe. Służyło w nich wielu Polaków.

W 1911 roku Strzemiński zaczął uczęszczać do Mikołajewskiej Szkoły Inżynieryjnej. Szkoła ta – przemianowana następnie na Akademię, była jedną z najlepszych szkół wyższych w Rosji. Autorki książki słusznie powołują się na opinię jednego z wybitnych polskich oficerów, płk. inż. Wacława Abramowskiego, autora wielu opracowań z teorii wojskowości, oficera służącego m.in. w 1 Pułku Saperów Legionowych³. W tym miejscu muszę jednak zwrócić małą uwagę, iż w nomenklaturze wojskowej podaje się najpierw stopień wojskowy, a potem tytuł: a więc nie powinno się pisać „inżynier pułkownik”, jak czynią to konsekwentnie autorki.

Strzemiński, aby się dostać do Mikołajewskiej Szkoły Inżynieryjnej, musiał mieć bardzo dobre wyniki w szkole kadetów, lepsze od swoich kolegów Rosjan i Niemców. Polacy jako katolicy nie zawsze byli tam przyjmowani. Jednym z tych, których zaledwie po kilku dniach nauki musieli opuścić Szkołę Inżynieryjną był przyszły generał Wojska Polskiego Kazimierz Pławski, który w armii carskiej doszedł do stopnia pułkownika. Ze Szkoły Inżynieryjnej przesłano go do szkoły piechoty. Być może Strzemińskiemu pomogło to, iż był już synem carskiego oficera.

Młody Strzemiński zaraz po ukończeniu studiów w lipcu 1914 roku dostaje przydział do 6 Syberyjskiego Batalionu Saperów. Przed nim bardzo trudna i niebezpieczna służba frontowa. 4 sierpnia zostaje młodszym oficerem w 1 Osowieckiej Fortecznej Kompanii Saperów. Osowiec to niezwykle ważna twierdza w systemie obronnym Rosji. Bogusław Perzyk, autor opracowania o Osowcu, wręcz twierdzi, iż była na wschodnim froncie jedynym odpowiednikiem francuskiego Verdun⁴. Strzemiński od samego początku służby w tej ryglującej pozycji twierdzy zapowiada się na zdolnego i odważnego oficera. Szybko zdolności młodego oficera ocenił komendant twierdzy, gen. mjr Mikołaj Brzozowski, wcześniej dowodzący artylerią forteczną Osowca.

Do czasu opublikowania książki Luby i Wawer podawano za wspomnieniami Niki Strzemińskiej, córki naszego bohatera, iż w nocy z 6 na 7 maja 1915 roku doszło do tragicznego wypadku: „Własny żołnierz, wychodząc z sąsiedniego okopu, potknął się i odruchowo rzucił trzymany w rękę odbezpieczony granat, który wpadł do rowu, gdzie wraz ze swoimi podkomendnymi był mój ojciec. [...] Ojcu amputowano prawie dwie trzecie prawego uda i prawie połowę lewego przedramienia. Ciało pokrywały liczne rany po mniejszych odłamkach. Jeden z nich uszkodził mu oko”⁵.

Nika Strzemińska urodziła się w 1936 roku, a gdy miała 11 lat ojciec wyprowadził się z domu. Stosunki Strzemińskiego z żoną zaczęły się psuć już w latach 30., kiedy obydwójce zamieszkali w Łodzi. Wymowny jest sam tytuł książki ich córki: *Sztuka, miłość i nienawiść*. Piszę o tym dlatego, że prawdopodobnie Nika Strzemińska nie rozmawiała o rzekomym wypadku z ojcem. Rzekomym, bo w świetle zgromadzonego materiału w archiwach rosyjskich Strzemiński do 1917 roku cały czas był w czynnej służbie.

Właściwie to przesądza o odrzuceniu wersji córki. Dodajmy jeszcze i to, że żaden żołnierz nie chodzi z odbezpieczonym granatem. Po odbezpieczeniu rzuca się go w stronę nacierającego wroga, a Nika Strzemińska nie wspomina, że doszło wówczas do jakiejś walki.

Autorki, konsultując sprawy medyczne z Marią Turoś⁶, napisały, że gdyby okaleczenia Strzemińskiego rzeczywiście były efektem wybuchu granatu, musiałby on odnieść także inne obrażenia, głównie organów wewnętrznych.

Całą zaś sprawę przesądza fakt, iż od 18 maja Strzemiński czasowo pełnił obowiązki starszego oficera 2 Osowieckiej Kompanii Saperów. Skonstruował nawet miotacz min, co z uznaniem odnotowano w Dzienniku działań bojowych Osowieckiego Fortecznego Pułku Piechoty.

6 sierpnia 1915 roku Niemcy rozpoczęli atak na Osowiec, wykorzystując broń chemiczną. Był to chlor z domieszką bromu. Niemcy, nie mogąc uzyskać powodzenia ostrzałem artyleryjskim i szturmami piechoty, rankiem użyli gazów bojowych. Rosjanie w tym czasie nie mieli na wyposażeniu masek i wskutek ataku gazowego ponieśli ogromne straty. Na Pozycji Sośnieńskiej trzy kompanie zostały zagazowane: w jednej pozostało 40 żołnierzy, na Pozycji Las Białogrody z trzech kompanii pozostało tylko 60 żołnierzy i dwa karabiny maszynowe. W odległości 12 km od miejsca wypuszczenia gazów we wsiach Żodzie, Owieczki i Kramkówka Mała ofiarami byli także cywile. Jednak szturm twierdzy siłami siedmiu batalionów Landwehry (ok. 7 tys. żołnierzy) nie przyniósł Niemcom powodzenia⁷.

Podczas tych walk bohatersko zachował się Strzemiński, przejmując dowodzenie kompanią od śmiertelnie ранego dowódcy i podrywając żołnierzy do kontrataku. 6 sierpnia 1915 roku został zatruty gazem i dostał postrzał w górną część prawego ramienia. O jego bohaterstwie pisano na łamach wojskowej prasy rosyjskiej w 1916 roku. Trzeba jednak przyznać, iż sam milczał o swych bojowych dokonaniach. Awansowany do stopnia porucznika, kolejne miesiące na froncie spędził w okopach i ziemiankach z tą samą 2 Osowiecką Kompanią Saperów w Puszczy Nabolickiej. Wprawdzie nie osiem, jak podają autorki, a tylko niecałe sześć miesięcy, od 24 września 1915 roku do 20 marca następnego roku. Potem w dokumentach jest luka,

a w rosyjskich aktach wojskowych wymieniany jest w 1917 roku jako porucznik 39 Samodzielnej Kompanii Saperów oraz Inżynierskiej Kompanii 1 Kaukaskiej Dywizji Grenadierów.

Prawdopodobnie w 1918 roku amputowano mu kończyny. Według Marii Turowskiej było to wynikiem zatrucia chlorem 6 sierpnia 1915 roku: „Chlor rozpuszczony w rosie w zetknięciu z metalem, a potem z ludzkim ciałem, mógł także doprowadzić do powstania niewielkiej rany oparzeniowej zbagatelizowanej początkowo przez Strzebińskiego i służby medyczne”⁸. Zdaniem tej znawczyny medycyny wojskowej „Strzebiński nie zmarł na gruźlicę, oficjalnie uznaną za przyczynę jego zgonu w grudniu 1952 roku, lecz na ogólnoustrojowe skutki niewydolności oddechowej związanej z zatruciem chlorem”⁹. To oczywiście tylko luźna hipoteza, bo trudno zakwestionować fakt, iż artysta na gruźlicę rzeczywiście zachorował.

Dlaczego Strzebiński nie wracał we wspomnieniach do wydarzeń pierwszej wojny światowej? Sprawa jest prosta. Wielka Wojna z lat 1914–1918 odbiła się powszechną traumą. Wystarczy tylko poczytać wspomnienia takich pisarzy, jak John Tolkien, Guillaume Apollinaire czy Erich Remarque. Mało znany jest fakt, że w drugiej wojnie światowej zginęło mniej żołnierzy niż w latach 1914–1918. W drugiej wojnie światowej zginęło więcej ludności cywilnej, ale to było już efektem zbrodni masowego ludobójstwa.

Konrad A. Czernielewski
– historyk wojskowości,
Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi

Przypisy:

- ¹ Ch. Lodder, *Made in Russia: Strzebiński i rosyjska awangarda* [w:] *Powidoki życia. Władysław Strzebiński i prawa do sztuki*, red. J. Lubiak, Łódź 2012, s. 161.
- ² Tamże.
- ³ W. Abramowski, *Wyższe wykształcenie wojskowo-techniczne w Rosji przedwojennej*, „Saper i Inżynier Wojskowy” 1923, nr 8.
- ⁴ B. Perzyk, *Twierdza Osowiec 1882–1915*, Warszawa 2004, s. 296–300.
- ⁵ N. Strzebińska, *Sztuka, miłość i nienawiść*, Warszawa 2001, s. 17.
- ⁶ M. Turowska jest historykiem medycyny wojskowej, lekarzem, członkiem Oddziału Stołecznego Stowarzyszenia Miłośników Dawnej Broni i Barwy.
- ⁷ B. Perzyk, dz. cyt., s. 269. Szerzej o użyciu broni chemicznej podczas pierwszej wojny światowej: K. Coleman, *A history of chemical warfare*, New York 2005; S. Jones, *World War I gas warfare tactics and equipment*, New York 2007.
- ⁸ I. Luba, E. Wawer, *Władysław Strzebiński – zawsze w awangardzie. Rekonstrukcja nieznanego biografii 1893–1917*, Łódź 2017, s. 231.
- ⁹ Tamże, s. 236.

Fot. dzięki uprzejmości wydawcy

Mroczne oblicze Łodzi pierwszej połowy XX stulecia

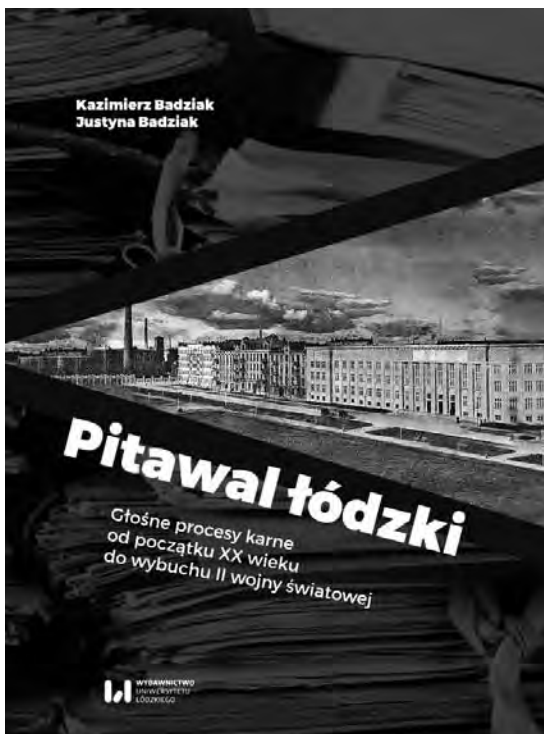
Pitaval miasta kominów

recenzje

Opublikowana w 2017 roku nakładem Wydawnictwa Uniwersytetu Łódzkiego książka pióra Kazimierza i Justyny Badziaków poświęcona została najgłośniejszym, najbardziej spektakularnym sprawom karnym rozpatrywanym przez łódzką Temidę w pierwszej połowie XX wieku. Należy od razu zauważyć, iż zarówno sam temat, jak i cezury czasowe opracowania zostały przez jego autorów trafnie określone. Zagadnienie głośnych spraw karnych prowadzonych przez łódzkie sądownictwo nie stało się bowiem jak dotąd przedmiotem bardziej wnikliwych studiów historycznych czy prawniczych. Recenzowana książka może zatem uzupełnić lukę w historiografii odnoszącej się do dziejów „polskiego Manchesteru” w minionym stuleciu.

Recenzowana książka – poprzedzona wstępem (uzasadniającym wybór problematyki, charakteryzującym konstrukcję pracy i jej bazę źródłową oraz literaturę przedmiotu), a podsumowana zakończeniem zestawiającym zasadnicze wnioski badawcze zbudowana – została z czternastu obszernych rozdziałów, zgodnie ze sprawdzonym w historiografii kluczem chronologicznym – według kolejności spraw. We wprowadzeniu do tematu autorzy zawarli ogólną charakterystykę rozwoju prawa karnego na obszarze Królestwa Polskiego w latach 1815–1918, a także w niepodległej Polsce do wybuchu drugiej wojny światowej. Drugi rozdział poświęcili sprawie zabójstwa Juliusza Kunitzera, wielkiego łódzkiego przedsiębiorcy, potentata włókienniczego, zwanego właścicielem fabrycznego Widzewa,. Trzeci – głośnemu napadowi terrorystycznemu (politycznemu?) na transport pocztowy w Łodzi z maja 1907 roku. W kolejnym – mordowi popełnionemu w gorącym okresie rewolucji 1905 roku na znanym łódzkim fabrykancie Mieczysławie Silbersteinie.

Następne rozdziały to głośne sprawy, które znalazły się na łódzkich wokandach w Polsce międzywojennej, takich jak zasztyletowanie prezydenta Łodzi Mariana Cynarskiego w 1927 roku, procesy wielkiej łódzkiej organizacji przestępczej w 1929 roku, prymitywnego zabójcy Stanisława Łaniuchy czy słynnego ojca chrzestnego łódzkiego żydowskiego półświatka Ślepego Maksa (określanego niekiedy w miejskiej legendzie mianem łódzkiego Janosika) i powiązanego z nim podinspektora policji Zygmunta Noska. Jest też opis procesu członków Stronnictwa Narodowego i jego sympatyków, oskarżonych o wywołanie brutalnych ekscesów antyżydowskich na łódzkich ulicach. Wreszcie autorzy przypominają sprawę dzieciobójczyni Marii Zajdłowej (zwanej przez prasę łódzką Gorgonową) z 1938 roku. Książkę zamykają – zgodnie z kanonem warsztatu historyka – bibliografia oraz indeksy: osób i nazw geograficznych.



Książka Kazimierza i Justyny Badziaków posiada dla osób interesujących się dziejami Łodzi wiele niewątpliwych atutów. Obok ciekawego, a pozostającego dotychczas poza spektrum zainteresowań dziejopisów tematu należą do nich: czytelna, logiczna konstrukcja, pasjonująca narracja, umiejętnie łącząca prezentację interesujących faktów historycznych z opiniami i ocenami, oraz harmonijnie wplecionymi w tekst, celnie dobranymi cytatami, stanowiącymi ilustrację odautorskiego wywodu, a wreszcie – wysoki poziom umiejętności warsztatowych autorów. Wyraża się to m.in. w poprawnie, w sposób przejrzysty przygotowanym aparacie przypisów i odsyłaczy oraz w bardzo rzetelnej korekcie. Dowodem rzetelności naukowej Kazimierza i Justyny Badziaków jest również obszerna baza źródłowa i literatury przedmiotu, którą uczynili podstawą swych rozważań i wniosków. Wykorzystali oni dokumenty archiwalne, źródła drukowane, tytuły prasowe z epoki, wreszcie

liczne opracowania. Atrakcyjności łódzkiemu Pitavalowi dodaje zbiór ilustracji (zdjęcia i szkice z epoki), odnaleziony przez autorów w archiwach, aktach sądowych i prasie.

Tym, co czyni tę książkę wyjątkowo atrakcyjną dla czytelników, jest także sama jej tematyka. Bezwzględni polityczni terroryści czy szlachetni socjaliści, bojownicy o społeczną sprawiedliwość? Pospolici, pozbawieni skrupułów mordercy czy zdesperowani proletariusze? Porządni, niesłusznie prześladowani przez policję i wymiar sprawiedliwości obywatele czy perfidni mafiosi? Uczciwi przedsiębiorcy czy zimnokrwisti oszuści? Ideowcy czy zwykli bandyci wymachujący narodowym sztandarem? Bezwzględni socjopaci czy godne pożałowania ofiary kryminogennego środowiska? Te i inne dylematy musiały rozstrzygać łódzkie sądy w pierwszej połowie XX wieku, najpierw funkcjonując jako element w mechanizmie zaborczego, rosyjskiego aparatu prawnego, a następnie w niepodległej II Rzeczypospolitej. Zamachy bombowe, zabójstwa polityczne i pospolite, planowane z zimną krwią i w afekcie, mordy, których ofiarą padali mężczyźni, kobiety i dzieci, zuchwałe napady, kradzieże, wymuszenia i oszustwa...

Ta mroczna strona Łodzi (z kart historycznych znanej przede wszystkim jako „ziemia obiecana” czy „polski Manchester”, a zatem imponującą dynamiką rozwoju ośrodek przemysłu włókienniczego w imperium Romanowów w okresie *belle époque*, miasto czterech kultur czy tygiel narodów, czyli wieloetniczna, wieloreligijna i wielokulturowa metropolia przełomu XIX i XX stulecia) została przez autorów opisana w sposób doprawdy fascynujący.

Książce należy wystawić wysoką ocenę. Polska historiografia odnosząca się do dziejów Łodzi pod zaborami i w II Rzeczypospolitej wzbogaciła się o monografię bardzo udaną; solidnie zakotwiczoną w źródłach i dotychczasowej literaturze przedmiotu; prezentując mniej znany i rzadziej badany przez dziejopisów, a przecież interesujący aspekt dziejów społecznych miasta.

Przemysław Waingertner
– profesor historii Uniwersytetu Łódzkiego

Kazimierz Badziak, Justyna Badziak, *Pitaval łódzki. Głośnie procesy karne od początku XX wieku do wybuchu II wojny światowej*, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2017.

Fot. dzięki uprzejmości wydawcy

osiedla, domy, ulice

Ulica z bałuckim rodowodem

Franciszkańska

Dariusz Kędzierski

str. 233

Park im. Szarych Szeregów

Enklawa zadumy i wypoczynku

Andrzej Jankowski

str. 243

Ulica z bałuckim rodowodem

Franciszkańska

osiedla, domy, ulice

W czasie okupacji ulica Franciszkańska miała zmienioną nazwę na Franzstrasse, znalazła się na terenie getta i była jego najdłuższą ulicą. Przy Franciszkańskiej znajdowały się dwie z pięciu wartowni strzegących dostępu do zamkniętej przez nazistów dzielnicy żydowskiej w Łodzi. Jedna była usytuowana na początku ulicy w kordegardzie pałacu Biedermanów, druga natomiast znajdowała się na jej końcu, przy ulicy Okopowej.

Szlakiem tragicznej historii

W budynkach przy Franciszkańskiej okupant niemiecki umieścił wiele instytucji działających w ramach getta. I tak pod numerem 15, na rogu z ulicą Smugową, najpierw była szkoła, a od października 1941 roku funkcjonował tzw. kolektyw Praga II. Tu zwożono Żydów z czeskiej Pragi. Po wywózkach w 1942 roku do obozu zagłady w Chełmnie nad Nerem umieszczono w tym miejscu resort bieliźniarski i odzieżowy.

Idąc dalej ulicą, dostrzemy do budynków, z których okupant usunął mariawitów. Tu znajdowała się komenda I Rewiru Policji Żydowskiej, Służby Porządkowej, Wydział Szkolnictwa, Sąd Przyspieszony, a także dwie szkoły. Szkoły były umieszczone zarówno w budynku frontowym, jak i w oficynie. Początkowo działało tu osiem klas na trzech piętrach głównego budynku oraz w podwórzu. Jesienią 1941 roku szkoły musiały zawiesić działalność, gdyż umieszczono tam Żydów przywożonych z Pragi. Pisarz Arnold Mostowicz, wówczas lekarz łódzkiego getta wspomina: „Pomariawicki gmach zapchany był przesiedleńcami. Zarówno w dużych salach, jak i w pomieszczeniach mniejszych ustawiono setki dwupiętrowych prycz, zbitych z nieheblowanych desek. Prycze stały obok siebie tak blisko, że przejść między nimi można było jedynie bokiem. Wszystkie kąty, miejsca pod pryczami, między pryczami i na pryczach zajęte były przez walizy, torby, pakunki, tłumoki, po-

ściel, suszącą się bieliznę, garnki, puszki z konserwami, talerze, garderobę. Aż dziw, że mogło tu się jeszcze znaleźć miejsce dla ludzi”.

Dzieci żydowskie już nie powróciły do normalnego trybu nauki. Od maja 1942 roku umieszczono tam resort krawiecki, na wyższych piętrach natomiast znajdowały się mieszkania.

Idąc dalej, zbliżamy się do dawnego kina Bajka. Żydzi urządzili sobie w tym budynku dom modlitwy. W miejscu tym modlono się oraz organizowano uroczystości religijne. Przez jakiś czas znajdowała się tam kuchnia i stołówka dla młodzieży. Gdy w 1941 roku rozpoczęły się transporty Żydów z Europy Zachodniej, przejściowo umieszczano ich również w tym miejscu.

Po przeciwnej stronie ulicy, pod numerem 30, znajdowała się synagoga, przeznaczona dla Żydów ortodoksyjnych. Funkcjonowała tu również kuchnia gminna, a po wrześniu 1942 roku w miejscu tym umieszczono Wydział Odzieżowy.

Ślad rodziny Biedermanów

Ulica Franciszkańska to nie tylko mroczne czasy okresu okupacji, ale i fragment historii Łodzi przemysłowej. Skrzyżowanie ulic Północnej z Kilińskiego i Franciszkańską to imperium rodziny Biedermanów. Na ziemi polskiej przybyli oni z Niemiec jeszcze w XVIII wieku. Robert Biederman, z wykształcenia farbiarz, osiadł w Łodzi. Na otrzymanych w wieczystą dzierżawę gruntach, postawił swoją farbiarnię. Oficjalna data jej uruchomienia to 1 marca 1863 roku. Na początku lat 70. XIX wieku zmodernizował istniejący już zakład, a w 1879 roku kupił od Teodora Kundela farbiarnię, znajdującą się po przeciwnej stronie ulicy Widzewskiej (obecnie ul. Kilińskiego). Po piętnastu latach pobytu w mieście Robert Biederman postanowił wybudować na swoich terenach fabrycznych okazały budynek mieszkalny dla swojej, dosyć licznej, rodziny. Projekt architektoniczny jednopiętrowego domu wykonał Hilary Majewski. Była to prostokątna budowla w stylu wzorowanym na włoskim renesansie. Dom rodzinny wybudowany przez Roberta Biedermana przypominał siedzibę zamożnych mieszczan niemieckich i zdecydowanie różnił się od bogato zdobionych pałaców budowanych przez łódzkich przemysłowców.

Prawdziwy pałac wybudował dla siebie i swojej drugiej żony, Marty Anny von Berens, syn Roberta Biedermanna – Alfred. Budynek został wzniesiony w latach 1910–1912 naprzeciwko fabryki ojca, przy rogu ulic Franciszkańskiej i Północnej, w miejscu istniejącego tu wcześniej parterowego domu wybudowanego jeszcze przez Roberta. Należał on do typu willi wolnostojących, wznoszonych z dala od fabryk. Całość tworzyła zwartą bryłę o cechach modernistycznych, z nawiązaniem do architektury baroku.



osiedla, domy, ulice

Rzut przyziemia to blisko 1300 m². Do dziś w parku otaczającym pałac zachował się jeszcze stary drzewostan. Za drzwiami wejściowymi wszystkich tu wchodzących wita do dziś napis: „Salve”. Dawniej na parterze znajdowała się biblioteka z pięknym kominkiem i salon, na piętrze były zaś pokoje dla rodziny. W 1928 roku pałac uzupełniony został dobudowaną oranżerią. Ponieważ wybudowano go na krótko przed wybuchem pierwszej wojny światowej, nie wszystkie elementy, które wcześniej były zaplanowane, zostały dokończone. Tak było z zaprojektowanymi witrażami. Dopiero remont przeprowadzony przez Uniwersytet Łódzki – obecnego właściciela budynku – doprowadził do ich uzupełnienia.

Ostatnim właścicielem przedsiębiorstwa był drugi syn Roberta Biedermana, Bruno. Oficer rezerwy Wojska Polskiego, dwukrotnie odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi. Uważał się za Polaka, ale aby ratować fabrykę, po zajęciu Łodzi przez Niemców przyjął volkslistę. W styczniu 1945 roku, po oswobodzeniu miasta, eksmitowany z pałacu i fabryki Biederman zastrzelił żonę, córkę i popełnił samobójstwo. Jaka była bezpośrednia przyczyna tak desperackiego kroku, do końca nie wiadomo. Zgodnie z jego życzeniem on i rodzina zostali pochowani w ogrodzie przy pałacu.

Po wojnie w pałacu Biedermanów mieściło się przedszkole. W 1977 roku, podczas prowadzonych w ogrodzie prac ziemnych, natrafiono na szczątki trzech osób. Bez większego rozgłosu dokonano wtedy ponownego pochówku w rodzinnym grobowcu na cmentarzu przy ulicy Ogrodowej.

Na przeciwko pałacu, po drugiej stronie ulicy Franciszkańskiej, znajduje się zabytkowa krańcówka tramwajowa i park Staromiejski. Do początku lat 50. ubiegłego wieku dużą niedogodnością dla pasażerów była niemożność kursowania tramwajów miejskich na części trasy tramwajów podmiejskich i odwrotnie. Wcześniej linie te obsługiwały dwa różne przedsiębiorstwa – Towarzystwo Kolei Elektrycznej Łódzkiej oraz Łódzkie Wąskotorowe Elektryczne Koleje Dojazdowe – oczywiście każde z nich czerpało z tego zyski. Dopiero po wojnie zlikwidowano ten podział. I tak tramwaje do Zgierza, Ozorkowa, Lutomierska czy Aleksandrowa nie kończyły swojej trasy na Brusie czy Helenówku, lecz wjeżdżały do miasta i objeżdżały plac Wolności, często przeszkadzając tramwajom miejskim okrążającym ten plac. W 1951 roku krańcówkę tramwajów podmiejskich przeniesiono do nowo zbudowanej pętli tramwajowej przy ulicy Północnej, obok skarpy staromiejskiej. W oddanym do użytku ładnym modernistycznym budynku znajdowała się kasa, poczekalnia oraz bufet. W 2004 roku krańcówkę tę jednak zamknięto i przestała pełnić swoją funkcję.

Osiem lat później niszczący obiekt miasto przekazało Łódzkiej Okręgowej Izbie Architektów. Obecnie budynek prezentuje się okazale, gdyż nowy właściciel obiekt starannie wyremontował. Torowisko zostało zachowane, tak więc krańcówka w każdej chwili może pełnić swoją dawną funkcję.

Park Staromiejski

Za zajezdnią, w kierunku północnym, roztaczają się tereny parku Staromiejskiego. Kiedyś był to tętniący życiem, gęsto zaludniony obszar. W 1825 roku, czyli w początkach budowy Łodzi przemysłowej, Komisja Rządowa Spraw Wewnętrznych zatwierdziła to miejsce jako „rewir żydowski”. Takie rewiry tworzone były w całej Europie, a w samym Królestwie Polskim było ich kilkadziesiąt. Żydzi zaczęli się tu stopniowo osiedlać. Postawili własną synagogę – najpierw drewnianą, a później murowaną. Podejmując decyzję o takim usytuowaniu „rewiru”, władze miały nadzieję, że trudniący się głównie handlem Żydzi szybko zagospodarują ten teren i zabudują go domami murowanymi. Zakładano, że nastąpi szybkie urbanistyczne połączenie Starego Miasta z dopiero co tworzoną Nowym Miastem.

Niestety, obszar ten był zamieszkały przez żydowską biedotę, której nie było stać na spełnienie warunków do tego, aby móc osiedlić

Ulica Franciszkańska



Róg ulic Północnej i Franciszkańskiej, dawny pałac Roberta Biedermana,
obecnie Uniwersytet Łódzki



Róg Kilińskiego i Północnej, pałac rodziny Roberta Biedermana,
obecnie siedziba firmy „Atlas”



Krańcówka Tramwajowa przy ulicy Północnej, obecnie siedziba
Łódzkiej Okręgowej Izby Architektów



Park Staromiejski, potocznie zwany „śledzia”



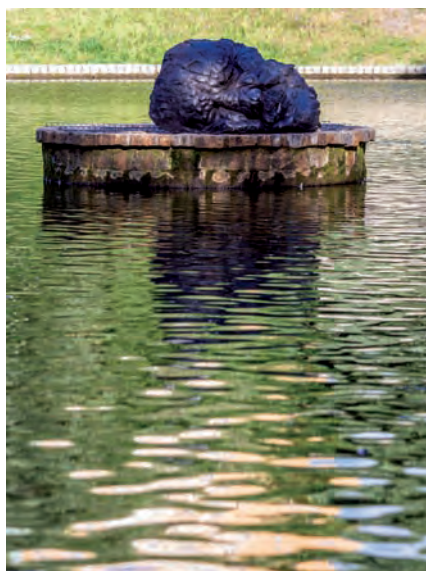
Pomnik Aleksandra Kamińskiego



Pomnik Dekalogu



Publiczne stoliki szachowe



„Głowa Jana Chrzciciela”



ul. Franciszkanska 17/25, Regionalne Centrum Krwiodawstwa i Krwiolecznictwa w Łodzi



ul. Franciszkańska 28, parafia kościoła Starokatolickiego Mariawitów w Łodzi



ul. Franciszkańska 15



Widok na kamienicę przy
ul. Franciszkańskiej 29



ul. Franciszkańska 30



ul. Franciszkańska 31a, dawny budynek kina Bajka



ul. Franciszkańska 76/78, Wydział Sztuk Wizualnych Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi



Róg ulic Franciszkańskiej i Rysowniczej



ul. Franciszkańska 77



Bloki w okolicach zbiegu ulic Franciszkanskiej i Rysowniczej



Widok na wlot ulicy Franciszkańskiej w Inflancką



Widok na ulicę Franciszkańską w kierunku południowym

Fot. Stefan Brajter

się poza „rewirem”. Jednocześnie liczba ludności żydowskiej systematycznie rosła, obszar rewiru natomiast się nie powiększał. Ludzie mieszkali tu wszędzie; w piwnicach i na strychach, w ogromnym ścisku. O tym, jak szybko rosła ludność Łodzi, w tym liczba ludności żydowskiej, niech świadczy fakt, iż w momencie budowy pierwszej synagogi, w roku 1809, Żydów była ledwie setka, a 90 lat później było ich już prawie 100 tysięcy. W miejscu tym funkcjonował również tzw. *Szachermak*, czyli wielki targ starzyzną: można było tu kupić lub sprzedąć stare buty, zniszczone ubrania, różne przedmioty codziennego użytku. Na pozostałej części handlowano żywnością: oferowano chleb, mięso, ryby, głównie śledzie – to wszystko w warunkach sanitarnych urągającym wszelkim normom. Targ należał do żydowskiego Dozoru Bożniczego. Były plany, aby cały ten teren zniwelować, zasypać ziemią i obsadzić drzewami. Planów tych jednak nie zrealizowano. Likwidacja setek straganów pozbawiłaby tysiące ludzi jedyne źródło utrzymania, a właściciele placów dochodów z ich dzierżawy.

Tego, czego nie zrobiono przed wojną, dokonano w czasie okupacji. Niemcy zrównali cały ten teren z ziemią, a ludność żydowską zapędzono do utworzonego w północnej części Łodzi getta. Po zakończeniu działań wojennych na pozostawionym tu gruzowisku postanowiono urządzić park. W ten oto sposób Łodzi przybył park Staromiejski. Jego projektantem był inżynier Kazimierz Chrabelski. Szczególnie urozmaiconą pod względem ukształtowania terenu jest część wschodnia parku, a to ze względu na wyraźny spadek stoków doliny rzeki Łódki, przybierający w tym miejscu charakter skarpy wysokiej na trzy–cztery metry. Założenia urbanistyczne przewidywały, że teren ten będzie miejscem zabaw ludowych, manifestacji i uroczystych pochodów. Założeniom tym podporządkowany został plan przestrzenny parku. Urządzono ogromne place, przeprowadzono kilka prostopadłych, szerokich traktów stanowiących o przelotowości parku. Później okazało się jednak, że park nie spełnia zakładanych wcześniej funkcji. Nieużytkowane place zostały w 1955 roku częściowo zadrzewione. Ponad setkę drzew przywieziono aż ze Szczecina. Były to dorosłe okazy, pozyskane z dużą bryłą korzeniową, dzięki czemu przyjęły się w tym ubogim gruncie.

W parku nazywanym potocznie „parkiem śledzia” znajduje się staw na rzece Łódce, zegar słoneczny, Pomnik Dekalogu oraz pomnik Aleksandra Kamińskiego.

Strefa krwiolecznictwa

Wracamy na Franciszkańską. Pod adresem Franciszkańska 17/25 znajduje się Regionalne Centrum Krwiodawstwa i Krwiolecznictwa, obejmujące swym zasięgiem obszar całego województwa łódzkiego.

Historia leczenia krwią sięga starożytności. Już w starożytności królowie i faraonowie stosowali kąpiele z dodatkiem krwi. Krew była składnikiem wielu lekarstw. Pito ją także w czystej postaci, zarówno krew zwierząt, jak i ludzi, np. zabitych na arenie gladiatorów, w przekonaniu, że wzmocni ona chory organizm.

Pierwsze próby przetaczania krwi podjęto na przełomie XVI i XVII wieku. Ludziom przetaczano krew zwierząt. Niektóre takie transfuze kończyły się jakoby sukcesem, np. chłopcu, któremu wielokrotnie upuszczano krew w celach leczniczych, przetoczono krew jagnięcia, chłopiec zabieg przeżył i nawet wyzdrowiał. Pierwsze transfuze przeważnie kończyły się jednak śmiercią pacjentów, dlatego w wielu krajach ich zabroniono. W Polsce pierwszy przetoczył krew dr Biernikowski, który w latach 1825–1827 opublikował trzy prace na ten temat. Przełomowym wydarzeniem dla transfuzjologii było określenie grup krwi na początku ubiegłego wieku oraz odkrycie w 1940 roku czynnika Rh.

Początki krwiodawstwa i krwiolecznictwa w Polsce przypadają na lata międzywojenne. Pierwszy Ośrodek Przetaczania Krwi powstał w 1935 roku w Łodzi. W 1945 roku natomiast w naszym mieście powstała

Stacja Przetaczania Krwi PCK. Rozwój krwiodawstwa i krwiolecznictwa wymagał zacieśnienia współpracy, dlatego w latach 1950–1952 pod kierownictwem Łódzkiej Stacji Krwiodawstwa powstało wiele przyszpitalnych oddziałów, w których pobierano krew płatinie. Na początku lat 60. takie punkty działały już przy wszystkich szpitalach w Łodzi. W celu dalszego rozwoju krwiolecznictwa w połowie lat 50. opracowano dokumentację, a w 1962 roku oddano do użytku nowy budynek stacji krwiodawstwa przy ulicy Franciszkańskiej 17/25.



Pod koniec lat 60. zaczął się rozwijać ruch krwiodawstwa honorowego. Dzięki aktywności PCK i rzeszy honorowych krwiodawców w 1974 roku ilość krwi pobranej honorowo w okręgu łódzkim (12 tysięcy litrów) była większa od ilości krwi pobranej płatnie (osiem tysięcy litrów). Dziś się to zmieniło i jednym ze sposobów pozyskania nowych krwiodawców, a tym samym zwiększenia ilości uzyskanej krwi, jest tzw. Wampiriada. To akcja, w ramach której młodzież akademicka zachęcana jest do honorowego oddawania krwi. Pierwsza Wampiriada miała miejsce w Krakowie w 1999 roku. Od tamtego czasu akcje oddawania krwi organizowane są co roku niemal we wszystkich większych ośrodkach akademickich. W Łodzi podczas Wampiriady punkty pobierania krwi organizowane są bezpośrednio na uczelniach.

Mariawici

Za stacją krwiodawstwa, przy Franciszkańskiej 27, znajduje się budynek kościelny należący do mariawitów, a także mieści się siedziba diecezji pw. św. Franciszka z Asyżu. Mariawityzm narodził się w Polsce, a dokładnie w Płocku. Tam w 1893 roku zakonnica Feliksa Kozłowska doznała objawień i pod ich wpływem – wraz z duchownymi, którzy ją poparli – podjęła się misji uzdrowienia polskiego duchowieństwa. Początkowo wspólnota mariawicka działała w ramach Kościoła rzymskokatolickiego. W 1903 roku delegacja mariawitów udała się do Watykanu, aby wręczyć papieżowi prośbę o zatwierdzenie zgromadzenia. Niestety, reakcja Watykanu była zdecydowanie negatywna. Najpierw w 1904 roku Kongregacja św. Oficjum wydała dekret, na mocy którego Zgromadzenie Kapłanów Mariawitów miało być skasowane, dwa lata później natomiast papież Pius X podpisał encyklikę potępiającą mariawitów, a Feliksę Kozłowską, jako pierwszą kobietę, obłożył ekskomuniką większą. W takiej sytuacji Feliksa Kozłowska wraz z 33 duchownymi, siostrami i rosnącą szybko rzeszą wiernych postanowiła założyć odrębny Kościół.

W Łodzi pierwszą mszę mariawicką odprawiono w maju 1906 roku w kaplicy przy ulicy Widzewskiej 7 (obecnie ul. Kilińskiego), msze odprawiano również przy Pańskiej 74 (obecnie ul. Żeromskiego). W Łodzi działały również parafie z wzniesionymi przez mariawitów kościołami przy Nawrot 104, oraz przy Podleśnej 22 (obecnie ul. Marii Skłodowskiej-Curie).

Kościół przy Franciszkańskiej powstał w 1906 roku w rekordowym tempie, bo w niecałe dwa miesiące. Inicjatorem budowy świątyni był ks. Edward Marks. To on zakupił grunt i zastosował pewien wybieg wobec władz carskich. Występując o pozwolenie na budowę, zgłosił chęć postawienia magazynów na zboże – nie mógł wystąpić oficjalnie o zgodę na budowę świątyni, gdyż Kościół mariawitów nie był zarejestrowany. Projektantem świątyni był architekt miejski Franciszek Chełmiński. Powstał budynek jednonawowy,

z arkadowymi oknami i dwuspadowym dachem oraz wieżą.

Ksiądz Edward Marks propagował nowy model apostołstwa, który zakładał osobistą skromność, ubóstwo kleru, żarliwość religijną, a także wrażliwość na potrzeby innych. Wszelkie posługi duszpasterskie były bezpłatne lub „co łaska”. W budynku parafialnym działała drukarnia, piekarnia, szkoła, była także wytwórnia kołder i wód gazowanych. Duchowni mariawiccy mocno angażowali się w pomoc ubogim i potrzebującym – a tych było niemało. Parafia znajdowała się przecież na terenie biednych Bałut i osób w potrzebie było bez liku. Nic więc dziwnego, że grupa wiernych powiększała się, a ksiądz Marks cieszył się ogromnym szacunkiem.

W czasie drugiej wojny światowej kościół znalazł się na terenie getta. Mariawici musieli opuścić to miejsce, a w świątyni władze okupacyjne urządziły magazyn. Po wojnie wierni i duchowni wrócili do swojego kościoła. Wspólnymi siłami przeprowadzili prace remontowe. Zainstalowali organy, a na wieży powiesili nowy dzwon. Obecnie przy kościele działa orkiestra dęta, chór, a także Forum Dyskusyjne Inteligencji.

Kino Bajka

Za „mariawitami” znajduje się market – kiedyś był to budynek kina Bajka. W latach 1926–1928 nastąpił w Łodzi istny wysyp nowych kin. Powstało ich w tym czasie 10, i to głównie na peryferiach miasta. Miały one swoją



publiczność – w większości niezamożną. Siłą rzeczy kina te miały skromny wystrój oraz tani repertuar, na który składały się głównie powtórki. Jednym z takich nowych obiektów był otwarty przez Wacława Gądyńskiego i Józefa Białkowskiego, w sierpniu 1928 przy ulicy Franciszkańskiej 31, kinoteatr Bajka. Kapitał w wysokości 5 tys. zł został wniesiony w równych częściach przez obu współników. Budynek formalnie był własnością żon właścicieli kina. W zamian za udostępnienie obiektu mężowie płacili swoim żonom czynsz w wysokości 1000 zł rocznie. W 1931 roku został przeprowadzony remont budynku, w wyniku czego zwiększono liczbę miejsc z 500 do 660. W następnym roku zainstalowano aparaturę dźwiękową. W 1934 roku zlikwidowano drewnianą przybudówkę, stawiając w jej miejsce murowaną. Przybudówka służyła jako miejsce przechowywania rekwizytów i opału dla kina. Kino do wybuchu wojny zachowało swoją nazwę. Po wojnie zostało uruchomione jako Bajka, z widownią na 300 miejsc.

W latach 50. nazwę Bajka zmieniono na Pionier. Pod tą nazwą funkcjonowało do lat 80. ubiegłego wieku – do czasu likwidacji. Budynek kilka lat stał pusty, potem prywatny właściciel uruchomił w nim sklep ABC. Obecnie mieści się tu kolejny market.

Uczelnia artystyczna

Jeszcze dalej, na Franciszkańskiej 76/78, znajduje się jeden z sześciu wydziałów Akademii Sztuk Pięknych im. Władysława Strzemińskiego – Wydział Sztuk Wizualnych. Studia na tym wydziale pozwalają m.in. uzyskać wiedzę z zakresu technik teatralnych, filmowych i telewizyjnych, animacji, multimedialnych czy też projektów wizualnych.

Wydział ten powstał w 1985 roku, wtedy jako Wydział Wychowania Plastycznego. Kształcono na nim nauczycieli tej specjalności. W miejscu tym organizowane są również wystawy i wernisaże w ramach galerii Wolna Przestrzeń.

Na koniec zastanówmy się nad genezą nazwy tej ulicy. W momencie jej wyznaczenia była to ważna arteria łącząca Stare Miasto z Widzewem – a konkretnie z ulicą Widzewską. Patronem ulicy jest najprawdopodobniej Franciszek Potocki. Po powstaniu listopadowym Potocki zastąpił na stanowisku prezesa Komisji Województwa Mazowieckiego zasłużonego dla Łodzi Rajmunda Rembielińskiego. Rembieliński został zwolniony z tego stanowiska, gdyż władze rosyjskie oczekiwały od niego, że będzie konfiskował majątki powstańcom, czego ten nie chciał robić. Natomiast po Rembielińskim stanowisko objął Franciszek Potocki, który miał bardzo dobre, wręcz wiernopoddańcze, stosunki z dworem carskim. Może to zadecydowało o nadaniu ulicy jego imienia już w połowie XIX wieku, podczas gdy zasłużony twórca

Łodzi przemysłowej Rajmund Rembieleński doczekał się swojej ulicy dopiero w 1932 roku.

Dariusz Kędzierski
– publicysta, filmowiec, znawca Łodzi

Bibliografia:

1. „Kronika Miasta Łodzi”, 4/2007, 4/2008.
2. Bonisławski R., Podolska J. *Spacerownik łódzki*, Biblioteka Gazety Wyborczej 2008.
3. Budziarek M., *Świątynie Łodzi*, Wydawnictwo Piątek Trzynastego, Łódź 2005.
4. *Krajewska H. Życie filmowe Łodzi w latach 1896–1939*, Wydawnictwo Naukowe PWN 1992.
5. Kuźko W., *Biedermannowie. Dzieje rodziny i fortuny 1730 – 1945*, Wydawnictwo Literatura, Łódź 2000.
6. *Parki Łodzi*, red. Mowszowicz J., Łódzkie Towarzystwo Naukowe.
7. http://www.lodzgetto.pl/ulica_franciszka.html, 25
8. <http://krwiodawstwo.pl/krwiodawstwo/swiat-dawcy-internet.pdf>
9. <https://pl.wikipedia.org/wiki/Mariawityzm>
10. <http://www.ipsb.nina.gov.pl/a/biografia/franciszek-potocki-h-pilawa>
11. <http://www.log.lodz.pl/modgikwww/pl/Leksykon/F.aspx>

Park im. Szarych Szeregów

Enklawa zadumy i wypoczynku

Park im. Szarych Szeregów, dawniej im. Promienistych, jest wewnętrznym parkiem osiedlowym na łódzkich Bałutach. Ma nieregularny kształt wyznaczony przez okoliczne ulice i budynki. Od północy jego granicę wyznacza ul. Górnicza. Od wschodu – budynki stojące wzdłuż ulic Emilii Plater i Stanisława Staszica. Od zachodu jest ograniczony ul. Obrońców Westerplatte, budynkami stojącymi wzdłuż ul. Marysińskiej i stadionem KS Budowlani, a od południa – Pływalnię Promienistych i znajdującym się tuż obok parkingiem. Jest też przedzielony ul. Tadeusza Boya-Żeleńskiego na część północną i południową. Część północna jest większa i ma kształt przypominający odwróconą literę „L”, południowa natomiast przypomina prostokąt.

osiedla, domy, ulice



Miejsce tragicznej historii

Park powstał na terenach, które w czasie drugiej wojny światowej leżały w granicach getta żydowskiego. Tuż obok, w obrębie dzisiejszych ulic Górniczej, Emilii Plater i Brackiej oraz zachodniego muru Cmentarza Żydowskiego przy ul. Brackiej, znajdował się Polen-Jugendverwahrlager der Sicherheitspolizei, czyli obóz prewencyjny (izolacyjny) dla młodych Polaków należący do Policji Bezpieczeństwa w Łodzi. Był to faktycznie obóz koncentracyjny dla dzieci i młodzieży w wieku od 8 do 16 lat i funkcjonował aż do wyparcia Niemców z Łodzi. Przeszło przez niego około pięciu tysięcy więźniów, z których wielu zmarło na skutek chorób, bestialskiego traktowania i wielogodzinnej pracy ponad siły. Dziś obóz ten upamiętnia stojący przy wejściu do parku od strony ul. Brackiej Pomnik Martyrologii Dzieci oraz stylizowany żelbetowy parkan z reliefowymi nazwami miejsc zagłady, stojący wzdłuż fragmentu dawnego ogrodzenia obozu.

Wizja inżyniera Chrabelskiego

Budowę parku rozpoczęto na przełomie maja i czerwca 1961 roku i oddawano go do użytku fragmentami. Najpierw, już 21 lipca 1961 roku, uroczystie oddano część południową. Miesiąc później pojawiła się tablica ukazująca wygląd przyszłego parku. Prace trwały do jesieni: „Obiektem, do wykończenia którego potrzebna jest duża pomoc mieszkańców jest park przy ul. Władysław Bytomskiej¹. W części parku już oddanej [...] mieszkańcy będą sadzić drzewa i krzewy, zaś w drugiej części (od ul. Środkowej na północ) przewiduje się nawożenie czarnoziemem, wywózkę gruzu, wytyczenie dróg [...]”.

Z zacytowanej notatki wynika, że oddana w lipcu część południowa nie była jeszcze ukończona. Część północna wymagała większej pracy, w którą zaangażowali się okoliczni mieszkańcy oraz harcerze Hufca Promieniści.

Warto jeszcze pochylić się nad użytymi w tekście nazwami ulic. Otóż ulica Środkowa łączyła ulicę Mostowskiego z ulicą Głowackiego i tam się kończyła. Ulica Mostowskiego z kolei biegła między ulicami Przemysłową i Emilii Plater. Niedługo później nazwę ulicy Środkowej zmieniono na Tadeusza Boya-Żeleńskiego, którą zresztą równolegle z budową parku przedłużono na zachód, łącząc ją z ulicą Obrońców Westerplatte.

Park zaprojektował inż. Kazimierz Chrabelski. Oprócz typowej zieleni miał tam się też znaleźć cały kompleks wypoczynkowy. W części południowej wybudowano basen z brodzikiem dla dzieci, boiska do siatkówki i badmintonu, ogródek jordanowski i sztuczne lodowisko. Pływalnia działa tu do dziś, a obok niej są plac zabaw, siłownia na świeżym powietrzu i stoliki szachowe.



osiedla, domy, ulice

Zmieniające się nazwy

Prace przy budowie parku Młodzieżowego, jak wtedy nazywano opisywany obiekt, trwały przez cały kolejny rok. Nazwa park Promienistych pojawiła się w 1963 roku wraz z uroczystym odsłonięciem niedużego obelisku z czerwonego piaskowca, upamiętniającego Młodzieżowy Oddział Gwardii Ludowej „Promieniści”, co nastąpiło 12 maja, w niedzielę. Obelisk stoi na niewysokim wzniesieniu, obok wspomnianych wcześniej placu zabaw i siłowni, nieopodal ulicy Boya-Żeleńskiego. Jest teraz pomalowany na brązowo. Na jego boku jest napis: „W hołdzie bohaterskim bojownikom łódzkiej organizacji młodzieżowej, w dwudziestą rocznicę walk z hitlerowskim okupantem, park ten zostaje nazwany imieniem Promienistych. Harcerze Chorągwi Łódzkiej 1963 r.”.

Warto tutaj przypomnieć, kim byli Promieniści. Otóż była to grupa młodzieży robotniczej z Marysina, Julianowa, Kozin, Bałut i Chojen. Mieli po kilkanaście lat, postanowili walczyć z Niemcami i 1 września 1941 roku założyli organizację bojową. Ta zaczęła się stopniowo rozrastać i latem 1942 roku weszła w skład Gwardii Ludowej jako oddział młodzieżowy. Powstało sześć grup dzielnicowych liczących po 40 członków każda oraz specjalna grupa do zadań zbrojnych. Wtedy też Promieniści rozpoczęli akcje bojowe. Spowodowali m.in. wykolejenie się niemieckiego pociągu wojskowe-



go na trasie Stryków – Zgierz. Dokonali też kilku udanych napadów na sklepy z bronią w Łodzi i Pabianicach. Po uzbrojeniu się w taki sposób oddziały miały w połowie maja 1943 roku wyruszyć do walki partyzanckiej. Ale wyruszyły wcześniej, ponieważ Niemcy wpadli na trop organizacji i rozpoczęli aresztowania. 8 maja 1943 roku w Lesie Psarskim pod Głownem doszło do bitwy, w której część młodych partyzantów zginęła. Pozostałych prawie wszystkich aresztowano i na początku 1944 roku żyło już tylko kilku Promienistych.

Pomnik Martyrologii Dzieci

Wracając do parku, większa jego część rozciąga się po północnej stronie. Tam stoi wspomniany wcześniej Pomnik Martyrologii Dzieci, zwany też Pomnikiem Pękniętego Serca. Zanim powstał, z różnych środowisk, m.in. z Chorągwi Łódzkiej ZHP, płynęły prośby o upamiętnienie obozu dla dzieci. Ostatecznie do rozpoczęcia prac nad pomnikiem przyczynił list uczniów siódmej klasy Ośrodka Szkolno-Wychowawczego dla Dzieci Głuchych w Przemyślu, napisany do łódzkiego koła ZBOWiD. W 1968 roku Wydział Kultury Prezydium Rady Narodowej miasta Łodzi wraz ze Związkiem Polskich Artystów Plastyków i Stowarzyszeniem Architektów Polskich rozpięły konkurs na pomnik. Nadesłano 19 prac, które zostały pokazane na specjalnej wystawie w Ośrodku Propagandy Sztuki w parku im. H. Sienkiewicza. Konkurs rozstrzygnięto 12 listopada. Pierwszą nagrodę zdobyła praca Ewy Tyc i Kazimierza Karpińskiego.

go. Drugą zdobyły dwie propozycje – Władysława Kowalczyka oraz rzeźbiarki Jadwigi Janus, którą projektem układu przestrzennego wspomógł architekt Ludwik Mackiewicz. Ostatecznie 19 lutego 1968 roku do realizacji skierowano ten ostatni projekt. Akt erekcyjny wmurowano 13 września 1969 roku i zapisano w nim: „Niech przekaże przyszłym pokoleniom nasze wspólne wołanie: nigdy więcej wojny, nigdy więcej obozów”.

Uroczyste odsłonięcie nastąpiło 9 maja 1971 roku. Wzięli w nim udział m.in. byli więźniowie, którzy w pewnym momencie uroczystości przeszli na kolanach przez otaczający pomnik bruk, przeniesiony z terenu obozu.

Pomnik przedstawia pęknięte ośmiometrowe serce. W jego szczelinie znajduje się zwielokrotniona odwrócona postać wychudzonego dziecka. Była wzorowana na zdjęciu jednego z więzionych w obozie dzieci – Edwarda Barana. Przed pomnikiem jest płyta z napisem: „Odebrano Wam życie, dziś dajemy Wam tylko pamięć”. Obok niej – znicz. Za pomnikiem jest druga płyta z napisem: „Dzieciom pomordowanym w tym obozie przez hitlerowskich ludobójców dla Ich męczeństwa Rada Państwa Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej nadaje Order Krzyża Grunwaldu II klasy. 8 V 1971”.

Jadwiga Janus w jednym z wywiadów mówiła, że projektowanie pomnika w tym miejscu było bardzo trudne z powodu fatalnego

osiedla, domy, ulice



sąsiedztwa garaży i bloków. Mówiła też, dlaczego rzeźba nie sprawia wrażenia monumentalnej: „Bolesny temat nie potrzebuje patosu, on sam wystarczająco mocno dotyka naszej wrażliwości”.

Patronat nad pomnikiem objęli uczniowie i nauczyciele pobliskiej Szkoły Podstawowej nr 81 im. Bohaterskich Dzieci Łodzi, przy ul. E. Plater 28/32. W roku odsłonięcia pomnika, z inicjatywy ówczesnego dyrektora tej szkoły – Stanisława Jagiełły, powstała tam Izba Pamięci Narodowej, w 1981 roku przekształcona w Szkolne Muzeum, poświęcone 19 stycznia 2005 roku, w 60. rocznicę wyzwolenia obozu przez Armię Czerwoną. Wśród eksponatów zobaczyć można m.in. ubranie więźnia oraz fotografie ukazujące obozową codzienność. Ponadto co roku, od 1979, 1 czerwca, w Międzynarodowy Dzień Dziecka, o 12:00 społeczność tej szkoły, wraz ze Stowarzyszeniem Komitet Dziecka, organizuje uroczystości, na które zapraszani m.in. byli więźniowie Hitlerowskiego Obozu Koncentracyjnego Dla Dzieci i Młodzieży w Łodzi, a od 1988 roku osoby szczególnie zasłużone w pracy na rzecz dzieci, którym przyznano Medale „Serce – Dziecku”.

Kasztanowce, dęby, wiązy

W parku rozpoczyna się turystyczny „Szlak pamięci ofiar hitlerowskiego ludobójstwa”. Jest to oznakowany szlak niebieski, pieszy, upamiętniający miejsca



związane z niemieckimi zbrodniami popełnionymi w czasie drugiej wojny światowej. Biegnie on m.in. przez park Julianowski, Radogoszcz i plac 100 Straconych w Zgierzu aż do niewielkiego obelisku w Lesie Lućmierskim obok Zgierza, który upamiętnia ok. 30 tys. ofiar przeprowadzanych tu egzekucji.

Nazwa park Promienistych przeszła próbę czasu. W 1994 roku Uchwałą Rady Miejskiej z dnia 27 maja zmieniono jego nazwę na park Szarych Szeregów. Dziesięć lat później park zmodernizowano. Uzupełniono nasadzenia i odnowiono pomnik, przed którym powstał wybrukowany plac. Wybrukowano również główne alejki. Pozostałe są gliniasto-żwirowe. Roślinność parku jest dość typowa. Rosną tu kasztanowce, dęby, bzy, wierzby płaczące, brzozy i inne popularne gatunki. Wśród nich, przy głównej alei w północnej części, rośnie wiąz górski odmiany Camperdowna, tzw. wiąz płaczący – niewysokie drzewo z koroną w kształcie parasola i zwieszającymi się do ziemi gałęziami. Natomiast nieopodal pomnika rośnie dąb szypułkowy „Jacek”, upamiętniający Jacka Kuronia. Drzewo posadzili 19 marca 2009 roku uczniowie Zespołu Szkół Specjalnych nr 3 im. Jacka Kuronia, z inicjatywy Anny Mazurkiewicz, nauczycielki z tej szkoły. Po drugiej stronie, już na terenie pływalni, przy ogrodzeniu rośnie klon pospolity odmiany Drummonda. Jego liście są żarłokowate, później kremowe, aż w końcu w środku liścia pojawiają się zielone plamy, ale brzeg pozostaje kremowo-biały.

Park, który nosi już trzecią nazwę, prezentuje się bardzo dobrze. Można w nim znaleźć zarówno miejsca słoneczne, jak i ocienione i odpocząć na licznych ławkach. Jest miejscem zarówno zadumy nad tragiczną historią drugiej wojny światowej, jak i przyjazną enklawą wypoczynku i rekreacji dla okolicznych mieszkańców.

Andrzej Jankowski
– historyk sztuki

Bibliografia:

1. (KP) „Promieniści” porządkują łódzkie parki, „Dziennik Łódzki”, 16.09.1961, nr 219 (4605).
2. *Dziś w Łodzi wmurowanie aktu erekcyjnego pod osiedle na Dąbrowie – otworzy uroczystości 22 lipca* [w:] „Dziennik Łódzki”, 21.07.1961, nr 171 (4557)
3. *Obóz przy ul. Przemysłowej w Łodzi*, https://pl.wikipedia.org/wiki/Ob%C3%B3zprzy_ul._Przemys%C5%82owej_w_%C5%81odzi.

4. *Szlak pamięci ofiar hitlerowskiego ludobójstwa* https://pl.Wikipedia.org/wiki/Szlak_pamięci_ofiar_hitlerowskiego_ludobojstwa.
5. Bonisławski R., Podolska J., *Spacerownik łódzki*, Biblioteka Gazety Wyborczej, Wyd. Agora SA.
6. Jaworska-Maćkowiak C., Maćkowiak T., *Pomniki łódzkie. Historia w brązie i kamieniu*, Wyd. Urząd Miasta Łodzi, Łódź 2008.
7. Lućmierz-Las, <https://pl.wikipedia.org/wiki/Lu%C4%87mierz-Las>
8. M., *Laureaci konkursu na pomnik*, *Dziennik Łódzki* nr 269(6814), 12.11.1968
9. Mm, *W Łodzi rośnie dąb im. Jacka Kuronia*, http://lodz.wyborcza.pl/lodz/1,35153,6403688,W_Lodzi_rosnie_dab_im_Jacka_Kuronia.html
10. *Ośrodek Działań Ekologicznych „Źródła”, Park Szarych Szeregów w Łodzi (daw. Park Promienistych)*, http://www.parki.org.pl/parki-miejskie/park-szarych-szeregow-w-lodzi-daw-park-promie#jqTOC_link1,
11. *Park Szarych Szeregów w Łodzi (daw. Park Promienistych)*, <http://www.parki.org.pl/parki-miejskie/park-szarych-szeregow-w-lodzi-daw-park-promie>
12. *Pomnik Martyrologii Dzieci* https://pl.wikipedia.org/wiki/Pomnik_Martyrologii_Dzieci
13. Romanowski G., *Trzeba zawsze pracować...* [w:] „Kronika Miasta Łodzi” nr 2/(66)/2014, Łódź 2014.
14. Uchwała Nr LXXVI/719/94, <http://bip.uml.lodz.pl/index.php?str=161&id=5169>
15. Ziarnik N., *Ciągle spragniona* [w:] *Raport 2017. Dzieci*, Centrum Dialogu im. Marka Edelmana w Łodzi, czerwiec 2017.
16. (SK) *Całe miasto pięknieje* [w:] „Dziennik Łódzki”, 25.05.1961, nr 122 (4508).
17. *Obiektywem po mieście* [w:] „Dziennik Łódzki”, 23.08.1961, nr 198.

Przypisy:

- ¹ Obecna ulica Organizacji Wolność i Niezawisłość. Park jest na północ od końcowego odcinka tej ulicy.

z łódzkiego raptularza

Z łódzkiego raptularza

Opracowała Małgorzata Golicka-Jabłońska

str. 253

Z łódzkiego raptularza

L I P I E C 2 0 1 7

3 lipca

- ➔ Światowa prapremiera w Teatrze Wielkim napisanej w 1938 roku opery komicznej *Złote runo* Aleksandra Tansmana znalazła się na liście 10 najciekawszych spektakli operowych Europy. Sondaż wykonał brytyjski miesięcznik „Opera”.
- ➔ Prezydent Hanna Zdanowska wspólnie z 12 prezydentami polskich miast podpisała w Gdańsku deklarację zobowiązującą do wspólnego działania w zakresie przyjmowania imigrantów.
- ➔ Adam Bodnar, Rzecznik Praw Obywatelskich, otworzył swoje biuro w siedzibie Urzędu Miasta przy ul. Piotrkowskiej. Zgłosili się już pierwsi interesanci. Rzecznik chciałby powołać podobne biura w innych dużych miastach Polski.
- ➔ W I Międzynarodowym Wyścigu Kolarskim EXPO 2022 na trasie Warszawa – Łódź o memoriał Henryka Czyży zwyciężył łódzki kolarz – Andris Vosekalns. Drugie miejsce zajął Polak – Michał Podlaski, trzecie także polski zawodnik – Jarosław Marycz. Wyścig zorganizował Urząd Miasta Łodzi.

4 lipca

- ➔ W parku Źródlika otworzono obok Palmiarni pijalnię wód sanatoryjnych, sfinansowaną w ramach Budżetu Obywatelskiego. Goście mogli próbować wód leczniczych, takich jak: Zuber, Jan, Słotwinka. Pijalnia będzie czynna we wtorki i czwartki. Miłym akcentem była obecność pani Marty Szprot, jednej z pomysłodawczyń pijalni, która na otwarcie napisała okolicznościowy wiersz.

- ➔ Łódź witała uczestników Międzynarodowych Warsztatów Folklorystycznych, które odbywają się co dwa lata od 1989 roku. Warsztaty organizują Widzewskie Domy Kultury i Centrum Kultury Młodych. W Warsztatach biorą udział zespoły z Rumunii, Gruzji, Serbii, Białorusi, Ukrainy i Puerto Rico.
- ➔ Łódź reprezentowały: Zespół Pieśni i Tańca „Łódź”, oraz Zespół Pieśni i Tańca „Anilana” im. Leszka Woszczyńskiego. Zespoły uczą się wzajemnie swoich tańców narodowych oraz występują na koncertach w Łodzi i w regionie. W tym roku poprowadziły m.in. warsztaty tańca ludowego dla osób niepełnosprawnych w Domu Pomocy Społecznej nr 5 w Łodzi. Partnerem regionalnym wydarzenia jest Województwo Łódzkie.
- ➔ Przy ulicy Wólczańskiej 168 przystąpiono do budowy domu, w którym zamieszkają przedstawiciele różnych pokoleń i w ten sposób będą sobie wzajemnie pomagać. Podobne domy sprawdziły się w innych państwach w Europie. Dom ma być gotowy za rok.
- ➔ Najstarsza kamienica w Łodzi, wybudowana 182 lata temu przez Gottlieba Beera przy ulicy Piotrkowskiej 243, została poddana ostatniemu etapowi remontu w ramach programu Mia100 Kamienic. Po zakończeniu remontu w budynku znajdzie się 16 mieszkań i 5 lokali użytkowych.
- ➔ Reżyser Paweł Pawlikowski rozpocznie w Łodzi zdjęcia do filmu *Zimna wojna*, opowiadającego o smutnej miłości w latach 50. Akcja filmu toczy się w Paryżu, jednak reżyser uważa, że w Łodzi łatwiej o klimat tamtych lat.

10 lipca

- ➔ W Fabryce Sztuki przy ul. Tymienieckiego 3 odbył się cykl ośmiu koncertów pod hasłem Alternatywy 2017. Udział w nich był bezpłatny.
- ➔ ASP ogłosiła konkurs dla studentów na artystyczne rozwiązania przejść dla pieszych. Przewidziano, że projekty powinny być gotowe we wrześniu, a ich realizacja nastąpi w bezpiecznych przejściach na Zdrowiu i w okolicach uczelni.

12 lipca

- ➔ Minęło 21 lat od tragicznej śmierci w wypadku samochodowym Jerzego Palki, pierwszego prezydenta Łodzi po okresie przemian ustrojowych.

Jerzy Palka był prezydentem Łodzi w latach 1990–1994. Działacz opozycji demokratycznej oraz Solidarności miał wizję rozwoju Łodzi, której nie zdążył wprowadzić w życie. Zginął wraz z synem w wypadku samochodowym. Miał 46 lat.

- ➔ Biuro Architekta Miasta ogłosiło drugą edycję konkursu na zagospodarowanie szczytowych ścian w Śródmieściu. Ściany mają zostać pokryte nietypowymi muralami iluzorycznymi, przypominającymi prawdziwą architekturę.
- ➔ W Domu Literatury otwarto wystawę pt. *Urban&Human Empathy*. Wystawa jest objazdowa i stanowi część międzynarodowego projektu, którego finał nastąpił we Włoszech podczas Trieste Photo Days w październiku 2017 roku.

14 lipca

- ➔ Na Teofilowie przybyła nowa ścianka wspinaczkowa o wysokości 5 m i powierzchni 300 m². Ścianka daje możliwości bezpiecznego treningu dla amatorów tego sportu.
- ➔ Na Radogoszczu w Muzeum Tradycji Niepodległościowych udostępniono wszystkie wnętrza amatorom fotografii, którzy uwieczniają je przed planowanym remontem placówki.
- ➔ W klasztorze ojców salezjanów w Lutomiersku odbył się koncert z cyklu „Kolory Polski”. Wyjazdy w teren do zabytkowych obiektów historycznych organizuje od 18 lat Filharmonia Łódzka. Tym razem melomani zwiedzili klasztor i wysłuchali Chóru dla (nie)Opornych i grupy Reversio.
- ➔ W Teatrze Wielkim uroczyste otworzono Festiwal Transatlantyk, który w tym roku przebiegł pod hasłem „Siła kobiety”. Kinomani mieli do wyboru spotkania z wybitnym twórcami i aktorami oraz szansę, by obejrzeć wybitne dzieła filmowe światowego kina.
- ➔ Jerzy Antkowiak – projektant i stylist, który w czasach PRL współtworzył Modę Polską i pracował w niej aż do końca firmy zlikwidowanej w 1998 roku – przekaze swoją kolekcję Centralnemu Muzeum Włókiennictwa w Łodzi. Za rok będzie można ją zobaczyć na retrospektywnej wystawie wraz z filmem dokumentalnym o artyście.

- ➔ Łódzkie uczelnie podsumowują pierwszy etap rekrutacji. Na Uniwersytecie Medycznym o jedno miejsce na Wydziale Lekarskim ubiegało się 12 kandydatów, na stomatologię – 20. Na Uniwersytecie Łódzkim najwięcej chętnych było na psychologię i na prawo – 10 osób na jedno miejsce i na anglistykę – 7 osób. Najmniej kandydatów chce studiować regionalistykę. Jak zwykle obłożona była Szkoła Filmowa. Na Wydział Aktorski zgłosiło się 700 kandydatów – przyjęto 22 osoby. Na Politechnice najwięcej, bo 12 osób na jedno miejsce, ubiegało się o przyjęcie na studia informatyczne w języku angielskim w Centrum Kształcenia Międzynarodowego.

19 lipca

- ➔ ELMO Carsharing, czyli wypożyczalnia samochodów elektrycznych na minuty, zamierza uruchomić swoje usługi w Łodzi. Do Urzędu Miasta wpłynęła już prośba o udostępnienie 400 miejsc parkingowych wyłącznie dla takich aut. Podobne wypożyczalnie działają już we Wrocławiu, Gdańsku, Toruniu i w Katowicach.

20 lipca

- ➔ Przed Sądem Okręgowym na placu Dąbrowskiego przez kilka wieczorów gromadziły się tłumy łódzian z zapalonymi świecami w dłoniach. Obywatele protestowali przeciwko przygotowywanym trzem ustawom o polskim sądownictwie. W pokojowych protestach bierze udział coraz więcej młodych osób.
- ➔ Łukasz Wawrzyniak oraz Małgorzata Mader i Michał Suskiewicz zajęli pierwsze miejsca w konkursie Urzędu Miasta na projekt kamienicy na rogu ulicy Orlej i Sienkiewicza. Przyznano także 6 wyróżnień.

21 lipca

- ➔ Distribution Award, czyli nagrodę główną tegorocznej edycji Festiwalu Transatlantyk, otrzymał film *Pięćdziesiąt wiosen Aurory*. Na zakończenie festiwalu amerykański aktor Edward Norton spotkał się z publicznością w Teatrze Wielkim i wziął udział w zamknięciu tegorocznego Transatlantyku. W imprezie przygotowano dla widzów 200 seansów i różne sposoby oglądania filmów, m.in. na sali kinowej, w kinie łóżkowym, przed uroczystą kolacją.

27 lipca

- ➔ Na sesji Rady Miejskiej radni PO i SLD przegłosowali uchwałę, w której zaapelowali do rządu i prezydenta Andrzeja Dudy o zachowanie trójpo-

działu władzy.

28 lipca

- Rada Miejska przyznała Honorowe Obywatelstwo Łodzi czterem osobom. Otrzymali je: Marcin Gortat – znany sportowiec, koszykarz, organizator i fundator szkoleń dla dzieci i młodzieży, Andrzej O.S.T.R Ostrowski – muzyk, czołowy artysta łódzkiego hip-hopowej. Po raz pierwszy Honorowe Obywatelstwo otrzymały panie: Aleksandra Urbańczyk-Olejarczyk – pływaczka, medalistka mistrzostw świata, oraz Joanna Woś – wybitna śpiewaczka, sopranistka, występująca w Teatrze Wielkim w Łodzi i na czołowych scenach operowych świata.

29 lipca

- Setki kolorowych wstążek wirowało na Starym Rynku podczas uroczystej inauguracji 594. urodzin miasta. Przygotowano ponad 300 atrakcji dla dzieci i dorosłych, koncerty z udziałem popularnych solistów, wycieczki, spotkania, konkursy. Specjalne autobusy przewoziły za darmo pasażerów, którzy chcieli wziąć udział w imprezach. Imprez było wiele, a mieszkańcy ulic Narutowicza, Jaracza i Wierzbowej skarżyli się, że koncert na placu Dąbrowskiego, który trwał do północy, utrudnił im nieco życie nadmiarem decybeli.

30 lipca

- W Muzeum Kinematografii otwarto wystawę *Zwierciadło Bergmana*. Autorzy wystawy postanowili „odbrązowić” i przybliżyć widzom postać wybitnego szwedzkiego reżysera.

ODESZLI:

5 lipca

- Konstanty Lewkowicz – pedagog związany z łódzką Szkołą Filmową, kierownik produkcji, współpracujący z czołowymi reżyserami, m.in z Andrzejem Wajdą, Wojciechem Hasem, Stanisławem Różewiczem, Krzysztofem Zanussi i Januszem Majewskim. Wieloletni członek Stowarzyszenia Filmowców Polskich.

12 lipca

- Andrzej Szymański – em. prof. dr hab. Wojskowej Akademii Medycznej. Wieloletni kierownik Kliniki Chorób Płuc WAM, przewodniczący Łódzkiego Oddziału i Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa Chorób Płuc, żołnierz AK.

S I E R P I E Ń 2 0 1 7

1 sierpnia

➔ Łodzianie pamiętali o powstaniu warszawskim. O godz. 13:15 na placu Katedralnym otwarto wystawę przygotowaną przez łódzki oddział IPN pt. Powstańcze biogramy – łódzkie echa Powstania Warszawskiego. Złożono kwiaty na Starym Cmentarzu na grobie Barbary Nazdrowicz ps. „Wiewiórka”, 15-letniej łączniczki, i na cmentarzu Łódź-Ruda na grobie płk. Józefa Szostaka ps. „Filip”, zastępcy Szefa Sztabu Komendy Głównej AK. Co roku IPN dekoruje groby łodzian związanych z powstaniem. Odnaleziono już 70 takich mogił. Grupa łodzianложиła kwiaty pod kamieniem pamięci na rogu ulic Wojska Polskiego i Jerzego Palki.

5 sierpnia

➔ Na Rynku w Manufakturze wystąpili artyści z polskich teatrów ognia. Prezentowali sztukę z pogranicza teatru, tańca i kuglarstwa. Podziw widzów wzbudzali łodzianie Damian „Jui-Ji” Jagodziński i Krystian Minda.

6 sierpnia

➔ Uniwersytet Medyczny tworzy Centrum Koordynowanej Opieki Zdrowotnej, w którym pacjenci poddawani byłiby kompleksowym badaniom i mieli okazję do szybkich konsultacji z wieloma specjalistami i uzyskania diagnozy. Chodzi tu o pacjentów, którzy nie wymagają leczenia w szpitalach.

7 sierpnia

➔ 150 lat temu zmarł w Łodzi wybitny czarnoskóry amerykański aktor Ira Aldridge, wykonawca ról szekspirowskich. Aktor miał wystąpić 7 sierpnia 1867 roku w roli Otella w teatrze Paradyż. Niestety, podczas prób zmarł, prawdopodobnie na atak serca. Artystę pochowano na cmentarzu ewangelickim, a w pogrzebie wzięły udział tłumy mieszkańców miasta. Muzeum Miasta Łodzi uczciło uroczystą rocznicę śmierci aktora. Okolicznościowe referaty wygłosili prof. prof. Krystyna Kujawińska-Courtney, Małgorzata Leyko i Jacek Orłowski. O związkach z Łodzią wybitnego aktora opowiadał Ryszard Bonisławski. Przybył też urodzony w Polsce nowojorski aktor Omar Sangare, który przedstawił fragmenty *Otella*, oraz prezes ZASP – Olgierd Łukaszewicz. Fragmenty *Kwiatów Polskich* Tuwima czytał Wojciech Oleksiewicz, a Małgorzata Piechat wykonała minikoncert fortepianowy. Po sesji wszyscy zebrali się przy grobie aktora, gdzie wystąpił kwartet wokalny Dicanto.

9 sierpnia

- Podczas tegorocznych upalnych dni wieczory w Łodzi można było spędzać na wolnym powietrzu, korzystając z licznych rozrywek. Popularnością cieszyły się darmowe kina w plenerze. Można było oglądać m.in. filmy w ramach tzw. Polówki, tym razem na terenie EC1, oraz na ulicy Piotrkowskiej w ramach cyklu „Kultura na bruku”.

8 sierpnia

- Łódź jako pierwsze duże miasto w Polsce przyjęła kodeks krajobrazowy, który obejmuje ulicę Piotrkowską i okolice. Wpływ tej decyzji na estetyczny i spójny wygląd miasta staje się coraz bardziej widoczny. Bywa, że Biuro Architekta Miasta blokuje niektóre posunięcia, które budzą sprzeciw ze względu na ich dysonans estetyczny z charakterem zabytkowego śródmieścia.
- 200 wolontariuszy z Irlandii Północnej, Ukrainy, Białorusi, Chin i Stanów Zjednoczonych w wieku od 16 do 60 lat – uczestników Międzynarodowego Festiwalu Kontakt – podczas tygodniowego pobytu w Łodzi wyremontowało cztery mieszkania socjalne oraz pomagało w remontach Domów Pomocy Społecznej przy ulicy Żłotniczej, Dojazdowej, Rolnej i Krzemienieckiej oraz świetlicy środowiskowej. We wszystkich placówkach starali się pomóc podopiecznym, chodzili na spacer, przygotowywali drobne prezenty.

11 sierpnia

- Na obozie harcerskim zorganizowanym przez Związek Harcerstwa Rzeczypospolitej Okręgu Łódzkiego w Suszku na Pomorzu zginęły podczas nawałnicy dwie harcerki, a 37 osób zostało rannych. Rannych i ich rodziny otoczono opieką medyczną i psychologiczną, zarządzono też miesięczną żałobę.

15 sierpnia

- W dniu Święta Wojska Polskiego oraz w 97 rocznicę Bitwy Warszawskiej przed pomnikiem Nieznanego Żołnierza na placu Katedralnym odbyła się uroczysta zmiana warty oraz defilada służb mundurowych ulicą Piotrkowską. Mszę św. w archikatedrze celebrował ks. Marek Marczak, biskup pomocniczy archidiecezji łódzkiej.
- Trwają prace przy odbudowie gmachu rektoratu Politechniki Łódzkiej. Rektorat mieścił się w zabytkowej willi Richtera, którą w lipcu 2016 roku

zniszczył pożar. Śledztwo zostało umorzone, do dziś nie wiadomo, co było przyczyną pożaru. Zakończono pierwszy etap prac, pozostały do renowacji zabytkowe wnętrza oraz instalacje kanalizacyjne i elektryczne. Wysokie koszty prac wymagają wsparcia różnych instytucji i organizacji.

17 sierpnia

- ➔ Łódzkie Centrum Wydarzeń planuje uruchomić w swojej siedzibie przy ulicy Piotrkowskiej 87 elegancki sklep z pamiątkami i publikacjami o Łodzi. Na brak estetycznych i ciekawych pamiątek związanych z Łodzią skarżą się od dawna zarówno mieszkańcy, jak i turyści. Może tym razem ich oczekiwania zostaną zaspokojone.

19 sierpnia

- ➔ Urząd Miasta Łodzi, uczelnie, kluby sportowe, harcerze, łódzki KOD, wdzięczni za pomoc udzieloną przez mieszkańców okolicznych wsi łódzkim harcerzom rannym podczas nawałnicy w Borach Tucholskich, spieszą teraz z pomocą rolnikom, których domy, a często cały dobytek zniszczyła wichura. Dotkniętym klęską mieszkańcom potrzebne jest nieomal wszystko, szczególnie uczniom przed nowym rokiem szkolnym.

21 sierpnia

- ➔ W Centrum Szkolenia Zawodowego i Ustawicznego zakończono bezpłatne korepetycje z matematyki dla maturzystów, którzy nie zdali matury z tego przedmiotu i chcą przystąpić do egzaminów poprawkowych. Skorzystało z nich 40 osób. Korepetycje organizował Urząd Miasta Łodzi.

22 sierpnia

- ➔ Bibliotekarze z chińskiego miasta Kanton, którzy brali udział w Międzynarodowym Kongresie Bibliotekarzy we Wrocławiu, odwiedzili Łódź. Kanton jest jednym z partnerskich miast chińskich zaprzyjaźnionych z naszym miastem. Gości przyjął wiceprezydent Krzysztof Piątkowski, który przedstawił plany rekonstrukcji sieci bibliotecznej w mieście. Goście obejrzeli również film o Łodzi.
- ➔ Trwające prace na ulicach Lindleya, Składowej i Knyszalskiego zmieniają radykalnie wygląd tych ulic i prowadzą do ułatwienia komunikacji w dzielnicy.
- ➔ Aktywiści ze stowarzyszenia Topografia ogłosili otwarty konkurs na polską nazwę, która mogłaby zastąpić holenderski „Woonerf”.

26 sierpnia

- ➔ 1500 zawodników wzięło udział w Biegu Fabrykanta. Trasa prowadziła wśród zabytkowych ulic Księżego Młyna. Nowością był Bieg Grohmana, na którego pomysł wpadła Łódzka Specjalna Strefa Ekonomiczna. Zwyczcami okazali się Izabela Trzaskalska i Artur Kozłowski.
- ➔ W Nowym Centrum Łodzi otworzono już pierwszy biurowiec, który otrzymał nazwę Nowa Fabryczna. Ponad 80 procent powierzchni biurowca zostało już wynajęte. Biurowiec składa się z siedmiu kondygnacji, dysponuje 210 miejscami parkingowymi, setką stojaków na rowery oraz lokalami usługowymi. Lokal o powierzchni 2,5 tys. m² wynajmuje Cybercom, firma zajmująca się rozwojem nowoczesnych technologii, która zamierza udostępniać zajmowane przestrzenie na otwarte imprezy kulturalne.

27 sierpnia

- ➔ Adam Jerzykowski, założyciel Fundacji Swim for the dream (Płyn po marzenia) podejmuje się trudnych zadań, aby udowodnić, że przy silnej woli można pokonać największe przeszkody. Jednocześnie zbiera w ten sposób fundusze na stypendia i pomoc zdolnym uczniom, studentom i chorym. Podczas ostatniego weekendu sierpniowego przepłynął wpław dziewięć mazurskich jezior i kanałów – łącznie 27 kilometrów.

29 sierpnia

- ➔ Na Cmentarzu Żydowskim i na stacji Radegast odbyły się rocznicowe obchody poświęcone pamięci zagłady ludności żydowskiej w Łodzi. Likwidacja Litzmannstadt Ghetto w sierpniu 1944 roku oznaczała kres wielowiekowej koegzystencji przedstawicieli narodów zamieszkujących nasze miasto. 73. rocznicę tej tragedii uczczono modlitwami, wystąpieniami polityków i ocalałych, składano wieńce, oddano hołd pomordowanym. „Ogrom poniżenia, cierpienia i koszmaru wpisały się w los naszego miasta” – powiedziała Hanna Zdanowska. „My, współcześni łodzianie, możemy podarować pomordowanym naszą pamięć” – podkreśliła z mocą prezydent Łodzi.

ODESZLI:**2 sierpnia**

- ➔ Bogdan Kruszyński – prof. dr hab. Politechniki Łódzkiej. Wieloletni dyrektor Instytutu Obrabiarek i Technologii Budowy Maszyn, a także dziekan Wydziału Mechanicznego. Całe zawodowe życie był związany z macierzystą

uczelnią. Zasłużony naukowiec i wychowawca wielu pokoleń inżynierów. Członek wielu towarzystw naukowych, m.in. Komitetu Budowy Maszyn PAN.

W R Z E S I E Ń 2 0 1 7

1 września

- ➔ Dawna tkalnia Łódzkich Zakładów Przemysłu Bawełnianego im. Obrońców Pokoju „Uniontex”, w której podczas wizyty w Łodzi 13 czerwca 1987 roku papież Jan Paweł II spotkał się z włókniami, znalazła inwestora, który planuje urządzić w niej eleganckie apartamenty.
- ➔ Paweł Zyner, przedsiębiorca i gastronom, został nowym konsulem honorowym Austrii w Łodzi. Planuje rozbudować kontakty ze Styrią, Salzburgiem i Górną Austrią. Nowy budynek konsulatu mieści się przy ul. Tuwima 17, w „domu Otto Gehlinga”.
- ➔ Od końca sierpnia do 5 września trwały w Łodzi obchody 73. rocznicy likwidacji łódzkiego getta. W tegorocznych uroczystościach z udziałem przedstawicieli władz państwa i Łodzi wzięli udział ambasador Izraela w Polsce Anna Azari oraz ocalali z getta 91-letni Leon Weintraub i 94-letni Jehuda Widawski. Na cmentarzu żydowskim rabin Dawid Szychowski, oraz duchowni katolicki i protestancki odmówili modlitwy. Centrum Dialogu im. Marka Edelmana jak co roku zorganizowało koncerty, wystawy oraz pokazy filmowe, które oddają cześć bestialsko zamordowanym i nie pozwalają o nich zapomnieć.
- ➔ Prezydent Andrzej Duda uczestniczył w Wieluniu w uroczystościach upamiętniających wybuch drugiej wojny światowej. Następnie zwiedził fabrykę Wielton produkującą przyczepy i naczepy. Firma należy do największych światowych producentów tej branży. W 2016 roku otrzymała nagrodę prezydenta RP w kategorii „narodowy sukces”.
- ➔ Na ścianie odnowionego biurowca przy ulicy Skrzywana 6 powstał nowy mural z twarzą patrona ulicy, inżyniera Stefana Skrzywana, twórcy łódzkich wodociągów i systemu kanalizacji.

- ➔ W Centralnym Muzeum Włókiennictwa otwarto salę warsztatową dla dzieci i młodzieży. Dział Edukacji planuje w niej organizować zajęcia edukacyjne dla młodzieży, a także projekcje i wykłady dla dorosłych. Sala zajmuje powierzchnię ponad 200 m².

2 września

- ➔ W wagonach Łódzkiej Kolei Aglomeracyjnej, w tramwajach, na przystankach można było usłyszeć fragmenty *Wesela* Wyspiańskiego w ramach akcji Narodowego Czytania. Czytały bibliotekarki z Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej, które przyszły w strojach ludowych, pracownicy ŁKA, a do tańca przygrywał zespół ludowy Bukowianka. W tramwaju nr 11 w rolę Haneczki i radczyni wcieliła się prezydent Hanna Zdanowska, której towarzyszyli wojewoda Zbigniew Rau i aktorka Adrianna Biedrzyńska. Czytali aktorzy z Teatru Powszechnego, a chórzysta Filharmonii Piotr Wieczorek wyśpiewał kwestię „Miałeś chamie złoty róg”. Do ogólnego czytania włączali się pasażerowie.
- ➔ Mixer Regionalny, największa impreza promująca województwo łódzkie, prezentował na ulicy Piotrkowskiej wyroby regionalne i tradycyjne przysmaki. Na Piotrkowskiej pojawiły się całe rodziny, każdy mógł znaleźć dla siebie coś interesującego. Na zakończenie wieczoru orkiestra Teatru Muzycznego i zespół Diamanti zagrali koncert *Muzyka świata*.

5 września

- ➔ W Rudzie Pabianickiej zakończono zdjęcia do serialu *Ultraviolet*, którego akcja toczy się w Ozorkowie i w Łodzi. Film realizuje Studio Opus Film, reżyserem jest Sebastian Fabicki, w rolach głównych występują: Sebastian Fabijański, Magdalena Czerwińska, Marta Nieradkiewicz, Agata Kulesza i Bartłomiej Topa. Premierę telewizyjną przewidziano na 25 października na kanale AXN.

10 września

- ➔ Internauci wybrali 16 nazw dla pociągów Intercity; pociąg o nazwie Jagiellończyk będzie kursował z Łodzi do Białegostoku, Rubinstein z Łodzi do Warszawy, Kresowiak to pociąg kursujący z Warszawy przez Łódź do Wrocławia, Oscypek do Zakopanego i Zielonogórczanin do Zielonej Góry. Pociągi o tych nazwach będą kursowały od początku grudnia.
- ➔ Błażej Filanowski, czołowy dziennikarz „Kroniki Miasta Łodzi” i publicysta znany też z innych tytułów, otrzymał tegoroczne Złote Pióro – nagrodę

im. Jerzego Katarasińskiego przyznawaną od 18 lat przez posłankę Iwonę Śledzińską-Katarasińską młodym dziennikarzom piszącym o łódzkiej kulturze. Laureat ukończył historię sztuki na Uniwersytecie Łódzkim, jest doktorantem na macierzystej uczelni. Statuetkę Złotego Pióra i dyplom odebrał podczas Pikniku Artystycznego w Muzeum Włókiennictwa.

11 września

- ➔ Na ścianie Widzewskiej Manufaktury przy al. Piłsudskiego 135 artystki zwane Chloxx i Aylo z grupy Nomad Clan namalowały mural przedstawiający słowiańską boginię Mokosh. Mural namalowano w ramach Festiwalu Czterech Kultur.
- ➔ Publiczne uczelnie w Łodzi – Uniwersytet, Politechnika, Uniwersytet Medyczny oraz Akademia Sztuk Pięknych – uruchomiły rekrutacje na kierunkach, na których pozostały wolne miejsca. Z tej szansy mogli skorzystać poprawkowicze, którzy zdawali maturalne egzaminy poprawkowe w sierpniu br.
- ➔ Teatr Lalek Arlekin wystąpił z premierą *Złotej rybki* Aleksandra Puszkina w tłumaczeniu Juliana Tuwima. Spektakl reżyserowała Maja Garmulewicz (debiut studentki Łódzkiej Filmówki), muzykę opracował Michał Makulski, scenografię – Katarzyna Rynkiewicz. Występowali Karolina Zajdel oraz Wojciech Schabowski, którzy także animowali lalki.

16 września

- ➔ W Centrum Handlowym Ptak po raz szósty odbyło się święto mody, czyli Fast Fashion, podczas którego zaprezentowano nowe kolekcje i pomysły polskich projektantów. Modele można było nie tylko oglądać, ale też kupować. Imprezę zaszczyciła Patrizia Gucci, Maciej Zień, duet Paprocki & Brzozowski i inni. Za odkrycie sezonu uznano markę Lila Lou, za najlepszą markę sezonu Me Gusta, a za najlepszego producenta – Voga Italia.
- ➔ Teatr Pinokio wystawił powiastkę filozoficzną Stefana i Franciszki Thémersonów zatytułowaną *Przygody Pędrka Wyrzutka* w reżyserii Ewy Marii Wolskiej. Scenografię przygotowała Aleksandra Starzyńska, muzykę Piotr Zakrocki.

17 września

- ➔ W Spale odbyły się dożynki z udziałem pary prezydenckiej. Po mszy św. w kaplicy polowej AK prezydent Andrzej Duda wraz z małżonką przeszli

w korowodzie na teren Centralnego Ośrodka Sportu. Prezydent dziękował rolnikom za trud ich pracy i obiecywał wszechstronną opiekę państwa.

18 września

- ➔ Trzy dni trwał Międzynarodowy Festiwal Komiksu i Gier w Atlas Arenie. W tym roku położono szczególny nacisk na komiksy historyczne oraz dedykowane dzieciom. Dla nich przygotowano kilkanaście warsztatów.
- ➔ W Muzeum Komunikacji Miejskiej przy ulicy Wierzbowej 51 otwarto wystawę Tramwaj w komiksie, na której pokazano prace Międzynarodowego Festiwalu Komiksu i Gier. Okazało się, że tramwaj to nie tylko środek lokomocji, ale także lokum, dzięki któremu można przeżyć wiele ciekawych przygód.
- ➔ 45 kawiarni i restauracji wzięło udział w popularnym festiwalu kulinarnym Jemy w Łodzi Food Fest. Smakosze mogli wybierać trzy trasy: Grand Pasta, Roślinna Łódź i Kawa alternatywnie. Nie wątpimy, że były to smakowite dania, mamy zastrzeżenia co do nazwy. Czy doprawdy każda impreza w mieście musi być od razu festiwalem?

19 września

- ➔ Poeta Krzysztof Kleszcz został laureatem konkursu na poemat o Łodzi zorganizowany przez Dom Literatury w ramach Festiwalu Czterech Kultur.
- ➔ Politechnika Łódzka otworzyła olimpijską pływalnię w tzw. Zatoce Sportu. Pływalnia będzie otwarta dla zawodowców i amatorów. Przewidziano w niej zajęcia dla kobiet w ciąży, seniorów i niepełnosprawnych. Czynne będą także szkółki pływania, nurkowania oraz treningi pod okiem mistrzów.
- ➔ W Teatrze Nowym wystawiono *Antygonę w Nowym Jorku* Janusza Głowackiego w reżyserii Andrzeja Szczytko. Niestety, zmarły 19 sierpnia autor nie zdążył przyjechać na premierę.

20 września

- ➔ Rada Miejska nadała nazwę rynkowi w Manufakturze, który od tej pory na wniosek Łódzkiego Szlaku Kobiet będzie Rynkiem Włókniarek Łódzkich. Rondo przy Juszczakiewicza i Konstantynowskiej zyskało natomiast patrona w osobie generała Władysława Andersa.

22–23 września

- ➔ W Łodzi odbył się Zjazd Miast Piłsudskiego, zorganizowany przez Urząd Miasta Łodzi. Rok Piłsudskiego uczczono m.in. popularnonaukową konferencją w Muzeum Miasta Łodzi, defiladą wojskową, w której brały udział grupy rekonstrukcyjne kultywujące pamięć o Marszałku. Odsłonięto też pomnik Legionisty. Były pokazy historycznego uzbrojenia i mody sprzed 100 lat. W 1914 roku legioniści Piłsudskiego wkroczyli do Łodzi, a wcześniej marszałek mieszkał w mieście przy ul. Wschodniej 19, gdzie redagował i drukował konspiracyjne pismo „Robotnik” i tam został aresztowany. Z okazji zjazdu redakcja „Kroniki Miasta Łodzi” przygotowała okolicznościowe wydawnictwo.

25 września

- ➔ Klub DOM zorganizował wieczór filmów Davida Lyncha. Widzowie obejrzeli najstarsze filmy reżysera: *Dzikość serca* z 1990 roku *Miasteczko Twin Peaks*, *Ogniu kroc za mną*.

29 września

- ➔ Trzy dni trwał Light Move Festival, który cieszy się wielką popularnością nie tylko wśród łódzian. Tegoroczne hasło festiwalu brzmiało: „No limits – szlakiem awangardy”. Organizatorzy przygotowali 15 kilometrów tras. Tradycyjnie już oświetlano kamienice przy ul. Piotrkowskiej i na placu Wolności. Punkty świetlne wybrano też w parku Sienkiewicza, w Manufakturze, na gmachu Łódzkiego Domu Kultury. Po raz pierwszy oświetlono prawosławną cerkiew pod wezwaniem Aleksandra Newskiego przy ul. Kilińskiego. Pokazom świetlnym towarzyszyła muzyka w wykonaniu m.in. zespołów Kamp Elektronic i Songwriter Lodz Festival.

PERSONALIA:

14 września

- ➔ Krzysztof Marciniak – wieloletni solista Teatru Wielkiego został powołany na pełniącego obowiązki dyrektora Opery Łódzkiej. Jego zastępcą będzie dyrygent Tadeusz Kozłowski. K. Marciniak swoje obowiązki będzie pełnił do wiosny 2018 roku. W tym terminie zostanie ogłoszony konkurs na dyrektora łódzkiej sceny operowej.
- ➔ Grzegorz Ryś, biskup pomocniczy archidiecezji krakowskiej, został podniesiony do godności arcybiskupa i mianowany przez papieża Franciszka metropolitą łódzkim. Nowy łódzki metropolita ma 54 lata, studiował w Krakowie, był rektorem Wyższego Seminarium Duchownego w tym

mieście i przewodniczącym konferencji rektorów Seminariów Duchownych. Komentował pielgrzymki Jana Pawła II do Polski w TVP i Polskim Radiu. Jest członkiem zespołu redakcyjnego „Tygodnika Powszechnego” i kierownikiem Katedry Historii Kościoła na Uniwersytecie Papieskim Jana Pawła II. Jest też cenionym autorem prac naukowych z dziedziny historii Kościoła i teologii.

ODESZLI:

21 września

- ➔ Grzegorz Królikiewicz – znacząca postać polskiego kina, reżyser filmowy, scenarzysta, pedagog, absolwent i profesor łódzkiej Filmówki, członek Polskiej Akademii Filmowej, dyrektor Teatru Nowego im. K. Dejmka w latach 2003–2005. Zadebiutował filmem *Na wylot*, miał w swoim dorobku takie pozycje, jak *Tańczący jastrząb*, *Wieczne pretensje*, *Przypadek Pekosińskiego*, *Sąsiady*. Ekscentryczny, wymagający wobec aktorów, o zdecydowanie konserwatywnych poglądach – budził wśród współpracowników i widzów skrajne emocje.

22 września

- ➔ Antoni Prusiński – neurolog, prof. dr hab. Akademii Medycznej, przez 32 lata kierował Katedrą i Kliniką Neurologii w Szpitalu im. N. Barlickiego w Łodzi. Dr honoris causa macierzystej uczelni. Specjalizował się w zwalczaniu bólów głowy i migreny. Poświęcił temu zagadnieniu wiele prac naukowych i działań społecznych. Dla studentów i współpracowników był wzorem lekarza i naukowca.

